



IWA

Krzysztof Swoboda

Krzysztof Swoboda

Iwa

Siedział w towarzystwie dwójki kolegów, obgryzając nerwowo paznokcie. Dość wysoki, odrastający od ziemi na niecałe 180 centymetrów chudzielec ze standardową, nie wyróżniającą się z tłumu fryzurą, zachodzącą w ciemny blond. Obserwował przeszklony gabinet redaktora naczelnego. Szef zazwyczaj stał po stronie pracowników i wręcz emanował otwartością, jaka tutaj symbolicznie przekuwała się na zawsze odsłonięte żaluzje biurowe i lekko uchylone drzwi, zza których często dało się słyszeć konkretne, rockowe kawałki napisane i wyśpiewane przez gwiazdy lat 80. Dzisiejszego dnia, za sprawą trójki smutnych panów w drogich, czarnych garniturach, legitymujących się siejącymi popłoch legitymacjami, na widok których nawet największe wygi z policyjnej drogówki spuszczają wzrok i potulnie wracają do niebieskiego pojazdu, drzwi zostały zamknięte, a żaluzje opuszczono. Wtedy też ostatni raz widział skwaszoną minę przełożonego, pocziwego tłuścioszka pod krawatem, mającego jakiś bliżej niezidentyfikowany pociąg do szelek, które od kilku dobrych lat, towarzyszyły „rednaczeni” każdego dnia.

Ledwie dwa razy drzwi gabinetu otworzyły się, raz, gdy próg przekroczyła sympatyczna sekretarka, niosąca na plastikowej tacy cztery, świeżo zaparzone kawy. Po raz drugi, kilka sekund później, gdy zamknęła je za nią wielka, wymuskana dłoń, otulona czarną, sprawiającą wrażenie drogiej, tkaniną.

Mimo że sprawa mogła wyglądać na zagadkową, to jednak solidni dziennikarze śledczy, a takich w budynku włącznie z Sikorskim znajdowało się w tym momencie kilkoro, wiedzieli o co chodzi. Po prawdzie wszyscy, od wiecznie niezadowolonego ze swojej sytuacji działu sportowego, przez blogerów po dziennikarzy terenowych i fotoreportera wiedzieli, że smutni panowie pojawili się w związku z Aferą Binieckiego: rozdmuchaną przez Darka sprawą, wedle której w jednym ze strategicznych ministerstw w kancelarii premiera wielokrotnie miano dopuszczać się nadużyć finansowych i przyjmowania łapówek.

Niestety, mimo udanej prowokacji dziennikarskiej, podczas której wręczono ważnej, ministerialnej figurze pokaźny plik banknotów, ktoś zdołał w odpowiednim momencie pociągnąć za sznurki i zaalarmować wyżej postawionych przełożonych. Przy wyjściu z eleganckiego budynku zaczęli go, niby przypadkowo, uprzejmie prosząc, aby poddał się krótkiemu przeszukaniu. Nie usłyszał podstawy prawnej, bowiem wprawny, ledwie co widoczny dla postronnych cios w splot słoneczny sprawił, że zgiął się w pół. Czyjaś ręka przytrzymała wątłego mężczyznę. Z daleka wcale nie wyglądało na to, że dwaj umięśnieni, krótko ścięci faceci w ciemnych okularach trzymają go teraz z całej siły za wątłe ramiona, usiłując zadać jak najwięcej bólu.

Zniknął w niedużej, ulokowanej przy głównym wejściu wnęce, prowadzącej wprost do kanciapy szefa ochrony. Tam też po raz ostatni widział dyktafon i niedużą kamerę szpiegowską, jaką za pieniądze wydawnictwa nabył dla Dariusza Sikorskiego główny przełożony. Spędził w zaciemnionym pomieszczeniu kilka godzin, odpowiadając na dziesiątki pytań. Pytali o wyjazdy zagraniczne, o zmarłego ojca i jego pracę, przeglądali kontakty w telefonie, aby po dłuższym czasie, po nitce do kłębka dokopać się studiów i kariery zawodowej. Wypuścili go, zdezorientowanego, późnym popołudniem. Od razu pojechał do biura, jednak na pasach, oddzielających go od wejścia do budynku, zaparkowany pojazd mrugnął długimi światłami kilka razy stronę. Gdy zza przyciemnianej, opuszczającej się szyby wyłoniła się dobrze znana, wyprana z emocji twarz, przezornie zawrócił i cały czas czując na sobie wzrok udał się do domu, aby późną nocą zasnąć.

Teraz, ledwie kilkanaście godzin po tej cholernej wpadce z uwagą obserwował, jak po

blisko godzinnej rozmowie drzwi gabinetu naczelnego otwierają się. Trójka postawnych mężczyzn szybko opuściła budynek. Zza otwartych drzwi wyłoniła się głowa szefa. Przez moment ich spojrzenia spotkały się. Skinięciem zaprosił go do siebie. Spojrzał po kolegach, którzy uśmiechali się tępo w jego stronę, usiłując przekonać Darka i siebie samych, że wszystko będzie w porządku. Powoli wstał i ruszył na spotkanie przeznaczenia.

– Jestem.

– Widzę. Zamknij drzwi i siadaj.

Usłuchał. Sfatygowany fotel lekko zaskrzypiał pod ciężarem.

– Co zrobimy z tą sprawą, szefie? Ciągle mogę napisać o tym, co mnie tam spotkało.

Mam swoje kontakty i...

– Zwalniam cię ze skutkiem natychmiastowym.

Z trudem zmusił się do zamknięcia ust, które mimowolnie otworzył.

– Jak to?!

– Nie ma wyjścia. Pozbieraj rzeczy, dostaniesz odprawę i takie tam. To nic osobistego, Darek, ale zamiast na gniazdo pszczołek, trafiłeś na pierdolone szerszenie.

– Nie z takimi se damy radę, szefie!

Mężczyzna gałkami ocznymi wskazał na jakiś bliżej niezidentyfikowany punkt na szczycie szafki, pełnej jakichś akt i papierów.

– Nie. Nie z takimi – ostro zaakcentował ostatnie słowo, dodając: – Wynoś się.

– Ale...

– Darek, wypierdalaj. – Wstał, z kwaśną miną, pokazując palcem drzwi wyjściowe. – Dobrze nam się pracowało, ale to już przeszłość. Zostaw to wszystko i znajdź sobie jakiś plan na życie, bo obawiam się, że nawet moja najlepsza i najszczerza rekomendacja już ci w branży niewiele da. Wyciągnął rękę w stronę ciągle niedowierzającego mężczyzny. Po chwili odwzajemnił gest i po raz ostatni uściśnął dłoń przełożonego.

W godzinę później zęgnął się z kolegami, którzy pomagali mu znosić cały dobytek w naprędce zorganizowanych kartonach – zupełnie jak w amerykańskich średniej klasy filmach, – do samochodu. Udawane uśmiechy, poklepywanie po ramionach i kilka poważnych ofert wstawiennictwa w jego sprawie nie były jednak w stanie rozładować toksycznej atmosfery, która czule objęła redakcję, deklarując szybkie odejście – wraz ze zwolnionym z roboty dziennikarzem. Oddał kilka uśmiechów, w milczeniu pożegnał się z większością kolegów i koleżanek, po czym wspólnie z kilkorgiem z nich ruszył w ostatnią trasę, wprost ku samochodowi. Po ostatnim transporcie, na jaki składał się nieduży, pluszowy miś, jakiego dostał w podziękowaniu od dzieciaków jednego z przedszkoli za ujawnienie bicia podopiecznych przez wychowawczynię, opadł na siedzenie kierowcy i odetchnął głęboko. Kątem oka dostrzegł, że kilkoro towarzyszących mu osób uznało, że symboliczne wyprowadzenie zwolnionego dobiegło właśnie końca. Wolnym krokiem, starając się unikać zerkania w jego stronę ruszyli ku siedzibie redakcji, jak ku ziemi obiecanej, do której on nie będzie miał już nigdy wstępu.

Klient poczty w smartfonie alarmował o niemożności połączenia z redakcyjną skrzynką. Zrozumiał, że jego konto oraz historia korespondencji została zablokowana, być może nawet skasowana. Wątpił, aby jacyś skurwiele z ministerstwa chcieli dokopać mu jeszcze bardziej. Zarówno on, jak i jego koledzy wiedzieli, że zabierając mu tę robotę i dając na odchodne wilczy bilet i gówną wartą garść uśmiechów zabrali mu niemal wszystko to, co kochał.

– Skurwysyny – syknął po cichu, zamykając drzwi pojazdu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, uchylił szybę i powoli ruszył w stronę szlabanu. Stylowe, odpicowane czerwone Audi 80 po raz ostatni opuszczało prywatny, redakcyjny parking. Na odchodne uśmiechnął się do ciecica i jak gdyby nigdy nic się pożegnał.

Młody facet z dziewiczym wąsikiem, miłośnik komiksów, które mógł w tej budce czytać cały czas, ledwie kącikami ust odwzajemnił gest. Cholera tam wie, co robił w tej klitce, gdy żaden samochód akurat nie zebrał o podniesienie szlabanu. W slangu jego byłych kolegów, ze względu na ciekawe epizody, jakie organizował tam przez dobre dwa lata były stróż, klitka nosiła miano „zielonej ruchawki”. Nie, budka nie była koloru zielonego. Była szara, jak szare i monotonne było życie wszystkich tych, którzy w niej zasiadali. Tylko Śruba, masywny, oblepiony tatuażami, o wielkim ego, koziej bródce i dochodzie 1300 złotych na rękę, mężczyzna, uczynił z fuchy ciecia coś, o czym inni mogli jedynie marzyć.

Wielkolud zagrał na nosie całemu wydawnictwu i nieformalnie ośmieszył wszystkich śledczych z Sikorskim włącznie. Najpierw, pod pozorem przerwy na papieroska uczynił niewielką kanciapę sympatycznym miejscem, gdzie w ciągu jednej zmiany był w stanie uwolnić od migreny nawet dwie, najbardziej zręczliwe (a jednocześnie najbardziej ponętne) sekretarki. Nikogo nie dziwiło, że często wracają jakieś takie dziwnie spocone, z odrobiną poszarpaną odzieżą czy nieposkromioną fryzurą. O ile budka była całkiem wysoka, to jednak miejsca wszerek było stosunkowo niedużo, toteż Śruba musiał męczyć się z nimi na jeźdźca, gdzie chociaż przez chwilę dwa rudzielce od papierkowej roboty mogły poczuć się tak, jakby miały tego krzepkiego skurwiela w garści. Nikt nie pytał, mało kto plotkował, bo roboty było wiele, to też korzystny dla obydwu stron proceder kwitł w najlepsze.

Życie Śruby było jednak zbyt monotematycznym: ruchał w pracy, ruchał poza pracą, nawet na urlopie spędzonym na koszt rodziców, ruchał. Z czasem, na co dzień sympatyczny paker po trzydziestce, po zawodówce o specjalizacji ogrodniczej doszedł do wniosku, że potrzebuje czegoś więcej, urozmaicenia i adrenaliny, której monotematyczne pieprzenie wszystkiego wokół przestało dostarczać. Śruba zapragnął więcej zarabiać. Korzystając z kontaktów, angażując w plan spory metraż strychu w domu, który odziedziczył po dziadkach, zajął się tym, do czego miał predyspozycje zawodowe: podlewał, nawadniał, dbał o minerały, wilgotność i temperaturę, a w odpowiednim momencie ścinał, pakował w strunowce i w niedużej aktówce nosił do pracy, gdzie szybko zaczęli schodzić się dziwni, młodzi ludzie.

Przez dwa lata śledczy, którzy mijali się z grubasem nawet i paręnaście razy dziennie ani razu nie zastanowili się, dlaczego spaślak zamienił wilgotne cipki sekretarek na jakichś anonimowych facetów i laski, które stały pod tym pieprzonym szlabanem od godzin porannych aż do późnego popołudnia, gdy cieć kończył pracę.

Śruba powoli spełniał marzenia. Nowe tatuaże, kupił mobilną konsolę do gier i pełen pakiet sportowy telewizji kablowej. Obkupił się firmową odzieżą, na tęgiej kłacie pojawiały się co rusz nowe łachy o wartości paruset złotych. Wpadł, bo popełnił grzech zaniechania. O ile wcześniej kochał tylko i wyłącznie kutasem, tak przez jakiś czas, sporadycznie częstując skretem, ciągle posuwał sekretarki. Gdy jednak popadł w zakupoholizm i manię ogrodnictwa na skalę zbliżoną do przemysłowej, rudowłosa piękność, Dominika, która znana była w redakcji z pociągu do tego, co każdy z jej kolegów nosił w gaciach, nie wytrzymała i postawiła mu ultimatum: solidne pieprzenie jak dawniej, albo pożałuje. Większość facetów bez chwili zawahania wybrałaby wariant, nazwijmy to, ugodowy. Zaślepiiony żądzą nabijania sakiewki wysokimi nominałami Śruba, po szybkiej kalkulacji, ile w tym czasie zdoła stracić klientów, rzucił w jej kierunku jednoznaczne: wypierdalaj.

Nie minęły trzy godziny, gdy zapłakana kobieta zawezwała policję, która znalazła przy cieciu ponad 30 gram wysokiej jakości marihuany i kilka porcji LSD. Kolejnego dnia nie przyszedł do pracy. Ani następnego. Po tygodniu ciągle otwartych szlabanów na wakaty po Śrubie przyszedł właśnie on: zapryszczony fan komiksów. Prezes postawił na wariant bezpieczny: jedną decyzją uciął zarówno pieprzenie się pracowników w godzinach pracy, jak i dilerkę o której, mimo

że krążyły u konkurencji legendy, to jednak żaden szanujący się redaktor z firmy nie zająknął się ani słowem.

Teraz, ten niepewny emocjonalnie młodzian właśnie zamykał szlaban, aby wrócić do pochłaniającej lektury W oddali majaczyły stare, czarne tablice wiekowej audicy.

Stała przed wielkim lustrem. Dobrze oświetlona łazienka, utrzymana w ciepłych, zachodzących w pomarańcz kafelkach i kremowym suficie od godziny była jej królestwem. Na niedużym metrażu kobieta zdołała całkiem sprawnie ulokować sporą wannę z funkcją hydromasażu, niedużą – bo trawiącą odzież ledwie jednej osoby pralkę z podajnikiem umieszczonym na górze, oraz trzy długie, ciągnące się po całej długości ściany półki z kosmetykami znanych i renomowanych firm.

Co jakiś czas z wyraźną irytacją przecierała ręką zaparowane lustro, zza którego tylko bardzo wprawne oko obserwatora zdołałoby dostrzec nieduży, ale działający na każdy rodzaj facetów figlarny biust, szczupłą szyję z charakterystycznym, czarnym pieprzykiem ulokowanym zaraz pod linią żuchwy, nieduże, wąskie usta, które w tej chwili uśmiechały się lekko do odbicia oraz czarne, powabne oczy, skupiające się właśnie na jak najlepszym ułożeniu ciągle nieposkromionej, niby rudawej, ale mieniącej się w odcieniach złota fryzury.

Gdyby jednak obserwator stał za nią, bowiem musimy tu dopowiedzieć, że jako samotna lokatorka kobieta nie musiała zamartwiać się takimi detalami, jak otwarte na oścież drzwi, zobaczyłby długie, smukłe nogi zdradzające, że kobieta spędza sporo czasu na powietrzu, najpewniej uprawiając jogging; ładnie zarysowaną pupę, sylwetkę w kształcie klepsydry oraz wątłe, chudziutkie rączki, które w tej chwili układały krótką fryzurę, w całości odsłaniającą jakby odrobinę przygarbioną szyję.

Słowem: było na co popatrzeć, jednak mieszkanie tajemniczej kobiety, zasługiwało co najmniej na takie samo zainteresowanie, jak figura.

Za łazienką rozciągał się nieduży, ładnie urządzonej przedpokój, którego dominującym elementem była wielka szafa z dębowego drewna, utrzymana w tonacji ciemnego brązu. Nieopodal znajdował się pokój gościnny, pełniący w mieszkaniu funkcję nieproporcjonalnie dużej, jednoosobowej sypialni. Ogromne, rozłożone łóżko pełne było nieposkładanych łaszków, porzucanych wzdłuż i wszerz. Nawet nieopodal stolika, na jakim postawiony był płaski telewizor i odtwarzacz DVD walały się jeansowe spodnie. Jeśli spojrzeć w prawo można dostrzec wielkie okno z panoramą na otulone zmierzchem blokowisko. Nudne, szare wieżowce, pełne anonimowych, tłących się światełek zmieniających natężenie, jakby błyskających. To tylko zmęczeni pracą i życiem ludzie, usiłujący zapomnieć o problemach dnia minionego oglądają zapewne jakieś odgrzewane programy, jakie raz za razem serwuje telewizja. Obok okna, drzwi balkonowe, a obok nich, na niedużej, wolnej przestrzeni, tuż przy betonowej ścianie, szafka nocna z kilkoma książkami i czytnikiem e-booków. Na lewo kuchnia. Zwykła, niewyróżniająca się ze zlewem, piekarnikiem, zapchanym koszem na śmieci, tosterem i kuchenką mikrofalową. Cofając się do przedpokoju i stawiając kilka kroków natrafimy na prawdziwy rarytas, coś, dla czego warto było męczyć się przez ten opis mieszkania: gabinet, pełen nowoczesnych technologii, jaki na twarzy niejednego informatyka wywołałby niekontrolowany ślinotok. Pokój zaciemniony, odgradzony od świata zewnętrznymi roletami, z fachowo rozmieszczonym oświetleniem, równolegle padającym na trzy wielkie, ulokowane obok siebie monitory. Obudowa komputera z ledwie co słyszalnym chłodzeniem zdradzała, że wnętrzości peceta skrywają

wydajne, cholernie drogie podzespoły, gdzie za samą tylko kartę graficzną można by z łatwością nabyć ze dwa gotowe komputery z hipermarketu. Nad monitorami szafka pełna płyt, na biurku awangardowa, rozwijana klawiatura, koło której drzemał mieniący się w odcieniach fioleto gryzoń komputerowy, wbrew obecnej modzie uwiązany do konstrukcji na sznurku, kończącym bieg w porcie USB. Przed biurkiem fotel, a obok okna kolejne biurko z lampką wykorzystywaną do rysunków technicznych. A na biurku profesjonalny szkicownik. Zerknijmy.

Ołówkiem naniesione linie, łączące się w kwadraty, czasem jakieś odrobinę zaokrąglone kształty. Dużo tabelki, rysunki prezentujące animacje otwieranego menu, fachowo napisane, zgodne z formatem HTML oznaczenia kolorów. Widać było, że dziewczyna woli działać metodycznie niż bawić się w całodniowe siedzenie na krześle i kolorowanki, które zapewne i tak zostałyby odrzucone przez kolejnego klienta. Cóż, los grafika komputerowego projektującego layouty wcale nie należał do łatwych, mimo że praca była dobrze płatna. Dzięki możliwościom narracji, przywróćmy teraz pomieszczeniu czas. Dziewczyna wyszła z łazienki, kątem oka zerkając na ekran telefonu. Uśmiechnęła się lekko, ruszając ku szafie z ubraniami. Po chwili na co dzień niepozorna, zamknięta w sobie lokatorka, do której nieraz szczerzyli się mężczyźni, bez względu na to, czy zaobrączkowani, czy jeszcze poszukujący drugiej połówki, zaczynała kompletować swoją kreację na dzisiejszy wieczór. Wzięła w dłoń wieszak ze stylową małą czarną, którą założyła. W chwilę później, dołączyła elegancki wisiorek oraz kolczyki.

Trzeba tu oddać, że efekt końcowy był powalający i spora ilość czasu spędzona w łazience opłaciła się. Zniecierpliwiona, nie chcąc pognieść sukienki, usiadła na łóżku, przeglądając historię wiadomości od kogoś podpisanego jako „Mój Tomek”. Przesuwając palcem po dotykowym ekranie, uśmiechała się lekko.

W dziesięć minut później usłyszała pukanie do drzwi. Czarne oczy otworzyły się szeroko. Westchnęła usiłując ukryć napierającą górę emocji, kilkoma susami pokonała odległość dzielącą ją od drzwi. Szczęk zamka. Po chwili z trudem ukrywając emocje, wpuściła do mieszkania przeciętnego wzrostu, barczystego faceta o bujnej, pełnej czarnych loków czuprynie, gęstych brwiach i ciekawie wystylizowanej brodzie, która łączyła dwa nieco przydługawe względem całości bokobrody. Miał na sobie sztruksową marynarkę, lnianą koszulę z kołnierzykiem, jeansy oraz brązowe, wyjściowe buty.

Facet nazywał się Tomek i był zwykłym mechanikiem samochodowym. Dla niej zaś był to Tomuś, narzeczony, ojciec garści jej przyszłych dzieciaków, wierny, idealny przyszły mąż, który, gdyby tylko sobie tego zażyczył, mógłby spędzić całe wspólne życie, leżąc do góry brzuchem.

Znali się ledwie trzy miesiące, spotykali nieczęsto. Jednak wiedziała o Tomeczku o wiele więcej, niż ten mógłby się spodziewać. Znała jego byłą dziewczynę, wiedziała, gdzie mieszkał wcześniej, co robił, a dzięki nienormowanym godzinom pracy z dużą dokładnością, niby przypadkowo kręcąc się koło jego niedużego domku, znała godziny wyjść i powrotów, które skrupulatnie porównywała z godzinami pracy.

Tego wieczoru po raz pierwszy zabierał ją do eleganckiej restauracji, ulokowanej nieopodal malowniczego, romantycznego deptaka, gdzie o każdej porze roku bez względu na pogodę, można było spotkać jakąś zakochaną parę, trzymającą się za ręce.

Po chwili wsiedli do windy, aby niespełna dwie minuty później odjeżdżać w stronę centrum. Nie rozmawiali. Czowała, że Tomuś się krępuje, bo ma jej coś ważnego do zakomunikowania i ubiera właśnie myśli w słowa, on zaś nie za bardzo chciał o czymkolwiek z nią rozmawiać, kątem oka zerkając w stronę ślicznej, podenerwowanej, uśmiechającej się co jakiś czas do niego, kobiety.

Trasa, mimo że stylowa alfa romeo pokonała ją w ledwie kwadrans cholernie im się

dłużyła. Wkrótce zasiedli w restauracji i złożyli zamówienie.

– Iwuś... – zaczął, pociągając łyk wody mineralnej.

Patrzała wyczekującym spojrzeniem, chłonąc dosłownie każde słowo, jakie dobywało się z jego ust.

– Eee... widzisz, uważam... że to wszystko, to...

Konsternację przerwała kelnerka, która podeszła do ich stolika.

– Dla pana, de- volaille, tak?

Wyrwany z transu przytaknął, przecierając dłonią czoło, na które zaczęły napływać pierwsze krople potu. Przed jego towarzyszką wyrósł wielki talerz brokułów, skąpanych w sosach, finezyjnie zmieszany z liśćmi rukoli i potartą marchewką.

– No, to... może zjedzmy, co? – silił się na uśmiech.

Małomówna towarzyszka, mierząc go ciepłym spojrzeniem skinęła głową, biorąc się za pałaszowanie swojej porcji.

– Jak ci minął dzień, skarbie?

Mężczyzna podskoczył lekko, zupełnie, jakby ktoś zapytał go, gdzie schował worek ze zwłokami. Spojrzał czujnym spojrzeniem.

– Dobrze, dziękuję.

– Gdzie dzisiaj byłeś? – rzuciła melodyjnym, ciepłym głosem, zerkając na Tomusia zza niknącej szybko porcji. Czy to za sprawą zdolności kucharza do de volaille'a, czy też z jakichś innych względów jemu posiłek szedł jak po grudzie.

– W pracy, no. Wiesz sama, taki dzień jak co dzień. Idzie jesień, ludzie powoli robią przeglądy samochodów to, eee, ruch w interesie mamy.

Dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała.

– To chyba dobrze. Nie ma nic gorszego niż nuda w pracy. Zresztą – wzięła do ust kolejny brokuł – nie tylko w pracy, Tomuś, skarbie.

– Jak, że nie tylko w robocie?

– No w życiu, kochanie. Nuda to jest, jak jesteś w pojedynkę, jak nie masz z kim spędzać wieczorów – kątem oka zauważyła, jak jego oczy robią się coraz większe. Postanowiła przystopować – przynajmniej tak uważam, kochanie – uśmiechnęła się ciepło.

– Ach. A u ciebie jak, Iwuś? Działo się coś ciekawego od...

– Tęskniłam za tobą. Nawet nie wiesz jak bardzo! Tomuś, ja... z trudem wytrzymałam te kilka dni. My... powinniśmy zamieszkać razem!

– Razem?

– No tak, przecież po to tu jesteśmy, prawda?

– No...

– To naturalny następny krok przecież. Chciałam poczekać, co byś się zebrał w sobie, ale trema cię chyba, kochanie, zjadła. No, powiedz co masz do powiedzenia!

Kilka par oczu spojrzało na nich, spodziewając się, że postawny elegant zaraz padnie przed nią na kolana i poprosi o rękę. Ona też się tego spodziewała. On natomiast miał nieco inny plan na ten wieczór.

– Iwuś, to nie jest dobry pomysł, ja...

– No, wyrzuc to z siebie, skarbie! – rozejrzała się po restauracji, czując na sobie spojrzenia.

Wszystko było niemal tak, jak sobie to obmyśliła. Już od pierwszego spotkania, gdy reperował jej samochód czuła, że tym razem będzie inaczej. Że może nie jest arcymistrzem szachowym, nie dorównuje jej intelektem, ale za to jest silny, czuły i od tej pory zawsze będzie bronił i strzegł ich ogniska domowego. Kolejne spotkania w myśl jej planu, który zresztą wypalił,

były dziełem przypadku, jednak Tomuś po jakimś czasie chwycił bakcyła i w stroju fachmana, szefa zmiany w firmie, podpierając się zabrudzonymi łapami o ścianę nośną zaprosił ją na niezobowiązującą kawę. Jeszcze zanim o tym pomyślał, wiedziała, że tak będzie. W głębi snuła już zaawansowane plany związane z weselem, na własną rękę wyciągając od Tomusia, niby pod pozorem zwykłej ciekawości, najważniejsze informacje o jego krewniakach. Na komputerze od kilku dni miała projekty zaproszeń na ślub oraz wstępne rozeznanie w zakresie sal, gdzie mogłoby się odbyć wesele. Zresztą nie musiała wiele szukać, bowiem od czasu jej ostatniego narzeczonego, z którym również wiązała wielkie nadzieje minęły ledwie cztery miesiące. Tamten skurwiol jednak nawet nie umywał się do Tomusia, tak samo jak poprzedni, dobrze sytuowany kierownik jednego z rozpoznawalnych internetowych portali, dla którego przygotowywała nowy design strony.

– No! – powtórzyła.

Mężczyzna wstał. Czują, jak grawitacja ściąga ją coraz bardziej w głąb krzesła, które jakby zaczęło zapadać się w podłogę.

– Przejdźmy się – rzucił, podając jej rękę.

Plan zaczynał drżeć, niebezpiecznie ściągając ją nad przepaść negatywnych emocji, które kotłowały w głowie.

– No dobrze – wstała. Uśmiech znikł z twarzy. Teraz czarne, skupione spojrzenie dręczyło po kolei każdego, kto jeszcze ledwie minutę temu obdarzał tę sympatyczną parkę ciepłym spojrzeniem, licząc na to, że będzie wreszcie świadkiem spektakularnych oświadczeń w drogiej i gustownej restauracji. Gdyby ktoś dał jej teraz broń, zapewne odstrzeliłaby jednego starego, siwego skurwiela, który ciągle się do niej szczyrzył. Dla przykładu, byle reszta tej jebanej swołoczy zajęła się wpierdalaniami posiłków.

Po chwili poczuła na twarzy powiew chłodnego, wieczornego powietrza. Instynktownie wystawiła dłoń w prawo, usiłując natrafić na silną łapę Tomusia, którego – najwyraźniej – zjadła trema, jednak nie znalazła jej tam. Szybkim spojrzeniem oceniła, że jego dłonie znajdują się w kieszeniach marynarki.

– Weź, wyciąg łapy, brzydko tak wyglądamy!

– Iwa, koniec – zatrzymał się, rozglądając, czy nikt nie interesuje się ich rozmową.

– No, powiedz to – uśmiechnęła się, ledwo zauważalnie wyciągając prawą dłoń w jego stronę.

Zdezorientowany odsunął się o krok. Sroga mina powoli ustępowała politowaniu.

– Iwa, jak myślisz, po co to wszystko? To dzisiaj?

– Nie chcesz sam?

– Nie. Odpowiedz, proszę – zawahał się – skarbie.

– Cóż – powiedziała drgającym z emocji głosem – od dawna nad tym myślałam i to wszystko, kolacja, to jak jesteśmy ubrani, ta cała otoczka – malowniczo wskazała rękoma od lewej do prawej, za horyzont – to jest to, o czym rozmawialiśmy niedawno, że trzeba postawić następny krok, zaręczyć się i zaplanować ślub i wesele i całe życie...

Nie dokończyła, czując na ustach jego palec wskazujący.

– Jesteś pojebana – rzucił półgłosem.

– Co... proszę? Tomeczku, nie możesz tak do mnie mówić!

– Dlaczego według ciebie tu dziś przyszedłem?

– No bo...

– Bo za mną łąziłaś i dzwoniłaś, wariatko! Zobacz – wyciągnął z kieszeni telefon, pokazując naprędce kilka wiadomości, które zaczął czytać – „przyjdź, bo się zabiję”, „Widziałam, jak później wracasz z roboty, gdzie i Z KIM BYŁEŚ, DZIWKARZU???", „Jutro w

Cafe Rubin i koniec z nami”, „Napisz, że też mnie kochasz”, lecz się, babo!

Poczuła, jak jej głowę zaczyna wypełniać dziwny szum, przechodzący powoli w złowrogi pisk, który rozlewał się po całym ciele, przywracając smutne wspomnienia i momenty, jakie od ponad trzech tygodni z uporem wypierała ze świadomości. Wróciły migawki o tym, jak uderzyła go w pysk przed jakąś dziewczyną, z którą wdała się w szarpaninę, mignęła zapłakana twarz, jaką widziała w lusterku samochodu, gdy przy akordach śmiechu pracowników warsztatu z piskiem opon odjeżdżała, zamajaczył widok jego twarzy, gdy zza okna domu patrzył na nią, z niedowierzaniem i wyraźną irytacją kręcąc głową.

Zniknął sympatyczny, elegancki mężczyzna. Miała przed sobą twarz typowego, tępego drwala, którego debilna bródka gryzła ją, irytowała i nie mogła od niej oderwać wzroku. Patrzała na zdrajcę, oszusta, który krzywdził ją, nie odpowiadając na telefony, e-maile i wiadomości na portalu randkowym, gdzie zobaczyła go po raz pierwszy.

– To nie ma już nas? – rzuciła łamiącym się głosem.

Paker o dziwnej, nieznanej twarzy rzucił jednoznacznie:

– Nigdy nie było. Daj mi wreszcie spokój i zniknij z mojego życia, wariatko.

Uśmiechnęła się lekko, mierząc go silnym spojrzeniem.

– Zgoda, ale mam jeden warunek...

– Nie, żadnego seksu. Jakoś nie wierzę w tę bajkę z pigułkami, sorry, Iwa.

– Nie chodzi o to. Chociaż posłuchaj, no!

Głęboko westchnął, ostentacyjnie rozkładając dłonie, gotów do przyjęcia ostatniego wyzwania od obłąkanej dziewczyny.

– Chodź, pójdziemy na kieliszek do jakiejś speluny, porozmawiamy po raz ostatni, jak przyja... jak znajomi, którzy więcej się nie zobaczą i koniec. Masz ode mnie spokój na zawsze.

Filował ją uważnym spojrzeniem, długo trawiąc przekaz. Po chwili pochylił lekko głowę, głośno wypuścił powietrze i skinął głową.

– Dobra. Znam taką jedną stylową lokację. Ale to na pewno koniec? Opuścisz na dobre?

– Na dobre. Słowo – klepnęła go lekko w masywny bark.

Po chwili szli w milczeniu, aby w niespełna kwadrans dotrzeć do knajpki ulokowanej obok niedużego jeziora, na środku którego była nieduża wysepka z domkiem dla łabędzi. Zamówiła flaszki solidnego, kopiającego alkoholu o stężeniu 40%, na widok którego Tomek od razu się rozpromienił.

Po kilku głębszych, przeprosił ją na moment, idąc – jak to lubił mówić – odcedzić kartofelki. Dobrze wykorzystała ten czas.

Na twarzy Iwy nie malowały się żadne emocje. Siedziała, wpatrując się nieobecny spojrzeniem w kieliszek z wódką. Był pełen do połowy, czy też może w pięćdziesięciu procentach pusty? Nie miało to teraz żadnego znaczenia. Po kilku następnych kolejkach Tomek poczuł, że wysokoprocentowa ciecz zaczyna na dobre uderzać mu do głowy. Łypał na nią, z niedowierzaniem patrząc, jak wyciszona, ledwie co jakiś czas mierząca go wzrokiem kobieta, trzyma się zauważalnie lepiej niż on, pomimo tego, że pijąc z kumplami zazwyczaj odpadał jako jeden z ostatnich.

– Masz mocną głowę – rzucił, walcząc z płaczącym się językiem. – Kończmy, ja... jutro rano do pracy muszę.

– Co ty, chodź, jeszcze jeden!

– Nie – e. Ja już wysiadam...

Zirytowana postanowiła sprawdzić, czy jest samcem czystej krwi. Ignorując usiłującego wstać, niedoszłego męża, wprawnym ruchem sięgnęła po jego kieliszek, napełniając go wodą. To samo uczyniła ze swoim.

– Co ty, ze mną się nie napijesz?

Ostentacyjnie wystawiła szkło ku niemu. Ego, z pewnymi oporami przekonało otumaniony mózg Tomasza, aby postanowił przyjąć wyzwanie czarnookiej piękności. Po trzech kolejkach i jednym toaście „za rozstanie”, ku uciesze kilku bywalców speluny wzięła go pod ramię i zaczęła prowadzić w stronę wyjścia. Na moment jej uwagę przykuł zbity z tropu, pijący do barmana wysoki chudzielec w sfatygowanej koszuli w paski, jednak miała w tej chwili większe problemy niż tajemniczy nieznajomy.

Wlokła go, wprost w stronę parku, położonego nieopodal niedużego stawu, który jeszcze godzinę temu, był dla niego ciekawym urozmaiceniem w wielkomięjskiej dżungli, o jakim z pasją, nie podobną do mechanika samochodowego opowiadał jej, gdy obalali pierwszą butelkę. Nie był w stanie się jej teraz przeciwstawić, ledwie co jakiś czas mającąc, że samochód zaparkował gdzie indziej i że trzeba zawrócić. Z trudem zdołała oprzeć go o niewysoką, żeliwną barierkę, z której roztaczał się piękny widok na podświetlone wielokolorowymi lampami, jezioro które tak ubóstwiał.

– No, panie kochany, opieramy się. O, właśnie tak – poprawiła jego dłonie – grzeczny chłopiec. Spojrzała za niego, w dół, wprost na jakieś kamienie, które w różnych wariantach kolorystycznych i wielkościowych, oddzielały jezioro i jego mieszkańców od zabrudzonej, zapewne powstałej na skutek działalności służb komunalnych, plaży, na której jednak nie zmieściłoby się więcej, niż kilkanaście osób.

Cały czas zerkając na otumanionego, niemal wiszącego na barierce mężczyznę, znikła na chwilę w chaszczach, aby powrócić z niedużym zawiniątkiem, które dzierżyła w dłoni.

Tomuś widział tylko zamazaną sylwetkę jakiejś kobiety. Uśmiechnął się tępo w jej stronę, eksponując triumfującemu na nieboskłonie, sierpowatemu księżycowi szereg białych zębów. Usiłował podeprzeć się odrobinę, aby przy tajemniczej diwie pokazać się z jak najlepszej strony. Dostrzegł, że kobieta wpatruje się w niego uważnym, skupionym spojrzeniem. Jej prawa ręka była nieproporcjonalnie wysoko uniesiona ku górze.

– Hełoł – wybebłał, robiąc dzióbek, jakby to miało przyspieszyć otrzymanie od niej odpowiedzi. Ta nadeszła już po chwili...

– Good bye.

... a wraz z nią, mocny cios czymś ostrym, wymierzonym wprost w jego skroń. Poczł, jak ta wąż babeczka, cały czas nie wyjmując z jego skroni tajemniczego przedmiotu, który zadawał mu teraz tyle bólu, naparła na niego swoim ciałem. Gdy spadał, na moment dotarło do niego, co się właśnie wydarzyło. Poczł z tyłu głowy i na łopatkach potężny, penetrujący jego ciało ból. Stęknął głośno, z trudem łapiąc powietrze. Był w stanie poruszać rękoma, jednak nogi nie chciały się go słuchać. Po serii jęków, stanęła nad nim tajemnicza, czarna postać o wątych ramionach. Tym razem, rozpoznał ją od razu.

– Iwa...

Uśmiechnęła się, kucając w bezpiecznej odległości, mierząc go ciepłym, niemal pełnym miłości, spojrzeniem.

– Ty kurwo – wyszeptał.

Wąż dziewczyna znikła sprzed jego oczu. Jak szalony ruszał gałkami ocznymi, jednak nigdzie nie był w stanie jej namierzyć. Z trudem oddychając, nagle poczuł, jak ktoś z impetem chwyta go za rękę i ciągnie. Usłyszał głośny, kobiecy jęk. Poczł pod szyją coś twardego. Z trudem zmusił się do zachowania świadomości.

– Nie musi tak być...

Kobieta znowu znalazła się w zasięgu jego wzroku. Na szybko analizował swoje opcje, jednak w głębi serca doskonale wiedział, że jest teraz całkowicie zdany na jej łaskę. Poczł na

czole dotyk jej ciała, jednak otumaniony mózg cały czas widział z oddali jej charakterystyczną, blond fryzurę. Zrozumiał, że trzyma na jego czole swoją stopę, którą miarowo, powoli, dociska jego kręgosłup coraz bardziej do kamienistego podłoża.

– Nie musiało – dobiegł melodyjny, ciepły głos z góry.

Gdzieś w sobie usłyszał głośny trzask. Ból nie zdążył rozlać się po jego ciele. Łapczywie złapał ostatni oddech, usiłując domyślić się, dlaczego cały świat nagle gaśnie.

Kobieta rozejrzała się, po chwili przykucnęła nad nim i przyłożyła palec do jego tętnicy szyjnej. Ta jednak nie pompowała już krwi w tym ciele. Wygrzebała jego telefon, który schowała do torebki. Ostrożnie wstała, trzymając w dłoniach swoje szpilki. Kilka razy sycząc z bólu, przeszła po ostrych kamieniach, wyłaniając się z mroku na opustoszałej ścieżce z antypoślizgowych płytek chodnikowych. Metodycznie, pod najbliższą latarnią, sprawdziła, czy żadna z jej rzeczy nie została przy byłym już narzeczonym. Założyła buty i spokojnym, wolnym krokiem ruszyła w stronę widocznego za parkiem postoju taksówek.

Kątem oka dostrzegła, że skądś jej znana, pasiasta koszula, podpierając głowę ręką, odjeżdża właśnie w wysłużonym, ale ciągle eleganckim BMW, prowadzonym przez jakiegoś wiekowego, siwego taksiarza. Podeszła do najbliższego, patrzącego na nią z nadzieją już od dobrej minuty, kierowcy Forda Galaxy. Opuścił szybę, szczerząc się.

– Wolny?

– Ma się rozumieć. Pani wsiada.

Para, dobywająca się z ust Darka zdradzała, że pogoda, nawet jak na polską złotą jesień, była sroga. Miał przed sobą nieduży, biały domek w zabudowie szeregowej. Zapłacił sympatycznemu mężczyźnie, któremu zdołał już po drodze z centrum na obrzeża wytłumaczyć, na czym polega sens życia. Po pijaku zawsze budził się w nim niskich lotów filozof, który na nowo odkrywał wszystko to, co zostało już odkryte, przebadane a nawet udowodnione behawioralnie. Mądrył się, Sikorski o tym, że nie można wynaleźć już nic nowego, że wszystko już powstało i ten cały komercyjny śmietnik, jakim nas zasypują, to te same, co kilka lat temu produkty, tylko w ładniejszych opakowaniach. Stary taksiarz litościwie przytakiwał a pocziwy Charles Duell, który wyprzedził z tą tezą wyrzuconego z roboty, dziennikarza, zapewne przewracał się właśnie w grobie.

Sunąc powoli, niczym zombie, w stronę drzwi wejściowych, zauważył, że w pokoju na górze tli się jeszcze niemrawo lampka nocna. Przeklął pod nosem, z trudem pokonując zamek do drzwi. Rozbłysło światło w przedpokoju. Starając się nie hałasować, zdjął buty i wolnym krokiem udał się w stronę schodów. Zdziwił się, widząc w połowie drogi swoją koldrę, szczoteczkę do zębów i właśnie dołączającą do tego grona z rąk żony, poduszkę. Zmusił się do uśmiechu.

– Cześć, skarbie.

– Cześć. Rano muszę szybko wstawać do roboty a ty po pijaku chrapiasz. Śpisz na kanapie – obwieściła, mierząc go spokojnym, ale stanowczym spojrzeniem.

– A nie chcesz wiedzieć, z-z-a co piłem?

– Nie dzisiaj. Jutro mamy sprawozdanie, Dariusz i naprawdę, muszę być w pełni sił.

Znieś swoje rzeczy i widzimy się jutro, a właściwie, to już dzisiaj – wskazała na podświetlany zegar kuchenny, który informował, że północ minęła dwanaście minut temu.

– Ty to zimnokrwista jesteś...

– Ja ciebie też. Dobranoc – ucięła, pokonując wolnym krokiem kilka schodków. Szczęk zamykanych od wewnątrz drzwi przekreślił jego szanse na komfortowy sen.

– Małpa – szepnął pod nosem, znosząc na raty swój dobytek ku kanapie. Kilka minut później, tulił się do swojej poduszki, usiłując zapomnieć o minionym dniu.

Cztery miesiące później...

Zaniedbana czupryna i niezbyt imponująca, żeby nie powiedzieć, kompromitująca go broda, zerkwały na Darka z lustra. Podkrążone oczy, blada cera i fakt, że dopiero o godzinie 13 zdołał wstać z łóżka, zdradzały, że zgodnie z prognozą jego poprzedniego pracodawcy, mimo godnej pozazdroszczenia ścieżki zawodowej, cały czas był dla wielkich firm, niczym zakazany owoc. Codziennie sprawdzał skrzynkę mailową, odbył nawet kilka rozmów z redaktorami, jednak poza łaskawymi, wyuczonymi uśmiechami, tępym przytakiwaniem głową i wypranym z emocji „dziękuję, skontaktujemy się z panem wkrótce”, nic nie wskórał. Teraz, spokojnym, nieco wyrwanym z kontekstu spojrzeniem, przyglądał się sobie, starając się odepchnąć irytujące go myśli, jakoby zawodowa kwarantanna miała potrwać o wiele, wiele dłużej. Założył jakąś koszulkę i czarne, dresowe spodnie, po czym wolnym krokiem przespanego, znudzonego nadmiarem wolnego czasu, faceta, ruszył w stronę swojego gabinetu, gdzie czekał już na niego włączony komputer, koło którego stała letnia kawa i rozpoczęta drożdżówka. Ekran emanował dziesiątkami barw, które składały się na jakieś prostokąty i kwadraty, których kolejne skupiska zamieniały się w farmy i zwierzęta gospodarskie. Oparł się o biurko, pociągnął łyka kawy, głośno go przetykając, poczym z zauważalną wprawą, zaczął zbierać wirtualne plony i sadzić jakieś nowe warzywa i zboża. Po dwudziestu minutach, gdy Sikorski zakończył obchód po swoich wirtualnych włościach, w drugiej karcie przeglądarki włączył radio internetowe, odgrywające przeboje muzyki pop z ostatniej dekady XX wieku. Kręcąc się powoli na obrotowym fotelu, dojadł drożdżówkę. Gdy kończył się z nią rozprawiać, położony obok, na starej atramentowej drukarce telefon zaczął dzwonić.

Odruchem, jednym z niewielu, jakie zostały mu jeszcze po udanym życiu zawodowym, odebrał po dwóch sygnałach, fachowym, chłodnym tonem rzucając:

– Sikorski, słucham.

Nie sprawdzał, kto dzwoni. Nigdy, od czasu, gdy stracił pracę. Po prostu liczył na to, że pewnego dnia, nie rozczaruje go żaden pieprzony konsultant czy zawsze troskliwa, stara znajoma, mieszkająca w Hiszpanii, telefonująca tylko i wyłącznie po to, aby poopowiadać, jak to wspaniale się jej teraz wiedzie. W głębi serca, Darek nienawidził tych pogaduszek, jednak przez wzgląd na stare, dobre czasy, wysłuchiwał jej monologów, myślami krążąc zupełnie gdzieś indziej.

– Cześć!

Tłący się w oczach przez kilka sekund blask, zgasł tak szybko, jak się pojawił.

– No co tam, skarbie, co mam kupić?

– Zrób coś na obiad, znajdź w sieci. Jakies lekkie z czym sobie zdołasz poradzić – silny głos żony z trudem przebijał się przez zgiełk i harmider. Gdzieś w tle usłyszał ryk silnika.

– Aga, gdzie ty jesteś?

– Jedziemy z Olką odebrać ważnego klienta. Co do tego obiadu...

– Nie mogła sama? Rączki ujebało?

– Darek!

Zorientował się, że jest na głośnomówiącym. Zaklął pod nosem, obwiniając się w serii słów za tę wpadkę. Trzeba było ratować, co tylko się da, zanim po raz kolejny zafunduje mu niewyszukany językowo opierdol. W czym – z racji ścieżki zawodowej – była cholernie dobra.

– Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Coś zrobię. Na którą ten obiad?

– Na 19?

– Co tak późno, wychodziłaś przecież o ósmej, Aga!

– Taka praca.

Do rozmowy włączył się drugi, kobiecy głos, który jednak zupełnie go ignorował.

– Daj mu kieszonkowe!

Słuchawkę wypełnił rechotliwy śmiech. Słyszał, że jego Aga z trudem powstrzymywała się, aby stłumić w sobie podobną reakcję, co po chwili jej się udało. Spokojnie przyjął ten policzek.

– Chcesz...

– Mam. Dziękuję.

– Muszę kończyć...

– Kocham cię – rzucił, jednak w tej chwili nie był przekonany, czy aby na końcu nie należy postawić znaku zapytania.

– Pa.

Odwrócił się na fotelu, w stronę monitora. Zerknął na leżący w dłoniach telefon, gdzie na tapecie znajdowało się zdjęcie Agnieszki a historia połączeń wskazywała, że ostatni numer, jaki doń dzwonił, został zapisany jako „żona :)”. Po chwili zawahania, wszedł w tryb zarządzania kontaktami i przemianował ją na „Agnieszka Sikorska”. W polu informacji, dopisał naprędce „pracoholiczka”. Wypuścił głośno powietrze nosem i zmasał dopisek, przypominając sobie nagle, że głównie dzięki sytej pensji żony może siedzieć tu, o takiej a nie innej godzinie i grać w głupią, odmóżdżającą, sieciową grę, czekając, aż ktoś postanowi wyrwać go z zawodowej pustyni i przygarnie, choćby na trzymiesięczny okres próbny, nawet gdyby musiał zajmować się najbardziej gównianymi, ale jednak ogólnokrajowymi, tematami.

– Jebać to – rzucił, wyłączając przeglądarkę. Wraz z wielką, wirtualną farmą, ucichła także muzyka, jakąś wyrzucały z siebie głośniki.

Pół godziny później, ciepło ubrany, ze względu na srogi mróz, jaki od kilku dobrych tygodni ani myślał odpuszczać, ruszył powoli w stronę centrum, gdzie jego celem był między innymi sklep mięsny, ulokowany w górnej pierzei starego, zapewne znowu nie odśnieżonego, rynku oraz nowopowstałe, a zupełnie przypadkowo otwarte 20. grudnia, przed świętami, centrum handlowe. W rozmowach ze znajomymi, zawsze gardził tym komercyjnym trybem życia, wyśmiewając go, jednak w głębi siebie, wiedział, że gdyby miał taki łeb do interesów i takie wyczucie, jak ci cholerni spece, którzy niemal zawsze, rzucając nowy punkt handlowy na pożarcie wystrzelanych z kasy ludzi i tak wychodzili na swoje, zapewne nie poszedłby wtedy do tego pieprzonego ministerstwa w pojedynkę i dalej cieszyłby się ze swojej roboty. Ach, cholerni dyrektorzy zarządzający, pieprzeni kierownicy i gówno warci popychacze, rozwieszający plakaty na każdym możliwym słupie ogłoszeniowym. Działali według planu, dlatego wszystko szło tak dobrze. On zaś, zaryzykował i poszedł na żywioł. Wyszedł bez przebieżki na ring i solidnie dostał w ryj.

Śnieg skrzypiał mu pod nogami, gdy pogrążony w gąszczu myśli, z kwaśną miną rozmyślał nad tym, dlaczego stopniowo oddala się od ukochanej. Czy wina leży tylko po jego stronie? Co jest takiego ekstra w pracy w korporacji, że w ledwie rok od awansu, który razem z nim i ich wspólnymi znajomymi, opijała, tak bardzo się zmieniła. Wprawny, wyćwiczony w takim toku myślenia mózg pismaka podrzucał coraz to lepsze rozwiązania, jednak większość ścieżek prowadziła do – jak ją nazywał – pizdOli, czyli Aleksandry Warzechy, jej przełożonej, 42-letniej rozwódki, która w ledwie kilka miesięcy owinęła sobie jego Agę wokół palca i stopniowo, niczym zaawansowany nowotwór, zaczęła wpływać na każdy aspekt jej życia.

– Szmata – syknął pod nosem, wieszając w myślach, na suchej gałęzi, pizdOlę, za to wszystko, co odebrała ich małżeństwu.

Zmarznięty, obładowany dwiema ciężkimi siatkami, docierał właśnie do centrum handlowego. Z ulgą dostrzegł, że w czekoladziarni, ulokowanej na parterze trzykondygnacyjnego obiektu, zwalnia się właśnie jedna sofa, opuszczana przez jakąś uśmiechającą się do siebie, młodą parkę. Ach, synuś, pilnuj sobie tej niuni. Niech tańczy w balecie, uczy w liceum dla dorosłych a nawet sprząta sracze po bogatych gościach z zagranicy, byle ani ty, ani ona, nie trafili do HKS-Incho Company – jego nienawiść do miejsca pracy żony rosła w tempie wprost proporcjonalnym do ukrytego długu publicznego. Uśmiechnął się lekko do rozpromienionego młodzieńca i ostrożnie balansując siatkami, między gęsto zastawionymi stylowymi fotelami, zajął upatrzone miejsce. Zdjął kurtkę, czapkę uszatkę i szalik, poczym zerknął na zegarek. 14:30 – spokojnie ma jeszcze z godzinę, może półtorej. Niskotłuszczowe leczo, sałatka wielowarzywna, do tego samodzielnie przygotowany sok z buraków i może wkupi się w jej łaski, choćby na jakiś czas. Nago widywał ją już tylko na zdjęciu, jakie nosił w komórce. Seks w ramach podziękowania za jego wysiłek wydawał się nie brzmieć w tej chwili do pewnego stopnia dlań upokarzająco.

– Co dla pana? – z zamyślenia wyrwała go smutna twarz z wielkim, czerwonym nochalem, zapewne walczącej z przeziębieniem, kelnerki.

– Gorącą czekoladę z mlekiem i gazetkę – uśmiechnął się, w myślach już teraz planując zażycie uderzeniowej ilości witaminy C.

Gdy tak siedział, delektując się smacznym napojem, regionalną prasówką i obecnością wokół wielu ludzi – od czego ostatnio zdążył odwyknąć – poczuł, jak telefon w jego kieszeni zaczyna wibrować. Zgodnie ze zwyczajem, odebrał szybko, nie zerkając nawet na wyświetlacz.

– Sikorski, sł...

– Już nieaktualne, Darek.

– Co nieaktualne?

– Obiad.

Westchnął ostentacyjnie do słuchawki.

– Gdzie jesteś, dlaczego? Coś się stało?

– W firmie. Nie, nic nic, po prostu my... mamy zmianę planów.

– Tak nagle?!

– Zdarza się.

– A co się stało, powiesz?

– E, takie tam...

Dobrze znał ten charakterystyczny, niby ciepły głosik, jakim zamierzała zbagatelizować całą sprawę i go kupić.

– Gdzie idziecie tym razem?

– A, no...

– No gdzie? Znowu joga?

Ledwie słyszalne „yhy” dobiegło z drugiej strony słuchawki.

– Aga, zlituj się. A... a ja?!

Poczuł na sobie zirytowany wzrok jakiegoś faceta przykutego do laptopa. Gestem dłoni, przeprosił, powtarzając nieco ciszej.

– A ja?

– Coś tam sobie znajdziesz.

– A może chciałbym z tobą pobyć? Film jakiś możemy czy coś?

– Darek, kiedy indziej, ja muszę!

- Aga...
- No to...
- Czekaj! – ciągle słyszał w słuchawce jej oddech. Nie rozłączyła się.
- O której będziesz? Mam cię odebrać?
- Mam transport. Będę tak o 21, może 22.
- To ja ci to przygotuję na tę porę – powiedział smutnym, zrezygnowanym głosem.
- Wspaniały jesteś. To pa!
- Nara – rzucił zirytowany, rozłączając się.

Z braku opcji na popołudnie, dodatkowo spotęgowane zawiejką śnieżną, która w połączeniu ze srogim mrozem, nie zachęcała do opuszczania przytulnego miejsca, zamówił cappuccino i jakieś ciastko, biorąc się za wertowanie ogłoszeń lokalnych. Gdzieś w głębi siebie zaczynał czuć, że jego bezrobocie nie zakończy się tak długo, dopóki sam tego nie przetnie, zdając się tylko i wyłącznie na siebie a nie na innych. Trzeba zrobić wszystko, aby objawić się, jako poszukujący zwykłej, dziennikarskiej roboty pismak, nawet kosztem rezygnacji ze swoich nieco wygórowanych ambicji.

Uwagę Darka przykuło jedno z ogłoszeń.

Praca redaktora, zdalna. Um.o.dz. Nowy miejski serwis: Naszewspolnemiasto.pl.

Poniżej podany był adres i numer telefonu. Zaintrygowany, zrobił zdjęcie ogłoszenia. Po dłuższej lekturze, zainteresował się też ofertą, gdzie jedna z firm, którą było stać na wielką tabelę, zajmującą niemal ¼ strony, informowała o poszukiwaniach m.in. specjalisty od marketingu i PR.

Gdyby dawno temu, w młodości, obrał fach tokarza czy zrobił kurs na koparkę, dosłownie mógłby przebierać w ofertach pracy. Jako elektryk czy brygadzysta, też nie miałby źle. On jednak, ograniczony technologicznie humanista, pozostawał na łasce tego, kto zdecyduje się uwierzyć, że właśnie Sikorski napisze newsa o nowym sraczu w parku miejskim czy chodniku lepiej, niż jakiś młodzian, usiłujący sobie dorobić do pierwszego samochodu czy nowego komputera. Wierzył, że o ile jest to zadanie karkołomne, to jednak zdoła oczarować potencjalnego pracodawcę.

Zadzwoił do powstającego dopiero, portalu. Ktoś odebrał po jednym sygnale!

- Halo?
- Dobry, ja w sprawie pracy w...eee... Naszewspolnemiasto.pl?
- Pan pyta czy stwierdza?
- Pyta o pracę – odparł, zmuszając się, aby głos zabrzmiał pewnie i silnie.
- Jako redaktor?
- Owszem. Można do was wpaść, pogadać oko w oko?
- Naturalnie, ale... po co? To praca zdalna, sprzed komputera, drogi panie.
- Fajnie wiedzieć, z kim się pracuje.
- Jeszcze pan u nas nie pracuje, ale jeśli pan chce, proszę. Do 18 będziemy w biurze z kolegą. Adres pan ma?
- Jaki jak w ogłoszeniu.
- Zatem proszę przyjść. Niech pan weźmie CV, choć uprzedzam, dopiero zaczynamy.

Rozgardiasz, bałagan...

- Nic nie szkodzi. Do zobaczenia.
- Kłaniam się.

Rozbawiony własnym pomysłem, zebrał się powoli, uścił rachunek i nic nie robiąc sobie z leniwie ustępującej zawiejki, dostrzegając zza wielkich, przeszkłonych drzwi, że takich śmiazków, jak on, nie brakuje, ruszył w stronę ulicy Króla Kazimierza, gdzie mieściła się

siedziba stawiającego pierwsze kroki, portalu internetowego.

Stare, drewniane drzwi kamienicy były uchylone. Lekko pchnął je ośnieżonym butem, aby ułatwić sobie wejście z balastem w postaci dwóch, pełnych jedzenia, siatek. Przed nim wyłoniła się odremontowana, utrzymana w bieli, klatka schodowa i wielka tablica z nazwami firm, podnajmujących kolejne lokale. Przeglądając długą na 12 pozycji listę, natrafił na dwóch lekarzy, biuro podróży, prawnika i doradcę kredytowego w jednym, o – uśmiechnął się – wycierając z brody resztki śniegu. Jego potencjalne miejsce pracy widniało, jako szóste na liście. Przenosząc zmęczone spojrzenie w prawo, doczytał, że chcąc tam dotrzeć, musi pokonać dwa piętra.

Zwracając na siebie uwagę kilku osób, które czekały na doktora Zagórskiego, który – jak można było przeczytać – specjalizował się w chorobach serca i układu naczyniowego, przemknął na wyższe piętro, aby w głębi kiepsko oświetlonego, brudnego, wewnętrznego korytarza, pukać do drzwi, które przyozdabiała niby złota szóstka, koło której widniało jakieś fikuśne, zgrabne logo i napis Naszewspolnemiasto.pl: Redakcja. Położył jedną z siatek na podłogę, podpierając ją nogą i zapukał. Po chwili, pociągając za klamkę, otworzył. Zza niedużego biurka, na którym stał rozłożony laptop, patrzyła na niego jakaś syta gęba w czarnej koszulce.

– Witam, można? – uśmiechnął się.

– Proszę, odparł grubym głosem jego rozmówca.

– Pan zaczeka, bo... ja z ładunkiem... a nie chcę tu tego tak zostawiać – wygramolił się do pokoiku, nogą zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

W uszatce, z nieposkromioną brodą, na której ocalało jeszcze kilka kropelek wody, z dwoma ciężkimi, o nieznanym dla tłuszciocha zawartości, siatkami, skutecznie kupił sobie jego uwagę, uważnie rozglądając się po pomieszczeniu. Żółte farby na ścianach zdawały się być nowe, tak samo, jak wielka, czarno–biała panorama rynku, wisząca na ścianie. Szafka, stojąca nieopodal okna, pełna była jakichś nieposegregowanych dokumentów. Na drugim końcu pokoju walało się kilka zamkniętych kartonów o nieznanym zawartości.

– W sprawie jakiej... pan?

– Pracy. Mogę to tu położyć? – wskazał na stare, drewniane krzesło ułożone obok wieszaka.

Rozmówca w milczeniu skinął głową.

– To nie z panem żem rozmawiał przez telefon chyba. Z kimś podejrzewam, że starszym, o innej barwie głosu.

Chłopak, jakby z trudem łącząc w spójną całość to, co się teraz działo, podparł głowę rękoma i w milczeniu lekko skinął.

– No, to podstawy mamy ustalone – uśmiechnął się – a ten pan z którym rozmawiałem, jest? Przekazywał, że będę?

– Tak i nie.

– Tak, że przekazywał?

– Nie... – tępa mina grubaska nie wyrażała żadnych emocji.

– To gdzie go znajdę?

– Ale pan po pracę redaktora?

– No ja już nie jestem taki pewien – rzucił, zirytowanym głosem.

– No by my – zerknął w ekran laptopa – szukamy też innych ludzi. Fotografą, może ktoś

do obsługi serwerów, informatyk taki jakby.

– Nie, to ja jako redaktor – uciał, zmuszając się do uśmiechu.

– To do szefa trza – ruchem głowy wskazał na zamknięte, białe, jakby dopiero co ukradzione z jakiegoś niedofinansowanego szpitala, drzwi.

– Mogę?

– Może pan – rozmówca uśmiechnął się lekko.

Wstał, w myślach zastanawiając się, czy ten dziwny koleś nie jest aby opóźniony, poczym zapukał w drzwi i nie czekając na odpowiedź, napał na klamkę. Za wielkim, dębowym biurkiem dostrzegł twarz starego człowieka o idealnie zgolonej na zero głowie, sytym wąsami i brodzie, jakiej nie powstydziliby się pierwszy statysta świętego Mikołaja. Na ścianie za nim, wisiała jakaś panorama, nieco z boku stał przeszklony stolik i nieduża, kremowa sofa. Przed jego rozmówcą stał kubek z jakimś aromatycznym napojem. Facet oderwał na moment wzrok od gazety, jaką trzymał w rękach i gestem głowy zaprosił go, aby usiadł na fotelu, przed nim.

– Słucham szanownego pana?

Darek rozpoznał głos swojego rozmówcy.

– Dzień dobry, ja...

– W sumie, to dobry wieczór – wskazał ręką za okno.

– No tak. Dobry wieczór, rozmawialiśmy telefonicznie o pracy reportera, redaktora.

– Pan da CV.

– Nie mam przy sobie.

– Czyli jest pan nieprzygotowany.

– W pewnym sensie, ale jeśli da mi pan pięć minut na streszczenie ścieżki zawodowej, da mi pan szansę!

Starszy mężczyzna, zerkając na niego znudzonym spojrzeniem, rzucił:

– Umiesz pan pisać?

– No umiem.

– A dobrze?

– Na tyle, że ta gazeta – wskazał ręką na prasówkę leżącą na biurku – swojego czasu dała mi trzy strony w dziale polityki krajowej.

– Hm, czyli chyba dobrze, ale w takim razie, raczej nie stać mnie na pana, pomijając już rzecz jasna kwestię tego, co pan tu robi.

– Jestem bezrobotny od jakiegoś czasu – opuścił głowę.

– To może jednak nie pisze pan tak dobrze, jak się panu zdaje?

– Piszę, ale w wyniku pewnej wpadki...

– Nie nie nie! Niech pan nie mówi! Pan żeś jest redaktor Mosin?!

– Nie...

– A to może Albert Wilczyński?

– Sikorski jestem. Dariusz Sikorski, odparł zirytowanym głosem, kładąc przed nim swoją starą legitymację prasową ze zdjęciem.

– A, tak, kojarzę. Jak przez mgłę, ale był tam taki. Sylwetka obrazoburcy, aferzysty, co pisał na zasadzie wsadzenia kija w mrowisko!

– Co proszę?!

– Na pana to mnie chyba stać – starzec rozpromienił się – jeśli zawitał pan do mnie, do tego portaliku, to znaczy, że wsadziłeś kolego nie kija, co kutasa w złe mrowisko!

– W cholernie złe – spokojnie, usiłując przejrzeć wzrokiem myśli specyficznego człowieka.

– Mogę panu zaoferować 10 złotych za newsa, 15 za newsa ze zdjęciem, 30-200 za

wywiad, zależy z kim, 50 do 100 za artykuł autorski. Jeśli tekst będzie cieszył się dużą oglądalnością, powiedzmy że w danym dniu będzie najbardziej poczytnym, sto procent premii. Co pan powie?

– Hmm. A czy...

– Piszemy tylko o naszym mieście i powiecie. Od jakiegoś czasu mamy swoją gazetkę drukowaną, dostępną za darmo w starostwie i kilku sklepach.

– Czemu za darmo?

– Opłacamy ją z reklam. Boże, dzięki ci za debili z Unii – podniósł ręce ku niebu, uśmiechając się ironicznie.

– Ładnie.

– Wiem. Ale przyszłość, to Internet. Mamy domenę, grafik nam kończy robić stronę, ja mam z kim i o czym rozmawiać a Papiś, znaczy Patryk – wskazał na drzwi – którego żeś pan już poznał, to nasz reporter terenowy. Będzie jeszcze paru studenciaków działających zdalnie, ale jeśli pana oszlifować, może ewentualnie okaże się być pan pomocny. Zainteresowany?

– Po to przyszedłem – uśmiechnął się – co dalej?

– Papiś wydrukuje panu umowę, można wpaść jutro, może pan podać maila i odesłać zeskanowany dokument a potem podskoczyć z oryginałem w dwóch kopiach.

– Dobrze, tylko...

– Komputerowiec mówił, że do kilku dni wszystko w Internecie będzie działać. Może więc się pan na nowo zapoznać z tym, co jest wokół nas i zwrócić uwagę na sprawy bliskie lokalnej społeczności, przyziemne. Nie każdy żyje tym burdelem na najwyższych szczeblach.

– Tak chyba zrobię.

– No to bardzo dobrze. Miło było, panie Dariuszu.

– Mi także, panie – zrobił wyczekującą przerwę.

– Tadeuszu – rzucił, sięgając po swoją gazetę – Tadeuszu Kozak.

Wzrok starszego pana, który na nowo wędrował po kolejnych rzędach literek, podpowiedział Sikorskiemu, że spotkanie dobiegło końca. Nieco zniesmaczony, wstał, aby po chwili zamykać za sobą drzwi jego gabinetu.

– Panie Patryku, zatrudnił mnie. Wydrukuj mi pan umowę?

– Po prostu Papiś – uśmiechnął się – i sorry za ten spektakl na wejściu. Lubię tak czasem wręcać ludzi, zwłaszcza takich Józków jak ty – wskazał na brodę, uśmiechając się.

– Aha... zabawne.

– Weź, zostaw maila, na jutro ci to wyślę lepiej. I tak tera nie ma nas w necie, więc masz fajrant.

– Mam już za dużo fajrantu. Idzie na pół roku bezrobocia.

– Ostro. No, ale tu sobie wyrobisz nazwisko. Może ktoś cię potem zechce wyżej. Wiesz, w płatnym drukowańcu – chłopak rozmarzył się.

– Może.

– Napisz tego maila. Zaraz kończę. Podwieźć cię? – wskazał za okno. Przecinające powietrze, białe śnieżne punkty zwiastowały rychły stan ogłoszenia klęski żywiołowej.

– Jak to nie kłopot...

– A daleko stąd?

– Jakies 5 kilometrów, na Tulipanowej. To blisko nowego ronda.

– To mam po drodze – podał mu kartkę i długopis.

Kilka minut później, Darek pomagał już Papisowi, z którym formalnie przeszedł na ty drapać oblodzone szyby wiekowego Opla Vectry. Głośna, huczająca dmuchawa po kilku minutach zaczęła buchać ciepłym powietrzem. Wielki, czarny kocur zwisający z lusterka, bujał się powoli

na niby połączonym sznurku, gdy w milczeniu pokonywali dystans dzielący ich od Tulipanowej.

– Tu spoko? – wskazał na zatoczkę autobusową.

– Tak, pasuje.

Z lekkim poślizgiem, na oblodzonej nawierzchni zatrzymał pojazd. Darek wysiadł i wypakował swoje rzeczy.

– Dzięki, zrewanżuję się.

– Spoko. Nara!

Zatrzasnął drzwi po stronie pasażera i obładowany ruszył w stronę domu, od którego dzieliło go jakieś 200 metrów. Jeśli zegar w aucie Papisia nie kłamał, było już wpół do siódmej. Białe puch i oświetlenie uliczne ciekawie kontrastowało z królestwem nocy, które zimą rozpoczynało swe srogie rządy już około godziny siedemnastej. Nie wiedział, jak wytłumaczy żonie tę karkołomną decyzję. A może nawet nie zapyta a on, z racji niezbyt wysokiej renomy stanowiska, nie pochwali się jej? Ciągle nie wiedział, jak to ugryźć. Miał jednak czas. Między jogą, basenem, aqua-aerobikiem i pracą z trudem znajdowała czas na sen i ciągle wiszenie na telefonie po godzinach.

– Jakoś będzie – szepnął, skręcając po chwili w stronę drzwi wejściowych. W domu cały czas nie świeciło się ani jedno światło.

Na kilka minut przed 22, leżąc na kanapie i zajadając własnoręcznie przygotowany popcorn, oglądając jakiś mecz ligi angielskiej, gdzie beniaminek łoił kanonierów na ich obiekcie już trzy do zera, usłyszał szcęk otwieranego zamka. Wyprostował się, kątem oka mierząc elegancką, kobiecą postać w zimowym, czarnym płaszczu i wysokich kozaczkach. Gdy tylko przekroczyła próg, zirytowany dostrzegł w jej ręce telefon komórkowy. Uśmiechnęła się do niego lekko i pomachała mu drugą, chwilowo wolną ręką.

– Cześć kochanie! – rzucił głośno, jakby usiłując wedrzeć się do świadomości tajemniczego rozmówcy i zasadzić tam drzewko z gatunku „Ona już wyszła z pracy. Kimkolwiek jesteś, wypierdalaj”.

Spojrzała na niego zirytowanym wzrokiem, walcząc właśnie z płaszczem, który po chwili zawisł na wieszaku. Darek ruszył do kuchni, włączając dwa palniki i piekarnik. W tle, mimo cały czas namiętne komentowanego meczu, co jakiś czas wyłapywał jakieś słówka i dialogi z rozmowy. Żona usiadła na fotelu, ulokowanym nieopodal jego kanapy i włączyła pauzę w trwającym właśnie meczu.

– Oła, wiem, ale ty widziałaś, jak on dzisiaj potraktował tę Hankę?

Niestety, nie usłyszał odpowiedzi pizdOli.

– Jak oni nie dopną samodzielnie tego kontraktu, to chuj strzeli premie wszystkich z działu! Klient był do dzisiaj zaklepany a ta idiotka przy wszystkich wyskakuje, że cena jest wygórowana. No proszę cię, pogadaj z nią.

Starał się robić wszystko jak najciszej, aby podłapać garść szczegółów z rozmowy. O ile Aga żyła pracą i dla pracy, o tyle jemu, z sobie znanych powodów, zdradzała coraz to mniej niuansów z życia HKS-Incho Company.

– Tak, tak, ja wiem, kochanie...

Po cichu prychnął, rzucając na jej talerz odgrzewaną porcję lecza i przelewając chłodny sok z buraczków do jej szklanki.

– No, no, dokładnie!

Sięgnął do lodówki, naprędce nakładając na jej talerz sałatkę wielowarzywną.

– My mu musimy uświadomić, jak on nie chce tej umowy, to niech spierdala, ale nikt mu tego lepiej za tę kasę... no, no właśnie, kochanie, otóż to!

Ruszył w jej stronę z późną obiadową kolacją. Zmusił się do serdecznego uśmiechu, jednak

gdzieś w głębi siebie czuł, że ten terkoczący, dziwny głos, zupełnie, jakby znienawidzona rozmówczyni miała właśnie kutasa w ustach, wywołuje na jego ciele gęsią skórkę, jakby ktoś w jego głowie zaczął pocierać lepkimi paluchami o szybę.

– Proszę – rzucił w stronę Agi, kładąc przed nią posiłek, przebijając się przez gąszcz „mhm”, „aha”, dodatkowo poprawiony kilkoma „no tak” i paroma kurwami. Chwyliła go lekko za ramię i nie odrywając telefonu od ucha, pocałowała w policzek. Zasiadł na swoim miejscu, ścisząc telewizor i przywracając jednym przyciskiem pilota bieg wydarzeń na boisku.

Wymiana podań w środku pola, widać dziś doskonale, że zespół z Londynu...

– No tak, właśnie, zwolnij go z tego projektu!

...drybluje przy bocznej linii. To zawodnik, który bez wątpienia należy do najbardziej utalentowanych...

– Wiem, skarbie. Ale nic nie zrobisz.

... a także Liverpool i Obywatele. Mówi się, że mógłby opuścić...

– To co, jutro rano?

...nawet w zimowym okienku transferowym za 12 milionów funtów...

– Odebrać cię? Nie? Na pewno?

...wrzutka w pole karne, zamieszanie pod bramką gospodarzy i...

– No to dobrze, wyśpij się...

GOOL!

– Jest!!

Cztery do zera...

– Pa!

Rozpromienione spojrzenie Sikorskiego natrafiło na wzrok Agi.

– Nie mogłeś się powstrzymać?

Zatrzymał odtwarzanie spotkania.

– Z czym?

– Z tym – wskazała na ekran, gdzie jakiś zawodnik w białej koszulce właśnie tonął w objęciach kolegów – nie widzisz, że rozmawiałam?!

Zabrała się za pałaszowanie posiłku, ucinając dyskusję. Elegancka, w stylowym, szarym żakiecie i materiałowych spodniach zachłannie zjadała kolejne fragmenty jego dania. Co jakiś czas z widocznym żalem w oczach, zerkała na niego: znowu smutnego brodacza, władcę domowych pieleszy, całkowicie wytrąconego z rytmu takim obrotem spraw.

– Dobrze...

– Wiem – uśmiechnął się lekko.

Walczył ze sobą, aby nie odpyskować ładnie ubranej blondynie o typowo słowiańskiej urodzie, że przecież to ona mogłaby porozmawiać z Olą z innego pokoju. Zasięg był wszędzie a telewizor, jak na złość, mieli tylko jeden.

– Jak w pracy?

– A, nic ciekawego. Nowy klient, duża reklama, do kraju dopiero wchodzi, to tak na tyle w sumie – sięgnęła po sok.

– A co robiłyście potem?

– Joga. Przecież wiesz.

– Ale joga była do 20 a teraz zobacz – wskazał na zegarek – już po dziesiątej, Aga.

– Oj, Dariusz! Nic ciekawego! Posiedzieliśmy pod domem, kawa i takie tam. Boże, ale jestem padnięta!

Westchnął.

– Umyję się tylko i zaraz się chyba kładę. Padam na ryj.

- Nie zapytasz co u mnie?
- No a co? Coś nowego? Jak było na mieście?
- Robotę znalazłem, ale...
- No! Proszę!

Spojrzała na niego tymi szarymi oczyma, w których na chwilę dostrzegł charakterystyczny błysk. Przez chwilę poczuł się jak dawniej, gdy z wypiekami na twarzy słuchała jego historii, wielkich afer o których czasem dowiadywał się jako jeden z pierwszych. Cóż to były za czasy. Telefon nie dzwonił, a nawet jeśli, to historia była ważniejsza niż plotki o tym, w co ubrała się nowa sekretarka prezesa.

- No, co to za posada?
- Nic takiego, to tak na początek...
- Ale w gazecie?
- W pewnym sensie.
- Co, jakiś dziennik internetowy? – drążyła.
- Portal. Portalik taki mały, regionalny, nowy. Dopiero powstaje. Na umowę o dzieło, to serio nic wielkiego, Aga.

Jej mina nieco zrzedła.

- No, ale to masz hm... punkt zaczepienia. Intratne to?
- Raczej nie, stawki jak dla nowych, praca głównie zdalna.
- Cóż. Od czegoś trzeba rozpocząć – zawahała się – porządkowanie swojego życia.

Patrzała na Darka litościwym wzrokiem, uśmiechając się ciepło, zupełnie, jakby miała właśnie przekonywać przykutego do wózka starca, że udział w triathlonie, to doskonały pomysł. On zaś zerkał na nią, to zawieszając wzrok na jej twarzy, to zaś, schodząc niżej, do ładnie rysujących się zza białej koszuli z kołnierzykiem, piersi. Po chwili zrozumiała, w jaką stronę zmierza ich wieczorne spotkanie.

- No, to ja się idę umyć i spać – poderwała się.
- Skarbie, a...
- Dareczku, kocham cię, ale ty jutro nie musisz wstawać o szóstej rano.
- Jakbyś przyszła wcześniej, to bym, cię teraz nie prosił o uwagę.
- Nie mogłam, sam wiesz – ruszyła po schodach, na pierwsze piętro.
- Aga, mam prośbę!
- No?
- Nie mów jej o tej robocie. To wariant czasowy...
- Nic się nie bój. Nie zamierzałam.

Zirytowany, zrobił sobie kilka tostów i nie niepokojony przez nikogo, sącząc pomarańczowy sok, zajął się przeglądaniem portali społecznościowych. Mimo młodej godziny, ilość aktywnych kontaktów była niska.

– Stałe godziny pracy – wyszeptał rozmarzonym głosem. Po pierwszej w nocy, najciszej, jak tylko umiał, wgramolił się na łóżko obok śpiącej głębokim, twardym snem, żony. Zerkając na prószący za oknem śnieg, rozmyślając nad tym wszystkim co skutecznie burzyło jego wewnętrzną harmonię, po dłuższym czasie zasnął, odwracając się na prawy bok.

Z głębokiego snu wyrwało ją miarowe pukanie do drzwi. Rozbudzona obróciła się na drugi bok, zasłaniając zaspane oczy poduszką, jednak irytujący dźwięk narastał, aż wreszcie

usłyszała, jak tajemniczy gość raz po raz sprawdza, czy drewniana konstrukcja nie ustąpi, jeśli naprze na klamkę. Zdenerwowana naprędcie poderwała się z łóżka, sięgając po nocny szlafrok

– Idę, idę! Już!

W myślach na nowo powtarzała zeznania, jakby upewniając się, że nie będą odbiegać od tych, które z wielkim emocjonalnym zaangażowaniem, kilka dni po tragicznym wypadku chłopaka musiała złożyć na komendzie. Wtedy wystarczyło tylko trzymać się planu. Psy uwierzą we wszystko, jeśli sprawa nie należy do priorytetowych, toteż dość łatwo wykaraskała się z zamieszania wokół śmierci Tomasza Sądeckiego, którą ostatecznie zrzucano na karb upojenia alkoholowego i zbiegu niefortunnnych okoliczności. Z rosnącą niepewnością sięgnęła do wewnętrznego zamka, który szybkim ruchem dłoni, przekreśliła dwa razy w lewo. Chwyciła za klamkę i mocno pociągnęła drzwi. Znikło gdzieś rozspane spojrzenie, które teraz zamieniło się w pełne strachu i niedowierzania wołanie o to, aby jak najszybciej się obudziła.

– Nie wpuścisz nas? Co tak stoisz jak słup soli?

Przed nią stała niska, starsza kobieta o brązowych włosach z odrostami. Ubrana w starą kufajkę, jeansy i solidne, zimowe buty. Za nią nieco z boku, uśmiechając się lekko do zdezorientowanej gospodyni stała młoda, co najwyżej 25-letnia rudowłosa dziewczyna o śnieżnobiałej cerze, nieproporcjonalnie czerwonych ustach, w stylowym wdzianku, za którym nieumiejętnie ukrywała wystający brzuch.

– Mamusia? Asia? Co tu robicie?

– Stoimy w progu, bo głupia pizda z miasta nie chce nas wpuścić!

– Przepraszam, mamo, ja...

– Odsuń się!

Ruszyła przed siebie, ruchem dłoni odpychając ją w głąb pomieszczenia. Za nią, mierząc uważnie Iwę triumfującym spojrzeniem, weszła siostra.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak matka, nie robiąc sobie nic z tego, że ma buty mokre od mieszanki śniegu i gliny, z założonymi rękami bierze się za zwiedzanie mieszkanek. Młodsza siostra, nie do końca wiedząc, jak należy się zachować, poszła w jej ślady.

– Pokaż, jak to mieszkasz w tym wielkim świecie, no.

Ruszyła w stronę pokoju gościnnego.

– Burdel! O, zobacz, Asieńko – siostra szybko dołączyła do rodzicielki. – Burdel jak się patrzy.

Wzięła w ręce kilka rzeczy, przyglądając się uważnie.

– Pracujesz jako kurwa? W sumie nie zdziwiłabym się. Nigdy nie miałaś wielkich ambicji.

– Mamo, ja...

– Zamknij się. Jak żyjesz?! W tym domu nie ma Boga, bezbożnico!

Kobieta ostentacyjnie usiadła na łóżku, chowając głowę w dłonie i ciężko oddychając. Dotychczas trzymająca się na uboczu gospodyni podeszła, coraz to bardziej odczuwając wyrzuty sumienia. Ich wspólna historia nie należała do najłatwiejszych. Od dłuższego czasu będąca w cieniu siostry, z trudem radziła sobie z tak łatwą na pozór rzeczą, jak rozmowa z matką.

– Pracuję, mamo, jako grafik. Robię na komputerze takie jakby...

Nie dokończyła, zamykając oczy. Po chwili poczuła na policzku rozpedzoną dłoń rodzicielki. Głośny „plask” rozlał się po pomieszczeniu. Niezrażona, wbijając tępo wzrok w podłogę, trzymając się za czerwony, ciągle promieniujący bólem policzek, dokończyła zdanie.

– Takie jakby okładki – słyszała, jak jej głos się łamie.

– Komputer to, komputer tamto! To jest narzędzie diabła, córeczko! To sam szatan przez te komputery przemawia, wiedziałam, że jesteś obłąkana, ale to już ponad moje siły!

– Po co przyjechałyście?
– Nie twój interes!
– Potrzebujemy noclegu – wtrąciła siostra. – Jutro mam mieć przymiarzkę sukni, a w weekendy nie ma od nas wielu kursów, więc tak w ciemno przyjechałyśmy i...
– Nie prosź się jej! Jak nas nie zechce, pójdziemy do jakiegoś hotelu. Tam pewnie prędzej dostaniemy godziwy nocleg od pobożnych ludzi!

Patrząc na ubrudzoną podłogę, gdzie wokół butów mamy tworzyła się wielka kałuża westchnęła głęboko, podnosząc spojrzenie. Stara, przeorana zmarszczkami twarz pałała jakąś żądzą nienawiści, zupełnie jakby to krępe babsko przyszło tu tylko na moment, aby na nowo zasiać w życiu koszmary, pochwalić siostrę i zniknąć, zapewne nawet nie wręczając zaproszenia na ślub, o którym Iwa dowiedziała się dopiero teraz.

– Oczywiście, że możecie zostać – zmusiła się do uśmiechu. – Jesteśmy przecież rodziną.
– Nie przypominam sobie, żeby uczyła cię, żeby mieszkać w takim burdelu, bez Boga w sercu i bez rodziny! Zobacz na nią – wskazała palcem na rudowłosą. – Młodsza niż ty, w sumie to powiedziałabym, że i głupsza a już teraz będzie zakładać ognisko domowe tak, jak jest napisane w Biblii. Tak, jak nasz ukochany proboszcz zawsze mówił z ambony! A ty? Ech...
Wstała. Iwa, obawiając się kolejnego policzka, odsunęła się nieco do tyłu, jednak stara ignorując ją zupełnie, ruszyła w stronę przedpokoju, aby po chwili ściągać buty, kufajkę i ciepły, wykonany z owczej wełny sweter. Po drodze, cały czas wzywając miłosiernego Pana, rozglądając się po przybytku, jaki zdołała zgromadzić jej pierworodna, z wyraźną złością i irytacją, kręciła głową i obficie gestykulowała rękoma.

– Zawsze tak ma? Jest chyba gorzej niż było – wyszeptała do siostry, która usiadła na najbliższym krześle, głośno oddychając.

– Często.
– Który to miesiąc, kto jest szczęściarzem? – rozpromieniła się, zerkając na sporych rozmiarów brzuch.

– Nie twoja sprawa.
– Weź, mi nie powiesz?
– Na to wygląda – wyszczerzyła się w jej stronę, mierząc starszą siostrę triumfującym spojrzeniem, pastwiąc się nad niewiedzą.

– Nie masz w tej Sodomie ani jednego obrazka świętego ani krzyżyka! Kiedy kolęda?! – dobiegło z przedpokoju.

– W marcu, tu na blokach to tak długo trwa – skłamała.
– Jeśli nie wpuścisz Pana do swojego serca, nie będzie dla ciebie ratunku – usiadła obok młodszej córki, głaszcząc ją delikatnie po ramionach. Widziała, że Aśka, tak samo zresztą jak ona, za każdym razem, gdy podnosiła lekko rękę lub gdy zbliżała się niebezpiecznie blisko do twarzy, naprędce zamykała oczy, jakby to miało ją uodpornić na niechybnie zbliżający się cios, który można było od niej zebrać pod byle pretekstem.

– Zrobię wam coś do jedzenia, na co macie ochotę?
– To ja może...
– Zamknij się, kochanie. Zrób zwykłego chleba z kiełbasą i mocnej herbaty. Mam nadzieję, że chociaż szkła masz czyste, ostatnie, czego nam trzeba to żeby Asieńka podłapała jeszcze jakąś chorobę!

W milczeniu wstała, zmierzając ku kuchni. Zegar pokazywał, że za kilka minut będzie dziewiąta rano.

Późnym popołudniem, ku ucieście trzymającej się za nieproporcjonalnie duży, jak na szósty miesiąc ciąży brzuch siostry, kończyła właśnie trwające od rana porządki. Matka triumfalnie zgodziła się pomóc z zakupami, jeśli tylko Iwa za nie zapłaci. Dziwnym trafem, kilka prostych i niewyszukanych towarów, jak chleb, kawa, kilka rodzajów dżemu i sześciopak piwa, które puszcza po puszcze nikło w ustach rodzicielki, kosztowały 200 złotych. Reszty nie zobaczyła na oczy.

Wzięła się za szorowanie kilku talerzy, jakie niewybredna rodzina pozostawiła po sobie na stole. Teraz siedziały razem, na złożonym łóżku, oglądając relację z jakiejś starej pielgrzymki, która odbyła się najwyraźniej jeszcze latem – na co wskazywała sceneria. Obserwowała, jak zniszczone, szorstkie, niezadbane dłonie, głaskają Aşkę na przemian to po brzuchu, to po rudych, ognistych włosach.

– Mamo...

– Nie teraz, zaraz będzie kazanie...

– Ale ja tylko...

– Iwa, do kurwy nędzy! Zawsze musisz być w centrum uwagi?! – odwróciła się ku niej, cały czas nie wypuszczając młodszej siostry z silnego, matczynego uchwytu – Co znowu zrobisz, żeby pokazać, jaka to jesteś ważna? Znowu zaczniesz, tak jak wtedy...

– Mamo, nie...

– Co nie?!

– Nie mów tego – głos łamał się jej coraz bardziej. Czowała, że kobieta była bliska trafienia w czuły punkt.

Uśmiechnęła się sarkastycznie, powoli wstając z kanapy. Wyższa o głowę gospodyni zaczęła powoli kroczyć w tył.

– Iwa, przecież nie uciekniesz od tego, że przecież ty...

– Słuchaj, jak matka mówi!

Kobiecie oczy zaszyły łzami. Wykrzywiona w dziwnym grymasie twarz, trzęsące się dłonie, zupełnie jakby ktoś wbijał jej w ucho wielką igłę. To wszystko podpowiadało stąpającej przed siebie starej kobiecie, że pokazanie, jak kończy się próba zwrócenia na siebie uwagi, będzie równie łatwa co kiedyś. Zupełnie jak wtedy, gdy jeszcze mieszkała z nimi, raz za razem zamykana w komórce czy piwnicy, byle tylko po raz kolejny złamać ją i skutecznie wmówić że ponosi całą winę za zło tego świata.

– Przez zachcianki, sprawiłaś...

Stała ledwie metr od niej. Iwa poczuła za plecami twardą fakturę drewna.

– Proszę...

– Że on nie żyje! Morderczyni!

W chwili, gdy złamana na nowo przypominającą się historią kobieta zgięła się w pół, usiłując zakryć rękoma załzawione oczy, natknęła się na solidny cios, jaki dotarł do skroni. Zachwiała się, z impetem uderzając o stojącą za nią szafę. Przeszklona szyba zadrzała, utrzymując jednak ciężar wątlej dziewczyny. Zanim zdążyła się podnieść, poczuła, jak matka kopie ją w nogę. Upadła, zwijając się w kłębek i głośno zawodząc. Młodsza siostra, z delikatnie rysującym się uśmiechem na całe zdarzenie obserwowała, jak Iwa obrywa jeszcze parę ciosów.

– Na... cholere... tam... go... ciągałaś?! Po... kiego czorta?! – krzyczała, łapiąc oddech między kolejnymi ciosami, które raz za razem sięgały celu.

Splunęła na nią, odwracając się z błogą, jakby szczęśliwą miną w stronę Aški. Zdyszana opadła na kanapę, obejmując młodszą córeczkę cały czas nieco drżącymi rękoma. Ledwie kilka

metrów dalej, zatrzymując koszulką krwawienie z nosa Iwa powoli zbierała się z podłogi. Roztrzęsiona, z zaczerwienionymi oczyma, czując na sobie triumfujące spojrzenie siostry, poszła do łazienki doprowadzić się do porządku. Odkręciła kurek z zimną wodą. Nie lubiła zimnej wody. Teraz, dodatkowo wyprowadzona z równowagi emocjonalnej, na nowo zamiast odbicia w lustrze widziała gdzieś w głębi siebie ten dzień, który kilkanaście lat temu na dobre odmienił jej życie.

Uśmiechała się. Wokół dało się słyszeć śmiechy i radosne nawoływania dzieci. Jedno z mazurskich jezior w zimie cieszyło się sporym zainteresowaniem ze strony mieszkańców pobliskich wiosek, którzy – gdy tylko lód był wystarczająco gruby – wyciągali z piwnic stare łyżwy i potrafili spędzać na tym dzikim lodowisku całe dnie. Tamtej zimy, na środku jeziora cały czas majaczyła wielka, ciemniejsza niż w pozostałych częściach zbiornika tafla lodu. Ktoś wbił nawet w bezpiecznej odległości garść metalowych prętów, które połączono plastikową taśmą mieniającą się w biało-czerwonych barwach.

Pamiętała, że w czwartek tata wrócił z pracy wcześniej. Dziwnie wesoły zrzucił znoszony urzędniczy garnitur i zapytał, czy chce pójść z nim na łyżwy. Mimo że spędziła tam cały poranek, zgodziła się. Gdy w towarzystwie garści innych dzieciaków rywalizowała z ojcem, kto wykona najlepszy przejazd, przyszedł jej do głowy pomysł, aby mu zaimponować. Widziała, jak oddała się, obserwowała, jak poucza jakiegoś chłopaka, który zaczął ich sąsiadkę, jej rówieśniczkę. Ręka podniosła taśmę ochronną. Lód, na który wjeżdża, jest coraz ciemniejszy, jakby pod nim skrywało się całe zło świata. Pojechała dalej.

– Tato, tato!

Patrzała na nią znajoma twarz, z której nagle zniknął szeroki uśmiech. Ruszył w jej stronę.

– Iwa, nie ruszaj się...

Tak samo jak ona podniósł plastikowy sznurek. Usłyszała, jak cienki lód zaczyna trzeszczeć niebezpiecznie pod ich ciężarem. Ze wszystkich stron zaczęli zjeżdżać się gapie.

– Pomalutku, kochanie, wszystko będzie...

Nie usłyszała, jak będzie. Gdy stał ledwie metr–dwa od niej, zbliżyła się odrobinę. Usłyszeli głośny trzask. Chwilę później czuła już tylko palące zimno, które usiłowało wciągnąć ją jak najgłębiej, wprost w serce jeziora, które pragnęło ich śmierci. Pamiętała, że złapał ją w pasie i siłą pchnął w stronę jakiegoś młodego faceta, który wystawiał rękę w ich stronę. Nie udało się za pierwszym razem. Zobaczyła obok wykrzywioną w grymasie bólu twarz. Poczuła, jak z wielką siłą dłoń ojca jeszcze raz pcha ją ku mężczyźnie. Złapał ją za kurtkę. Słyszała wokół siebie głosy, jednak otumanione, porażone szokiem termicznym ciało jedenastolatki omdlało. Obudziła się w drodze do szpitala, mając nad sobą zatroskaną twarz człowieka w białym kitlu.

Kolejnego dnia dowiedziała się, że tylko ją udało się uratować. Spokojne, sielskie życie jej rodziny zamieniło się w piekło, zupełnie, jakby zło, którego posmakowała w przeklętym jeziorze, przeniknęło ją i za żadną cenę nie chciało opuszczać. Matka zaczęła pić. Tylko dzięki pomocy krewniaków mieszkających nieopodal, udawało im się związać koniec z końcem. Wszystkie dobre emocje przelała na Aşkę, po pijaku nie szczędząc Iwie gorzkich słów, które po jakimś czasie zamieniły się w klapsy a z klapsów w solidne, mierzone tak, aby zadać jak najwięcej bólu ciosy.

W chwili, gdy jej rówieśniczki cieszyły się z nowych doświadczeń, jakie los może rzucić pod nogi zbuntowanych, pewnych siebie, czasem nieco szalonych nastolatek, ona spędzała całe dnie w domu, godząc szkołę z wypadami do sklepu po wódę dla matki. Gdy zabrakło alkoholu, kiedy nie zdołała upić się do nieprzytomności, wyżywała się na niej, z czasem przekonując młodszą córkę, że to nic złego znęcać się nad morderczynią. Tą złą Iwą, przez którą nie ma

pieniędzy na nowe zabawki czy dobre jedzenie. Śmiała się serdecznie, gdy młodsza córka, drąc się wniebogłosy, szarpała ją za blond czuprynę i biła jej brawo.

Wielokrotnie była budzona w nocy, polewana lodowatą wodą, bita, wyrzucana na deszcz i na każdym kroku poniżana, zapytała kiedyś, co musi zrobić, aby znowu było tak jak dawniej. Usłyszała, że to niemożliwe. Że będzie dobrze dopiero, kiedy umrze. Po kilku latach ciągłych upokorzeń i przemocy przyszły dni, kiedy uzależniona od alkoholu kobieta stała się głównym celem, jaki postawił przed sobą niedawno przybyły na pobliską parafię kapłan. Odwiedzał ich często. Nigdy nie chciał nic w zamian i rozmawiał. Po prostu rozmawiał i wysłuchiwał. Łatwo udało mu się okiełznać obłąkany umysł starej alkoholiczki, wprowadzając między biciem córki a pijaństwem nieduży przerywnik na czytanie Pisma Świętego. Nie dokończył misji, dostając parafię w innej części kraju, a jego następca nie kwapił się do wyciągania starej Marty z nałogu. Przymykał też oko na to, co dzieje się w popadającej w stopniową ruinę chacie przy ulicy Polnej 7.

Trzeba jednak oddać, że ziarno zasadzone przez poprzednika kiełkowało, tworząc jeszcze gorszy dla Iwy labirynt powiązań. Wcześniej wiedziała, za co dostaje wpierdol. W chwili, gdy przetrawiony promilami mózg pochłoniął całą Biblię, preteksty do kolejnych kar, tym razem usprawiedliwianych wiarą, którą kobieta w domowym zaciszu zaczęła gorliwie wyznawać, pojawiały się jeszcze częściej. Doszła też tresura, podczas której stopniowo zaszczepiała w niej chory system wartości, uparcie wmawiając, że nigdy nie znajdzie w nich oparcia, dlatego jak najszybciej musi sobie kogoś znaleźć... lub umrzeć. Musi mieć kogoś, kto ją weźmie, a przy okazji odciąży skromny rodzinny budżet z nic nie wartą głębią do wykarmienia.

Przeżazona, skryta w sobie, niemal 20-letnia dziewczyna o zrytej psychice coraz częściej przylapywała się na tym, że zaczepia przypadkowych mężczyzn, oferując im siebie w zamian za chociażby namiastkę bezpieczeństwa. Czuła się jak pies, który w głębi siebie wie, że robi źle, reagując na komendę „bierz go”, jednak odpowiednia tresura przestawiła jej trybiki na specyficzny tor, który uniemożliwiał zapanowanie nad tym.

Nie wiadomo, jak potoczyłby się los Iwy, gdyby pewnego wiosennego dnia nie zabrała się ze starym Tomalą do miasta po zakupy. Przez te wszystkie lata, gdy inni tylko z niej szydzili i wyzywali od morderców, a później dziwek, stary Tomala patrzył na nią jak na ofiarę. Nie zrobił nic więcej, bo bał się reakcji otoczenia. Małe wioski mają swoją mentalność, gdzie nawet prawe zachowanie, jeśli niezgodne z utartym stereotypem, może narobić o wiele więcej złego niż dobrego. Dostała od niego 800 złotych i bilet autobusowy. Błagał, aby nie wracała. W ten sposób zaczęła się jej wędrówka, ostatecznie zakończona kilka lat później w starym blokowisku wielkiego miasta. Z życiem zawieszonym gdzieś pomiędzy brutalną przeszłością, z ciągle żyjącymi wewnątrz niej demonami, jakie zaszczepiła matka, a sprzyjającą teraźniejszością.

Z burzy myśli wybiło ją miarowe pukanie w drzwi.

– Iwa, wylaż! Iwa! Muszę do łazienki!

Głośno westchnęła, raz jeszcze przetarła twarz ręcznikiem i ze spokojną miną otworzyła drzwi, w których minęła się z siostrą.

Noc spędziła na naprędce kupionym, dmuchanym materacu w swoim pokoju, dla bezpieczeństwa zamkniętym na klucz od wewnątrz. Spała bardzo niespokojnie, budził ją każdy szmer. Zakopane głęboko w podświadomości koszmary, w tym stara, drewniana ciupaga, pamiątka z rodzinnej wycieczki w góry, którą matka lubiła ją okładać po pijaku odżyły. Cicho szlochając, zwijała się w kłębek, jak zaszczute zwierzę. Zasnęła po trzeciej.

Rankiem, przed 11 wyjechały tak nagle, jak się pojawiły. Nie dostała zaproszenia na ślub, zresztą nawet go nie chciała. W głębi serca rugając się za wysłanie matce listu na święta, gdzie odważyła się podać adres, zaczęła planować wymianę zamków i drzwi. Na takie z wizjerem, aby

następnym razem mogła zobaczyć, czy oto aby znowu nie wpuszcza do domu koszmarów, z którymi walczyła każdego dnia od wielu lat.

Ciągle pachnąca nowością winda zatrzymała się na trzecim piętrze korporacyjnego budynku. Osiem rzędów okien, od parteru aż po dach. Niewyszukana, szara bryła. Do pewnego stopnia obiekt przypominał ocieplony, odremontowany biurowiec, będący pozostałością po Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Faktycznie, historia wysokościowca była długa i zawiła. Powstał za starego systemu, stopniowo tracąc swój wdzięk i blask, do czasu, aż nie nabyło go w 2008 roku amerykańskie konsorcjum, HKS-Incho Company. Po dwóch latach, oddano do użytku nieco spartański, ale elegancki obiekt. Na pierwszych dwóch poziomach mieścił się Dział Analiz i Rozwoju, trzecie i czwarte piętro zajmowały kolejno Dział Zasobów Ludzkich i Promocji, piąte przynależało do Informatyków, szóste i siódme do działu Biurowego (gdzie zasiadała też naczelną kwoka: kadrowa), zaś na samej górze, zgodnie z tradycją, nieumiejętnie zaszczerpioną na postkomunistyczny grunt, zasiadała ścisła elita: dyrektorzy, którzy jako jedyni nie musieli gnieździć się w ciasnych klitkach o powierzchni kilku–kilkunastu metrów kwadratowych.

Naświetlony korytarz, z dwoma rzędami ciasno ustawionych boksów, ciągnących się mniej więcej do połowy długości sali wyłonił się przed Agnieszką i Olką. Ruszyły przed siebie: nieco starsza, bo po czterdziestce, niewysoka o ciemnych, farbowanych włosach w malutkich, stylowych okularkach, czarnych, odpicowanych na kant spodniach, damskiej marynarce i sprawiających wrażenie kosztujących majątek, butach. Obok niej, wyższa o głowę, szczupła, ubrana w podobnym stylu, choć z naciskiem na sporą ilość odróżniających ją od przyjaciółki, detali, maszerowała Agnieszka.

Zza boksów, gdzie gnieździła się najniżej sytuowana w firmie warstwa wyrobników–plebejuszy, wyłoniło się kilka niewielkich, przeszklonych biur niedużej wielkości. Szczupła blondynka uśmiechnęła się do koleżanki i po chwili zasiadała już na eleganckim, skórzanym fotelu, włączając firmowego laptopa. Olka pokonała jeszcze kilka metrów, zasiadając na wprost głównej alejki komunikacyjnej, w największym gabinecie z własną sekretarką. Ot, przywilej szefa działu.

Dzień mijał szybko. Majętni klienci oczekiwali kompleksowych rozwiązań w jak najszybszym terminie. Każdy, kto przez jakiś czas pracował z Aleksandrą Warzechą wiedział, że takie pojęcie jak deadline jest tutaj względne i nagle, bez żadnego powodu termin zdania projektu może ulec przyspieszeniu o dzień czy nawet tydzień. W tej chwili pracowali nad kampanią nowego gracza, który planował zawojować rynek telefonii komórkowej. Cichy komunikat dźwiękowy oderwał Agnieszkę od wertowania stron tekstu, jaki miała do sprawdzenia. Najechała kursorem na ikonkę koperty i kliknęła.

Aleksandra Warzecha: wyrabiasz?

Ja: tak, spokojnie. Wyprzedzamy termin o dobre kilka dni.

Aleksandra Warzecha: dobrze.

Uśmiechnęła się do ekranu, w głębi serca ciesząc się z dobrze wykonanej roboty. Od kiedy wczesną wiosną dostała ten gabinet, połączony z awansem i rosnącym uznaniem w oczach przyjaciółki, nie zaważyła jeszcze żadnego terminu. Służbowy laptop doskonale sprawdzał się także w domu, po godzinach, aby odrobinę wyprzedzić harmonogram, łapiąc kolejne punkty u szefostwa.

Aleksandra Warzecha: plany na PO?

Ja: brak.

Aleksandra Warzecha: w takim razie co powiesz na jakiś wypad?

Ja: no nie wiem... gdzie?

Aleksandra Warzecha: nowa knajpa. Tajskie żarcie. Będzie co spalać na basenie :)

Parsknęła śmiechem.

Ja: czekaj, muszę skonsultować.

Aleksandra Warzecha: LOL. Musisz pytać o zgodę zagubiona dziefcynko?

Ja: na którą?

Aleksandra Warzecha: 19. Na przerwie obgadamy detale. Deal done?

Ja: Done. ;) Bez odbioru.

Z poważną miną zamknęła okienko rozmowy. Wyciągnęła z szuflady kubek i powoli ruszyła w stronę ekspresu do kawy. Po chwili maszyna wyrzuciła z siebie aromatycznie pachnącą Latte Macchiato. Oddała uśmiech jakiemuś biegnącemu w stronę windy chłopakowi w koszuli w kratkę i jasnych spodniach, po czym wróciła do gabinetu. Na stole leżał telefon komórkowy. Biła się z myślami, czy zadzwonić i poinformować go o zmianie planów na wieczór, czy też może ograniczyć się do SMS-a. Gdzieś w głębi miała dość i chciała spędzić ten wieczór w domu, wywalając zmęczone, bolące stopy na kanapę lub odbyć długą, najlepiej godzinną kąpiel.

Westchnęła, gestem dłoni odblokowując dotykowy ekran. Po chwili spod palców wyszła wiadomość tekstowa, którą wysłała do męża. Wyciszyła telefon i włożyła do torebki. Kilka godzin później, podczas półgodzinnej przerwy, jak co dzień zameldowała się w gabinecie wysoko postawionej przyjaciółki.

– Jak tam? Wszystko dobrze?

Spojrzała zdziwiona.

– No tak, czemu pytasz?

– Jakaś taka nieobecna jesteś? – uśmiechnęła się lekko z za kanapki, którą przed chwilą odpakowała z folii aluminiowej. Kod kreskowy na opakowaniu zdradzał, że rozmówczyni raczej stawiała na gotowce, aniżeli spędzała czas w kuchni.

– Zmęczona jestem. Nie wiem, czy dam radę do tej knajpy, taka rozbita się czuję.

Należy tu dodać, że, czy to ze względu na wiosnę i powracające w wielkim stylu bakteryjne infekcje, czy też może ze względu na przemęczenie, Aga już od jakiegoś czasu chodziła z podkrążonymi oczyma. Częściej niż innych można było ją spotkać przy ekspresie do kawy, gdzie bynajmniej nie zadowalała się nie dającym żadnego kopa cappuccino.

– Wiesz, w sumie ja też tak jakoś...

– To chyba to przesilenie.

– No! No! Też tak sędzę. Mnie tak zawsze muli na wiosnę i jesień właśnie. A dzięki radzie Kaśki – gestem głowy wskazała w stronę jakiegoś pustego chwilowo biura – radzę sobie z tym.

Wbiła w nią pytające spojrzenie.

– SPA, moja droga, całodniowe SPA. Mamy niedaleko, jakieś 30 kilometrów stąd prawdziwą perełkę.

– Masz moje zainteresowanie – uśmiechnęła się.

– Ile masz urlopu?

– Oj, dużo. Bardzo dużo, jeszcze 12 dni zaległych z tamtego roku!

– To może jutro? Zanim na dobre cię połamię jakieś przeziębienie?

– Oj, no ja... hm, nie wiem...

– Załatwię urlop. Przez jeden dzień nic się tutaj nie zawali. Sama pisałaś, że jesteśmy przed terminami, prawda?

- No niby tak, ale urlop to ja bym może...
- Weźmiesz sobie na majówkę, to z nim gdzieś wyskoczysz. Co ty na to?

Uśmiechnęła się ciepło. W głębi serca stara wyga, niczym pająk obserwujący krązącą nad jej pułapką wielką, tłustą muchę wiedziała, że pajęczyna spełni swoją rolę.

– Ale jak to...

– Konferencja i sprawozdanie z projektu.

– Hm...

– Coś więcej musi wiedzieć? Boże! Aga! Wychodzimy na ósmą, zgramę cię pod domem, jedziemy do SPA i o 19 wracamy. Będziesz w domu nawet szybciej niż zwykle.

Niepewne spojrzenie blondynki natrafiło na wzrok okularnicy. Usta powolutku, nieco nieśmiało wygięły się w porozumiewawczym uśmiechu.

Późnym wieczorem Sikorska odstawiała ją pod blok. Mieszkała na nowo oddanym do użytku niedużym osiedlu, które jednak oddawało do dyspozycji lokatorów nad wyraz wysokie standardy. Gdy tylko samochód przyjaciółki odjechał wiecznie rześka, wyprostowana, jakby połknęła kij od szczotki, schludna kobieta wolnym krokiem dotarła do drzwi wejściowych. Wpisała kod i pociągnęła za solidną, metalową klamkę. Po dłuższej chwili, wgramoliła się na pierwsze piętro, głośno wzdychając. Otworzyła drzwi, zrzuciła buty i jak długa padła na wielką, skórzaną kanapę. Wnętrze wielkiego, eleganckiego mieszkania było puste. Nikt nie czekał. Jedynie podświetlane akwarium, gdzie pływało kilka rybek, rozświetlało egipskie ciemności.

Zmęczona wyciągnęła z kieszeni prywatny telefon. Trzy nieodebrane połączenia od byłego męża i dwie wiadomości tekstowe od syna. Przeczytała je i kliknęła na ikonkę telefonu. Przechodzący mutację głos odebrał po trzech sygnałach.

– Cześć, synuś...

– Co tak późno? Pisałem przecież popołudniem!

– Oj, wiem, przepraszam. Dużo pracy, wynagrodzę ci...

Głos po drugiej stronie słuchawki przeciągle westchnął.

– Co to się stało? Czemu jesteś zagrożony z niemieckiego i biologii? Przecież masz dobrych korepetytorów i...

– Kiedy przyjdiesz?

– Co?

– Słyszałaś. Kiedy przyjdiesz w odwiedziny?

– Synku, nie wiem...

– A to może kiedy mogę przyjść?

– Wkrótce – wyróciła oczy ku sufitowi. – Znajdziemy jakiś termin, co by nam obydwu odpowiadał, dobrze?

– Zawsze tak mówisz. Bujdy na resorach, a potem tylko czekam, czekam, a ty nigdy nie oddzwoniasz!

– Tym razem będzie inaczej, obiecuję...

– To może jutro?

– Nie mogę, mamy pilne sprawozdanie. Ale obiecuję, że w weekend znajdę dla ciebie trochę czasu. Może sobota po 15? Pójdziemy na obiad, wiem, gdzie jest taka fajna, tajska knajpa, dzisiaj tam jadłam. Pyszności! – starała się, aby głos brzmiał ciepło i serdecznie.

– Możemy spróbować.

– Co u taty?

– Nic.

– Jak nic? Znalazł sobie kogoś? Co robi?

– To co wcześniej. Porozmawiaj z nim, to się dowiesz.

- Macie dobry kontakt?
- Wiesz, jego też długo nie ma, ale chociaż na tyle o mnie pamięta, że coś tam pogada, jak akurat jest w formie...
- Przecież ci kupuję, co tylko chcesz, Dawid...
- Ale to są rzeczy! Zwykle rzeczy, przedmioty! Zawsze tak robiłaś!
- Synku, ja...
- Cześć!

Połączenie zostało zakończone. Westchnęła, ruszając wolnym krokiem w kierunku łazienki. Rozbłysło światło, które objawiło wszechogarniający bałagan, zupełnie jakby ktoś, kto tu mieszka traktował komfortowy lokal jedynie jako noclegownię. Po pół godziny, z dziwnie zaczerwienionymi oczyma wgramoliła się do łóżka, otuliła kołdrą i niemal natychmiast zasnęła.

*** Wiosna: kwiecień ***

Gwar wypełniał stare, utrzymane w oldschoolowym stylu pomieszczenie. Gdzieś przy stole bilardowym rywalizowało między sobą kilku wiekowych facetów, których image podpowiadał, że o wiele lepiej czuliby się, gdyby przenieść ich na dziki zachód, dać pełen pieniędzy portfel, motocykle i zakomunikować: autostrada należy do was. W menu lokalu dominowały alkohole, których bieżąca sprzedaż była głównym źródłem utrzymania właściciela. Jeśli ktoś chciałby zjeść w tym miejscu posiłek, musiałyby się zadowolić zapiekanką z mikrofali. Co ciekawe trudno było o wolny stolik. Do jednego z nich podążali właśnie dwaj mężczyźni, których ubiór oraz niepewne zachowanie zdradzało, że nie czują się w tym miejscu zbyt komfortowo.

Wielka, siwa broda uniosła się lekko w górę. Zza okularów zmierzyło ich spojrzenie starszego, ubranego w skórzaną czarną kurtkę mężczyzny. Zarówno Papiś, jak i Darek po raz pierwszy dostąpili szczytu poznania zaufanego miejsca, gdzie popołudnia i wieczory spędzał ich szef, redaktor Kozak. Trzeba oddać, że starzec, na co dzień poważny i energiczny, pasował do tego miejsca niemal idealnie. Gestem ręki zaprosił ich, aby usiedli.

- Dobry, szefie.
- Cześć, Darku. Siadajcie, chodźcie. Napijcie się czegoś? – gestem dłoni wskazał na imponujących rozmiarów kufel piwa z grubą, wysoką pianą.
- Prowadzę, dziękuję – uciął szczupły mężczyzna.
- A to ja może...
- To śmigaj do baru. My tutaj akurat sobie wszystko rozłożymy, żeby burdelu nie robić już na starcie.
- Papiś, Papiś!

Tłusty mężczyzna o koziej bródce, w znoszonych jeansach i czarnej, wyszczuplającej bluzie z kapturem odwrócił się w stronę kolegi, mierząc go pytającym wzrokiem.

- Weź mi coś, wodę gazowaną czy colę, dobra?
- Skinął głową, ruszając przed siebie. Darek otworzył niedużych rozmiarów neseser i powoli zaczął wykladać na stół zdjęcia i kserokopie dokumentów. Z trudem udało się upchać na niewielkim stoliku wszystko to, czym chciał teraz błysnąć przed przełożonym. W kilka minut zameldował się trzeci z paczki.

- Macie moją uwagę. Co to za akcja?
- Łapówkarstwo i informowanie jednej z firm o ofertach przetargowych konkurencji przez kogoś z wewnątrz, możliwe że nawet samego burmistrza.

Wielka, idealnie wygolona głowa pochyliła się nad dokumentami, poświęcając każdemu

wycinkowi kilka chwil. Palce naczelnego zaczęły wybijać jakąś melodyjkę na starym, sfatygowanym stoliku, zupełnie jakby jakiś ważny gracz przyparł go do muru w partyjce pokera, podczas gdy na stole znajdowałaby się kupa kasy. Do wygrania... lub stracenia.

– Poważna akcja by była – zamyślił się. – Opowiedz, Papiś.

– No więc sprawa dotyczy firmy oficjalnie zapisanej na żonę radnego Karpiuka. To branża budowlana. Według naszego źródła, o jakim więcej powiem za chwilę, burmistrz Kowal, czerpiąc profity finansowe faworyzował firmę. Mamy też trop prowadzący do zatrudnienia kuzynki Karpiuka w wydziale inwestycji na lewo, bez konkursu i...

– Powoli, synek. Skup się na tym, co ważniejsze. Chcesz robić aferę o jedno stanowisko w tym burdelu, jakim jest urząd gminy, czy posłać w piach burmistrza, Karpiuka i kilku innych przy okazji?

– To drugie, szefie.

– No to mów.

Darek obserwował dyskusję, w myślach planując, jak zmusić starego, zachowawczego szefa do udzielenia im zielonego światła na rozpoczęcie dziennikarskiego śledztwa.

– Źródło powiedziało czego i gdzie szukać. Byłem w biurze rady, zwiedziłem Biuletyn Informacji Publicznej i za każdym razem, gdy wartość inwestycji przekraczała pół miliona, wygrywała firma K2Bud...

– Może po prostu mają taką dobrą ofertę?

– Nie sądzę. W innych miastach, gdziekolwiek by się nie starali, podobne zlecenia tracili na rzecz konkurencji, jeśli mowa o kryterium cenowym.

– Postawiłbyś na to, że faktycznie Karpiuk kombinuje? Oddałbyś za to pensję?

Zawahał się, po chwili przytakując.

– Nie wiem, chłopaki, nie ma nic lepszego? Trudno będzie coś na tym ugrać, a ani mnie, ani wam chyba nie chce się włóczyć po pieprzonych sądach i odpowiadać za znieśławienie, prawda?

– Szefie, ale...

– To nie jest amerykański serial, musicie zrozumieć. Nawet jeśli coś przekombinowali, to daleka droga, aby to wszystko...

– Prowokacja – wtrącił nagle Darek. Starzec zmierzył go uważnym spojrzeniem. – Nie chcemy odtwarzać krok po kroku tego, jak to wszystko wyglądało, bo burmistrz bankowo zatarł większość tropów. Pozwól nam, szefie, urządzić prowokację. Jak się uda, to poza opisaniem historii opowiemy o tym, co przy okazji można przeświecić i niech się prokuratura głowi. Czytelnik będzie po naszej stronie! – pociągnął łyka wody, oblizując usta. Postanowił opuścić wzrok, dając staremu trochę czasu na zastanowienie i podjęcie niewymuszonej decyzji.

– Szef zobaczy, ile jakiś jeden koleś zebrał niemal w pojedynkę – Papiś wskazał dłonią na stolik pełen dokumentacji dowodowej. – My z Darkiem, wiedząc, jak uderzyć, spokojnie sobie poradzimy.

– A jak się nie uda?

– To nic się złego nie stanie. Jakby ktoś się dopieprzył, to nawet można napisać, że władze dumnej gminy są odporne na prowokacje dziennikarskie i ani Kowal, ani Karpiuk, ani Karpiukowa i jej firma nigdy nie mieli brudnych rąk – uśmiechnął się Sikorski. – Słowo to potężna broń.

Przełożony parsknął śmiechem.

– Ciągle ci mało afer, Dariusz? Jedna krwawa jatka spowodowała, że się teraz muszę z tobą użerać – rzucił, uśmiechając się.

– I chyba szef nie żałuje?

– Nie to chciałem powiedzieć. Raczej chodzi o to, że – pociągnął łyk piwa – już raz wpadłeś. Co, jak znowu dasz ciała? Bo że stracisz robotę, to chyba sobie świetnie zdajesz sprawę?

Mina mu nieco zrzędnęła. Poczul na sobie spojrzenie kolegi, jednak po chwili przytaknął.

– Odważny albo głupi. A może odważny głupiec? Dobra, na dniach wymyślimy w redakcji jakiś plan, wiarygodną bajkę, żeby ta ściema chociaż miała szansę zaistnieć, dobra?

– Dziękuję! Szefie, ja...

– Uspokój się, oddychaj. Cholernie dużo roboty przed nami, nic na dziko. Na pewno nie chcesz piwa?

– Prowadzę...

– No tak, racja, nóżki przecież chude, nie poradzą sobie z pokonaniem tych kilku kilometrów. Zobacz – wystawił spod stolika wielką, masywną nogę przyodzianą w jeansy. – Całe życie zapieprzam albo z buta albo komunikacją publiczną i – wziął kufel w dłoń – piwo mnie kocha ze wzajemnością.

– Daro, pod to śledztwo – niemal błagalnym głosem wtrącił Papiś. – No, cho!

Pokonany przez kompanów, postanowił zostawić Audi 80 pod tym zakazanym miejscem i po chwili, z wielkim kuflem przepełnionym złotym napojem stuknął się z kolegami. Obydwoje z uwagą obserwowali, w jaki sposób ten zimnokrwisty, zazwyczaj kalkulujący każdy tekst facet zainicjuje znajomość z browarem. Darek jednak nie rozczarował ich i kilkoma łykami znacząco uszczuplił zawartość kufla.

W głowach trójki stopniowo coraz bardziej wstawionych mężczyzn zaczęły kiełkować załączki planu. Czas wyhamował, znikły gdzieś smutki i rozterki kończącego się powoli dnia. Kilka minut po 20, gdy na dworze było już ciemno, wesoła kompania maszerowała przed siebie, odprowadzając Papisia na przystanek autobusowy, od którego dzieliło ich ledwie kilkaset metrów. Po wylewnych pożegnaniach i zapewnieniach o tym, że jutro przyjdzie do pracy trzeźwy jak świnia, rozstali się z sympatycznym grubaskiem. Mimo że była już druga połowa kwietnia, temperatura bynajmniej nie należała do wysokich. Przyspieszyli kroku. Niekomfortową ciszę przerwał postawny, łysy facet.

– Lubię cię, Sikorski.

– Dzięki, szefie, ja...

– Nie przerywaj.

Spojrzał sugestywnym spojrzeniem. Uśmiech w mig zniknął z twarzy Darka.

– A lubię cię, bo do pewnego stopnia ta twoja wpadka przypomina mi o tym, co robię w tym zapizdowie. Nigdy nie zastanawiałeś się, po co stary dziad pcha się w portal internetowy?

– No przecież szef mówił, że dofinansowanie z Unii i takie tam...

– Pierdolenie o Szopenie, mój drogi. Wiem, co mówiłem, ale jak myślisz!?

– Cóż – głęboko wciągnął powietrze nosem – po mojemu to szef miał kiedyś jakiś inny biznes, tylko nie wszystko poszło zgodnie z planem. Dobrze myślę?

– W sensie, że inny niż media?

Przytaknął.

– Gówno prawda, Darek. Całe życie siedzę w tym pieprzonym bagnie – zwolnił kroku, filując go silnym spojrzeniem. – Gdybyś, młody, wiedział, z kim rozmawiałem, co żem słyszał to kurwa, chłopie...

– Jest szef pewien, że chce o tym rozmawiać w... takim stanie?

– Nie jestem pijany! Człowieku, oddałbym serce matki, żeby z kimś pogadać, ale, kurwa – zmarkotniał – nie mogę.

– Jak to szef nie może?

– Po prostu. Tej jebanej nocy, kiedy Wolna Polska upadła, w pieprzone trzy lata po okrągłym stole... powiedzmy, że obstawiłem złego konia. Kiedyś, jak już śmierć będzie nade mną stała z kosą, to spiszę te wszystkie rzeczy, nazwiska komuchów. Doskonale wiem, czym żeś podpadł i komu, młody. Lata lecą, ale słuch dalej mam dobry, a i wiem przy jakiej ścianie stanąć ze szklanką, żeby jak najwięcej nowinek z wielkiego świata podłapać.

– Od jak dawna?!

– Od początku. Chyba żeś wiedział wcześniej niż ty. Niestety, w mojej sytuacji tylko pochłaniam informacje, jak sracz gówno. Nigdy w drugą stronę. Wiesz, co by było, jakby nagle wielki kibel zaczął wyrzucać z siebie gówno?

– Masakra.

– No właśnie, młody. Masakra, dobrze powiedziane. Przykro mi, że spadło na ciebie, bo widzę, że dobry człowiek z ciebie, ale tylko zarysuję ci, że mnie spotkało to co ciebie razy sto! Zza rogu zaczął powoli rysować się dobrze oświetlony przystanek autobusowy.

– Przykro mi, szefie.

– Nie powinno. Każdy ma to, na co zasłużył. Karma czy inny chuj, coś takiego... – przeciągle beknął. – Ja się dogadałem z katami, że mogę pisać o tym, co się dzieje w miejscu, gdzie żyję. Ani gram więcej, żadnych ogólnokrajowych, gównianych afer. Zajęło mi to wiele lat, ale udało się. I zarabiamy. Twój oprawcy też w końcu zlużują. Kiedyś sami przyjdą i dostaniesz tak zwany kontrakt. Zobaczysz!

– Jaki kontrakt?!

– Późno już, zaraz mam autobus. Kiedyś pogadamy. Od jutra wymyślamy tobie i Papisowi piękną historię, w którą te skurwiele z ratusza uwierzą. Ooo, kurwa – spojrzał w stronę ruchliwej drogi, na której zamajaczył autobus z włączonym kierunkowskazem – to mój, cześć!

– Ech, do jutra!

Truchtem ruszył w stronę odległego o jakieś sto metrów przystanku autobusowego, w kierunku którego zajeżdżał właśnie autobus komunikacji miejskiej.

Zdruzgotany nadmiarem informacji, z na nowo uderzającymi zawrotami głowy ruszył chwiejnym krokiem w prawo, w kierunku głównej arterii komunikacyjnej, usiłując poskładać tę wiedzę, jaką dziś nabył w spójną, logiczną całość.

Zegarek informował, że wkrótce wybije 21. Lekko włączając nogami, ze zmarzniętymi dłońmi schowanymi do kieszeni, nucąc piosenkę wędrowców – Un kilometre a pied – parł przed siebie, mijając smutne blokowisko. Gdzie pracował stary? Komu podpadł? Jak przekonać Karpiuka i Kowala, żeby im zaufali i dali wplątać się w aferę łapówkarską? Dlaczego Aga jeszcze nie dzwoni? Jaka jest grzywna za wysikanie się w krzaki? Te i inne pytania kumulowały się w głowie i mieszały, dzięki alkoholowi tworząc niezrozumiałe węzły powiązań, które nie prowadziły do żadnych konstruktywnych wniosków. Był pewien tylko tego, że za chwilę eksploduje mu pęcherz i że trzeba było zabrać cieplejszą kurtkę, bo wiatrówka, którą miał na sobie tylko potęgowała uczucie wychłodzenia.

Z lawiny myśli wyrwała go ubrana na szaro postać, która szybkim, miarowym krokiem pędziła w jego stronę. Otumaniony alkoholem mózg wyłapał jakby w zwolnionym tempie, że biegacz, truchtając obok mierzy go uważnym spojrzeniem. Zapamiętał czarną czapkę, rumiane policzki, łatwe do odróżnienia względem nieproporcjonalnie bladych, jakby zmarzniętych ust i zaciśnięte pięści. Po chwili odwrócił się, aby popatrzeć jeszcze przez kilka chwil na ciało. Ze zdumieniem przyjął, że sportsmenka stanęła kilka metrów od niego i również z rosnącym zainteresowaniem, zerka w jego stronę. Zaintrygowany podniósł nieśmiało dłoń i pomachał. Opuściła głowę, oparła dłoń o kolana, wzięła kilka głębokich oddechów, wyprostowała się, mierząc go uważnym spojrzeniem, odwzajemniła gest po czym ruszyła przed siebie.

Stał tak jeszcze chwilę, obserwując, jak niknie w mroku, po czym ruszył przed siebie, aby na kilka minut przed 22 dotrzeć do domu. Wziął długą, gorącą kąpiel i nic nie robiąc sobie z nieobecności żony, wycudzonym nawykiem ruszył ze swoim dobytkiem ku kanapie. Lepiej było z nią nie zadzierać. Gdy tylko wyczuwała alkohol, pewnym były dwie rzeczy: po pierwsze zsyłka na kanapę, po drugie ostry jak brzytwa humor, który potrafił trzymać się jej nawet przez cały następny dzień. W ich obecnej sytuacji, gdy Aga zazwyczaj bywała w domu od godziny 22–23 do mniej więcej siódmej rano, punkt drugi tracił nieco na znaczeniu, toteż spokojniejszy o swój los Darek zasnął szybko, nie zastanawiając się nawet nad tym, co zrobi, gdy zapyta, gdzie jest samochód.

W niewielkim gabinecie szefa, od kiedy dołączył do nich jakiś tajemniczy, starszy facet, którego Kozak przedstawił Darkowi i Papisowi jako starego znajomego, rozpoczęła się burza mózgow. Lakoniczny, niepozorny gość, o przeciętnej twarzy standardowego klienta osiedlowych spożywców, którego każdy z nas wielokrotnie mijał, nie podejrzewając nawet, że przeciętnego wzrostu, byle jaki mężczyzna o stylu bycia żywcem wydartym z pierwszej połowy lat 90, jest kimś ważnym i – najpewniej – wysoko postawionym. Gość starał się nie wtrącać do dyskusji, która zaczęła zataczać coraz to szersze kręgi, łącząc na jednym gruncie informacje finansowe firmy Karpiuka i nieoficjalną korespondencję mailową między nim a burmistrzem, którą w sobie tylko znany sposób zdobył dla nich małomówny gentleman.

– Wygląda na to, że faktycznie, można coś ulepić w tym kale, prawda? – łysy mężczyzna spojrzał w kierunku Darka.

Ten lekko skinął głową, jednak myśli krążyły teraz wokół tajemniczego mężczyzny, który skutecznie absorbował jego uwagę.

– Nie możecie tego ujawnić – dobiegło z ust niespodziewanego gościa. – To by wplątało wszystkich tu zgromadzonych w zbyt wiele komplikacji, sam wiesz, Tadziu.

– Wiem, druhu. Ale widać jak na dłoni, że jeśliby lekko zapożyczyć te materiały na prywatne potrzeby, to wszystkie strony na tym skorzystają.

– Rozwiń.

– No, na przykład to – wziął do ręki jedną z wydrukowanych kartek, odczytując zawartość. – „Obniż o 8 tysięcy, bo WolTechBud depcze ci po piętach”. Albo to: „Most przy Poniatowskiego na minus dwa tygodnie”.

Tajemniczy facet podparł się dłonią na kanapie, oczekując na ciąg dalszy. Ten nastąpił niebawem.

– Szef chce w toku rozmowy z którymś powołać się na te a nie inne przykłady?

– Chuj wie. To jedna z opcji, ale wtedy mogliby się przestraszyć.

Kątem oka Darek dostrzegł, jak postać siedząca na kanapie skinęła głową, najwyraźniej zadowolona z takiego toku rozumowania.

– Dobra, może zaczniemy od rzeczy oczywistych. Na co chcemy dawać łapówkę, Papiś? Jak to chcecie zaplanować?

– Wiarygodnie. Najpierw stworzymy jakieś pozory, gdyby chcieli nas sprawdzić. Wiadomo, strona, pieczętki i takie tam. W gminie za kilka tygodni mają polecieć przetargi na dwie inwestycje drogowe, jakiś parking i renowację centrum sportu.

– Strona i pieczętki, mówisz?

– To prosta robota, myślę, że grafik robi to za psi grosz, a może nawet za friko.

Szef westchnął, gestem dłoni nakazując kontynuowanie wywodu.

– Dodamy sobie kilka wykonanych zleceń, jakiś starter, który będę nosił w drugim telefonie, gdyby dzwonił i takie tam, chociaż nie spodziewałbym się, aby ktoś drażył temat, jeśli poczuje przed nosem grubą kasę.

– Amatorszczyzna – dobiegło z kanapy – chociaż patrząc po tym, ile znalazłem w parę godzin może wystarczy. Musicie jednak zerknąć szerzej, do pewnego stopnia globalnie.

– Co pan ma na myśli? – wtrącił Darek.

– A jak pan uważa? Na co zwracają uwagę ludzie, którzy łamią prawo? Co jest dla nich największym gwarantem na to, że mogą wam zaufać?

– Statyści?

– Proszę rozwinąć – podniósł się, wyraźnie zainteresowany jego tokiem myślenia.

– No po mojemu to może to być działalność na szerszą skalę, ręka rękę myje i takie tam...

– Nie. To odpada. Nie wolno tak zakładać, bo łatwo was wysiudają. Proszę założyć raczej, że proceder nie wychodzi poza region. A nie wychodzi, bo...

– Bo ktoś by przyskrzytnił?

– Kto?

– Policja, urzędnicy?

– Dobrze. Zatem, gdzie trzeba uderzyć? Kogo trzeba szukać?

– Skorumpowanych pałkarzy?

Tajemniczy mężczyzna uśmiechnął się lekko, sięgając do wewnętrznej kieszeni sztruksowej marynarki. Wyciągnął zaklejoną kopertę, którą po chwili położył przed zgromadzonymi.

– To taka malutka lista tych – zawahał się, jakiego słowa użyć – na których warto się powołać. Zakreśleni na czerwono mają na koncie takie sukcesy, że samo tylko użycie ich nazwiska powinno otworzyć wam w tym światku wiele drzwi.

Papiś sięgnął po kopertę, pytającym wzrokiem patrząc na faceta.

– Niech się pan nie spieszy, panie Patryku – uśmiechnął się. – Zapamiętajcie, po dwa–trzy nazwiska, a za samą karteczkę odpowiedzialny będzie Tadek.

– Stary, wiesz przecież, że...

– Wiem. Wszyscy wiedzą. I dlatego, że grzecznie się trzymasz smyczy, nikt nawet nie spojrzy w tę stronę. Zrób, co chcesz, możesz nawet to spalić. Dla mnie to bez różnicy.

– Dziękujemy, panie... – Darek zrobił wyczekującą przerwę.

– Ma pan dość nazwisk do zapamiętania z listy. Kolejne panu nie potrzebne – uciał, powoli podnosząc się z kanapy. – Na mnie pora.

– Nie napijesz się?!

– Wybacz, Tadziu, obowiązki. Niebawem pogadamy. Z niecierpliwością będę wyczekiwał postępów w tym śledztwie. Wszyscy wiedzą, że Kowal to skurwysyn. Nawet w partii. Chętnie popatrzę na jego upadek.

Wstał, uśmiechnął się, ucisnął każdemu dłoń i wolnym krokiem, nie odwracając się za siebie, opuścił biuro redakcji.

– Szefie...

– Nie powiem ci, kto to był – uciał. – Ale jeśli pomaga, to znaczy że można kopać głęboko – wyszczerzył zęby, po chwili sięgając w głąb biurka. Pojawił się przed nimi szlachetny, irlandzki alkohol i sporych rozmiarów kieliszek.

– Nie proponuję wam, bo macie jeszcze w chuj pracy, panowie. Papiś, koperta zostaje u mnie. Takimi grubymi sprawami zajmiemy się, gdy cała reszta będzie dograna. Dogadajcie się

między sobą, chłopaki.

– Kogoś ze stażystów bierzemy?

Starzec aż odkaslnął.

– Jasne! I do tego żonę Karpiuka, sekretarkę starego i wszystkie patrole drogówki!

– Przepraszam...

– Wynoście się, do roboty! Chcieliście się bawić w wielkie śledztwo, to zapierdalać! – rzucił ze skwaszoną miną, palcem wskazującym pokazując, aby obrali kurs na drzwi od gabinetu.

Po chwili znajdowali się w sekretariacie. Patryk zasiadał przy biurku, Darek dostawił krzesło i naprędce zorganizował kilka czystych kartek, przygotowany do notowania kluczowych punktów.

– Co go ugryzło?

– Żal.

Wbił wzrok w kumpla z pracy.

– Wyglądało to tak, jakby kiedyś robili razem. Szef dawno temu stracił grunt pod nogami. No, ale raczej mu nie przejdzie, jeśli nic ciekawego nie wymyślimy. Masz plan?

– Dzisiaj pogadam z grafikiem o tej stronie. Zrobię rekonesans w branży. Ty?

– Stworzę historię firmy – Darek uśmiechnął się pod nosem. – Zawsze chciałem być bajkopisarzem.

Parsknęli śmiechem. Papiś wybudził laptopa, uruchomił komunikator i dwuklikiem zainicjował rozmowę z kimś podpisanym jako „grafik”.

Z głośników leniwie sączyło się „Complicated”, napisane i wyśpiewane przez Avril Lavigne. Zasłonięte okna przestronnego pomieszczenia wpuszczały znikome ilości światła, toteż mimo relatywnie późnej pory, w mieszkaniu panował niemal półmrok. Siedziała na skórzanym fotelu, surfując po sieci. Czarne oczy poświęcały kilka minut wybranym przez system facetom, z którymi rzekomo miała zbieżny charakter. Obok klawiatury leniwie drzemał wysoki, pomarańczowy kubek z aromatyczną kawą, po który sięgała raz na kilka minut. Obok kubka kilka zagadkowych tabletek, cały czas nie tkniętych przez Iwę. Uśmiechała się sarkastycznie co jakiś czas, w głębi siebie skreślając właśnie kolejnych kandydatów na idealnego chłopaka.

Wraz z nadejściem wiosny, gdy udało jej się odzyskać chwiejną równowagę emocjonalną, wzięła się za siebie. Zapisła się na siłownię, zmieniła dietę na bezglutenową, znacząco ograniczając ilość drożdży i cukrów prostych w menu, wreszcie po kilku długich, cholernie ciągnących się nocach, gdy musiała walczyć sama ze sobą zapisała się do psychologa, do którego uczęszczała kilka razy w miesiącu. Wiecznie uśmiechnięta kobieta o zniszczonej papierosami cerze, żółtych zębach i dziesiątkach rekomendacji od zadowolonych klientów sprezentowała jej garść tabletek, gdzie lista przeciwwskazań i możliwych działań niepożądanych wystarczyłaby na stworzenie niedużej, autorskiej publikacji.

Wraz z ostatnim refrenem w wykonaniu Avril, z głośników wybił głuchy „gong”. Opuściła wzrok niżej, wprost w dolny prawy róg wielkiego monitora. Pulsujące na zielono kółeczko informowało o wiadomości przychodzącej. Najechała kursorem, po chwili w dymku wyświetlił się napis „Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]”. Iwa, jako osoba na wskroś wygodnicka i zorganizowana, poza szczegółowym zapisywaniem kontaktów według wielu różnych, często nieco oderwanych od rzeczywistości kategorii (jak na przykład potencjalnej wartości zamówienia), posiadała też prosty, ale spełniający funkcję system, nazwijmy go,

cyfrowy. Im niższa cyfra, tym kontakt oznaczał dla niej więcej. A to większy zarobek, a to rozbudowa poprzednio realizowanego zamówienia, czy też wreszcie dobra współpraca, dająca nadzieję na przyszłość.

Odczekała kilkanaście minut, czy aby przez ten czas nie odezwie się nikt z wyższym priorytetem, sprawdziła skrzynkę e-mailową, gdzie jak na złość nie znalazła nic ciekawego, zwiedziła portal Naszewspolnemiasto.pl, aby w razie przeciągającej się rozmowy, być na bieżąco z wydarzeniami, jakie ten dziwny, śliniący się spaślak miał tam zamieszczać. Nieco zirytowana uruchomiła wreszcie okno kontaktu, decydując się na rozpoczęcie rozmowy.

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: Jesteś?

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: Halo...?

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: byłoby zlecenie...

Westchnęła, w głębi kalkulując, czy i kiedy zdoła upchnąć w grafik jeszcze jednego klienta.

Ja: streszczaj się, zaraz wychodzę.

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: znajoma firma budowlana potrzebuje prostej strony WWW tak na za dwa tygodnie

Ja: to daj im namiar na mnie

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: chcą, żebym to załatwił, to dobry kolega

Ja: stateczna czy jakaś rozbudowana, bo z czasem nie wyrabiam.

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: stateczna, to naprawdę dzień dwa i gotowe.

Ja: za ile?

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: liczyłem, że po starej znajomości zrobisz ją za friko :)

Usta wygięły się w ironicznym uśmiechu. Pociągnęła łyk kawy, wahając się, czy aby nie zamknąć okna w cholerę i nie wrócić do surfowania po sieci. Jednak intuicja podpowiadała jej nieco inne rozwiązanie tej sytuacji.

Ja: zgoda, jeśli do tego dorzucisz płatną rozbudowę portalu. Widziałam, że wielu użytkowników z telefonów komórkowych narzeka na brak wersji na komórki. Nie skasuję drogo.

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: to znaczy ile?

Ja: 1K PLN.

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: masz jutro czas?

Ja: możliwe.

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: przyjdź i pogadamy z Kozakiem. Sam go nie przekonam. Nie znam tego technicznego bełkotu ;)

Palce, lekko muskając kant biurka wybijały rytm. W głębi siebie wiedziała, że ma go w garści. Tak samo zresztą jak starego, któremu już kilkakrotnie wmówiła, że taka a nie inna funkcjonalność portalu informacyjnego jest absolutnie niezbędna. Kto wie, może zgodzi się na rozliczenie pod stołem. Wtedy zyskaliby wszyscy.

Ja: na którą?

Patryk: Naszewspolnemiasto.pl [2]: pasuje. Na ~13 jest OK?

Po chwili dotarła odpowiedź:

Nasz grafik: OK. Kończymy. Do jutra, cześć!

Ja: cześć ;)

Zadowolony z dobrze wykonanej roboty wyłączył Windowsa, zamknął laptopa i unikając spojrzenia nieco zdziwionego takim obrotem spraw Darka, zaczął przeglądać się w wiszącym na przeciwnej ścianie lustrze. Po kilku minutach, które dla Patryka zdawały się trwać ledwie kilka sekund, w czasie których dokładnie sprawdził, czy aby bródka jest równo przycięta, zerknął, czy oczy nie są podkrążone i czy wszystko w porządku z zębami, usłyszał głos kolegi:

– Powaliło cię? Co robisz?

Speszony odwrócił się, usiłując zbagatelizować temat.

– Nic szczególnego, takie tam...

– Znam cię już trochę i tak się jeszcze nie zachowywałeś odkąd tu siedzę. Randka?

– Nie – rzucił zgaszonym głosem, siadając na biurku.

Darek odłożył garść zapisanych kartek, poświęcając mu całą uwagę, podświadomie czując, że tęgi kolega chciałby się przed nim otworzyć.

– To co jest? No, Papiś...

– Jutro szprycha przychodzi.

– Szprycha?

– No, nasz grafik! Taka niunia, że stary, nie ma opcji, żeby nawet spojrzała na mnie inaczej niż na kogoś, kto ma dla niej zlecenie typowo zawodowe.

– Nasz grafik i informatyk to... kobieta?!

Przytaknął.

– Masakra! Kobieta informatyk – usta wykrzywiły się w szelmowskim uśmiechu. – To prawie jak facet pielęgniarz czy coś.

– Poczekaj, aż ją zobaczysz, chłopie!

– E tam – rzucił, machając dłonią, zupełnie jakby odganiał właśnie jakąś natrętą muchę.

– Na pewno fajna, skoro ci się podoba, ale jakoś tak to abstrakcyjnie ciągle brzmi.

Dostrzegł, że Patryk mierzy go coraz to bardziej surowym spojrzeniem. W lot zrozumiał, że dyskusja zmierza na zły tor.

– No, ale nieważne. To co zrobisz, jak jutro przyjdzie?

– Nie wiem właśnie. Wiadomo, jutro przed pracą fryzjer, lepsze łachy i bajera.

– Próbowalesz wcześniej?

– No niby tak, ale i nie... zarazem. No, powiedzmy, że raczej chyba nie!

– Aha – uciął, domyślając się, że tłuscioch dostał kosza. – No cóż, jutro na pewno ci się uda. Będę się zawiązał chyba. Nic już dziś nie zrobię, a Aga ma dzisiaj przyjść wcześniej.

– Taa, ona wcześniej – parsknął. – To by chyba oznaczało, że idzie koniec świata!

– Kto wie. Chodź, podrzucę cię, jeśli już skończyłeś wszystko co tam miałeś w planach, między przerwą na pedicure a laserowym cieniowaniem wąsa – wyszczerzył się ku niemu, usiłując rozładować atmosferę.

Kolega parsknął śmiechem, odganiając stres związany z jutrzejszą wizytą niespełnionej miłości. Po zakomunikowaniu solidnie wstawionemu przełożonemu, że wychodzą, ruszyli w stronę oddalonego ledwie o sto metrów parkingu, oferującego całkiem korzystne miesięczne abonamenty.

Przed 18 zameldował się w domu, zamówił pizzę i rozłożył się na kanapie, analizując wszystko to, co dziś usłyszał i starając się zmontować jakąś spójną, zgrabną historię. Co jakiś czas jego myśli zaczynały ciążyć w stronę tajemniczej kobiety, którą tak bardzo ekscytował się Papiś. Na co dzień sympatyczny, ale i daleki od okazywania emocji mężczyzna, dzisiaj zachował się dziwnie. Trudno będzie nie podśmiewać się z tłuscioszka, naprędce sprawdzającego w lustrze, jak wygląda. Zrozumiałby takie zachowanie u napalonego 18 latka, który zgodnie z amerykańskim zwyczajem idzie właśnie na słynną TRZECIĄ randkę, z nadzieją na coś więcej,

ale u niespełna trzydziestoletniego, silnego jak dąb, inteligentnego chłopca. Szczerząc się do sufitu rozmyślał o tym, czy aby jego serdeczny kolega nie jest jeszcze prawiczką.

Późnym wieczorem, gdy zalany w trupa Tadeusz Kozak powoli zaczął gramolić się w stronę przystanku autobusowego podjechał czarny pojazd z zaciemnionymi szybami. Zatrzymał się kilka metrów przed nim. Drzwi otworzyły się lekko. Otepiały umysł zmusił się do zwrócenia uwagi na to nietuzinkowe zjawisko. Zza drzwi objawiła się uśmiechnięta od ucha do ucha twarz znajomego.

– Co... ty tu ro-obisz?

– Teraz mam trochę czasu. Wsiadaj, zapraszam na drinka!

Rozsiadł się na fotelu pasażera, uchylając szybę, jakby obawiając się, aby nie zarzygać auta zaufanego kamrata, z którym od wielu lat łączyła go silna więź. Przyjął od niego jakąś niedużą kapsułkę, którą popił łykiem wody mineralnej. Jakby przeczuwając, co go teraz czeka, rozłożył się na wygodnym siedzeniu, powoli odpływając w nieznane. Samochód łykał kolejne kilometry. Zamazane, szare budynki powoli zniknęły sprzed oczu. Pojawiła się ciemność, co jakiś czas przerywana przez fragmenty radiowych piosenek, które jakby przez wielką, grubą szybę z trudem docierały do odpływającego w nieznane redaktora Kozaka.

Nie kłamała Patrykowi, mówiąc, że ma mało czasu. Przynajmniej teoretycznie, zgodnie z niespisanymi kobiecymi zasadami, które pozwalają na lekkie manipulowanie czasem, przestrzenią i cenami zakupionych łasek czy butów. Wolnym krokiem, jakby idąc pod gilotynę zawitała do odremontowanego, niedawno oddanego do użytku centrum medycznego. Omijając spojrzenia recepcjonistek i kilku pacjentek dotarła do samego końca eleganckiego, pełnego replik znanych obrazów korytarza i skręciła w lewo. Białe drzwi przyozdabiała tabliczka z napisem dr Ewa Minke – psycholog. Zapukała i pociągnęła za klamkę. Drzwi otworzyły się lekko. Przywitała ją nieduża, skromnie urządzona poczekalnia, na środku której stał wiekowy, drewniany stolik, pełen broszurek. W rogu, zaraz obok okna wychodzącego wprost na wewnętrzny, zakładowy parking stała butla z wodą. Na białych, krzesłach z wygodnym oparciem, których w pomieszczeniu było siedem nikt nie siedział. Czerwona zawieszka na drzwiach, wspólnie z głosami dobiegającymi z wewnątrz pomieszczenia, gdzie przyjmowała pani doktor, zdradzały, że nie można teraz zapukać, wejść i porozmawiać z tą dziwną, do pewnego stopnia oderwaną od rzeczywistości kobietą. Zresztą, miała jeszcze kilkanaście minut. Z nudów, wzięła się za lekturę jakiejś starej prasówki, poświęcając swoją uwagę artykułowi traktującemu o niezwykłych właściwościach medycznych roślin, jakie każdy z nas może uprawiać w swoim ogródku.

Śmiechy i coraz głośniejszy tupot czyichś kroków wypełnił pomieszczenie. Kątem oka zerknęła na podłogę, gdzie przez moment zatańczył ledwie co widoczny cień. Wiedziała, co to oznacza. Paradoksalnie wiedziała też, co to oznaczało kiedyś, gdy jeszcze mieszkała z matką i siostrą. Często przechadzały się tak obok jej pokoju, chcąc uśpić czujność. Dopiero gdy zmęczony organizm zaczynał ignorować kroki i cienie, wędrujące na drewnianej posadzce uderzały z całą siłą o drzwi i doprowadzały ją do krzyku. Starym nawykiem, usiłując zasłonić głowę i brzuch przed ciosami skuliła się w kłębek. Gdzieś na moment znikły śnieżnobiałe, czyste ściany, dobrze naświetlone pomieszczenie i poczucie bezpieczeństwa. Coraz to większymi oczyma zerknęła w stronę wędrującego cienia, który zdawał się przypominać o największych

koszmarach, jakich doświadczyła. Poczła charakterystyczną woń domu z bali, przez moment zdawało jej się, że leży w łóżku, okryta puchową kołdrą, mając za sobą jedynie ścianę i okno, z którego już dawno temu roztopna matka wymontowała klamki. Obraz przed oczyma Iwy zaczął ciemnieć. Ktoś napał na klamkę. W głębi siebie czuła, jak serce zaczyna bić coraz mocniej, zupełnie jakby ostrzegało ją o zbliżającym się zagrożeniu.

Gdy tylko drzwi otworzyły się szeroko przysięgłaby, że przez moment, przez kilka chwil widziała charakterystyczną dłoń matki, z wielkim, złotym pierścionkiem na palcu serdecznym. Po chwili zza drewnianej konstrukcji wyłoniła się cała ręka.

– Proszę, nie – wyszeptwała łamiącym się głosem.

Ciemność i zapach drewna znikły tak nagle, jak się pojawiły. Na zwiniętą w kłębek dziewczynę patrzyła z niedowierzaniem jakaś ładnie ubrana kobieta po czterdziestce, z wyraźną nadwagą i z wielkimi okularami na nosie, które czyniły z niej niemal hybrydę człowieka i sowy.

– Niech już pani idzie – dobiegło zza niej.

Rozpoznała wysoką, grubą kobietę o ostro zakończonym nosie, źle wydepilowanych brwiach i zniszczonej cerze, która ruszyła ku niej, usiadła na krześle obok i objęła ją, pozwalając się wypłakać.

Czuła od niej gryzący zapach dymu tytoniowego, jednak te wielkie łapska, jak żadne inne głaskały ją delikatnie po głowie i po ramionach. Serce powoli zaczynało bić normalnym rytmem. Z każdym słowem pani doktor czuła, jak spokój na nowo wlewa się w duszę.

– Wszystko dobrze, Iwa, już – usłyszała.

Wkrótce opanowała potok łez, odsunęła ją lekko i wielkimi oczyma zerkała na nią, jak na wybawczynię, która właśnie na dobre odsunęła od niej mrok. Wstała, chwytając wystawioną rękę, która zaprowadziła ją do ciepłego, utrzymanego w odcieniach pomarańczy dobrze naświetlonego gabinetu i pomogła położyć się na leżance. Dłonie przestały drżeć.

– Gotowa?

– Tak – rzuciła naturalnym głosem.

– Opowiedz co nowego. Witaminki działają?

Wypuściła głośno powietrze. Rozpoczynała się Godzina Szczerości.

Z rosnącym zniecierpliwieniem czekał, aż zakończą się oficjalne przemówienia i peany, których treść można by streścić do tego, kto komu wszedł w dupę, kto pomógł skądś wyrwać kasę i kto, nie patrząc na koszt, zdecydował się w roku wyborczym zrealizować wielką inwestycję, jaką była rewitalizacja miejskiej biblioteki. Znudzony, zasiadający w trzecim rzędzie Darek, z aparatem przewieszonym przez szyję, w jakiejś naprędce wygrzebanej z szafy marynarce i czarnych jeansach, notując zirytowanym wzrokiem zerkał na zegarek, który niebezpiecznie szybko zbliżał się do godziny trzynastej.

Jakaś nieznana kobieta (dopiero później ktoś życzliwy poinformował go, że to dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej) dziękowała właśnie burmistrzowi. Pojawiły się kwiaty dla jednego z senatorów, który rzekomo pomagał w cyfryzacji zbiorów, jakie zgromadziła placówka. Senator, poczciwy starzec o siwej fryzurze, podwójnym podbródku i nienaturalnie czarnym, dziwnie gryzącym się z siwizną wąsieżką szeptał właśnie coś zapamiętane do burmistrza, zupełnie ignorując produkującą się na jego cześć dyrektorę.

Obok Darka jakaś dziewczyna z miejskiego serwisu informacyjnego znużonym wzrokiem zerkała na listę mówców. Ktoś nieopodal przyglądał się paznokciom, naprędce polerując je o

twardą fakturę marynarki, a większość pracowników zasiadająca w drugim rzędzie krzesełek pustym, nieobecnym wzrokiem pływała gdzieś po szerokich, ciepłych wodach marzeń, planów i ambicji.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Według planu jakieś pół godziny – odparła dziewczyna z sąsiedniego krzesła.

– Jasna cholera. Kto ma jeszcze przemawiać?

– Senator.

– Tylko?

Skinęła głową.

– Ech, no cóż. Generalnie wszystko już wiadomo, ale fajnie byłoby mieć zdjęcie starego.

Uśmiechnęła się, przytakując.

– Taki los – wierząc się na krześle wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i naprędce napisał do Patryka SMS– a. Znudzony, zerkając na produkującą się cały czas kobietę, która sprawiała wrażenie święcie przekonanej o tym, że wszyscy jej słuchają, popłynął w ocean swoich marzeń.

Pół godziny później, już ze zdjęciami wszystkich biorących udział w tym ważnym dla lokalnej społeczności wydarzeniu, bogatszy o kilka zdań, jakie wymienił z senatorem, przykładając dyktafon tak blisko jego ust, jak to tylko możliwe, pędził truchtem w stronę parkingu. Było dopiero kilka minut po trzynastej, toteż zakładał, że przy dobrych wiatrach zdoła jeszcze poznać tajemniczą dziewczynę, która tak bardzo wpadła w oko koledze z pracy.

Skromnie ubrana, w dobrze przylegających do ciała jasnych jeansach, zakiecie, pod którym skrywała się biała koszulka z okazałym wcięciem na wysokości dekoltu, przyozdobionym jakimś niedużym, ale stylowym wisiorkiem powoli pokonywała kolejne stopnie, dzielące ją od drugiego piętra, gdzie mieścił się lokal numer 6, podnajmowany przez redakcję, dla której wykonała stronę internetową. Niewysokie, szare balerinki z nieproporcjonalnie dużą kokardką nie wydając niemal żadnego hałasu na odremontowanych, drewnianych schodach, powoli zmierzały ku pierwszemu piętru. Eleganka o blond– czuprynie po chwili zapukała w drzwi lokalu numer sześć i nie czekając na odpowiedź, naparła na kłamkę.

Gdy tylko Papiś ją zobaczył, poprawił nową, ciemną koszulę w paski, która miała ukryć nadwagę. Przywdział na twarz uśmiech z kategorii „jestem twój, możesz po mnie chodzić w szpilkach, okaż tylko zainteresowanie” i rzucił dziwnym głosem, jakby ktoś go trzymał za gardło:

– Cześć...

Uśmiechnęła się lekko, jakby napotkała wzrokiem odźwiernego, zamknęła drzwi i usiadła, mierząc go uważnym spojrzeniem.

– Napijesz się czegoś?

– Wody może. Mamy mało czasu...

– Co u ciebie słychać? – uśmiechnął się serdecznie, pilnując się, aby za radą kumpli nie przypominać wygłodzonego samca chomika syryjskiego.

– Nic. Jest Kozak?

– No jest.

– To chodź, może omówimy szybko, co jest do załatwienia i dasz mi listę tych wszystkich rzeczy, jakie mają być na stronie dla kolegi od budowlanki, co?

– Myślałem, że teraz... razem to ustalimy?

– Szkoda czasu. No, wstawaj – uśmiechnęła się, podnosząc się z krzesła. Przez moment Papiś przysiągłby, że z za stylowego stanika dostrzegł spory fragment piersi. Wyglądała na jędrną, aż proszącą się o to, aby ją dotknąć. Dotykać. Ciągle dotykać. Cały czas. Chyba nawet zgodziłby się na poddanie miniaturyzacji, gdyby tylko pozwolono mu zamieszkać w jej dekolcie.

– Idziesz?

Rugając się, wrócił do świata żywych, wstał i mierząc ją uważnie wzrokiem, obszedł biurko po czym zapukał do drzwi. W tym samym czasie telefon, który zostawił obok laptopa odegrał krótką melodyjkę, którą chłopak zignorował.

– Siadajcie. Ile mnie to wyjdzie tym razem, droga pani? Patryk, daj wody!

– Niedużo. Naprawdę, panie Kozak.

– Za co płacę?

Przed szefem i Iwą pojawiło się szkło z niegazowaną, przezroczystą cieczą. Dziewczyna kilkoma łykami opróżniła połowę zawartości szklanki.

– Coraz więcej osób surfuje po sieci z telefonu komórkowego. Mało kto ma czas, aby siadać przy komputerze, wklepywać adres strony i męczyć się z dotarciem do informacji, skoro to samo mogą zrobić zdalnie, podczas przerwy w pracy ze smartfona. A każdy chce być na bieżąco.

– Ja tam sobie radzę bez telefonu!

– Z całym szacunkiem, ale raczej mówiłam o pokoleniu, które...

– Wiem, proszę pani, wiem. Stary przyk ze mnie, to chce pani tak ładnie powiedzieć – roześmiał się.

– To bardzo przydatna funkcjonalność. Reklamy będą się wyświetlały, więc nie ryzykuje pan utraty zarobku, bo ktoś zacznie surfować tylko z telefonu, a laptop pójdzie w odstawkę.

– Ile by to trwało?

Siedzący na uboczu Papiś zmierzył ją silnym spojrzeniem. Ten jeden, jedyny raz zdała się go dostrzec.

– To już z Patrykiem omówimy, żeby wszystko dopiąć jak najszybciej, ale myślę, że mniej niż trzy tygodnie.

Starzec podparł się rękoma, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

– To teraz najważniejsza część, droga pani. Jak to wygląda w sprawie kosztów?

– To zależy od otwartości, panie Kozak. Nie wiem, jak pan, ale nie lubię z każdym głupim druczkiem biegać i uruchamiać tych wszystkich biurokratycznych machin – uśmiechnęła się lekko.

Papiś obserwował, jak siedząca nieopodal kobieta ze spokojem godnym agentki wywiadu obcego mocarstwa, nie obawiając się niczego, oferuje właśnie jego przełożonemu udział w przestępstwie gospodarczym na niedużą skalę.

– Jebać skarbówkę i ZUS – rzucił, mierząc ją silnym spojrzeniem. – Ile?

– Tysiąc.

– Dużo, droga pani. Może 800 i przedłużymy sobie termin do miesiąca? Mimo tej pięknej mowy, nie czuję tych komórek i całej tej otoczki, ale wierzę w panią i zakładam, że to co pani oferuje, wypali.

Westchnęła, opuściła głowę, przez chwilę analizując opcje.

– Ale płatne z góry i gwarancja jakiegoś zlecenia w najbliższym roku. Ja z kolei dam najlepszą cenę. Może być?

Atmosferę negocjacji przerwał dźwięk telefonu, dobiegający zza drzwi. Obydwoje spojrzeli na Papisia, który w lot pojął, że najwyraźniej wszechświat pragnie, aby o końcowych ustaleniach dowiedział się z drugiej ręki.

– Elegant, odbierz!

Dziewczyna uśmiechnęła się. Po chwili sięgnął po telefon komórkowy, w głębi serca zlorzecząc tajemniczemu rozmówcy.

– Halo?!

– Jadę! Jest jeszcze?

– Gdzie jesteście? – syknął.

– Korek jest na Kosynierów, wybacz. Jest?

– Tak. Sprężaj się. Oczy ci z gałek wyjdą.

Zauważył, jak drzwi od biura szefa otwierają się. Wyłoniła się zza nich jego wymarzona dziewczyna.

– Muszę kończyć. Dorzuć do pieca, stary.

Darek nie dostał nawet szansy, aby zadeklarować, że zrobi co tylko w jego mocy, aby zdążyć na spotkanie z tajemniczą nieznajomą, którą tak bardzo ubóstwiał kolega.

– I jak? – zagadał, odkładając telefon i wskazując krzesło przed nim.

– Wszyscy będą zadowoleni. Mów szybko, co to za strona ma być?

– Czekaj... o, zobacz – z szuflady biurka wyciągnął amatorski szkic, jaki wykonał rano na kartce formatu A4. Sięgnęła po obrazek.

– No spoko. Fajnie, fajnie a to, tu? Te pytajniki? Takie tło ma być?

– Nie. To na treść. Kolega nad tym dopiero pracuje. Doślemy ci.

– Może być. To naprawdę będzie krótka piłka. Serwer i domenę kolega ma?

– Jeszcze nie – powiedział nieco speszyonym głosem.

– To ma jakieś trzy dni, więcej mi nie trzeba. Mogę to zatrzymać?

– Tak, jasne, ale czy nie chcesz może...

Poczuł na sobie jej spojrzenie. Jakby jednym malutkim ruchem oczu przebijała się przez umysł, świadomość, drążąc duszę i znając wszystkie myśli i słowa, zanim zda sobie z nich sprawę, nie wspominając nawet o wypowiedzeniu.

– Czy może... ty...

Uśmiechnęła się ciepło.

– Patryk, jesteś fajny facet. Ale zapewniam cię, nie jestem osobą w twoim typie. Mamy fajną relację na gruncie zawodowym. – Boże, co za kretyn – pomyślała, powstrzymując się, aby nie wypowiedzieć tego na głos – i niech tak zostanie, dobra?

– Ale...

– Nie utrudniaj, no – zmierzyla tłucioszka serdecznym spojrzeniem. Złamany, opuścił głowę w dół.

– To lecę! Cześć!

Spode łba zerkał, jak dziewczyna zbliża się do drzwi i znika za nimi. Głuchy trzask drewnianej konstrukcji obwieścił, że niedoszła ukochana na zawsze pozostanie w sferze marzeń, jako niezdobyte trofeum. Sięgnął po butelkę z sokiem pomarańczowym.

W tym samym czasie wyraźnie zasmucona Iwa pokonywała kolejne metry, dzielące ją od postoju taksówek, ulokowanego nieopodal strzeżonego parkingu, w kolejce do którego gramolił się właśnie jakiś wiekowy rzęch koloru czerwonego. Po chwili odjechała, podczas gdy przykrótki, biało-czerwony szlaban właśnie unosił się ku niebu, udzielając zgody czerwonemu Audi 80 na wjazd na teren parkingu.

Kilkoma susami pokonał ruchliwą ulicę, wdrapał się po schodach i zziębnięty wparował do biura. Smutna twarz kumpla od razu powiedziała mu, że coś poszło nie tak. Łapiąc zachłannie powietrze postawił przed nim aparat, rzucił na jedno z krzeseł firmowego netbooka i cały czas mierząc Papisia wzrokiem, zapytał:

– Nie wyszło?

Skinął głową.

– Nie chcesz o tym gadać, co?

Znów przytaknął.

– Chodź, mamy trochę rzeczy do zrobienia. Potrzebuję pomocy. Sam sobie z tym nie poradzę.

Ruszył ku niemu, klepiąc eleganckiego tego dnia kumpla po ramieniu. Syty artykuł, jaki w ciągu najbliższych 30 minut wyszedł spod klawiatur obydwu, jako pierwszy w regionie opisujący oddanie do użytku odremontowanej biblioteki, cieszył się sporą oglądalnością.

Wzięli się za pracę nad kolejnymi wariantami historii, jaką chcieli kupić zaufanie Karpiuka i burmistrza. Mimo że robotę w większości odwał Darek, to jednak po jakimś czasie Papiś aktywnie włączył się w projekt, a z pulchnej twarzy zaczęła znikać obła, zupełnie doń nie pasująca, smutna mina.

*** Wiosna: maj ***

Siedziała właśnie przed firmowym laptopem, z uwagą przyglądając się kolejnym zeskanowanym stronom dokumentu. Znużone spojrzenie, nieco zaczerwienione oczy i nieodłączny kubek wypełniony mocną kawą z firmowego ekspresu zdradzał, że kontrakt dla nowego klienta, prowadzony przez Agnieszkę Sikorską na zlecenie jej przyjaciółki i przełożonej, Olki Warzechy wchodzi właśnie w ostatni etap. Smukły palec wskazujący, z paznokciem tego dnia pomalowanym na czerwono kręcił kolejne metry na scrollerze od myszki. Znużona co jakiś czas zerkająca na zegarek, jednak czas, jak na złość nie chciał znacząco wyrwać do przodu i w tym momencie wskazywał dopiero godzinę 16.

Drzwi gabinetu z hukiem się otworzyły. Aż podskoczyła na krześle, wyrwana z roboczego transu. Natrafiła na przerażone spojrzenie przyjaciółki, która skutecznie skupiła na sobie uwagę kilku osób przesiadujących w sąsiednich boksach.

– Olka, co się stało? Chodź, zamknij drzwi!

– Nie mam czasu. Muszę na policję jechać.

– Co się stało?

– Stary zadzwonił, że synek się dostał na dołek, nie znam jeszcze szczegółów, Aga. Czy ty... – gestem dłoni wskazała na laptopa – sama...

– Tak. Jedź, dziewczyno, jedź! Dasz radę w takim stanie?

– Myślę, że tak.

– Może weź taksówkę?

– Przemyślę to sobie. Aga, przepraszam, ale no nie planowałam tego przecież!

– Wiem. Jedź, nie ma tematu. Wróć, jak wszystko się wyjaśni. To na pewno nic wielkiego. Oni kasują pod byle pretekstem!

– Dzięki, kochanie.

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę wyjścia. Jeszcze nigdy nie zdawało jej się, że ta cholerna winda tak długo zjeżdża z ledwie trzeciego piętra na parter. Ruszyła na firmowy parking, decydując się na dojazd na komisariat prywatnym samochodem. Buty na wysokim obcasie szybko, w rytm kroków uderzały po asfalcie, gdy przemierzała kolejne parkingowe alejki. Drżącą dłonią wygrzebała z torebki pilota, wciskając guzik. Światła zamigały kilka razy. Po chwili elegancka, niewysoka kobieta ruszyła ostro z parkingu, kierując się w stronę ulicy Hutniczej, gdzie znajdowała się powiatowa komenda policji.

Zaparkowała na zakazie, zakładając jednak, zgodnie z ludową mądrością, że pod latarnią najciemniej, toteż może uda się jej wykaraskać bez konieczności płacenia mandatu. Zresztą,

pieprzyć mandat. W tej chwili liczyło się tylko i wyłącznie to, co może zrobić, aby wyjaśnić sprawę zatrzymania syna. Co też ten kretyn mógł zrobić?

Naparła na drzwi, stając przed oficerem dyżurnym. Potężny facet, zza przeszkłonej szyby, mierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Dzień dobry. Bo widzi pan, zatrzymano mojego syna i nie wiem, co zrobić teraz, to zapewne jakieś nieporozumienie, panie władzo!

– Imię i nazwisko?

– Aleksandra Warzecha, a syn to Dawid.

Oficer wpisał dane podejrzanego w komputer. Po chwili podniósł wzrok, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

– Dokument tożsamości bardzo proszę.

Podala mu prawo jazdy. Spojrzał fachowym okiem, porównując zdjęcie z twarzą, którą miał przed sobą. Po chwili zwrócił dokument.

– Niech pani idzie na pierwsze piętro, pokój numer 22 do oficera Leskiego, tam się pani wszystkiego dowie.

Usłyszała dźwięk otwieranych przez wewnętrzny domofon drzwi. Chwyła ręką wielką, żeliwną kratę, oddzielającą ją od zamkniętej dla przeciętnego śmiertelnika części komisariatu. Odnalazła schody i po chwili długim, wołającym o remont korytarzem dotarła do pokoju 22. Z irytacją spostrzegła, że na ławce ułożonej przed wejściem do przybytku oficera Leskiego siedzi dobrze jej znany, krótko ścięty facet z zakolami, kilkudniowym zarostem Spojrzał w jej stronę, przesuwając się nieco w prawo.

– Cześć...

– Co tu robisz?!

– Przypominam ci, że ma dwóch rodziców. Mnie też poinformowali.

– Świetnie. Po prostu, kurwa, wspaniale! Wiesz już coś?

– Nie. Trzeba czekać.

Westchnęła głośno, ostentacyjnie wywracając oczy ku górze.

– Dawno nie rozmawialiśmy. Co u ciebie? – uśmiechnął się, usiłując skleić rozmowę ze swoją ex.

– Nic.

– Czemu nigdy nie oddzwonisz, ani nie odpiszesz? To, że nam nie wyszło, nie oznacza, że musisz się zachowywać, jak taki skrajny dupek, chociażby przez wzgląd na Dawida – rzucił półszepem.

– Po prostu nie chcę mieć z tobą nic wspólnego i ograniczam kontakt do minimum.

Uśmiechnął się i niezrażony postanowił wykorzystać pierwszą od dawna okazję, aby porozmawiać z byłą.

– Dalej w HKS jesteś?

Skinęła głową.

– No, możesz mówić. I tak jesteśmy teraz na siebie skazani. I to zobacz, w jakim miejscu. Ech, dawno temu to się spotykaliśmy w kinie, jakiejś restauracyjce czy na domówce, ale przez te wszystkie lata na guberni to chyba ani razu!

– Możesz się zamknąć? Pomyśl chociaż przez chwilę, co zrobił, co?! To twoja wina!

– Zawsze jest moja wina. Nie rusza mnie ta gadka już. A dowiemy się za chwilę. Widzisz, człowiek ma taki zajebisty dar, że potrafi się zmieniać, dopasowywać do okoliczności. Ktoś taki jak ty tego nie zrozumie, ale...

– Przypominam ci, wielki perkusisto za pięć złotych, że przez pierwsze kilka lat więcej cię przy nas nie było, niż było.

– Oj tak – podparł się rękoma, mierząc spojrzeniem przeciwległą, śnieżnobiałą ścianę z wielkim zaciekiem – to święta prawda. Ale to, co potem zrobiłaś, to bije moje dokonania. Ale czy musimy sobie teraz takie szpile wbijać? Olka, pogadajmy jak ludzie. Dalej w HKS?

Przytaknęła, odwracając głowę w drugą stronę.

– Awansowałaś, jak zawsze chciałaś? Chociaż nie, nie mów! Awansowałaś. Ale jak wysoko? Sam szef wszystkich szefów, kierowniczką czy może...

– Awansowałam. Niech to wystarczy.

– To gratuluję. Szczerze. Widzisz, nie awansowałem, ale mimo pewnej pustki w życiu nie narzekam na los.

– Dalej marne festiwale i dni wiosek?

– Głównie – uśmiechnął się. – A poza tym to nieco wolnego czasu, mimo że młody już przekroczył szesnaście lat na karku, czasem udaje się go namówić do spędzenia razem czasu. Wiesz, że to nie wstyd pokazywać się z ostatnim żywym dinozaurem.

– Chyba słabo ci idzie, skoro jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, żeby dowiedzieć się, co zmajstrował.

– To przede wszystkim jego życie.

– Idiota.

Drzwi pokoju numer 22 otworzyły się. Schludnie ubrany cywil z policyjną blachą dumnie przyczepioną do kieszeni kraciastej koszulki, na wysokości serca. Gestem ręki zaprosił ich do środka. Przepuścił ją przodem. Cały czas, czy to zła, czy też może zawstydzona i rozczarowana, unikając jego spojrzenia szybkim krokiem wparowała do pomieszczenia, siadając na krześle.

– Państwo jesteście rodzicami – zanurkował w papiery – Dawida Warzechy?

– Tak. Co on, panie władzo, zrobił? Jestem pewna...

– Droga pani, powoli. Już mówię. Proszę się uspokoić. Już?

Skinęła głową, kątem oka zerkając na spokojnego, siedzącego obok byłego męża. Jakby cała ta afera była poza nim. Wyluzowanym, acz uważnym spojrzeniem mierzył policjanta, który właśnie zbierał się, aby jak najprostszymi słowami opowiedzieć im, za co latorośl została przyskrzyniona.

– W toku czynności operacyjnych jeden z h patroli natrafił na grupę młodzieży, która wydała się podejrzaną. Wielokrotnie mieliśmy informacje od mieszkańców okolic, że w tamtych rejonach spotykają się młodzi i dewastują mienie.

– I zwinęliście na dołek za jakieś graffiti na budynku?!

– Niech mi pani nie przerywa. Nie. Znaczący nie tylko. Podczas przeszukania u kilku osób w tym i u pani syna odnaleziono susz roślinny w ilości dwóch gram. Syn przyznał, że jest to jego własność. Dzisiaj pojawi się u państwa w domu patrol, aby przeszukać mieszkanie...

– Że co proszę?

– Takie procedury, panie Warzecha. Jeśli w domu niczego nie znajdziemy...

– No raczej nie znajdziecie.

– Chciałbym, aby tak było. Ale do rzeczy, jeśli nic nie znajdziemy i okaże się, że syn nie używał i wskaże osobę, od której zdobył narkotyki, być może skończy się na umorzeniu i wizytach u psychologa.

– Kiedy wyjdzie?

– Dołek zazwyczaj trochę trwa. Musimy przejrzeć historię połączeń w telefonie, poszukać poszlak. Może być tak, że syn nawiązał kontakt z niebezpiecznymi ludźmi, którzy...

– Przecież to tylko zioło!

– Przypominam panu, gdzie pan się znajduje!

Spokorniał, gestem ręki przeprasząc funkcjonariusza.

– Co teraz?
– Po przeszukaniu domu, jeśli technicy szybko się uwiną, młody może wyjdzie dzisiaj późnym wieczorem, najdalej jutro rano. Zależy od tego, co powie. Niech państwo zachowają spokój, nic mu się tutaj nie stanie.
– Kiedy to przeszukanie?
– Zauważyłem, że macie państwo inne adresy zameldowania. Z którym z was mieszka syn?
– Ze mną.
– Zatem pojedzie pan do domu z patrolem i szybko będziemy mieli tę część za sobą. Pozostałe rzeczy, już po wyjściu z dołka, będą przychodzić pocztą. Warto też sprawdzać co jakiś czas u prokuratora prowadzącego sprawę, co się dzieje. To wszystko. Dziękuję.
– Jak to? I... i nie wypuścicie go do domu na noc?!

– Niech się pani uspokoi.
– To jeszcze dziecko!
– Dziękuję za państwa czas. Do widzenia.
Wstał z krzesła, powoli biorąc za rękę ciągle niedowierzającą w taki rozwój wypadków, Olkę.

– Chodź, Ola.
– Ale...
Z oporami, złorzecząc na system pozwoliła wyprowadzić się poza gabinet. Solidne drzwi zatrzasnęły się. Silnym ruchem ręki, zmusiła go, aby ją puścił.

– Olka, co robisz?!
– Zamknij się. Co teraz?
– Przecież wszystko dość rzeczowo wyjaśnił...
– Ale szkoła! Przecież to mu może przekreślić przyszłość!
– Wątpię. To pierwsza wtopa, dostanie umorzenie, zobaczysz.
– Coś ty taki w temacie?
– A, coś tam człowiek czyta gazet. Wiesz, nie samą pracą się żyje, co nie?
Nie załapała o żartu, bądź nie uznała go za wystarczająco dobry. Wolnym krokiem ruszyła ku schodom, zostawiając ex na środku korytarza.

– Gdzie idziesz?
– A jak myślisz? Do pracy!
– Przecież już na 18 idzie...
Nie doczekał się odpowiedzi, gdyż sylwetka byłej żony zniknęła. Zniesmaczony zachowaniem byłej, wkładając ręce w kieszenie ruszył za nią, zatrzymując się przy dyżurce, aby zakomunikować funkcjonariuszowi, że dziś miało się odbyć przeszukanie jego mieszkania.

Z natłoku zajęć wyrwał ją telefon. Z wyraźnie malującym się na twarzy niepokojem, odebrała.

– I jak tam, kochanie, wszystko dobrze?
– Szkoda słów. Jadę właśnie pod zakład. Za ile kończysz?
– No, trochę jeszcze zostało...
– Nie wyskoczyłaśbyś gdzieś ze mną? Muszę się komuś wyzalić. A komu, jak nie przyjaciółce?

– Oła, chętnie, ale to kiedy to oddamy? Po majówce przecież jest...

– Wiem, co jest. Sama przecież ustalałam ten terminarz! Pogadam ze starym, czy ktoś tu jutro będzie pilnował i czy nas wpuści!

– Ale jutro majówka, sama mówiłaś, że mamy wolne – rzuciła zirytowanym, nieco łamiącym się głosem. – Już obiecałam Darkowi.

– Przestań. Mamy swoje plany. I na dziś i na jutro. Mi też przykro, że tak wyszło, sama cię przecież namawiałam na ten wyjazd od jakiegoś czasu, no ale nieszczęśliwy zbieg okoliczności...

– Za ile będziesz?

– Kwadrans. Zostaw laptopa w robocie. Jutro do tego wrócimy, dobrze Aga?

– Dobrze, ale...

– Cześć, kochana.

Zirytowana, po raz pierwszy od dawien dawna nie miała ochoty spotkać się z nią i wysłuchiwać zapewne podkoloryzowanych historii o tym, w co takiego wmieszał się Dawid. Widziała go ledwie raz czy dwa, gdy Olka pokazywała jego zdjęcia na telefonie i nie zamierzała pasjonować się tą sprawą, wychodząc z założenia, że każdy ma jakąś prywatną sferę, o której niekoniecznie należy rozpowiadać, nawet najlepszym koleżankom czy przyjaciółkom. Zasmucona, mając przed oczyma wyjazd ze znajomymi, który był zaplanowany już od dobrych dwóch tygodni, sięgnęła po telefon komórkowy i wybrała numer do Darka.

– Sikorski, słucham?

– To ja – rzuciła złamanym głosem.

– Cześć, co tam?

– Musimy porozmawiać.

– Poważnie brzmisz.

– Darek, ja...

– Co, wrócisz późno? To nic, przywykłem – silił się na ciepłą barwę głosu, jednak czuł, jak stopniowo wzrasta w nim napięcie.

– Nie chodzi o to. Raczej o jutrze muszę.

– Co o jutrze? Tu plany są przecież oczywiste. Wstajemy o 10, zabieramy Antka, Gosię i jedziemy wypoczywać na całe dwa dni!

– No i właśnie pozmieniało się.

– Kurwa mać, Aga!

– Nie krzycz po mnie!

– Dlaczego? Przecież wszystko mieliśmy dopięte na ostatni guzik. Nawet wszystko opłacone!

– Oli syn trafił do aresztu i dziś tego nie zamknę, muszę iść ją pocieszyć i...

– To może kogoś pobiję, czy rozwalę szybę, trafię do aresztu i dzięki temu zwrócisz uwagę na to, że masz jeszcze męża i jakieś wspólne plany?!

– JESZCZE mam męża? Do czego zmierzasz?

– Do tego, że chyba wkrótce z tą pizdOlą zamieszkas!

– Cham!

– Ale chociaż taki, który zawsze miał dla ciebie czas. Zresztą, pieprzyć to! Zadzwoń to Tarasiuków, przepraszę, powiem, że coś wypadło i w dupie mam to wszystko. Nigdzie nie musimy jechać, skoro ważniejsze jest pocieszenie tej starej szkapy.

– Jutro w pracy będę!

– Bo ona tak postanowiła!

Opuściła głowę, w głębi serca przyznając mu rację. Nastąpiła wymowna cisza, przerywana

przez ledwie co słyszalny oddech wyraźnie wkurzonego takim obrotem spraw Darka.

– Będę w miarę szybko, Darek...

– Jakoś nie obchodzi mnie to zbytnio. Wiesz, pozdrów ją ode mnie. Tak serdecznie i szczerze. A potem podziękuj jej za ekstra majówkę – rozłączył się, z trudem panując nad sobą.

– Kurwa mać – wyszeptał. – Papiś, masz jakieś plany na majówkę?

– Muszę rozeznąć ofertę banków w pewnej sprawie – odparł, wyraźnie speszony.

Zza otwartych drzwi wyłonił się redaktor Kozak, jakby sobie znanym sposobem przeczuwając, że to jest ten moment, kiedy warto zainteresować się tym, co tłuścioch ma do powiedzenia.

– A po co to ciebie do banku gna, Patryk?

– E, takie tam, nic nadzwyczajnego. Mam dużo pracy, wybaczcie.

– Oho, Darek, chyba za chwilę poznamy wielki sekret dzielnego wojownika klawiatury – szef pewnym krokiem przekroczył próg i usiadł obok Sikorskiego, filując wzrokiem Papisia.

– A to może jakoś... eee, Darek, szefie, skoczmy potem na browara, co?

– Nie zmieniaj tematu. Nam nie powiesz?

– Szefie...

– No przecież nikt cię nie zmusza. Powiesz, że masz dość i mnie tu nie ma, nikt ci nie będzie zawracał głowy. Ale – wstał, zataczając koło niego coraz większe kręgi, zupełnie jak sęp, który namierzył właśnie syty posiłek – przecież żeśmy zjedli już we trójkę beczkę soli. Dariusz!

– No, generalnie to tak.

– Czyli że komu może powiedzieć, jak nie nam, prawda?

Sikorski lekko skinął głową, siłąc się na jak najbardziej wiarygodną minę. Stary przełożony kilkoma prostymi zdaniami i gestami zdołał niemal oczyścić negatywną atmosferę, jaka wytworzyła się wokół po kłótni z żoną.

– No kredyt biorę, ludzie kochani, szukam najlepszej oferty. Cała tajemnica.

– Kredyt? – szef refleksyjnie oparł się o jego biurko, mierząc go uważnym spojrzeniem. – Ale kredyt kredytowi nierówny. Chwilówkę bierze? A może wielki kredyt – bestia na luksusowy dom?

– Albo samochód!

– O, dokładnie, Darku. Na co jeszcze cwaniak może zbierać szmal, że nie chce powiedzieć? Co ukrywa? Gdzie to ukrywa? Kto jest powiernikiem jego sekretów? Co jeszcze skrywa ten piękny, nieskalany wręcz umysł?

Sikorski nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Kozak z trudem panował nad barwą głosu, kontynuując wywód.

– Zawszy, panie Patryku, wszyscy wiemy, że w końcu pan pęknie!

– A może na nowego czytelnika e-booków zbiera? Szef wie, że to czytany, inteligentny, młody człowiek lubujący się w książkach science-fiction?

– Nie podejrzewałbym go o to. Raczej o nurt detektywistyczny! Po mojemu, to że tak łatwo przystał na to śledztwo, to raczej inspiracja jakimś Holmesem czy kimś innym więc...

– Oj, skończcie już! Kredyt biorę. Na kota!

Pomieszczenie w lot wypełniło się ciszą, którą w ledwie kilka sekund później wypełnił głośny śmiech dwójki mężczyzn. Rozdrażniony i jednocześnie rozczarowany takim zachowaniem kolegów Papiś, to mierzył wzrokiem Darka, to zaś przełożonego.

– No co?!

– Stary. Kredyt... na kota?

– Może ma jakieś wiesz, funkcje specjalne?

– Nie, nie ma – twarz Patryka była niemal purpurowa.

– Może podaje piwo? Albo umie przynieść kaptcie?
– Dobra, wystarczy, bo jeszcze nas znienawidzi – Kozak nagle spowaźniał, puszczając Darkowi oczko. – To po ile taki sierściuch?
– Jakieś trzy tysiące.
Darek aż gwizdnął.
– Jaka rasa jest tak droga?
– Wiele. Byle był z rodowodem po wysoko ocenianych rodzicach.
– Ale to masz więcej niż miesięczna pensja. I to na kota, który będzie się u ciebie kisił w domu, stary!
– No, nie zdziw się – Papiś założył ręce, mierząc obydwu mężczyzn pewnym siebie spojrzeniem.
– Szefie, to chyba nie koniec niespodzianek na dzisiaj.
– Wygląda na to, że nasz kolega nie jest zwykłym pionkiem. A to oznacza, że jest – uciał, gestem dłoni udzielając głosu Patrykowi.
– Wystawcą. No, ale to za duże słowo. Po prostu jeżdżę na wystawy i dość często zdarza się, że wracałem z trofeami – uśmiechnął się triumfalnie.
– I na ile taki kredyt? Coś masz odłożone?
– Jeszcze nie wiem – uciał. – Wpadnijcie jutro, to pokażę wam całkiem sporą kolekcję medali, jakie od lat zdobywam w tej branży!
– A masz coś z tego poza satysfakcją i zmarnowanym paliwem?
– No... szefie, niezbyt. Ale satysfakcja też jest w życiu ważna!
– Skoro tak mówisz. Miło, że zapraszasz, ale nie mogę. Mam spotkanie. Jedno z tych tak zwanych nieodwołalnych.
– Ja może wpadnę. Sami słyszeliście – wskazał na leżący obok, na krześle, telefon komórkowy – że moje plany znowu poszły się walić. Ale to jeszcze pogadamy, co?
Pulchny facet rozpromienił się.
– Dobra, ludzie. Wracajcie do roboty. Coś ciekawego na pewno się znajdzie do opublikowania. Przejrzyjcie raz jeszcze jakieś pieprzone komunikaty pogodowe, czy na stronach gmin nie ma nic nowego w sprawie programów artystycznych, wrzućcie numery alarmowe, godziny pracy sklepów i zamykamy zakład na dwa dni!
– Tak jest.
– Papiś, a ty następnym razem weź porób zdjęcia z tych kocich wystaw. To też fajny pomysł na artykuł, podły ignorancie!
Zanim zdążył zareagować barczysty, łysy facet zamykał już drzwi gabinetu.
– Masz zdjęcie tego sierściucha za trzy tysie?
Upewniając się, że zza drzwi nie wyłoni się nagle przełożony zaprosił Darka ku sobie, wklepując jakiś adres w przeglądarkę. Po chwili patrzeli na ślicznego, o nieproporcjonalnie wielkiej głowie i dużych uszach, przedzielonych ogromnymi, zielonymi oczyma, kota.
– Co on taki niewymiarowy?
– Taki ma być. Jest idealny. To Devon Rex – rzucił rozmarzonym głosem, uśmiechając się do ekranu.

Rozespany powoli odwrócił się na drugi bok i leniwie otworzył oko, ślepiąc na budzik stojący na szafce nocnej. Zza zamazanego obrazu zaczynała powoli wyłaniać się okrągła, stylowa

konstrukcja. Dostrzegając tarczę oraz dwie wskazówki. Przetarł oczy, godząc się z tym, że w przeciwnej sytuacji nie uda mu się tak łatwo odczytać godziny, jaką wskazywało urządzenie. Po chwili wiedział, że jest za osiem jedenasta. Zmusił się do przeciągnięcia ziewnięcia, połączonego z podniesieniem się na szeroki, w całości dostępnym dla niego łóżku. Ręką wymacał jej kołdrę, która jednak skrywała już tylko i wyłącznie powietrze. Powoli sięgnął po telefon komórkowy i odblokował ekran. Znalazł odpowiedź od Tatarczuków, którzy w kilku słowach sprowadzających się do tego, że jest im przykro zakomunikowali, że znajdują sobie jakieś inne plany lub po prostu pojedą sami. Było też zaproszenie od Patryka na przeglądanie kolekcji medali i wyróżnień, jakie zdobył poprzedni kocur. Kumpel podał adres, wymienił nazwę ulubionego piwa i zaproponował godzinę 16. Ostatnią z wiadomości, do jakich się dokopał, zostawiła Aga. Westchnął, w głębi serca współczując jej tego, w jak niekomfortowej sytuacji się znalazła.

Przepraszam. Przepraszam cię strasznie. Kocham Cię :*

Wrócił do głównego pulpitu, zablokował telefon, który po chwili wyłączył gdzieś na łóżku, po czym zaczął gramolić się w stronę łazienki.

Pogoda na święto pracy, po raz pierwszy od kilku dobrych lat była bliska idealnej. Około południa termometr sukcesywnie zaatakował granicę 20 stopni Celsjusza, a bezchmurne niebo aż napawało chęcią do życia. Postanowił umiejętnie wykorzystać wolny czas, jaki dość niespodziewanie został mu подарowany. Po porannej toalecie i kawie podłączył do komputera stary, dawno nieużywany gamepad i z szewską pasją w oczach, grając w jakąś internetową strzelankę zaczął rozwalać kolejne tabuny wrogów. Gdzieś w głębi pamiętał, że powstała kiedyś taka gra, gdzie twarz przeciwnika można było zastąpić zdjęciem jakiejś zniechęconej osoby, jednak za cholerę nie mógł przypomnieć sobie nazwy, toteż plan wielokrotnego rozstrzelania pizdOli poszedł w rozsypkę. Wielkie pole bitwy, po niemal półrocznej przerwie, nie było przyjazne. Czy to za sprawą wejścia przeciwników, zapewne psychopatycznych gimnazjalistów, przykutych do pecetów na całe dni i noce, czy też ze względu na zniżkę formy, po niespełna pół godziny gry odkrył, że częściej rozwalają jego, niż on jest w stanie chociażby zbliżyć się na dogodną odległość do oddania strzału. Szybkim ruchem dłoni wbił przyciski ALT i F4.

Rozległa pustynia znikła sprzed oczu, ustępując pola błękitnemu pulpitowi z tapetą, przedstawiającą wielki pałac, na który kiedyś, zupełnie przypadkowo natrafił surfując po sieci. Po kilku minutach wpatrywania się w niego, dostrzegł coraz to nowe szczegóły, które do tej pory skutecznie chroniły się przed percepcją Sikorskiego. Wpadł na pewien pomysł, dzięki któremu zamierzał spędzić dzień odrobinę inaczej, odpuszczając sobie surfowanie po sieci do godzin popołudniowych, przerwane jedynie wyjściem do Patryka, wywiązując się tym samym ze złożonej kumpłowi obietnicy.

Na nieduży taras, zmyślnie ustawiony przez architekta jako pewnego rodzaju nadbudowę na garaż, zawitał leżak. Po kilkunastu minutach przywrócił zapomnianemu zimą, plastikowemu stoliczkowi niegdysiejszą świetność, ustawił go obok punktu dowodzenia i doposażył w kufel, otwieracz i piwo ulubionego browaru. Pogodzony ze światem, wysłał żonie SMS-a o treści Ja Ciebie też kocham. Wiem, że to jej wina. Wróć szybko, może jutro gdzieś wyskoczmy. Nieco później, grzejąc się wiosennym słońcem, zadzwonił do Papisia.

– Hej.

– Co tam, będziesz?

– No będę, ale wpadłem na pomysł, że wcześniej dokończę te wszystkie teksty na stronę.

Od razu bym to temu informatykowi wysłał, tyle że nie mam żadnego zamiaru. Podrzucisz mi?

– Nie ma kłopotu. Akurat siedzę na necie, więc sprawdź sobie maila za kilka minut.

– Sierściuchy oglądasz? – zaśmiał się.

– Już mam nawet wybranego. Zobaczysz, jak przyjdiesz. Włosy ci dęba staną!

- Oby nie. Dobra, będę kończył. Rzuć mi ten namiar i do zobaczenia.
- Szesnasta?
- Tak jest.
- Nara!

Kilka minut później usiłując zobaczyć cokolwiek na ekranie telefonu w silnym słońcu, zdołał dopatrzeć się jakiegoś adresu e-mail i ciągu cyferek, jak podejrzewał, przynależnego do jakiegoś komunikatora internetowego. Odłożył smartfona, dając nieprzygotowanemu po długiej, zimowej przerwie organizmowi kilkadziesiąt minut kąpieli słonecznej. Mrużąc oczy rozglądał się po okolicy, jakby usiłując znaleźć jakiś punkt, na którym warto zatrzymać się dłużej. Jedyнным urozmaiceniem zdawały się być przejeżdżające co jakiś czas przez osiedlową drogę samochody. Nieobecny wzrokiem, zdradzającym, że jego umysł jest teraz w zupełnie innym miejscu i czasie patrzył przed siebie, w jakiś bliżej niezidentyfikowany, jakby widoczny tylko dla niego punkt.

Małe, sympatyczne mieszkanie łączywie chłonęło promienie wiosennego słońca. Czy to za sprawą „witaminek”, czy też raczej rozmów z sympatyczną panią psycholog, Iwa zmieniła nieco postrzeganie świata. No, przynajmniej dla osoby postronnej, dajmy na to podglądacza mieszkającego naprzeciw, na to mogło wyglądać.

Siedziała właśnie przed komputerem, grając w jakieś proste gry logiczne z wirtualnym przeciwnikiem, którego wszystkie ruchy i posunięcia, jakimi mógłby ją zaskoczyć na poziomie medium poznała już po dwudziestu minutach zabawy. Ubrana w białą, znoszoną i nieco przydługą koszulkę, nieumiejętnie przełamaną zielonymi spodenkami, ciągnącymi się aż za kolana sprawiała wrażenie osoby do pewnego stopnia szczęśliwej. W jej sytuacji szczęście zawsze było osiągalne tylko do pewnego stopnia, o jakim zazwyczaj decydowała podświadomość i „witaminki”, dzięki którym chociażby na kilka dni przeszłość okazywała się być znośną. Ciszę, którą przerywało jedynie klikanie myszy komputerowej złamał cichy dźwięk klienta poczty, który poinformował o nowej wiadomości przychodzącej. Zaintrygowana tym, kto jest na tyle przygłupi, aby zawracać głowę w święto pracy zamknęła przeglądarkę, aby po chwili czytać kilku zdaniową wypowiedź tajemniczego osobnika, legitymującego się adresem mailowym Dariusz.Sikorski@naszewspolnemiasto.pl.

Z rosnącą uwagą, zaczęła przekopywać się przez kolejne rzędy zdań:

Cześć ;)

Namiar na Ciebie mam od Patryka, naszego wspólnego kolegi z redakcji. Chciałem ustalić z Tobą kwestię treści na stronie firmy budowlanej, którą robisz. Jest trochę zmian względem planu pierwotnego, więc nie wiem, czy mam Ci je opisywać tutaj, czy też byłoby wygodniej omówić je na jakimś komunikatorze sieciowym. W razie czego, do 15 jestem osiągalny pod numerem, który znajdziesz w stopce maila.

Pozdrawiam, Darek :)

– Jakiś nowy – szepnęła, wrzucając imię i nazwisko tajemniczego rozmówcy w wyszukiwarkę. Jako pierwsze wyświetliły się wyniki z portali społecznościowych, stopka redakcyjna portalu Naszewspolnemiasto.pl oraz pewnej ogólnopolskiej gazety. Z rosnącym zainteresowaniem kliknęła w pierwszy wynik z góry. Uśmiechnęła się lekko. Miała przed sobą jakby wyrwane z szerszego tła zdjęcie uśmiechniętego faceta o czarnych, nieposkromionych włosach i sympatycznym uśmiechu, trzymającego rękę na logo jakiegoś browaru, zgodnie z napisem, jaki widniał na obrazku, założonego w 1886 roku. Chciała przyjrzeć się uważniej, jednak spora część informacji była dostępna tylko dla znajomych tajemniczego, choć wzbudzającego pozytywne pierwsze wrażenie mężczyzny. Po krótkich poszukiwaniach dowiedziała się jeszcze, że facet od wielu lat pracuje jako dziennikarz, że dość często wrzuca

notki i zdjęcia na serwisy społecznościowe i że posiada, choć nie użytkuje mikrobloga w popularnej domenie.

Gdzieś zapaliła się czerwona kontrolka, a umysł wypełnił się powtarzaniem przez panią psycholog jak mantra, mottem, sprowadzającym się do tego, że świat pełen jest dobrych mężczyzn, ale ten podgatunek nie lubi być poganiany i trzeba wszystko rozgrywać stopniowo i powoli, regułą małych kroków, rzecz jasna konsultowanych z partnerem.

Raz jeszcze uruchomiła klienta poczty i przepisała numer do komunikatora. Dla bezpieczeństwa, wrzucając obok imienia i nazwiska cyfrę „5”, która w jej rankingu oznaczała najniższy priorytet. Westchnęła, decydując się na rozpoczęcie rozmowy.

Ja: Cześć

Dariusz Sikorski [5]: kto to?

Ja: informatyk

Dariusz Sikorski [5]: Czołem ;) widzę, że nie tylko ja pracuję w święto. Masz chwilę?

Odsunęła się od klawiatury, powstrzymując się przed potokiem słów, który byłaby w stanie przelać na klawiaturę.

– Na sto procent jesteś skurwiel. Na sto procent! – odwróciła się nagle na fotelu, sprawdzając czy witaminki, które miała przyjąć popołudniem, są w pobliżu. Były dokładnie tam, gdzie je zostawiła.

Ja: powiedzmy, że mam. W czym problem?

Dariusz Sikorski [5]: Widzisz, myślałem, czy aby nie można tej strony jakoś uprościć, żeby była gotowa nieco szybciej.

Ja: jesteś tym kolegą Patryka, co ma tę firmę budowlaną?

Dariusz Sikorski [5]: Nie. Ja z redakcji.

Ja: dziwne to wszystko, że tylko ludzie z portalu się tą stroną interesują, a sam szef firmy jeszcze się nawet nie raczył odezwać.

Dariusz Sikorski [5]: Pewnie właśnie rozkłada grilla, jak większość normalnych ludzi w tym kraju.

Ja: wnosisz, że jestem nienormalna?

Dariusz Sikorski [5]: Wtedy byśmy rozmawiali przy fajnym stoliczku, a ty zamiast laptopa miałabyś kartkę i tępy ołówek. No, ale pojawiłby się też apartament z miękkimi, zielonymi ścianami ;)

Uśmiechnęła się lekko.

Ja: głupek ;)

Dariusz Sikorski [5]: To dyskusyjne ;) Słuchaj, ja bym po prostu teraz na szybko przepisał ci treść i chciałem wykreślić to debilne rozwijane menu, a zwłaszcza takie działy jak inwestycje zrealizowane i inwestycje rozpoczęte. W zamian jeden dział inwestycje i bez animowanego logo, bo na tym przecież się przeglądarki internetowe powykładają.

Ja: Niegłupio mówisz. Sama to logo chciałam wywalić. Swoją drogą, przekaz koledze, że nazwanie firmy budowlanej jako DewBud jest nieco dziwne...

Dariusz Sikorski [5]: Na szczęście to nie moja firma. Treść pošlę na maila w dokumencie tekstowym, spoko?

Ja: może być. I potrzebuję danych kontaktowych nieco szerszych niż numer telefonu. To jest niepoważne.

Dariusz Sikorski [5]: OK.

Dariusz Sikorski [5]: Całe dni tak siedzisz i robisz projekty?

Ja: dzięki takim osobom, co nawet w dni ustawowo wolne zagadują, tak.

Dariusz Sikorski [5]: Trzeba było nie odpisywać. A skoro odpisujesz, to się pewnie

nudzisz. Tak bym to widział.

Ja: a skoro ty masz czas na pisanie to albo nie wyrabiasz z życiem zawodowym, albo nudzisz się jeszcze bardziej niż ja.

Dariusz Sikorski [5]: Czemu jeszcze bardziej?

Ja: pewnie dlatego, że znajdujesz czas na pisanie do obcej osoby z czymś ,co można było zrobić spokojnie nawet wczoraj w 30 minut? No chyba, że historia DewBud jest rozmiarów biblii...

Dariusz Sikorski [5]: 1 : 0 dla ciebie. Też się nudzę.

Ja: wystaw grilla

Dariusz Sikorski [5]: W pojedynkę to nie to samo.

Ja: zaprosz znajomych.

Dariusz Sikorski [5]: Zapraszałem. Wyjechali. Niespodziewany bieg wydarzeń i wyszło, jak wyszło.

Ja: nikt nie czeka? Nikt nie dzwoni?

Dariusz Sikorski [5]: Nie pastw się ;)

Ja: dobra, dawaj te materiały po kolei na maila. Będę ci na bieżąco podsyłać grafiki. Odpisujesz mi tutaj, czy akceptujesz czy coś do zmiany. Zależałoby mi, żeby to poszło szybko.

Dariusz Sikorski [5]: No to do roboty, pani Iwono. ;)

Ja: Iwo. Tylko i wyłącznie.

Do wpół do czwartej większość projektu była już gotowa. Zgrabna historia firmy budowlanej, przygotowywanej na potrzeby prowokacji dziennikarskiej, wspólnie z naprędce zorganizowaną listą rzekomych dokonań i przyjemną dla oka oprawą graficzną nie wyczerpała tematu. Mimo że babsko wydawało się być wzorem feministki, która wszelkimi możliwymi sposobami – na jakie pozwala dialog przez komunikator internetowy – stara się mu dopiec, do pewnego stopnia zaintrygowała go. Iwa z kolei, po zakończonej wczesnym popołudniem rozmowie przystąpiła do szczegółowych poszukiwań na temat tego, kim dokładnie jest Dariusz Sikorski. Tajemniczy kolega Patryka, który jako pierwszy od rozpoczęcia terapii, zdołał wywrzeć na niej pozytywne wrażenie.

Dość szybko ustaliła, że jest żonaty. Z rosnącym zainteresowaniem przyglądała się profilowi Agnieszki Sikorskiej, poświęcając kilka minut na szczegółową analizę każdego ze znajomych, wypisując na kartce co aktywniej komentujące jej posty i zdjęcia osoby.

– Profil publiczny, co za debil – rzuciła pod nosem, sięgając po wodę mineralną i dwie powlekane tabletki.

Lekarz zalecał jej ruch. Bo tabletki mogą wywoływać depresję, a depresję zwalczają inne tabletki oraz endorfiny, które z kolei można samodzielnie wyprodukować, uprawiając jakiś rodzaj sportu. Tego dnia postawiła na rower, uprzednio sprawdzając, gdzie dokładnie znajduje się HKS-Incho Company. Zwykła przejażdżka, tyle że inną trasą niż zazwyczaj. To przecież tylko rekonesans – tłumaczyła sama sobie, jakby usiłując usprawiedliwić nadpobudliwe zachowanie, z którym tego dnia nie radziły sobie tabletki.

Kilkanaście minut później mknęła na dwukołowcu w stronę wysokiego, średniej urody budynku. Trasa była łatwa, w większości prowadziła do interesującego ją obiektu po płaskiej drodze z ledwie kilkoma niedużymi wzniesieniami, jakich pokonanie nie stanowiło dla wyćwiczonego, pełnego wigoru ciała Iwy najmniejszego problemu. Zatrzymała się po drugiej stronie ulicy, oparła rower o pobliską ławkę, na której usiadła, wyciągnęła bidon z napojem energetycznym i powoli, sącząc leniwie patrzyła w stronę drzwi wejściowych, jakby podświadomie wyczuwając, że Agnieszka Sikorska znajduje się w tej chwili na terenie budynku i usiłuje nadgonić stracony za sprawą przełożonej czas.

Słońce było już nisko nad horyzontem, gdy Darek, usiłując przywdziać na twarz maskę zainteresowania i ekscytacji, przeglądał wspólnie z kolegą kolejne zdjęcia dziwnych, cholernie wymuskanych kocurów, jakie raz za razem pojawiały się na wyświetlaczu laptopa.

Papiś mieszkał sam. Przynajmniej od niedawna, na co wskazywał pusty kosz dla zwierzątek i cały czas walające się po domu kocie zabawki. Nieduże, dwupokojowe mieszkanie sprawiało wrażenie głównej ofiary jego zainteresowań. Stare, nadgryzione zębem czasu tapety, rozłożone i ogarnięte chaosem łóżko z pierzową poduszką, garść talerzyków w zlewie i poprzewieszane przez wszystkie możliwe krzesła ubrania tłustochyba. Względny porządek zdawał się panować jedynie w łazience i na komputerze kumpla, co rzucało na wzorowo zorganizowanego w pracy mężczyznę nieco inne światło. Obydwaj kończyli właśnie trzecie piwo.

– Chyba wystarczy, co? – z sentymentem spojrzawszy w stronę ostatniej butelki, – Ta jedna i fajrant, Papiś.

– A co byś powiedział o tym, o? – na ekranie zamajaczył kolejny gatunek kota. – To jest Syberyjski. Jak jest Husky Syberyjski, znaczy że pies, to jest też Kot Syberyjski, weź se wyobraź. Rasa hodowana u ruskich już w XVII wieku, ale weź ogarnij, że Federacja uznała dopiero w 1998 roku! Nie wiem j-a-ak to możliwe – przeciągle beknął, sięgając po kolejną, ostatnią butelkę czteropak.

– No, fajny. Ile łącznie masz tych medali? – usiłował skierować myśli kolegi w stronę przedpokoju, aby raz jeszcze (precyzując, czwarty raz w ciągu ostatnich trzech godzin) oprowadził go po kolekcji. Z przedpokoju tylko kilka kroków do szafki na buty i szybkim susem może zdoła wyrwać się na wolność, zanim złapie tężec.

– Ssss...tary, 12 wyróżnień, 5 srebrnych medali, jeden brąz i jedno złoto! Ale nie o tym chciałem...

W kieszeni Darka rozśpiewał się telefon. Przeprosił kolegę, wstając od komputera i kierując się w stronę okna. Wążąc każdy krok, omijając dziwne, nieznanne przedmioty, równie dobrze mogące być resztkami karmy co bakteriami w zaawansowanym stadium rozwoju, które wspólnymi, koalicyjnymi siłami z kolegami z kuchni i sypialni, pokonały odkurzacz a teraz pracowały nad wynalezieniem koła, odebrał.

– Sikorski, słucham?

– Kończę już! Gdzie jesteś?

Uśmiechnął się, słysząc głos Agi w słuchawce.

– U kolegi, ale mogę się teleportować pod HKS, co?

– No, będę przy wyjściu za jakieś 15 minut. Czekam tylko, aż się wydrukują ostatki.

Potem przejrzeć i koniec piekła na dziś.

– Mam sobie załatwić taksówkę i pojedziemy do domu razem?

– A w sumie tak, możesz.

Uśmiechnął się, zupełnie jakby nagle, po wielu latach kłamstw okazało się, że święty Mikołaj istnieje i ma wszystkie zaległe listy z prezentami, które zamierza zrealizować.

– Ale nie wystawisz mnie znowu?

– Oła już poszła...

– Fajnie masz w życiu – zaśmiał się. – Dobra, to ogarniam transport i się widzimy.

– Pa!

Rozłączył się, ruszając w stronę kolegi.

– Papiś, znajdź mi jakiś namiar na taksówkę, muszę do żony jechać.

– Już? Jeszcze... piwo czeka.

– Nie mogę, stary. No, dawaj namiar jakiś. Opowiem jej o twoich pucharach. Żona zawsze lubiła koty.

– To koniecznie musisz ją pozdrowić...

– Pewnie.

Wpisał w wyszukiwarkę interesujące go hasło, odchylając laptopa w stronę Darka. Ten przepisał numer do telefonu i po kilku minutach jechał w stronę biurowca HKS-Incho Company.

Uśmiechnęła się na widok Darka, który odrobinę chwiejnym krokiem zaczął gramolić się z taksówki. Z teatralnie rozłożonymi rękoma, ruszył na spotkanie Agi, która pozwoliła się objąć. Wtuliła się mocno w jego ramiona, po chwili odsuwając go od siebie.

– Czym tak walisz?

– U kolegi byłem. A kolega to kociarz!

– Masakra, wszystko masz do pralki wrzucić! Sama kocia karma...

– Oby tylko. Jak tam siedziałem, to nad numerem do SANEPID- u kombinowałem, ale jak tylko przyjdziemy, to trzeba będzie się wykapać.

– Dziś ci może potowarzyszę – wtrąciła zalotnie.

– No, widzę, że chyba częściej musisz niszczyć plany i potem mieć poczucie winy.

Posmutniała, lekko opuszczając głowę.

– Chodź, kocia karmo, umyjemy cię. Co żeś robił dziś ciekawego?

– Gdzie zaparkowałaś?

– Na publicznym, po drugiej stronie, bo dziś nasz parking nieczynny. No, co robiłeś?

Ruszyli w stronę jezdni.

– Najpierw się opalałem, potem rozmawiałem z informatyczką o jednej stronie, a potem u tego kociarza to tak by w skrócie było. Ty? Jak było?

Przeszli przez pasy. Darkowi przez moment zdawało się, że jakaś postać siedząca na ławce mierzy ich uważnym spojrzeniem, jednak zwałił winę na karb sporej ilości wypitego alkoholu, usiłując zapamiętać jak najwięcej z historii, jaką opowiadała właśnie Aga – zupełnie, jak za starych, dobrych czasów.

– No i okazało się, że Dawid miał przy sobie maryškę. Wzięli go na dołek, dzisiaj wyszedł, ale chyba się wykaraska. Olka już znalazła jakiegoś adwokata, który mówił jej o niskiej szkodliwości społecznej i czymś takim.

Parsknął śmiechem. Jej toyota kilkakrotnie zamrugwała światłami. Pociągnął za klamkę od strony pasażera, która gładko ustąpiła. W niewybrednych słowach wyzywając synka pizdOli od idiotów i kapusiów, jednocześnie cały czas słuchając opowieści Agi o tym, co było później i jeszcze później, dotarli do domu, mając przed sobą wizję wolnego kolejnego dnia, który po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mieli spędzić razem.

Firma K2Bud znajdowała się na obrzeżach miasta, w raczkującej dopiero strefie przemysłowej. Wielki, blaszany hangar z wydzieloną częścią pracowniczą i biurową, o pokaznym terenie, na którym walały się jakieś metalowe przyłącza i inne, nieznane Darkowi elementy budowlane najpewniej wykorzystywane przez pracowników podczas realizowania inwestycji. Ledwie kilkanaście godzin temu, nagrywając rozmowę po raz pierwszy słyszał głos

Karpiuka na żywo. Szorstki, stanowczy i lakoniczny od razu skojarzył mu się z byłym mundurowcem, twardo trzymającym wszystkich pracowników za jaja, nie pozwalając im na zbyt wiele samowoli i prywaty. Przekraczał właśnie próg sekcji biurowej, mając przed sobą sympatyczną, mierzącą go uważnym spojrzeniem kobietę w średnim wieku.

– Dzień dobry...

– Witam, pan w jakiej sprawie?

– Ja do szefa, nazywam się Dariusz Zawojski.

Spojrzała w dziennik spotkań, wertując naprędce kilka kartek małego, poręcznego kalendarzyka, powtarzając na głos jego nazwisko, jakby usiłując sprawić, że w ten sposób szybciej je odnajdzie.

– Zawojski, Zawojski, o! Tu pan jest. Proszę za mną, szef już czeka.

Przeprowadziła go przez nieduży korytarz, wprost ku eleganckim drzwiom. Gestem dłoni poprosiła, aby zaczekał, zapukała w drewnianą konstrukcję i zniknęła za progiem. Raz jeszcze włożył rękę do kieszeni, jakby upewniając się, że przycisk odpowiadający za rejestrowanie obrazu i dźwięku z niedużej, wszytej w marynarkę kamerki jest przesunięty we właściwą stronę. Nerwowo rozglądając się po biurze, zerkając to na jakieś półki wypełnione anonimowymi dokumentami, to zaś ku szybie, za którą znajdował się dział biurowy. Usłyszał szcęk otwieranych drzwi. Opanował emocje, jakby od niechcienia zerkając ku drewnianej konstrukcji. Starsza kobieta, która przyprowadziła go w tutaj, uśmiechając się taktownie, wracała na miejsce. Uważnym spojrzeniem mierzył go jakiś wysoki, barczysty facet w okularach, z dobrze wyeksponowaną kosią bródką, w białej koszuli, której jednak nie towarzyszył krawat.

– Witam, panie Zawojski – uśmiechnął się, robiąc krok w stronę Darka i wystawiając dłoń w geście przywitania.

– Witam – odwzajemnił gest, schylając lekko głowę, jakby chcąc ukryć narastającą burzę emocji, która w każdej chwili mogła zniweczyć długo przygotowywany plan.

– Proszę, pan wejdzie – przepuścił go do gabinetu. – O, tu, może niech pan spocznie na kanapie. Napije się pan czegoś?

– A co pan ma?

– Wszystko – uśmiechnął się, otwierając doskonale zaopatrzone barek – ale szczerze polecam tego Jack'a Danielsa.

– A to poproszę. Oczywiście jeśli napije pan się ze mną.

– Naturalnie.

Brązowa ciecz wypełniła kieliszki.

– No to...

– Salut – uśmiechnął się.

– Żeby nam się dobrze rozmawiało i powodziło.

Pociągnął łyka, lekko oblizując wargi. Oparł się wygodnie, ciepłym spojrzeniem mierząc gospodarza. Ten wpatrywał się w niego przez moment, jakby dokładnie analizując, czy warto rozpocząć z obcym mężczyzną dyskusję o kłopotliwych tematach, które najchętniej zabrałby do grobu. Po dłuższym impasie postanowił wysondować nowego znajomego.

– Co u Skowrona?

– A, można powiedzieć, że robi to w czym jest najlepszy – uśmiechnął się, zmuszając umysł, aby naprędce przypomniawszy sobie wszystkie informacje, jakie tajemniczy znajomy szefa podrzucił w kopercie.

– Czyli?

– No przecież sam pan wie, panie Karpiuk. Powiedzmy, że służy fachową radą.

– No tak. Owszem, owszem. I co panu poradził drogi Maciek Skowron?

– Jarek Skowron – poprawił go, nie dając się zagnać w kozi róg. – Maciek, choć o innym nazwisku, to nasz wspólny znajomy z województwa, jak sądzę.

– No tak. Oczywiście, oczywiście. Co mówił Jarek? Bo ja o panu w sumie wiem tyle, co nic.

– Też nie chcę panu grzebać w papierach. Powiedział, że warto byłoby porozmawiać, gdyby zainteresował pana, powiedzmy, że pewnego rodzaju układ...

– Zamieniam się w słuch – pociągnął łyk alkoholu.

– Nie trzeba być detektywem, żeby dostrzec, że łączy pana z burmistrzem przyjaźń. I że ta przyjaźń pozwala czerpać korzyści obydwójgu.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Uśmiechnął się, myśląc naprędce nad zmodyfikowaniem scenariusza rozmowy.

– Może ujmę to inaczej. Jeśli Jarek Skowron kiedyś się potknie, łatwo będzie można przyczepić się do tego, że tylko w jednej gminie firma K2Bud wygrywa przetargi od kwoty rzędu 500 tysięcy, ale nigdy nie przekracza progu inwestycji dwóch milionów złotych.

– Ciągle nie wiem, o co panu chodzi, drogi panie Dariuszu.

– Jakby to panu... o, może tak. Zgodnie z radą pana Skowrona, czasem lepiej dopuścić do siebie zaufaną osobę, która mogłaby wziąć część winy na siebie. Po co w pojedynkę borykać się z renowacją pewnego pięknego mostu, skoro można działać jako konsorcjum, przynajmniej przy kilku projektach, żeby jakiś gryziپیórek z Brukseli nie zaczął grzebać?

– I jak pan widzi tę naszą hipotetyczną współpracę?

– Cóż, to już należy ustalić z burmistrzem Kowalem, aby wszyscy byli zadowoleni.

DewBud ma pewne sukcesy, jednak podobnie jak firma pana, czy też właściwie, szanownej małżonki – uśmiechnął się – staramy się pozostawać w cieniu.

– Dziękuję za pańską ofertę, drogi panie.

– Tu moja wizytówka, gdyby zechciał pan przemyśleć propozycję i spotkać się w odrobinę szerszym gronie – wręczył nieduży, papierowy prostokąt. – Jestem pewien, że pan Skowron byłby zadowolony, gdyby przekonał się, że jego porady nie idą na marne. Co by nie mówić, o takich znajomych trzeba dbać, zgodzi się pan?

– Naturalnie. Przyjaciół trzeba poważać.

– Zwłaszcza takich...

– Wszystkich.

Powoli wstał, mierząc Darka czujnym spojrzeniem. Sikorski również podniósł się z kanapy, starając się wyglądać na spokojnego i wyluzowanego. Wystawił dłoń w stronę gospodarza spotkania.

– Dziękuję i do zobaczenia.

– Kłaniam się.

Nie pamiętał, w jakim tempie pokonał dystans dzielący go od samochodu. Usiłował przemierzać plac wolnym krokiem człowieka pewnego siebie, który teraz zerka na to, jak funkcjonuje inna firma działająca w tej samej branży, jednak kolana nie chciały się uginać, zdawało mu się, że ten dziwny chód zwraca uwagę robotników, znajdujących się na terenie firmy. Dopiero w samochodzie, gdy docierał do szosy, która miała zaprowadzić go do domu, zdał sobie sprawę z tego, że cały ocieka od potu. Zachłannie łapał oddech, zerkając co jakiś czas w lusterko, jakby obawiając się, że Karpiuk wysłał za nim brygadę psychopatycznych robotników–morderców, którzy zafundują mu betonowe buty i osadzą na jednym z pobliskich bagien. To się jednak nie stało. Nie niepokojony przez nikogo dotarł do redakcji, gdzie czekali koledzy oraz tajemniczy znajomy szefa, chodząca skarbnica wiedzy, zdolna do wykopywania potrzebnych informacji niemal spod ziemi.

– No, wreszcie. Już na piątą idzie. Gdzieś był?!

– Przepraszam szefie, przeciągnęło się. Korki i takie tam.

Wyjął z kieszeni urządzenie, wydobyl kartę pamięci, którą podał Patrykowi. Zasiadli, oglądając nagranie, kilka razy przerywane uwagami tajemniczego gościa. Po kilku minutach – co ciekawe, sam Sikorski był święcie przekonany, że Karpiuk maglował go ponad pół godziny – Patryk klapnął laptopa, wcześniej za zgodą przełożonego tworząc kopię nagrania na płycie DVD.

– Chujowo, ale nie z twojej winy, Darek. Druhu, co myślisz?

– Boi się. Ładnie, że nie dałeś wpuścić się w maliny z tym lewym imieniem Skowrona, ale gdybym wiedział, w jaki sposób będziesz składał propozycję współudziału w przestępstwie, to byśmy to wcześniej przeciwczyli – zmierzył Sikorskiego zawiedzionym spojrzeniem.

– Będzie coś z tego?

– Cholera wie. Jeśli przedzwoni do Skowrona, usłyszysz to, co kazałem powiedzieć. Mam na niego taką dokumentację, że raz na jakiś czas w zamian za zachowanie stołka, musi kogoś ze współników wydać. To nie pierwszozna. Gorzej, jak zechce iść wyżej.

– Może koło burmistrza się zakręcić? Mogę zadzwonić?

– Jak pan chce zajebać całą prowokację, to proszę, nawet z mojego telefonu! – dobył jakiejś starej motoroli, niemal wpychając mu ją w rękę. – No, proszę!

– Nie no, co pan...

– Frajer jesteś? Drogi panie, teraz to tak jak po trudnej operacji w szpitalu! Decydują najbliższe dwa dni, czterdzieści osiem godzin. Jak do tego czasu nikt się nie skontaktuje, akcja upadła, zanim na dobre się rozkręciła.

– Czyli mamy... czekać?

– Tylko czekać! TYLKO. Normalnym ludziom bym tego nie wykladał tak łopatologicznie, ale boję się o pana, więc tak dla zasady: nie kontaktować się, nie kontaktować się przypadkowo, nie kręcić się po okolicy, nie przejawiać aktywności w sieci, dajmy na to zerkając na stronę firmy czy szukając fraz w wyszukiwarce. Tadek, drogi panie – wskazał na Patryka – was też się to tyczy. Rozumiecie? Wykonacie?

– Tak – odpowiedzieli niemal jednogłośnie.

– Niech się pan nie smuci. Jak na to, jakimi środkami tu dysponujecie nie było dramatycznie, panie Dariuszu. W korupcji wszystko zawsze zależy od tych, którzy naprawdę mają wpływ na bieg zdarzeń. W tym wypadku od tego skurwiela Kozaka i małżeństwa Karpiuków. No – poderwał się z zajmowanego miejsca – to wszystko. A jak się skontaktuje, to ty, Tadziu, daj mi znać. Do widzenia!

Drzwi zatrzasnęły się, zanim ktokolwiek z obecnych zdołałby chociażby sformułować pytanie, nie wspominając nawet o możliwości zdania go tajemniczemu przyjacielowi redaktora Kozaka.

– Co teraz?

– Nic, chłopaki. Sprawy zaległe, stosujemy się do rad i tyle. Pilnujcie się – pogroził palcem, jakby przeczuwając, że duet Sikorski-Papiś jest w stanie coś nabroić.

Majowa pogoda sprzyjała spacerowiczom. Słońce sukcesywnie wojowało z chmurami, trzymając je w szachu i ograniczając ich panowanie do raptem minimalnego wycinka nieboskłonu. Od kilku dni, gdy tylko dowiedziała się o Sikorskim wszystkiego, co ją interesowało, niby przypadkowo spędzała popołudnia i wieczory w pobliskim parku, zawsze siadając na najdalej wysuniętej ławce, która poniekąd sąsiadowała z chodnikiem, którym przechadzał się Dariusz, gdy kończył pracę. Dwa dni temu nie natrafiła na niego, zrzucając to jednak na karb chłodnej, wietrznej pogody i tłumacząc sobie, że mężczyzna pewnie zdecydował się jechać do pracy samochodem.

Teraz, ubrana w firmową sprawiającą wrażenie drogiej termo- aktywnej odzież, ze niecierpliwieniem wybijając na aluminiowej ramie roweru paznokciami jakąś melodyjkę, raz po raz zerkając na chodnik, którym powinien przechadzać się nowy cel. Przykuwała uwagę wielu mężczyzn. Czasem ktoś decydował się na próbę nawiązania rozmowy i wproszenie na ławkę, Iwa jednak sukcesywnie spławiała kolejnych interesantów, w głębi oddając serce temu wymarzonemu, od którego trzymała się póki co na dystans, a jednak z dnia na dzień poszerzała wiedzę na temat tego, co robi i jaki jest.

Podczas wczorajszej sesji, nie mogąc pohamować uśmiechu opowiadała o nim pani psycholog. Doktor Minke tylko przytakiwała, co jakiś czas wtrącając pytania, aby dopiero po zakończeniu długiego, niemal 15- minutowego wywodu na temat Sikorskiego łagodnym głosem dopytać, czym różni się od innych chłopaków. Zirytowana, zbombardowała ją jeszcze większą pulą informacji na temat życia, w głębi serca zaczynając podejrzewać, czy ta stara kobieta na pewno pragnie jej dobra i czy pieprzone witaminki, jakie w coraz to większych ilościach i różnych kombinacjach jej zapisuje są jedynym wyjściem. Coś w głębi serca, jak sądziła, podpowiadało jej, że już wkrótce, jeśli tylko dobrze wszystko rozegra stare, śmierdzące papierosami łapy nie będą tymi jedynymi, które będą mogły tulić ją do siebie, gdy będzie się czuła gorzej. Gdy na niebie znów pojawią się chmury a ona, siedząc w jakimś najciemniejszym kącie mieszkania będzie tylko cichutko szlochać, starając się nie zwracać na siebie uwagi sąsiadów.

Gryzło ją pewne zachowanie, dziwny gest, jakiego uświadczyła od starej lokomotywy wczoraj. Gdy ledwie wzmiankowała, że chłopak jest w przejściowym związku z żoną, spokojny wzrok wyostrzył się na moment, zerkając uważnie. Spojrzenia natrafiły na siebie. Czują, jak jej wola zaczyna nad nią górować i ta stara szkapą szybko, jakby nie chcąc prowokować, naprędce zerka w podłogę. Czekając na ukochanego, w myślach przywołała późniejszą rozmowę.

– To jest żonaty?

– Tak, ale ile razy można przeczytać o tym, że jakaś para rozchodzi się, bo facet poznał tę jedyną?

– I tą jedyną jesteś ty, Iwa?

– Co proszę?! Co to za pytanie?

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam, kochanie, ja...

– Oczywiście, że ja, co też pani?!

– Kontynuujmy, skarbie, dobrze?

Przytaknęła, cały czas usiłując odzyskać naprędce utracony spokój i harmonię.

– A ten mężczyzna, Dariusz. Jak długo się znacie?

– No, trochę. To świeża sprawa, ale czuję, że łączy nas pewna więź. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Rozumiem, że związek trzeba budować długo, poznać partnera, nauczyć się jego zachowań, nawyków i... i wiem, że na pewno ma wady. Tak jak ja i każdy! Pani, czy ktoś inny. Każdy wokół!

– A czy jego żona cię zna?

– Jeszcze nie, ale po co to pytanie?

– Kochanie, jeśli byście się zeszli...

(Tak! Wreszcie to przyznała. Zejdziemy się. Jeśli już nawet ona, skądinąd osoba postronna to przyznaje, to musi być coś na rzeczy. Wiedziałam!)

– ... to konfrontacja z żoną jest nieunikniona. Iwa. Iwa, skarbie?

– Tak... ma pani rację. Też tak sądzę. Nie poznałyśmy się.

– Może to błąd?

– Co pani sugeruje?

– Nie chcesz chyba mieć etykiety rozbijacza małżeństw?
– W dupie to mam. Tylko ze mną będzie szczęśliwy.
– Rozumiem, przepraszam za to pytanie – wzięła się za zapisywanie czegoś w kartotece pacjenta. – Iwa, na dzisiaj to by było tyle. Mam dla ciebie receptę i pewien adres, kochanie, ale moim zdaniem z miłością jest tak jak z ziarnem. Musi dojrzewać powoli. Nie spłosz tego chłopaka.

– Nie zamierzam – wystawiła rękę, odbierając recepty i wizytówkę. Od wczoraj nie rozstawała się z nią ani na moment. Wyrwana z lawiny myśli, sięgnęła do bocznej kieszonki plecaka, wyciągając tajemnicze zawiniątko i mierząc uważnym spojrzeniem.

Specjalista Nauk Medycznych,
Jakub Orleski
Psychiatra.

Poniżej widniały dane adresowe i parafka pani doktor, mająca podpowiedzieć lekarzowi, że pacjentka jest z jej rekomendacji.

Czuła, że nie może jej już ufać. Jeśli wycofuje się z terapii tylko dlatego, że jest zazdrosna o chłopaka, to taki z niej doktor, jak z koziej dupy trąba.

– Szmata stara, kurwa – szeptała pod nosem.

Z potoku niewyszukanych przekleństw wyrwała ją dobrze znana sylwetka wysokiego, szczupłego mężczyzny o czarnych włosach. Wyteżyła wzrok. Tak. To Darek! Uśmiechnęła się, po chwili wycierając ściekającą po policzku łzę. Nie zdradzając zbytniego zainteresowania jego osobą i pozostając w bezpiecznej odległości, śledziła każdy jego krok, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądać ich rozmowa niebawem, gdy pozbędą się wreszcie cholernej żony, która staje na drodze do szczęścia.

Szedł sprężystym, rześkim krokiem. Ładnie ubrany, jakby zadowolony z dobrze przepracowanego dnia. Zapewne napisał sporo ciekawych artykułów. Od kilku dni wertowała archiwalne wpisy, będąc pod rosnącym wrażeniem jego pióra. Była też niemal pewna, że zauważyła ponętą, seksowną dziewczynę, jaka od kilku dni w tym samym miejscu czekała, uśmiechając się dyskretnie. Postronny obserwator, gdyby skupił na Darku uwagę zobaczyłby, jak wypluty, przetrawiony przez kończący się dzień, w pogniecionej pasiastej koszuli facet, pogrążony w natłoku myśli z trudem stawia kolejne kroki, w głębi serca żałując, że nie wziął cholernego samochodu. Nawet na rozmowę do Karpiuka jechał pojazdem Papisia, który musiał zostać w pracy odrobinę dłużej.

Była pewna, że pilnował się teraz jak diabli, aby nie spojrzeć w jej stronę i nie skrócić w park, aby po chwili dosiąść się na ławkę i wtulić się w nią – czekającą ukochaną. W rzeczywistości, Darek myślał teraz o dłużącej się trasie, śledztwie dziennikarskim i o tym, czy Aga dotrzyma danego słowa i zjawi się w domu przed dwudziestą, zaraz po planowanych zakupach.

Minął ją, nie spodziewając się nawet przez moment tego, że ktoś go obserwuje. Dziewczyna wstała z ławki, wzięła rower i, stając kilkanaście metrów za nim, z uwagą kontemplowała każdy krok ukochanego. Spojrzała raz jeszcze na wizytówkę, którą ciągle trzymała w kieszeni.

– Ni chuj cię nie potrzebuję – powiedziała na głos wprost do papierowego prostokąta i rzucając go za siebie. – Potrafię zawałczyć o szczęście.

Prowadząc rower, trzymając się w bezpiecznej odległości od człapiącego powoli Sikorskiego dotarła za nim aż pod dom, przyglądając się z rosnącą uwagą. Podświadomie czuła, że już niebawem będzie tam mieszkać. Sprzeda to cholerne mieszkanie i... albo nie! Ten dom byłby pełen wspomnień po tej kurwie, z którą mieszka. Na pewno zgodzi się, żeby go sprzedać!

Ona dołoży pieniądze z mieszkania, może co najwyżej wezmą jakiś niewielki kredyt i zamieszkają gdzie indziej, byle razem.

Wsiadła na pojazd i nawróciła, wracając w stronę blokowiska. Rześkie, wieczorne powietrze dobrze jej robiło. Mózg wszedł na najwyższe obroty, planując cholernie zaawansowany, skomplikowany w realizacji plan, dzięki któremu uda się skutecznie uwieść Darka i pozbyć jego żony, nowego wroga numer jeden. Powoli zaczynał kiełkować zgoła absurdalny pomysł, aby zastosować się do starej maksymy, wedle której przyjaciół należy trzymać blisko ale wrogów jeszcze bliżej. Wiedziała już o Agnieszce całkiem sporo, tak samo zresztą, jak o jej znajomych. Nietuzinkowy plan zaprzyjaźnienia się z tą kurwą, w imię dobra wyższego zdawał się być teraz najlepszą opcją.

W tym samym czasie zmęczony dniem Darek, siedząc na kanapie opisywał właśnie żonie detale wielkiej akcji, w której przyszło mu grać pierwsze skrzypce. Czekał na niego ciepły obiad, a zwiewna sukienka Agi zdradzała, że od pamiętnej majówki, gdy poznała się na tym, jaka jest hierarchia wartości Olki Warzechy, będzie starała się na nowo poświęcić mu nieco więcej uwagi.

Uważnym spojrzeniem mierzyła wielką, pełną materaców salę o ciepłych barwach, utrzymanych w różnych odcieniach pomarańczy. Na przeciwległej ścianie była namalowana sylwetka sportsmenki, przeskakującej przez jakiś zapomniany przez malarza detal. Grupa kończąca zajęcia o osiemnastej właśnie wychodziła. Jakieś dwie babki – jak założyła, trenerki – naprędce otwierały okna, usiłując zmusić wyczuwalny, drażący nos zapach potu do opuszczenia pomieszczenia. Poczekwała, aż wszyscy wyjdą, zerkając naprędce do terminarza, który pozostawiony sobie samemu leżał na pobliskim parapecie. Nie robiąc sobie nic z obsługi zaczęła wertować zeszyt, poszukując nazwiska Sikorska bądź Warzecha.

– Mogę w czymś pomóc?

Podskoczyła lekko, gwałtownie łapiąc oddech. Miała przed sobą zaciekawioną, do pewnego stopnia nieufną minę rudzielca o niezłej sylwetce. Z jej szyi zwisała smycz zwieńczona plakietką z logo centrum sportowego, zdradzającego, że to – jak podejrzewała – trenerka.

– Ja się chciałam dopisać, szukałam wolnego pola... – rzuciła niepewnym głosem. Twarz rudzielca rozpromieniła się.

– To nie tutaj. Musi pani do recepcji, na dole. A na jakie zajęcia?

– No chciałam na jogę i aerobik. Koleżanka chodziła do was i bardzo sobie chwaliła, tyle że problemem może być godzina.

– Mamy dość rozbudowaną ofertę. A jaka pora panią interesuje?

– No dziś na przykład na 19 coś się znajdzie, żeby tak sobie spróbować? Mam spakowany cały strój – poklepała ręką torbę sportową, zwisającą z ramienia.

– Niech pani pójdzie ze mną. Tak w ogóle to Aśka jestem, miło mi – wyciągnęła w jej stronę dłoń.

– Iwa – odwzajemniła gest.

– Ładne, ale rzadko spotykane imię. Chodź, Iwa, pokażę ci, jak to wszystko działa i cię zapiszemy. Mamy fajną ofertę, jeśli zdecydujesz się na karnet – ruszyła przodem, co jakiś czas upewniając się, czy blondynka podąża za nią.

Nie słuchała jej gadki, wyłapując jedynie jakieś pierdoły o tym, że poza jogą i aerobikiem chętnie udzieli jej zniżki na basen, saunę i Bóg wie co jeszcze. Prowadząc dziewczynę na parter wskazała prysznic, szatnie oraz jakiś nieduży bufet, który rzekomo miał serwować tylko zdrową żywność.

– Aniu, pani chciała się zapisać, ale interesują ją tylko godziny wieczorne.
– Precyzując, między 19 a 20 w zależności od dnia. Mam bardzo płynny grafik i trudno mi planować z dużym wyprzedzeniem. Coś się znajdzie? Na początek joga, aerobik i siłownia.
– Widzę, że pani już zdecydowana – niewysoka kobieta uśmiechnęła się
– Nawet nie wie pani, jak bardzo – zmusiła się do odwzajemnienia gestu.
– Poproszę o jakiś dokument tożsamości, wyrobimy pani kartę członkowską. To zajmie tylko kilka minut. Jeśli weźmie pani karnet miesięczny w wersji MAX, pierwsze trzy godziny otrzyma pani gratis i do tego darmowe dwie wejściówki dla rodziny lub znajomych na basen. Mamy też karnety w wersji medium i...

– Niech jest ten MAX – ucięła, wręczając jej dowód osobisty. – Niech pani sobie nie przeszkadza, tutaj trochę pozwiedzam, czy to nie kłopot?

– Naturalnie.

Ruszyła w stronę przeszklonych szyb, z których wychodził widok na pobliską drogę ekspresową, nieduży zieleniec i parking, na którym skupiła uwagę. Wyciągnęła z kieszeni telefon sprawdzając, która godzina.

– Te kurwy powinny już tu być – wyszeptęła, filując wzrokiem za srebrnym citroenem, którego kilka razy widziała obok posesji Sikorskich.

Popłynęła w świat marzeń, przywołując przed oczy obraz Darka. Widziała, jak otwiera drzwi od jakiegoś wielkiego, eleganckiego domu. Zdejmuje marynarkę, buty i zmierza do niewielkiego pomieszczenia, gdzie jakaś smukła, krótko obcięta blondynka powoli odwraca się na fotelu obrotowym. Po chwili obejmował ją i...

– Halo, pani Iwo.

Westchnęła, przyłapując się na tym, że zdążyła wbić paznokcie tak głęboko w ramiona, że pod białą koszulką pojawiło się kilka kropelek krwi. Dom zaczął się oddalać. Wyłoniła się ta pieprzona, brudna szyba z widokiem na jebany parking, na którym cały czas nie mogła namierzyć pojazdu. Odwróciła się z błogą, pytającą miną.

– Pani dowód, proszę – położyła dokument na ladzie. A tutaj karnet. Płaci pani gotówką czy kartą?

– Kartą – ruszyła, w głębi siebie z trudem powstrzymując się, aby nie chwycić tej wywłoki za szpetne włosy i nie bić pustym łbem w marmurową ladę tak długo, aż czaszka pęknie i ta tępą miną zniknie.

Kątem oka zauważyła, że drzwi wejściowe przekracza właśnie średniego wzrostu kobieta o ładnie zarysowanych ustach. Zaraz za nią jakiś pieprzony farfocel o nieogarniętej fryzurze, w dziwnych okularkach i nieproporcjonalnie drogich dresach. Znała je tylko ze zdjęć, jednak od razu poznała, z kim ma do czynienia.

– Naprędce wklepała numer PIN, nie spuszczać z nich oczu nawet na moment. Dwie kobiety przywitały się z recepcjonistką z którą najwyraźniej były już per ty i ruszyły na pierwsze piętro.

– Transakcja zaakceptowana – proszę.

Wzięła kartę od bankomatu i naprędce włożyła ją do portfela, zaraz obok dowodu osobistego i karnetu. Tylko spokojnie. Działaj według planu. Wszystko ustalone, wszystko masz pod kontrolą...

Trzymając się w niedużej odległości od Agnieszki i Oli ruszyła za nimi. Niczego nie świadome dziewczyny wymieniając na piętrze uśmiechy z jedną z trenerek i ruszyły do szatni. Opuściła głowę, jakby nie chcąc, aby ta szmata teraz ją zaczepiła i wkroczyła do pomieszczenia za nimi. Rozmawiały o czymś, przebiegając się.

Przełknęła ślinę. Nigdy nie lubiła rozbierać się przy obcych. Wracały wspomnienia

starych czasów, gdy jeszcze mieszkała z matką i siostrą. Przekładana przez głowę odzież ograniczała widoczność niemal do zera. Nie raz i nie dwa młodsza siostrzyczka, wykorzystując chwilową słabość zdążyła sprzedać jej szybki cios wymierzony w brzuch lub splot słoneczny. Teraz jednak nie było odwrotu. Dłonie drżały, naprędce schowała je do kieszeni szarej bluzy i minęła, już w samej bieliźnie dziewczyny, szukając wolnej szafki w samym końcu pomieszczenia. Odwróciła się na moment, zerkając na nie

Co on w niej widział? Zwykła, byle jaka. I te dziwne odrosty. A ta no, Warzecha, to już w ogóle istny dramat. Joga gównu tu pomoże. Takim, jak one to jedynie zsyłka na koniec świata lub śmierć – uśmiechnęła się lekko, powtarzając w myślach to słowo kilkakrotnie. Śmierć, śmierć, śmierć. Zimny trup. Trup nie przeszkadza na drodze do szczęścia. Trup nie stanie między nią a nim. Ach...

W szatni zaczynały gromadzić się kolejne dziewczyny. Walcząc z własnymi lękami i słabościami głęboko zakorzenionymi w psychice zdjęła bluzę i spodnie. Poczowała, jak ze skroni ścieka niewielka stróżka potu. Znowu pojawił się zapach drewnianej chałupy. Obraz zaczął ciemnieć. Naprędce usiadła na drewnianej ławce, biorąc w dłonie smartfona. Zębami chwyciła wewnętrzną część policzka, zaciskając uścisk coraz mocniej. Była niemal pewna, że gdyby teraz wypluła ślinę, ta byłaby gęsto skąpana we krwi. Powoli zaczęły wracać głosy dziewczyn. Zapach drewna ustępował porażającej mieszance kobiecych perfum i antyperspirantów. Zdjęła koszulkę, prezentując światu talię. Po chwili, już w stroju do ćwiczeń, zdecydowała się na zajęcie miejsca w ostatnim rzędzie, aby z bezpiecznej odległości obserwować cele.

Cholerne rozciąganie. Była wysportowana, jednak pierwsza sesja na zajęciach z jogi nigdy nie należy do łatwych. Motywowało ją chyba tylko to, aby wszystkie te debilne pozy wykonać lepiej niż ona. Muzyka relaksacyjna raz po raz wytrącała ją z rytmu, jednak wyćwiczony umysł doskonale pamiętał o kolejnym kroku, jaki należy postawić.

Wyszła kilka minut wcześniej gestem dłoni zdającym się mówić prowadzącej „kibelek. Wróć, nie przerywaj” i udała się do szatni. Czasu było mało. Wyciągnęła z szafki plecak. Po chwili w jej dłoni pojawiła się szpilka, którą włożyła do połowy w zamek szafki Sikorskiej a następnie, kilkoma ruchami dłoni, ułamała, pozbywając się dowodu zbrodni w koszu na śmieci. Dla bezpieczeństwa, dopchnęła metalowy element kluczem ze swojej szafki tak głęboko, jak tylko było to możliwe. Wróciła na salę na ostatnie kilka minut, z niecierpliwością czekając na zakończenie zajęć.

Wymieniła kilka uśmiechów i po chwili, dziękując instruktorce za dobrze spędzony czas, ruszyła ku szatni. Tak jak przewidywała wszystkie tępe laleczki jedynie patrzyły, jak Aga mocuje się z zamkiem, który nie chce ustąpić. Iwa od zawsze wierzyła, że po uporze w działaniu, skutecznie można ocenić to, jak łatwo można danego człowieka złamać. Aga, z niedowierzaniem wymieniając kilka zdań z przyjaciółką, niczym pozbawiony mózgu debil cały czas usiłowała wsadzić klucz w zamek, nagminnie popełniając ten sam błąd. Po dłuższym czasie szatnia niemal opustoszała. Warzecha przyprowadziła jakąś babkę z obsługi, która jedynie rozkładała ręce, powtarzając jak mantrę, że o tej porze nie ściągnie żadnego konserwatora i że rzeczy są tam bezpieczne.

- Ale tam mam kluczyki, ubiór, portfel! Co też pani...
- Nie mogę wiele zrobić, strasznie mi przykro, pani Agnieszko.
- I co teraz?
- Jeszcze zadzwonię na domowy, ale naprawdę to tylko nocka. Nic się nie stanie. Damy pani darmową wejściówkę na basen... – nawróciła na pięcie, unikając spojrzenia rozgniewanej dziewczyny.
- Przepraszam – wtrąciła, starając się, aby głos, mimo całej nienawiści zabrzmiał ciepło i

serdecznie. – Jeśli chcecie, to mogę was podwieźć – uśmiechnęła się w stronę zaskoczonej takim obrotem wydarzeń Agi.

- Nie chcemy robić kłopotu – rzuciła w imieniu obydwu Olka.
- To nie kłopot. Trzeba pomagać ludziom. Ja do centrum jadę, a wy?
- No w sumie też. Naprawdę nie będziemy ciężarem?
- Skończcie, dziewczyny. Sama się oferuję.
- Co powiesz?
- Nic lepszego nie wymyślimy.
- No to zapraszam – powoli wstała.
- Dziękujemy. Swoją drogą jestem... Aleksandra Warzecha, (Wiem, kim jesteś, suko)
- Olka – uśmiechnęła się ciepło.
- A ja Agnieszka.

– Iwa. Miło was poznać. No to chodźmy. Jestem tu nowa. W sumie nie zakładałam, że poznam kogoś w tak nietypowej sytuacji, ale spoko, widać los postanowił inaczej – zaśmiała się. Uśmiechnęły się, krocząc na parking. Po chwili siedziały w fordzie ka, który łykał kolejne kilometry, zbliżając się ku sercu miasta.

- Gdzie mieszkacie?
- Ja na Tulipanowej, to przy obwodnicy.
- A ty, Ola?
- Osiedle Bursztynowe.
- To wygodniej będzie mi chyba najpierw podwieźć ciebie, dobra?
- No... okej.

Kilka minut później, czule żegnając się z Agnieszką i raz jeszcze dziękując za podwózkę nowej koleżance ruszyła ku mieszkaniu. Nieduży, czarny pojazd płynnie zawrócił na szerokiej drodze osiedlowej.

– Miałaś coś ważnego w tej szafce? Raz zapodziałam kluczyk do skrytki w sklepie. Istny cyrk z odzyskaniem tego.

- No w sumie to wszystko – ucięła, zastanawiając się, dokąd zmierza dyskusja.
- Jeśli chcesz, wygrzeb kluczyk zapasowy i cię podrzucę na parking, żebyś chociaż samochód na rano miała, hm?

– Nie, nie trzeba. Mąż mnie podrzuci, ale dzięki. To rzadkość w tych czasach, żeby pomagać bezinteresownie drugiemu człowiekowi.

- A szkoda.
- Święta prawda. To tutaj, o, ten, ten.

Pojazd powoli zatrzymał się. Iwa odwróciła się, mierząc Sikorską uważnym spojrzeniem.

- Oddam ci za paliwo chociaż? Wezmę z domu jakieś drobne...
- Mowy nie ma. Postawisz kiedyś kawę po ćwiczeniach, pogadamy i jesteśmy kwita.
- Dzięki. Będiesz tam często na zajęciach?
- Jak czas pozwoli, ale zazwyczaj w godzinach wieczornych.
- To tak jak my...
- Zatem, do zobaczenia, Aga. Udanego wieczoru.
- Dzięki, pa.

Nie chcąc wzbudzać nadmiernego zainteresowania nowej koleżanki, trzymając się wcześniej ustalonego planu naprędce nawróciła pojazd, zmierzając w sobie tylko znanym kierunku. Pogrążona w myślach, ale i zadowolona z takiego obrotu spraw Sikorska ucieszyła się na widok męża, w kilku lakonicznych zdaniach prosząc o pomoc w znalezieniu zapasowego

kluczyka do citroena i podwózce do centrum sportowego. Po dłuższych poszukiwaniach czerwone audi mknęło w stronę samotnego na opustoszałym parkingu srebrnego pojazdu żony.

– I co, tak bezinteresownie pomogła wam obca osoba?

– Taka blondi spoko. Chciała chyba wkupić się do jakiejś grupki, bo to były jej pierwsze ćwiczenia. Byś widział, jak zwlekała, żeby się w szatni pełnej bab przebrać – roześmiała się.

– Szatnia pełna bab? No niestety – zaakcentował słowo – nie widziałem.

– Zboczuch z ciebie.

– To raczej zdrowy odruch. Ciesz się, że nie pociągają mnie męskie pupcie.

Roześmiali się.

– Zawsze wiedziałem że prędzej piekło zamarznie niż ten liliput zorganizuje ci jakąś pomoc, jeśli nie ma w tym jakiegoś interesu.

– Przestań, Dariusz. Na pewno gdyby ona się nie zaoferowała, coś byśmy wymyśliły!

– To to wiem, mówię tylko, że sama to za chińskiego boga...

– Zmień płytę. Zresztą, jesteśmy. To tu, w prawo dawaj teraz.

Posłusznie wykonał manewr, zerkając na zasypiający powoli wielki budynek, gdzie tliło się ledwie kilka świateł w dużych, przestronnych oknach.

– Spore to. Poczekam, aż wyjedziesz. Pojedziesz pierwsza? Dam ci fory!

– Nie szalej. Jeszcze gdzieś będzie stać drogowka.

Truchtem pokonała dystans kilkunastu metrów dzielący ją od samochodu. Nieco później pod domem Sikorskich zameldowały się dwa pojazdy. Żarliwie o czymś dyskutując przekroczyli próg, zamykając za sobą drzwi na zamek.

W dużym, stylowym gabinecie mieściło się solidne, dębowe biurko i skórzany fotel za którym, na ścianie wisiała panorama miasta. Nieco w tle stół i sofa dla gości, zasypany jakimś ulotkami, ulokowany w niedużej odległości od ekspresu do kawy. Okna wychodziły na wewnętrzny plac budynku, z którego roztaczał się niezbyt ciekawy widok na parking, gdzie jedynymi elementami natury artystycznej było kilka równolegle względem siebie posadzonych iglaków średniej wysokości. Burmistrz, opierając się o parapet zerkał właśnie w dal. Kilka metrów za nim, zasiadając w fotelu i popijając aromatyczną ciecz, którą Janek wcześniej wyciągnął z biurka, zasiadał rośli, barczysty facet w jeansowych spodniach i bawełnianej koszuli z krótkim rękawem – stary Karpiuk. Uważnie mierzył go wzrokiem, jakby wyczekując, aż elegant wreszcie łaskawie raczy zabrać głos.

– Janek, no!

– Myślę. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

– Rozmawiałem ze Skowronem i...

– Gównu mnie obchodzi, z kim żeś gadał – uciął, ciągle wpatrując się w świat widoczny po drugiej stronie szyby, jakby usiłując zmusić Stwórcę, aby dał mu znak, co zrobić, jak należy postąpić – zresztą wszyscy wiedzą, że ten stary komuch za zachowanie stołka sprzedałby własną matkę!

– Co planujesz? Nie możemy tak tego zostawić.

Zirytowany tonem współnika odwrócił się na pięcie i pozerając go wzrokiem ruszył przed siebie, niczym spragniony ciepłej krwi zwierz, który właśnie zwietrzył smakowity kęs.

– Jacy my, Damian, jacy my? Ty rozmawiasz z jakimiś anonimowymi ludźmi bez skonsultowania się ze mną! Wiesz przecież, w jakich trudnych czasach przyszło nam działać!

– Ja żem nic nie powiedział, co ty – silił się na uśmiech.

– Mam nadzieję. Co o nim wiemy?

– Niedużo. Firma faktycznie skupia się na niewielkich robotach, startują tak jak K2Bud, do robót w całym kraju, ale z tego co znalazłem, realizują małe inwestycje w gminach. W sensie, że unikają wielkich miast i hucznych projektów.

– No to naprawdę, wysiliłeś się!

– Kiedy mówię, że Skowron ich polecał! Podobno jesteśmy pod lupą!

– Otóż to. Jesteśmy pod lupą. Byliśmy już nie raz i nie dwa, i co? I wszystko zawsze działało, a ty... ech, jak amator, Damian, po prostu odwalasz koninę.

– To może zadzwonić wiesz, wyżej – zmierzył go sugestywnym spojrzeniem.

– On nie rozmawia o takich błahostkach. To nie jakaś pieprzona obwodnica czy autostrada, żeby ciągle być w kontakcie. Od małych rzeczy jest mały człowiek. A jakiś pieprzony most to mała rzecz, co nie?

– Generalnie...

– Ech, kurwa twoja zapierdolona mać. Narobiłeś mi zmartwień. Daj tę wizytówkę.

Ostatecznie co by nie było, burmistrz może odbyć kilka rozmów poza grafiką – wystawił dłoń przed siebie. Po chwili objawiła się weń nieduża, prostokątna karteczka. Mrużąc nieco oczy, zapoznał się z zawartością i schował do kieszeni.

– Przepraszam, stary. Zrobił wszystko tak, jak trzeba...

– A znasz kogoś, kto wcześniej zrobił wszystko jak trzeba? Przypomnę ci może, jak Mirek Wolniak zaczynał z biznesem. Idiota po spotkaniu z mieszkańcami na siłę chciał wepchać kopertę do kieszeni, myśląc, że nikt nie widzi. Albo Staszek od kebabów, który dzwonił na urzędowy telefon i zostawiał wiadomości w sekretariacie. Gdyby ta debilka – wskazał na drzwi – miała mózg, a nie orzech, byłibyśmy w niezbyt wesołym miejscu.

Stary Karpiuk roześmiał się, w mig pokorniejac pod naporem miny burmistrza.

– To nie jest zabawne, kretynie. Mi tu dobrze. Mam co przytulić i nie zamierzam przez twoje widzimisię mieć kłopotów. Masz jednorazówkę?

– Pewnie, że mam – sięgnął do reklamówki, z której wyciągnął niedrogi telefon, koło którego pojawiła się karta SIM.

– Rozpakuj i zadzwoń.

– Ja?!

– Właśnie tak – ruszył w stronę ekspresu do kawy, kładąc urzędową filiżankę na urządzenie i naciskając przycisk dedykowany kawie Americana.

– Już, zara dzwonię, Janeczku. Podyktujesz mi numer tylko?

Podszedł, rzucając wizytówkę na stół.

– Ma do mnie wrócić, łapiasz? – skinął głową. – No to cudownie. Dzwoni.

W redakcji Naszewspolnemiasto.pl, telefon z wielkim białym plastrem, na którym ktoś w niezbyt wyszukany sposób napisał „DewBud”, zaczął delikatnie wibrować. Patryk jednym ruchem złapał urządzenie i kilkoma susami wparował do gabinetu szefa. Odebrał, naprędce wskazując na dyktafon.

– DewBud, słucham?

– Halo?

– Tak, tak? – uruchomił urządzenie, przykładając je do słuchawki.

– Z kim rozmawiam?

– Jonasz Całka... DewBud, a pana godność? – silił się, aby jego głos brzmiał, jak najbardziej naturalnie, raz po raz zerkając na redaktora Kozaka, który gestykulował, pokazując na migi, aby mówił bardziej naturalnie i odrobinę wolniej.

– A prezes?

– Pan Zawojski ma spotkanie. Czy coś przekazać?

– Na spotkaniu jest – wyszeptał w stronę burmistrza. – Co teraz?
– Niech oddzwoni na ten numer. Kończ, kretynie.
– Halo? To jak będzie po spotkaniu, niech szef oddzwoni pod numer, który się wyświetlił, przekaże pan?

– Naturalnie. Pan Dariusz będzie za jakiś kwadrans – zerknął w stronę obserwującego bieg wydarzeń zza progu Sikorskiego. – Niech pan będzie pod telefonem. A przekazać, że kto dzwonił?

– Kolega z branży. Do widzenia.
– Kłaniam się – nacisnął na czerwoną słuchawkę.
– Pierwszy kontakt w niemal równo 24 godziny po spotkaniu – Darek wyszczerzył się. – Chyba jednak nie było tak beznadziejnie, jak kolega szefa sugerował.
– Chuj wi. Umiesz wpiąć tę aparaturę? – wskazał na krzątaninę kabli, leżącą na kanapie w towarzystwie laptopa.

– Zaraz się okaże. Papiś, chodź, robimy akcję! Szef nie chce go poinformować? Może mamy to wszystko zabrać tam do nas?

– Nie szalej. Zobaczymy, co powie. Równie dobrze może chcieć w sposób kulturalny cię splawić – utemperował go.

Darek rozsiadł się na kanapie, gestem ręki przywołując kolegę. Telefon został połączony z komputerem za pomocą kabla microUSB. Wykonywali właśnie połączenie testowe, weryfikując, czy aplikacja, jaką zarekomendował kolega redaktora Kozaka, spełni funkcję. Dla bezpieczeństwa, odsłuchali również nagranie z dyktafonu, upewniając się, czy cokolwiek słychać i czy jest sens przykładać go do telefonu. Poza miarowym dyszeniem Patryka, po prostej korekcie okazało się, że jakość nagranego głosu jest wystarczająca.

– To co, dzwoniemy?
– Nie za szybko?
– Przecież jestem biznesmenem, szefie. Dzwonię, bo zaraz będę w drodze na ważne spotkanie.

– No dobra... Patryk, jesteście gotowi?
Pulchny facet raz jeszcze zmierzył wzrokiem ekran laptopa, kliknął na czerwoną ikonkę, inicjując rozpoczęcie nagrywania. Skinął głową. Darek oddzwaniał pod tajemniczy numer telefonu. Ktoś odebrał po trzech sygnałach.

– Słucham?
– No witam serdecznie. Tu Dariusz Zawojski z DewBud. Czy to pan, panie Karpiuk?
– Może pan dziś spotkać się w restauracji In Blanco?
– To zależy o której. Co pan proponuje?
– Może osiemnasta?
– Proszę zaczekać – zasłonił lekko dłonią słuchawkę, pytając jakąś bliżej niezidentyfikowaną osobę. – Mamy coś na osiemnastą jeszcze? Nie? Aha – przyłożył słuchawkę do policzka. – Halo? Dobrze, może być osiemnasta. Na jakie nazwisko stolik?

– Kelner pana zaprowadzi. Do zobaczenia – rozmówca rozłączył się.
Patryk zatrzymał aplikację, odłączył telefon od laptopa i kliknął na przycisk play, upewniając się, czy nagranie jest zabezpieczone. Z głośników popłynął głos Darka i tajemniczego rozmówcy. Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Co teraz? – nieco bleśszy, ale zadowolony z dobrze odegranej roli zerknął na szefa.
– Nic. Mamy cztery godziny, żeby wszystko przećwiczyć. Idźcie, musicie zadzwonić.
Po chwili zamykali drzwi gabinetu Kozaka, słysząc, jak rozmawia z tajemniczym mężczyzną, którego nazywał „druhem”.

W czterdzieści minut później, Kozak powoli otworzył drzwi gabinetu, dołączając do świty. Mina wiekowego mężczyzny zdradzała, że nie ma do zakomunikowania nic dobrego.

– Nie przyjdzie.

– Jak to?!

– Nie wszyscy żyją jedną aferą, Patryk. Jest zajęтым człowiekiem i tylko przez wzgląd na mnie – uderzył palcem wskazującym w klatkę piersiową – znajduje czas na te podchody!

– Co teraz? Poradził coś?

– Trzymać się planu. Zakładasz podsłuch i kamerkę, bierzesz telefon, na jaki dzwonili, żeby uniknąć wpadki i bajerujesz.

– No, a poradził coś jeszcze? Coś czego... nie wałkowaliśmy wcześniej?

– Przykro mi, Dariusz. Po prostu daj z siebie wszystko. Idź do domu się przebrać, na miejsce taksówką, płac gotówką. No, ruchy!

– Jest czas, to jeszcze prawie trzy godziny, szefie...

– Lepiej mieć trochę czasu w zapasie. Zadzwoń dopiero z domu, jak wrócisz i będzie po wszystkim.

– No to do zobaczenia – wystawił rękę w stronę Kozaka, po chwili pożegnał się z Papisiem.

Za dwadzieścia szósta srebrny Ford Galaxy zatrzymał się naprzeciwko restauracji In Blanco. W czarnej marynarce, pod krawatem i w eleganckich spodniach truchtem pokonał ruchliwą szosę, kierując się w stronę wejścia. Wielokrotnie słyszał o tej knajpie, ale odwiedził ją tylko raz, może dwa na przestrzeni ostatnich lat. Ceny były powalające. Mimo doskonałej kuchni, w In Blanco zawsze można było mieć gwarancję wolnych stolików, bowiem większość przetrzebionego przez rosnące podatki społeczeństwa najwyczejniej w świecie nie mogła pozwolić sobie na syty posiłek w tym miejscu. Wnętrza utrzymane były w eleganckich odcieniach królewskiej czerwieni. Wielkie sofy z należytymi odstępami, dodatkowo odgródzone od otoczenia sporą ilością miejsca i roślinności zwiększały poczucie intymności i dyskrecji. Namierzył kelnera, który z serdecznym uśmiechem zmierzał w jego stronę.

– Witam pana serdecznie. Stolik? Rezerwacja?

– Rezerwacja. Nazywam się Dariusz Zawojski, niestety nie wiem, na jakie nazwisko znajomy zarezerwował stolik.

– Niech pan raczy chwilkę poczekać – ruszył do zeszytu gości, wertując go naprędce, nie chcąc trzymać mężczyzny zbyt długo przy wejściu. Po chwili uśmiechnął się triumfalnie, gestem ręki zapraszając w głąb lokalu.

– Niech pan pójdzie za mną, panie Zawojski.

Ku zdziwieniu Darka mężczyzna przeprowadził go przez niemal cały urzekający elegancją poziom parterowy, gdzie posilało się ledwie kilka osób w średnim wieku. Jakaś starsza kobieta w wielkim kapeluszu zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Ledwie zauważalnie oddał jej uśmiech, cały czas idąc za kelnerem, który zaprowadził go ku schodom na pierwsze piętro.

– Nie wiedziałem, że na pierwszym piętrze macie państwo część publiczną...

– Bo nie mamy. To część prywatna – uśmiechnął się, gestem dłoni wskazując kierunek. – Mam nadzieję, że miło spędzi pan czas.

Darek sięgnął do kieszeni, gestem ręki włączając szpiegowską kamerę umiejętnie schowaną, zgodnie z radami „Druha” w ubraniu. Wyciągnął telefon, jakby wahając się, czy zadzwonić pod zagadkowy numer, czy też może dać szansę znalezienia się tajemniczemu rozmówcy. Kątem oka zauważył machającą ku niemu, męską dłoń. Uśmiechnął się lekko, ruszając przed siebie.

– Dzień dobry, panie Karpiuk, dziękuję za telefon – uściśnął dłoń zapoznanego niedawno

mężczyzny.

– Witam, witam pana. Proszę usiąść – wskazał na miejsce przed nim.

– Będzie z nami ktoś jeszcze?

– Niewykluczone. Co tam nowego u pana, spotkanie udane?

– Po mojej myśli, dziękuję.

– Widzi pan, rozmawiałem ze Skowronem... – zrobił dramatyczną przerwę, uważnie mierząc Sikorskiego wzrokiem. – Pana nazwisko nie jest mu obce.

Uśmiechnął się lekko, wyczekując na ciąg dalszy.

– Tak... to może coś zamówimy? Na co pan ma ochotę?

– Coś sobie wybiorę, dziękuję – sięgnął po menu, kartkując je naprędce.

– Coś pan nerwowy.

– Ja? Czemu pan tak sądzi, panie Karpiuk?

– Ręce – wskazał na jego dłonie, uśmiechając się triumfalnie. – Niech się pan nie boi. To nie jest trefne miejsce.

– Na pewno, ale wie pan, nie codziennie wyczekuję na spotkanie z jakimś tajemniczym rozmówcą.

– Naturalnie, naturalnie. Ale – wychylił się nieco, zerkając ku schodom – pańska niepewność nie potrwa długo – rozpromienił się.

Zgodnie z radą, jaką otrzymał od Druha leniwie, jakby od niechcienia zerknął w lewo, powtarzając sobie w głębi serca, że nawet gdyby teraz stanął przed nim sam prezydent nie drgnęłaby mu nawet brew. Gdy tylko tajemnicza postać zbliżyła się, naśladowując zachowanie Karpiuka wstał. Uważnym spojrzeniem mierzył go wyższy o głowę facet o lodowym spojrzeniu i wypranej z emocji minie.

– Dzień dobry, drogi panie, cześć – przywitał się z Karpiukiem.

– Witam, panie burmistrzu. Bardzo miło pana poznać.

– Ależ jestem głodny. Nie pogniewa się pan, jak najpierw coś zamówimy?

– Bynajmniej, sam też bym coś spałaszował...

– No to siadajmy. Damianku, skocz na dół, dla mnie to co zawsze. A dla pana?

– A to ja może stek, średnio wysmażony i cola.

– To za chwileczkę wracam. Porozmawiajcie sobie – poderwał się, ruszając ku publicznej części lokalu.

– Tak, drogi panie – burmistrz ciągle mierzył go uważnym spojrzeniem. – Słyszałem, że działa pan w branży budowlanej?

– Od jakiegoś czasu. Wiadomo, że teraz sytuacja w budowlance nie jest dobra, to też trzeba podejmować nowe wyzwania, aby jakoś pchać wózek do przodu.

– A ja, widzi pan, mam w sumie prostą robotę. Spełniać prośby mieszkańców, pozyskiwać środki i wytrącać konkurencji politycznej argumenty z rąk. Pieniążki zapewne mniejsze niż w pana branży, ale chociaż zawsze pewne – zaśmiał się.

– No tak. Tylko jeśli spojrzy pan szerzej, to za kilka lat, według tego wszystkiego co mówią i piszą, eldorado na kasę z Unii się skończy.

– Za kilka lat to może się skończyć państwo, jeśli założyć najbardziej dramatyczny wariant. Gdyby kalkulować w kategorii samych minusów i problemów, to wszyscy doszliby do wniosku, że nie warto kandydować. Ba! Za kilka lat mogą umrzeć, po co więc żyć? Pesymista z pana, panie...

– Zawojski. Dariuszu. I nie jestem pesymistą, panie burmistrzu. Po prostu staram się patrzeć dalekosięźnie.

– A jak bardzo dalekosięźnie?

– Powiedzmy że na tyle, aby unikać kłopotów, ale i nie klepać biedy. Żeby pchać ten wózek o nazwie DewBud do przodu. A jakie są pana cele?

– Reelekcja – uciął, naprędce dodając. – I czyste ręce.

– W tym fachu to ważne.

– W każdym fachu to ważne. Znałem kiedyś lekarza, co za grube kwoty dokonywał na lewo aborcji. Wpadł w dość specyficzny sposób: jedna z pacjentek po zabiegu... można powiedzieć, że jej odpiardoliło pod kopułą. Zaczęła tworzyć jakiś własny świat. I pewnego dnia, licząc, że przyznanie się i pociągnięcie za sobą tego lekarza pozwoli jej odzyskać spokój duszy i ciała, doniosła.

Zaśmiał się lekko.

– I jak się skończyło?

– Wylądowała w wariatkowie, a lekarz dostał prawomocny wyrok. Zmierzam do tego – wstał, ustępując miejsca Karpiukowi, który właśnie wrócił w towarzystwie kelnera, który przyniósł napoje – że są takie sytuacje, kiedy korzyści krótkoterminowe trzeba wkopać w piach i zarznąć, w imię zysków długoterminowych.

– Opowiadał panu o doktorze? – wtrącił się Damian Karpiuk.

– Owszem. Ale jeśli dobrze zrozumiałem przekaz pana burmistrza, nie jestem tym typem przedsiębiorcy.

– Co pan powie o naszej gminie, skąd pan jest?

– Ze wschodu, zresztą wszystkie informacje na mój temat dość łatwo znajdziecie w rejestrach przedsiębiorców. Możecie też panowie zawsze zapytać naszego wspólnego znajomego – silił się na uśmiech.

– Oczywiście, że możemy. Możliwe, że już zapytaliśmy.

– Nie byłbym zdziwiony, panie burmistrzu. Na pana miejscu również zrobiłbym to samo, znaczy zacerpnął opinii... przyjaciół.

– Nie interesuje pana, co mógł powiedzieć na jego temat?

– Szczerze mówiąc, nie. Gdyby to było coś złego, nie czekałbym teraz w takim towarzystwie na steka, prawda? – zaśmiał się. Karpiuk odwzajemnił reakcję. Już prawie mnie kupili – rzucił w myślach.

– Jest pan pewny siebie. Ale – zerknął w stronę kelnerów, niosących posiłki – dokończymy za kilka chwil, jedzmy. Smacznego, drogi panie Darku, Damianku.

– Smacznego.

Zegar wskazywał na dziewiętnastą, gdy dwójka mężczyzn zdecydowała się postawić kolejny krok na gruncie współpracy z firmą, jakiej właścicielem został Dariusz Sikorski.

– Niech pan powie, drogi panie Dariuszu, co myśli o planowanym przetargu na most przy Chrystusa Króla?

– Widzi pan, panie Damianie, to jedna z tych inwestycji, gdzie ważna może okazać się praca zespołowa...

Przerwał mu rwący śmiech burmistrza.

– Pan skończy z tymi gierkami i uprzejmością, panie Darku! Naprawdę, rozmawiałem z kolegą i poręczył za pana!

– Bardzo szanuję pana burmistrza, ale to dopiero pierwsze spotkanie. Po co psuć początki dobrej znajomości zbyt wielkim pośpiechem? – zmierzył ich uważnym spojrzeniem.

– Do czego pan zmierza?

– Miejsce, gdzie pan mnie zaprosił, oferuje świetne jedzenie, przynajmniej z tego, co już zdążyłem skosztować z menu, ale czy aby jest na tyle przytulnym, aby rozprawiać tu o planach, koncepcjach czy – zawahał się – finansach? Tego nie wiem.

– Cóż, panie Dariuszu, może nam pan ufać lub nie, ale...

– Szanuję pana, panie Karpiuk, ale pozwólcmy sobie zapracować na to zaufanie – uśmiechnął się ciepło.

Stolik wypełniła cisza. Ani Kozak ani Karpiuk nie bardzo wiedzieli, jak zachować się wobec tak ostrożnego i wazącego słowa przedsiębiorcy. Plan, ułożony na ten wieczór wspólnymi siłami w redakcji wracał w ostatnią prostą. Wciągnął powietrze.

– Może zobaczymy się za kilka dni na spotkaniu roboczym? – zapytał, akcentując ostatnie słowo. – Kiedy panowie będziecie mieć czas?

– Dopasuję się – Karpiuk wycofał się z rozmowy. Burmistrz sięgnął po kieszonkowy kalendarz.

– To może by tak w najbliższą sobotę, rankiem?

– Osiemnastego?

– Tak, tak...

– Dopasuję się. Jeśli to nie problem, chciałbym wyciągnąć panów nad tutejszy zalew. Mam tam znajomego, który może nam wypożyczyć motorówkę!

– Ale...

– Panie burmistrzu. Zmotywuję tylko pana, że warto, nawet jeśli nie lubi pan wody – sięgnął do kieszeni po kartkę i długopis, naprędce zapisując pewną kwotę i pokazując ją. – To tak, żeby pan miał obraz tego, jak cenny jest w tej chwili ten most.

Okopany, po przeciwnej stronie stołu, mierząc go pewnym wzrokiem wyraźnie widział, jak Jan Kozak przełyka ślinę. Cała krtań pracowała tak, jakby co najmniej od kilku dni nie miał w pysku ani kropli wody.

– No dobrze...

– Zatem, to wszystko na dzisiaj, jak sądzę, drodzy panowie – powoli wstał od stołu. – Dziękuję za wasz czas. Czy uścić...

– Ależ proszę pana! Odpada! Mowy nie ma. Sam pana tutaj zaprosiłem – rosły mężczyzna, najwyraźniej otumaniony wizją łatwych, lewych pieniędzy i jego fachowości silił się na serdeczny ton. – Niechże pan nawet o tym nie myśli!

– Dziękuję. To bardzo miłe, burmistrzu – wystawił rękę na do widzenia.

Kilka minut później pewnym krokiem podążał w stronę wyjścia, zamawiając przez telefon taksówkę. Pojazd zjawił się szybko. Za radą Druha rozejrzał się, czy aby żaden z pomagierów burmistrza lub Karpiuka nie chce bawić się w detektywa, po czym poprosił taksiarza, aby zawiózł go w sąsiedztwo parkingu strzeżonego, ulokowanego naprzeciwko kamienicy, gdzie mieściła się redakcja, możliwie okrężną trasą. Co jakiś czas zerkał w lusterko po stronie pasażera, jednak nie zaobserwował żadnego trzymającego się ich przez całą, długą drogę, pojazdu. Zapamiętał, że początkowo włóczył za nim jakiś niebieski maluch, później jakiś pojazd ze stajni audi, na końcu autobus komunikacji miejskiej.

Godzinę później, gdyż Darek szlajał się jeszcze po stacjach paliw i jednym barze szybkiej obsługi dotarł wreszcie pod dom. Zaparkował pojazd na poboczu, wyciągnął ze skrytki telefon i wybrał numer redaktora Kozaka. Ignorując oświetlony pokój na piętrze, zdradzający, że Aga jest w domu, rozpoczął rozmowę z przełożonym, nie dostrzegając zupełnie wątlej, anonimowej postaci na rowerze, stojącej raptem kilkanaście metrów od niego i przyglądającej się uważnie.

– Aga, chodź!

– Już, czekaj, czekaj tylko wyłączę kompa.

Po chwili z głośników popłynęła krótka melodyjka i ekran zgasł. Powoli odwróciła się na fotelu w stronę koleżanki, mocno się przeciągając. Na ich piętrze większość biur i boksów stała pusta. Tylko jakieś niedobitki, zażarcie walczące ze zbliżającymi się wielkimi krokami terminami, ślepiąc w monitory wbijały treść do baz danych. Olka, w stroju roboczym i z wielką, sportową torbą, przewieszoną przez ramię zirytowanym wzrokiem patrzyła, jak Agnieszka leniwie zbiera się, sprzątajac naprędce stanowisko.

– No chodź, już wpół do siódmej. Za pół godziny zaczynamy!

– Głodna jestem... – rzuciła niczym rozkapryszony bachor, obdarzając ją niewybrednym spojrzeniem.

– Pomyślałam o tym – uśmiechnęła się, wyciągając z bocznej kieszeni torby rogalika. – Ale to w samochodzie, dobra?

Na widok jedzenia, pierwszego od godzin porannych rozpromieniła się. Po chwili opuszczały budynek, pod którym coraz zwawiej zaczynały krzątać się sprzątaczkki, jak zawsze bardzo otwarte na różnego rodzaju dyskusje i niezobowiązujący flirt, na który wiekowi pracownicy firmy ochraniającej budynek przystawali bardzo chętnie.

– Wsiadaj, ruchy – poganiała ją, śmiejąc się pod nosem z przyjaciółki, która z wielkim namaszczeniem konsumowała smaczny, ni posiłek.

Ponura, przepełniona chmurami i wilgocią aura nie nastrajała dobrze przed aerobikiem. Zresztą ostatnimi czasy chodziła tam tylko dlatego, aby dotrzymać Olce towarzystwa. Nie chodziło o formę, endorfiny i zdrowy tryb życia. W niespełna dziewięć miesięcy, jakie już tam spędziła znacząco schudła, czasem przyłapywała się na łaknieniu czekolady – co tłumaczyła sobie wyplukaniem z organizmu magnezu i innych, ważnych minerałów – szybciej też męczyła się na długich dystansach, jednocześnie pragnąc coraz bardziej snu. Dom w zasadzie prowadził tylko i wyłącznie Darek, dokładała ledwie kilka symbolicznych cegiełek, czy to pod wpływem załączków depresji, czy też z innych względów stopniowo wycofując się jeszcze bardziej z życia rodzinnego.

– Jak myślisz, będzie?

– Kto będzie? Gdzie? – rzuciła zirytowanym, nieco zmęczonym głosem.

– No, twój zbawca i kobiety Jezus.

– Aaa! Iwa. No pewnie tak, jak zazwyczaj.

– Dziwna jest ta laska. Nie ogarniam jej.

– Co ci się nie podoba? Spoko, pogada zawsze. Ma ciekawe hobby. Słyszałaś, jak opowiadała o tych rysunkach?

Napotkała na zdeorientowane spojrzenie Olki.

– A nie, czekaj. Ciebie chyba wtedy nie było – opuściła wzrok, usiłując skupić uwagę na tak porywającym elemencie pojazdu, jak nawiew od klimatyzacji.

– Byłyście we dwie?! Beze mnie?

– No przecież sama telefonowałaś, że nie możesz, że z synem idziesz, Olka...

– Wiem, co mówiłam, ale to mogłyście dać znać to bym – zawahała się – trochę zmieniła grafik.

– A co u Dawida, jak to wszystko znosi? – siła się, usiłując zejść z niewygodnego tematu.

– Teraz to co on może. Oświadczenie złożył, napisał pismo o umorzenie, prawnik coś tam doradził i czekamy, co zrobi prokurator. W najgorszym wypadku będziemy walczyć w sądzie.

Pojazd zatrzymał się. Szczęśliwie udało się zaparkować w dość dobrym miejscu, z którego od wejścia dzieliło je ledwie kilkanaście metrów. Agnieszka wysiadła, niepewnym

spojrzeniem mierząc zachmurzone niebo. Poczwała na policzku kropelkę deszczu. Po chwili następną.

– Chodź – dobiegło od strony kierowcy. – Na deszcz się jeszcze napatrzymy zza okien.

Ruszyła za Warzechą, dostrzegając, że dobrze znany, czarny ford ka już zameldował się na parkingu. Oznaczało to mniej więcej tyle, że być może uda się uwolnić od monologów Olki i porozmawiać z nową znajomą, która sprawiała wrażenie, jakby żaden temat, który poruszy nie był jej obojętny. Właśnie w tej kategorii Iwa zaczynała zyskiwać w jej oczach kosztem przełożonej, która bez dwóch zdań należała do tego typu ludzi, którzy zawsze muszą być w centrum uwagi i chcą, aby ostatnie słowo w rozmowie zawsze należało do nich.

Przekroczyły próg, witając się ze znajomymi dziewczynami z obsługi i kierując się na pierwsze piętro. Miały jeszcze jakieś dziesięć minut do treningu. W sam raz, aby w spokoju się przebrać i naprędce uzupełnić bilans płynów, do czego zawsze zachęcała trenerka.

Olka jako pierwsza wkroczyła do szatni, uśmiechając się do kilku zapoznanych wcześniej dziewczyn. Z prawego kąta szatni dobiegło dobrze znane, delikatne w brzmieniu „cześć!”. Zmusiła się do uśmiechu, lakonicznie odpowiadając przebranej już Iwie:

– Hej.

– Cześć, Aga – blondyna uśmiechnęła się do jej towarzyszki. – Zobacz, twoja szafka jak nowa – rozbawiona wskazała na nowo wstawiony zamek, w którym widniał kluczyk czekający na śmiałka, który zdecyduje się zaufać trefnej konstrukcji.

– Dzięki, ale chyba nie zaryzykuję – rozejrzała się, wybierając najbliższą wolną lokację.

– No to teraz jesteśmy sąsiadkami.

– Na to wygląda – zrzuciła ubranie, przebierając się naprędce w strój sportowy.

Pozostawiona samej sobie Olka, udając, że chwilowa przewodniczka przyjaciółki jest jej w stu procentach obojętna właśnie zakładała adidas.

Od kilku dni za sprawą niepisanego porozumienia, w wyniku którego jakaś starsza, gruba baba, która zawsze stała na prawo od Agi została zepchnięta o jedno miejsce, ustępując pola Iwie. Czarnulka sprawiała wrażenie, jakby wcale nie miała jej tego za złe, myśląc podczas forsownego treningu jedynie o tym, jaką bombą kaloryczną się zapcha, gdy wróci do domu. Stara Karolina, od dwóch lat szczęśliwa emerytka, która całe zawodowe życie spędziła za okienkiem pocztowym utrzymywała, że ćwiczy dla męża. Mimo że ten wielokrotnie deklarował, że lubi ją czasem pomacać po wielkim tyłku. Co zatem było katalizatorem jej działań? Wydaje się, że pełne błysku spojrzenia, za każdym razem, gdy Wiesiek, niby z grzeczności przepuszczał ich nową, 38-letnią sąsiadkę po schodach. On wprawdzie twierdził, że wcale się nie gapi, jednak nawet amator od razu zauważyłby, że gałki oczne niskiego, łysiego chudzielca tańczyły w myśl ruchów krągłej pupcy i smukłych nóg.

Po jakimś czasie Karolcia doszła do wniosku, że fochy i potajemne opluwanie drzwi nowej lokatorki nie przynoszą żadnych efektów. Nie wiele dawała też erotyczna bielizna w rozmiarze XXL. Wiesiek, nauczony latami doświadczeń i tak zamykał oczy, gdy czasem gramoliła się na niego. Niedowartościowana kobieta, chwalona w sumie przez starego tylko za to, że zawsze fajnie sprząta sracz oraz gotuje doskonale kluski na parze i golonka, za każdym razem, gdy stary zamykał oczy, wmawiała sobie, że to wszystko przez nią. Że teraz na sto procent wyobraża sobie, że to nowa sąsiadka się z nim pieprzy. Zirytowana, po serii artykułów w kobiecej prasie, postanowiła na poważnie wziąć się za siebie. Mimo, że podczas dwóch miesięcy, jakie spędziła już w centrum sportu, zyskała sobie opinię jednej z najciężej ćwiczących (przynajmniej w swoim przedziale wiekowym i wagowym), to jednak słodkiego ciała nie ubywało. Zdaje się, że problem leży w tym, że Karolina, włócząc wycieńczonymi serią ćwiczeń nogami do domu, od którego dzielił ją ledwie kilometr, niepostrzeżenie zawsze odwiedza

pobliską cukiernię. Teraz, gdy z zazdrością patrzyła w stronę wysportowanej, szczupłej Iwy, która z kolei miała po swojej lewej stronie Sikorską, jej myśli podświadomie już zaczynały krążyć wokół wielkiego tortu czekoladowego.

Ledwie kilka minut później, gdy przed starą Karoliną ów tort już niemal się zmaterializował, głos instruktorki obwieścił koniec zajęć. Ruszyły ku wyjściu.

– Ostro dziś było – Iwa zagajała rozmowę, unikając jednak wzroku Olki.

– Nawet mi nie mów. W sumie cały dzień bez jedzenia... ale bym coś zjadła!

– No to może gdzieś skoczymy?

– Późno się robi. Jutro musimy wcześniej wstawać – rzuciła najniższa z grupy. – Nie każdy ma ten komfort, że może spać do dziesiątej.

– Nie zamieniłabyś się na moją robotę. Może jednak gdzieś skoczymy? Znam fajną pizzerię przy rynku.

– E, będziemy się chyba zbierać, co Aga?

– Wiesz, bym w sumie coś zjadła. Chodź z nami!

– Ale...

– Fajnie będzie! Nooo...

– Oj, ludzie. Co ja z wami mam – uśmiechnęła się. – Na pewno mnie tam chcecie? Już mam dość tego dnia!

– No ja jak zawsze...

– Ja też. Fajnie tak posiedzieć ze znajomymi i pogadać. Im nas więcej, tym weselej – Iwa rozpromieniła się.

– To czekajcie, tylko do Darka... – zaczęła grzebać w torbie, szukając telefonu.

– A to może weź go zaproś, niech dołączy. Co ma siedzieć sam jak kołek?

Poczuła na sobie jednocześnie drażące spojrzenie Olki i zaintrygowany wzrok Agnieszki.

– Ale to facet, skończ, Iwa.

– Nie wiem jak wy, ale jestem za pełnym równouprawnieniem. Oni też czasem potrzebują, żeby ich wziąć między ludzi.

Sikorska parsknęła śmiechem, mierzając nową znajomą ciepłym spojrzeniem.

– Czy ja wiem... to dziwny pomysł.

– Mi to tam obojętne, nie naciskam – asekuracyjnie podniosła dłonie do góry. – Twój mężczyzna, decydujesz.

– Zapytam, czy ma ochotę. Jaka to pizzeria?

– U Rycha. Nazwa wiejska, wiem, ale kucharz to istny geniusz. Co on tam wyczynia – uśmiechnęła się figlarnie w stronę Olki. Ta jednak obdarowała ją jedynie chłodnym spojrzeniem, nie wykazując żadnego zainteresowania sprośnymi anegdotami o jakimś robolu w białym stroju kuchennym.

Rozdrażniony siedział przed komputerem, kwaśną miną mierzając monitor, z którego wielką czcionką straszył go napis „Mission Failed”. Cholerna sztuczna inteligencja po raz kolejny uniemożliwiła mu przejście misji w ulubionej strategii turowej. Pociągnął łyk herbaty, naprędce rozważając opcje. Szóste podejście zdawało się nie wchodzić w grę. Z marynarki, zwisającej z fotela, zaczęła coraz głośniejsze grać dobrze znana melodyjka. Kilkoma ruchami zdołał wygrzebać telefon z wewnętrznej kieszeni.

– Sikorski, słucham?

– Cześć!

Odsunął słuchawkę od ucha, naprędce zerkając, która godzina.

– Halo, jesteś?

– Tak, tak. Co, za ile wracasz?

- Jest zmiana planów – zrobiła wyczekującą przerwę. – Chcesz iść z nami na pizzę?
- Z kim znaczy?
- No, ze mną, Olką i Iwą. Idziemy do jakiegoś Rycha.
- Czy ja wiem. A zapraszasz, bo chcesz czy z litości? Odpowiedz tak lub nie. Z litości?
- Nie...
- A chcesz mnie tam? Bo wiesz, wnioskuję, że będzie raczej damskie grono.
- Oj no, powiedz, czy chcesz czy nie po prostu.
- A będę mógł szybciej pójść, jak się nie będzie kleić?
- Będziesz mógł.
- To za ile?
- Czekaj...

Pytającym spojrzeniem zmierzyła główną prowadyrkę szalonego wypadu.

- Pół godziny?
- Darek, za pół godziny?
- No dobra – rzucił, ciągle oszołomiony pomysłem dziewczyn. – To na razie!
- Pa.
- A ty swojego nie zaprosisz?

– Ola, już dawno bym zaprosiła, gdyby nie fakt, że ma nockę. Narobiłabym mu tylko smaka tym, że idziemy na pizzę – ucięła, po chwili dodając: – To chodźmy, pojedziecie za mną, dobra?

- No okej... – zmierzyła Agę surowym, karcącym spojrzeniem, wstając od stolika.

Zebrały rzeczy, ruszając w stronę samochodu Warzechy. Rozpogodzona Agnieszka, gdy tylko zamknęła drzwi od strony pasażera, natrafiła na wulkan negatywnych emocji przyjaciółki.

- No dziękuję ci bardzo.
- Ola, kochanie, to nam tylko dobrze zrobi – próbowała ją uspokoić.
- Tylko że nie wszystkim pasuje. No i jeszcze ten pomysł, żeby Dariusza ściągać.
- No proszę cię, dla mnie.
- Aga, ona jest jakaś jebnięta.
- Nowa w mieście, nie ma tu nikogo poza chłopakiem...
- Który akurat dziwnym trafem dziś ma nockę – wtrąciła. Niezrażona, kontynuowała:
- To mnie nie dziwi, że sobie szuka kogoś. Nam też dobrze zrobi, jak po pracy poznamy

kogoś nowego.

- Tylko niech ta nowa tak nie wchodzi w dupę, bo aż żal człowieka ściska.
- Spróbuj się do niej przekonać. Jak będzie iskrzyć, to olejemy temat, co?
- Ech. Dobra.

Powoli, nie łamiąc przepisów czarny ford zmierzał ku centrum miasta. Palce Iwy tańczyły na kierownicy, lewa noga miarowo uderzała w podłogę. Czowała, że coraz trudniej złapać jej głęboki oddech. W głowie krążyły miliony myśli, wirujących wokół doskonale znanej sylwetki Darka Sikorskiego, którego wreszcie pozna osobiście. Znaczący już go znała. Raz nawet zerknęła na nią, jednak jego samochód szybko ruszył spod świateł, toteż poszła w swoim kierunku. Miała przygotowany dokładny schemat całej rozmowy. Od jakiegoś czasu domyślała się, że przyjaciółka Agi ma coś do Darka, toteż będzie jej nieco łatwiej. Wystarczy nie brać strony tej małej kurwy, a już pewna płaszczyzna porozumienia zostanie osiągnięta. Opuściła lusterko kierowcy nieco w dół, zerkając naprędce, czy dobrze wygląda. Ciemne wnętrze samochodu nie było w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Łącząc teraźniejszość z najbliższą przyszłością skręciła w jednokierunkową uliczkę wiodącą na rynkowy parking, powtarzając raz za razem „Iwa. Miło cię poznać. Dużo o tobie słyszałam”.

Czerwone audi właśnie ruszało spod domu. Zdecydował się na standardowy ubiór, nie wiedząc do końca, czego należy się spodziewać. Dzięki wyszukiwarce internetowej napędce dowiedział się, gdzie mniej więcej znajduje się pizzeria „U Rycha”. Słyszał kilka razy o tym miejscu, jednak jeszcze nigdy nie zaszczylił swoją obecnością tajemniczego Rycha. Pokonanie trasy dzielącej go od centrum zajęło Darkowi ledwie kilka minut. Po dwudziestej ruch był nieduży, a kilka sygnalizacji świetlnych zostało wyłączonych. Zaparkował na opustoszałym o tej porze parkingu, wygramolił się z samochodu, poprawił koszulę i niezdecydowanym krokiem ruszył ku górnej pierzei zabytkowego rynku, usiłując odnaleźć szyld lokalu.

Dziewczyny od kilku minut siedziały w pizzerii. Wnętrza nie powalały, jednak każdy sympatyk włoskiej kuchni uznałby to miejsce za przytulne i przepełnione dziwną, rodzinną atmosferą. Dominowały sofy i dwuosobowe stoliki, w tej chwili zajmowane przez kilka osób. Zamawiały właśnie napoje, gdy telefon Agnieszki rozdzwonił się.

– To Darek – odebrała. – Tak?

– Gdzie to jest? Krążę po tym rynku i żadnego Rycha tu nie ma.

– A gdzie dokładnie jesteś?

– Obok optyka teraz.

– Optyka? A to nie, to musisz iść do całodobowego, potem w uliczkę... hm, w sumie to...

– Czekaj – wtrąciła blondynka. – Niech idzie w kierunku na kiosk i skręci w prawo za bankomatem.

– Idź do kiosku z gazetami i za bankomatem w prawo – powtórzyła. – Jakby coś to zadzwoń.

Zirytowany nawrócił na pięcie, szybkim krokiem pokonując całą szerokość wyłożonego kostką brukową rynku. Po chwili krzątał się koło bankomatu, jednak zaciemniona uliczka nie zdradzała żadnej obecności lokalu w tym miejscu. Z kwaśną miną zadzwoił raz jeszcze. Odebrała po jednym sygnale.

– Tu nic nie ma...

– No idź w tę uliczkę no, jesteśmy przecież...

– Ech – zaczął pokonywać kolejne metry, ślepiąc to w lewo, to w prawo. Po chwili wyłoniła się nieduża boczna uliczka, nad którą świecił się jakiś neon przedstawiający uśmiechniętego kucharza, serwującego pizzę. – Dobra, chyba wiem.

– Czekaj... – odwróciła się ku drzwiom, po chwili zrywając połączenie.

Wszedł po kilku schodkach, mijając ladę i wpatrzoną nieobecny wzrokiem w telewizor barmankę. Uśmiechnął się na widok żony, machającej do niego. Odwzajemniła grymas. Zauważył znudzoną twarz pizdOli, która zdawała się błagać o to, aby ktoś przystawił jej pistolet do skroni i pociągnął za spust. Nieco w tle, między Agą a tą wyrachowaną, zimną suką siedziała średniego wzrostu, ładna dziewczyna o krótkich blond włosach, mierząca go uważnym spojrzeniem.

– Cześć – nachylił się, całując żonę w usta.

Iwa, walcząc ze sobą, aby nie rzucić się teraz ze sztućcami szmacie do gardła coraz to mocniej zaciskała zębami wewnętrzną, poranioną ścianę policzka, usiłując w ten nietypowy sposób poskromić emocje. Dotychczas drakońska metoda działała. A należy zauważyć, że pokrwawiona, przeorana bliznami skóra i poranione od drapania paznokciami ramiona, towarzyszyły jej niemal za każdym razem, gdy musiała z tymi dwoma sukami spędzać czas. Niestety plan wymagał poświęceń.

Wystawił dłoń w stronę Olki. Ta bez żadnych emocji, ledwie co musnęła palcami jego rękę, dobitnie przypominając, jakie ma o nim zdanie. On zaś wyszczerzył się, informując pizdOlę tym samym, jak cieszą go męki, które teraz przeżywa.

- A to jest Iwa – żona zaanonsowała nową znajomą. – Chodzi z nami na ćwiczenia.
- Cześć – uśmiechnął się.

Czuła, że ciało zbudowane jest w tej chwili jakby z waty. Ileż by dała, żeby chwycić tę jego dłoń, pociągnąć do siebie i... ach! Stój! – skarciła się w myślach.

– Miło cię poznać, cześć – uśmiechnęła się ciepło, odpowiadając na uścisk ręki. Teraz wiedziała, że jego dłonie są ciepłe, nieco szorstkie, jakby na pisaniu wytarł sobie naskórek. Była też na tej cudownej rączce obrączka.

Już niedługo – rzuciła w głębi siebie, przenosząc rozmarzony wzrok na Agnieszkę, która kartkowała właśnie menu. Darek usiadł obok niej. Wiedziała, że musi obserwować ich wzajemne relacje i spróbować zagaić rozmowę, która pozwoli im nawiązać płaszczyznę porozumienia, co z kolei, według jej planu, miało zaowocować kolejnymi spotkaniami. Najpierw bez tego jebanego skrzata – ledwie zauważalnie zerknęła na nieobecną Olkę – a później bez ciebie, Barbie – wyszczerzyła się w stronę Agnieszki, zerkając też na nieco onieśmiałego tym niecodziennym spotkaniem Darka.

– No to co bierzemy? Trzeba tu czekać nawet pół godziny na zamówienie.

– To my może... czwórkę? – zmierzyła męża uważnym spojrzeniem.

– Poczekaj, a co powiesz na siódemkę?

(Lubi papryki i salami)

– Czy ja wiem. Mi tak średnio... wybierz.

– A co chcesz na pizzy?

– Szynkę i dużo sera i...

– Hmm...

– Dla mnie piątka – wtrąciła nieobecny głos Olka, wyciągając z kieszeni telefon i przeglądając portal społecznościowy.

– Aga, Darek – skupiła na sobie ich uwagę. – Jakby coś, to tu możecie zamawiać pizzę pół na pół.

– Dobry pomysł – przyklasnęła koleżance. – To dla mnie czwórka, a ty siódemkę? Przytaknął.

Po chwili jedna z kelnerek przyjmowała zamówienia dla ich stolika. Obydwaj Sikorscy wzięli do tego szklankę coli, Olka postanowiła zamówić sok marchwiowy, a Iwa zadowolona się wodą mineralną. Napoje dotarły w kilka minut. Nad stolikiem unosiła się atmosfera niepewności, dodatkowo wymieszana z odrobiną irytacji i znużenia, jaką rozsiewała nad sobą Warzecha.

– Aga mówiła, że piszesz? – nieco łamiącym się, jakby speszonym głosem, zainicjowała rozmowę.

– No, tak trochę. W serwisie miejskim.

– W naszym mieście? – zainteresowała się.

– Tak...

– Nie wiem, czy to zbieżność nazwisk, czy aby nie w portalu od Kozaka? – podparła się rękoma o stół, mierząc go uważnym spojrzeniem. Sikorska i pizdOla z uwagą śledziły tę dyskusję.

– Skąd wiesz?

Roześmiała się.

– Bo do mnie pisałeś!

– Jak to do ciebie pisał?

Dziewczyna z trudem opanowała chichot. Nieco zdezorientowana takim obrotem spraw Olka tylko zerkała to na niego, to na nią, jakby była na meczu tenisa, usiłując nadażyć za żółtą piłeczką, wędrującą od rakiety do rakiety.

– Pisał do mnie, bo jestem ich grafikiem wykonawczym. Znaczący robię grafiki i wdrażam zmiany na stronie. Ale ten świat jest mały!

– To... ty?

– We własnej osobie.

Zauważyła, jak przez moment uśmiechnął się lekko w jej stronę, kierując wzrok z twarzy ku szyi. Szybko się jednak opamiętał.

– To miło poznać. Ta strona dla eee... kolegi – zerknął porozumiewawczo na Agę. – Bardzo ją sobie chwali.

– To się cieszę.

– Taaak – rzucił przeciągle, zdając sobie sprawę, że ten wątek powoli zaczyna się wypalać. Zakładał, że jeśli Papiś mówi, że ich grafik to szprycha, to faktycznie, jest niezła, jednak to, na co właśnie kątem oka zerkał, przerosło jego oczekiwania wobec tajemniczej kobiety. Po dłuższej chwili głos zabrała Agnieszka.

– Chyba mało jest kobiet informatyków?

– Niedużo. Panuje takie przekonanie, że to robota tylko dla facetów i że baba przy komputerze to nie wie, jak włączyć menedżera plików. U was w firmie też tak jest?

– A to nie ma reguły. Na biurach więcej lasek, ale informatyk to taki stary spaślak, który chyba spędza w firmie całe dni i noce co nie, Olka?

– No. On to jest generalnie jakiś... dziwny – spojrzała w kierunku Iwy.

Dało się zauważyć rosnącą między nimi ścianę, zbudowaną z uprzedzeń i zazdrości, jaką pałała Warzecha świadoma tego, że przyjaciółka wymyka się jej z rąk.

– Nad czym teraz pracujesz?

– Projekt strony dla jednego prezydenta miasta. Wiesz, idą wybory to nagle ludzie chcą się pokazać, czego to nie robią i tak dalej i tak dalej. A wy tam w redakcji? Coś się kroi?

– A, nic wielkiego – mimowolnie opuścił wzrok ku szklance z colą, wpatrując się przez moment w bąbelki. – Będziemy robić serię artykułów z kandydatami na burmistrza i radnych. U nas też świetnie widać, że zaczyna się sezon.

– U mnie na osiedlu zupełnie przypadkowo – zmierzyła wzrokiem Agnieszkę – otwarli właśnie teraz plac zabaw. Pisaliście o tym?

– Patryk pisał.

– To ja bym chciała artykuł o tym, dlaczego dopiero teraz ludzie zaczęli się uaktywniać...

– To chyba ogólnokrajowy problem – Sikorska przyjęła zaproszenie do dyskusji. – Taka mentalność w narodzie, że przed wyborami to lepiej się człowiekowi utrwali, że coś się robi dla dzielnicy, miasta czy województwa. A to nieprawda, co wiadomo nie od dziś.

– Te nasze dinozaury niczego się nie nauczą – zaczęła jej wtórować. – Musi przyjść nowe pokolenie, to może będzie normalnie. Wiecie, że u nas średni zarobek to w przeliczeniu jakieś 900 euro?

– Średnia krajowa nie istnieje...

– Oj, Ola, ale ktoś to jakoś liczy. Już nie mówię o tym, żeby mieć te cztery tysiące euro, jak mają w Skandynawii, ale jeśli prześcignęły nas Czechy czy Węgry, to coś jest nie tak.

Sikorscy w milczeniu przytakiwali. Utwierdziła się w przekonaniu, że warto było dokładnie przeanalizować publiczny profil Agnieszki i zapoznać się z tematyką artykułów, którą nie tak dawno temu poruszał Darek, jeszcze dla starego pracodawcy.

– No, ale nie ma co gadać, zaraz będziemy jeść – uśmiechnęła się, sięgając wzrokiem za wysnionego mężczyznę. Po chwili zmyślnych akrobacji, jakich wymagało zmieszczenie trzech pizz na średnich rozmiarów stoliku, w milczeniu zajęli się konsumowaniem porcji. Nie mogła się opanować, dość szybko łamiąc ciszę, zerkając na zgromadzonych.

- I jak wam smakuje?
- No, ja mam pyszną, a ty, Darek?

Przeżuł, uśmiechając się lekko i unosząc kciuk. Widać było wyraźnie, że zamówienie wykracza ponad to, czego oczekiwał od Rycha.

- No fajna taka, ale szafu znowu nie ma.
- Kiedyś tam nad barem wisiała kartka, że jak pizza nie smakuje, to na koszt firmy dostaniesz małą dwunastkę, specjalność zakładu.
- Nie jest zła, to nie tak, Iwa. Po prostu jadłam lepsze – ucięła, wracając do zajadania porcji. Jak na osobę, której pizza na cienkim cieście wyjątkowo nie odpowiadała, kolejne kawałki znikwały z talerza nad wyraz szybko. Blondynka wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z żoną Darka, jakby chciała powiedzieć: „jest zachwycona, tylko głupio jej, że sama nie odkryła tego miejsca”. Lekki uśmiech Sikorskiej zdawał się z kolei odpowiadać: „ona tak zawsze, nie przejmuj się”.

Po niespełna godzinnej pogadance zapoznawczej widząc, że Olka męczy się w duecie Iwa – Darek, zupełnie jakby przysmażali ją na żywym ogniu, zakończyli spotkanie. Zresztą godzina była dość późna, toteż z łatwością udało się wybrnąć z impasu.

PizdOla jako pierwsza opuściła lokal. O czymś plotkując, zaraz za nią wyszły blondyny, na końcu Darek, zerkając co jakiś czas na sylwetkę nowo poznanej znajomej. Papiś w tym momencie zyskiwał w jego oczach, jako doskonały obserwator i koneser. Aż dziw bierze, że kociarz i bałaganiarz w jednym, tłustym ciełe był w stanie odłowić taką dziewczynę z tłumu. Z drugiej zaś strony, nie dziwił się już, że Iwa odrzuciła jego zaloty. Wyobrażając sobie, jak razem by wyglądali, zaśmiał się pod nosem. Rozeszli się na rynku.

- My stoimy tam – wskazał na osamotniony, czerwony pojazd.
- No to cześć, dziewczyny – uściśnęła dłoń Olki po czym wymieniła przytulańca z nieco zdziwioną takim uczuciowym zachowaniem Agą. – Cześć Darek, miło było poznać – zmierzyła go uważnym wzrokiem. Przez chwilę czarne, skupione spojrzenie zapanowało nad nim, otrząsnął się jednak, podając dłoń na do widzenia.

Gdy siedzieli w audicy, żona przerwała ciszę.

- Co o niej myślisz?
- Uwielbiam ją!
- Co proszę?!
- Poważnie. Uwielbiam – zerknął w jej stronę, szczerząc się, jakby wygrał szóstkę w totka. – Tak samo jak każdego, kogo ten liliput nienawidzi. Wiesz, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem...
- No, ale tak na poważnie, co myślisz?
- Spoko babka. Rzeczowo gada i nie maca telefonu w towarzystwie – uciął, skupiając się na szosie.
- Ale ja nie o tym... ech, jaki niedomyślny jesteś!
- Taka sobie – uciął. – Jeśli o to pytasz. To ty teraz jesteś w szachu?
- No, w sumie... albo się jakoś przetrawią, albo będzie problem. Olka już dawno nie miała na nikogo tak wyjebane. Jak wam idą przygotowania?
- Dopięte wszystko. Jak nie wydarzy się nic strasznego, to pojutrze będziemy dysponować dowodami na korupcję w ratuszu – rozpromienił się. – Coś nowego w firmie?
- Projekt cały czas drążymy – przeciągle ziewnęła. – Padam na twarz. Ten zegarek dobrze chodzi?!
- Yhm. Już idzie na 23. Na twoim miejscu bym się spręzał. Puszczę cię do łazienki – uśmiechnął się. Zza wielkiego ronda wyłaniała się ich ulica. Kilka minut później czerwony

pojazd zaparkował na poboczu. Światło na pierwszym piętrze zgasło niespełna kwadrans później. Darek rozsiadł się przy komputerze, uruchomił przeglądarkę i zaczął przeglądać ogólnopolskie portale informacyjne, poświęcając nieco czasu wydarzeniom z regionu.

W zaciemnionym mieszkaniu naprędce sięgała po jakieś tabletki, walające się na stoliku. Miała jeszcze dwie recepty od lekarki, nieco modyfikując dawkowanie lekarstw, podpierając się lekturą dziesiątek stron na forum, gdzie ludzie deklarowali, że borykają się z podobnymi problemami. Wprawdzie w głębi wątpiła, aby ktoś z nich zabił kiedyś człowieka i z wielką precyzją planował odbicie życiowego partnera nowo zapoznanej koleżance, nie patrząc przy tym na koszt, ale świadomość tego, że inni ludzie chociażby domniemają, że jest im w życiu gorzej niż jej była pomocna.

Zrzuciła z siebie strój, pozwalając sobie na siedzenie w domu w samej bieliźnie. Przeglądała właśnie raz jeszcze profil społecznościowy Darka, wahając się, czy aby nie wyłamać się odrobinę z misternie uknutego planu. Za nią na stoliku kreślarskim, od dłuższego czasu leżała jedynie wielka, biała kartka formatu A2. Podparta lampką i jakimś starym, od dawna nie używanym przez Iwę czajnikiem elektrycznym zawierała dokładną rozpiskę, dodatkowo wzbogaconą o obrazki, powiązane pozornie chaotycznymi liniami, które prowadziły do napisanego czerwonym długopisem, przyozdobionego kilkoma małymi serduszkami imienia Darka, to zaś do prostokąta wewnątrz którego widniało imię Agnieszki. Pola w jej planie miał też Patryk, redaktor Kozak, Warzecha oraz ktoś o pseudonimie D.B.C. Mimo późnej pory uruchomiła komunikator internetowy, z rosnącym poczuciem ulgi dostrzegając, że tajemniczy D.B.C. jest dostępny. Otworzyła okno rozmowy.

Ja: wybacz, że o tej porze. Mogę?

D.B.C.: Opowiedz, jak się czujesz. Zmienione dawki pomagają?

Ja: jest lepiej. Dziękuję.

D.B.C.: NMZC.

Ja: chcę cię zapytać o coś, o czym już wielokrotnie rozmawialiśmy...

D.B.C.: Włącz czat głosowy.

Wykonała polecenie rozmówcy naprędce wpinając głośniki sprzężone z mikrofonem. Po chwili klikała na zieloną ikonkę symbolizującą połączenie głosowe. Z głośników dobył się głuchy trzask.

– DBC, jesteś? Halo?

Skuliła się nieco w fotelu, słysząc ledwie możliwe do zidentyfikowania, dyszenie tajemniczego rozmówcy.

– DBC, nie gniewaj się – głos jej się łamał. – Chciałam zapytać tylko o jedną rzecz.

Zrobiła przerwę, jakby miało to przyspieszyć otrzymanie odpowiedzi.

– Strasznie przepraszam...

komputerowego głos. – Idiotko – rzucił jakiś modulowany, jakby edytowany za pomocą programu komputerowego głos. – Chcesz zniszczyć wszystko to, nad czym pracowaliśmy?!

– Ale...

– Trzymaj się tego, co ustaliliśmy. I niech to będzie jasne. Jeśli jeszcze raz poruszysz tę kwestię i zmusisz mnie do marnowania czasu na twoje pieprzone smutki i zmartwienia, to może paść nowe światło na tajemniczy zgon w parku.

– Nie odważysz się – ni to stwierdziła, ni zapytała.

– Chcesz się przekonać? Chcesz?!

Wciągnęła nosem powietrze, głośno szlochając. Tajemniczy rozmówca zwietrzył szansę.

– Już dobrze. Wszystko będzie po naszej myśli, jeśli będziesz robić dokładnie to, co ci każę. Dla mnie to nie pierwszyna.

– Spotkamy się kiedyś? To wszystko, ten głos, mnie trochę przeraża...

– Zaczekaj.

Usłyszała głuchy trzask, jakby uderzył czymś w mikrofon. Po chwili usłyszała, jak z sąsiedniego pokoju rozdzwonił się telefon komórkowy.

– DBC, ja... ja zaraz przyjdę, nie rozłączaj się, bardzo proszę.

Zdjęła słuchawki, zostawiając wiadomość tekstową. Połączenie cały czas było aktywne. Kilkoma susami dotarła do sąsiedniego pokoju, zerkając na ekran. Numer zastrzeżony. A może to Darek? Przecież miała numer telefonu w stopce e-maila, jaki wysyłała. Gdzieś znikł lęk, który jeszcze przed chwilą wypełniał jej duszę.

– Halo? Słucham?

– A to też cię przeraża? Zapamiętaj sobie, trzymaj się planu, suko – przykucnęła, słysząc znowu ten sam, anonimowy głos.

– Proszę...

– To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Czy naprawdę myślisz, że otwierając się przed anonimowym człowiekiem i prosząc o rady, wtajemniczając we wszystkie działania, godząc się na warunki zostawiasz sobie jakiś wybór? Rodzice nie byłiby zadowoleni, zwłaszcza mamcia, co?

– Ja... już nie będę.

– Co mamy dalej na liście? Pamiętasz?!

– Tak. Pamiętam.

– Zatem działaj. Powodzenia w życiu. I widzimy się w niedalekiej przyszłości, tak?

– Ale on ma...

– Wiem. Wszystko wiem. Pomagam i wszystko się ułoży. Prawda? – głos jakby stał się bardziej ciepły i delikatny.

– Prawda – odparła, powoli podnosząc się i siadając na kanapie.

Po chwili tajemniczy rozmówca zerwał połączenie. Wolnym krokiem złamanej przez życie kobiety wróciła do swojego królestwa, zasiadając przed peceta. Tajemniczy D.B.C. zostawił jedną wiadomość, w której zalecał zmiany dawkowania dwóch leków. Po dłuższej analizie wiadomości dostrzegła, że dodatkowo wprowadził jeszcze jedną porę na dostępny na receptę lek, który od jutra miała zażywać z samego rana. Nie chcąc ryzykować kolejnej trudnej przeprawy z tajemniczym dobrodziejem zamknęła okno rozmowy, po czym ukryła kontakt, aby nie kusilo jej, by znów szukać u niego wsparcia. Gdzieś w głębi wiedziała, że odpowiadając na jego wiadomość, wysłaną przez jedno z for dyskusyjnych, zawiera duszę diabła, jednak do tej pory wszystko to, co mówił, sprawdzało się.

Doskonale pamiętała, jak wygląda następny krok. Uruchomiła przeglądarkę. Miała przed sobą zdjęcie. Uśmiechnięta, w białej koszulce z krótkim rękawem. Podobała się sobie na tyle, że przez kilka dobrych minut wpatrywała się w fotkę. W tle jakaś spokojna, nastrojowa panorama. Morze uspokaja. Ktoś, kto spojrzy najpierw na jej uśmiechniętą twarz, a następnie powiąże ją ze spokojną, słoneczną plażą, jaka malowała się w tle dostrzeże w niej pogodną i sympatyczną istotę, która nie skrzywdziłaby nawet muchy. Dokładnie przejrzała zainteresowania i opis profilu, po chwili wertując raz jeszcze ulubione filmy, jakby chcąc upewnić się, że i te będą mu się podobać. Niedużą ilość znajomych tłumaczyła tym, że przecież jest w tym mieście od niedawna, przynajmniej dla Sikorskich, to też nie dziwota, że zapoznała tak niewiele osób. A przeszłość? Cóż, gdyby pytali, wiedziała, co odpowiedzieć. Dla własnego bezpieczeństwa, nie chcąc wyjawiać zbyt wiele, nie podała ukończonych szkół, jak ognia unikała też dodawania do znajomych osób z rodzinnej wsi i okolic.

Wpisała w wyszukiwarkę „Agnieszka Sikorska”. Zaprosiła ją do znajomych. Po chwili w

ten sam sposób postąpiła z Aleksandrą Warzechą. Weszła jeszcze na profil Darka, przez kilka minut zerkając na zdjęcie, jednak w tej chwili nie zdecydowała się zaprosić go do grona znajomych. Wróciła do zajęć, biorąc się za jakiś od kilku dni odkładany projekt. Zapowiadała się długa noc.

Ten dzień wyjątkowo spędzał w domu. Zgodnie z radą Druha, który niemal wymógł na redaktorze Kozaku taką, a nie inną decyzję Darek pracował zdalnie, otrzymując dodatkową pulę wolnego czasu, jaką miał poświęcić na przygotowania do wielkiej roli, jaką miał przed burmistrzem i starym Karpiukiem odegrać jutro, podczas zaplanowanej wycieczki nad zalew. Druh sobie znanymi kanałami załatwił łajbę, która podobno została zaopatrzona przez służby w kilka mikrofonów, których od kilku dobrych lat nikt nie chciał z łódki wymontować. Łódka zwiedziła całe Mazury, pływała nieopodal Helu i Zatoki Szczecińskiej, jednak żaden rejs nie był przypadkowym. Wszędzie tam, gdzie pojawiała się „Bananowa Fregata”, zazwyczaj działy się rzeczy dziwne, które jednych ciągnęły do więzień, innych zaś przeobrażały w regionalnych bohaterów. Sława niepozornej łajby rosła z roku na rok, jednak dzięki niewyszukanemu wyposażeniu i wyglądowi, przywołującemu raczej przed czyż ostatnie lata XX wieku, łódka ciągle cieszyła się sporą dawką anonimowości, pochłaniając kolejne ofiary, żądne łatwego szmalu.

Wstał po jedenastej, biorąc się za przeglądanie materiałów prasowych. Po śniadaniu na stronie portalu pojawiły się dwa newsy, które wyszły spod ręki Sikorskiego. W głębi czuł jednak, że jego myśli zaczynają dryfować w kierunku tajemniczej koleżanki żony. Wywarła na nim dobre wrażenie. Jako pierwsza od dłuższego czasu, sprawiała wrażenie osoby, którą interesuje on jako osoba, która ma coś do powiedzenia i robi coś ciekawego, nie zaś jako koleś, który co najwyżej jest pewnego rodzaju urozmaicheniem w grafiku, zazwyczaj wepchanym między pracę a pizdOlę, nawet jeśli wziąć poprawkę na fakt, że ostatnimi czasy między Agą, a tym wyrachowanym karlem pojawiły się tarcia.

Czy to z nudów, czy też aby odciągnąć umysł od stale zbliżającej się, jutrzejszej eskapady postanowił poszukać o niej jakichś informacji. W podpisie maila widniało nazwisko, więc cała sztuka polegała na tym, aby wpisać w wyszukiwarkę „Iwa Lesiewska”, co zresztą uczynił. Natrafił na portfolio, poświęcając kilka minut na przejrzenie miniatur zrealizowanych projektów. Było ich dużo, a po dodaniu na stronę miniaturki DewBudu domyślił się, że skrupulatna dziewczyna na bieżąco aktualizuje stronę. Nieco niżej znalazł bloga, który jednak nie zdradzał żadnej zawartości, zupełnie jakby właścicielka ograniczyła się kiedyś do kliknięcia w pole „rejestracja” a następnie, z sobie znanych powodów zarzuciła blogowanie, zanim na dobre się rozpoczęło. Kliknął na link do portalu społecznościowego. Przejrzał znajomych odkrywając, że Agnieszka już widnieje w tej rubryce. Nie chcąc być gorszym (czy też może raczej będąc ciekawskim, do tego dążącym do poznania części profilu dostępnej tylko dla znajomych) wysłał zaproszenie.

Posurfował trochę po sieci, wczesnym popołudniem zajął się przygotowywaniem prostego obiadu. Dziś padło na spaghetti. Raz jeszcze przejrzał notatki, skrupulatnie przygotowywane na jutro, gdy rozśpiewał się telefon – przykrywka na firmę budowlaną. Jakiś nieznany numer .

– Słucham?

– Z kim rozmawiam?

W opinii Darka głos nie należał ani do burmistrza, ani do Karpiuka. Postanowił trzymać się swojej wersji.

– Telefon należy do firmy DewBud. A pana godność?

Anonimowy rozmówca zerwał połączenie. Zaskoczony takim obrotem spraw zdecydował się odczekać kilka minut w nadziei, że może zadzwoni raz jeszcze i uda się naprostować tę sprawę. Po obiedzie, co jakiś czas zerkając na komórkę, postanowił powiadomić o sprawie szefa. Wyciągnął prywatny telefon i zadzwonił na numer redakcji.

– Słucham?

– Papiś, to ja. Jest Kozak?

– Cześć. Jest, jest. Czeka.

Po chwili usłyszał dobrze znany, silny głos przełożonego.

– Co tam? Coś się dzieje?

– Dziwna rzecz, szefie. Dzwoni jakiś numer i pyta, z kim rozmawia. Nie poznałem głosu.

– Co zrobiłeś?

– Powiedziałem, że to DewBud...

– Kurwa. No to się domyśliłem, że nie jesteś idiotą. Ale czy żeś oddzwaniał!

– Nie no, gdzie tam.

– Uf. No, to chwała ci za to. Nie oddzwania się w takich sytuacjach, bo to by mogło zostać odebrane, że wychodzisz przed rolę. Co to za dyrektor, co oddzwania pod obce numery telefonów tylko dlatego, że ktoś łaskawie zapytał, z kim rozmawia! Co robisz? Jak przed akcją?

– A, przy komputerze siedzę, obiad jem – podszedł do monitora, lekko ruszył dłonią mysz, dostrzegając na pasku powiadomień, że dziewczyna zaakceptowała zaproszenie. Mało tego, zostawiła nawet wiadomość na czacie. Zignorował czasowo treść. – I takie tam, odprężające.

– No to dobrze. Pamiętaj, żeby dzisiaj...

– Tak, tak, wiem. Wziąć samochód z wypożyczalni, pamiętam. Szef się nie stresuje – silił się, aby głos brzmiał pewnie.

– Będę się stresować, jak coś zapierdolisz, panie szanowny. Rób tam swoje, jutro po wszystkim się odezwij. Sprzęt będzie na chodzie od godzin porannych. Druh obiecał to załatwić.

– Rozumiem. No to...

– Nie życzę powodzenia, żeby nie zapeszyć. Patryk też. Trzymamy kciuki.

Rozłączył się, jakby chcąc mieć absolutną pewność, że Darek nie wypali teraz z żadnym tekstem typu „dziękuję”, który w opinii starego guślarza, jakim okazał się Kozak, mógłby zawalić całą, misternie uknutą akcję, która wchodziła właśnie w ostatnią prostą. Odłożył telefon, skupiając uwagę na nowej znajomej. Rozpoczął przeglądanie profilu, jednocześnie zerkając na pozostawioną wiadomość:

Iwa Lesiewska: a ty co, nie w pracy? ;)

Zastanowił się chwilę, po czym odpisał.

Dariusz Sikorski: czasem mam możliwość pracy zdalnej. W domu, w kapciach i bez pośpiechu.

Iwa Lesiewska: ;)

Iwa Lesiewska: znam to uczucie. Fajnie tak czasem móc pospać dłużej i wszystko robić według rytmu, a nie pod dyktando innych, nie?

Dariusz Sikorski: dokładnie. I nikt nie karci za czatowanie w godzinach pracy. Co tam słychać?

Iwa Lesiewska: w sumie nic nowego. Dzień jak co dzień. Kończę właśnie jeden projekt. Chcesz zobaczyć?

Dariusz Sikorski: jak to nie tajemnica, to czemu nie.

Po chwili w oknie czatu pojawiła się miniaturka strony, gdzie pierwsze skrzypce grał poważnie wyglądający, łysy koleś w garniturze i okularkach. W tle majaczyła flaga Polski, dodatkowo wzbogacona o motto tajemniczego jegomościa: „Rzetelnie i profesjonalnie”. Kliknął w obrazek, który wyświetlił się w większej rozdzielczości. Widać było, że część projektu jest jeszcze nieukończona, jednak to, co było gotowe, tworzyło całkiem sympatyczne, profesjonalne wrażenie.

Dariusz Sikorski: kto to?

Iwa Lesiewska: jakiś mocarny polityk. Ego większe niż czoło ;)

Iwa Lesiewska: że czego to nie zrobił, czego nie dokonał. Jak opowiadał, to wyglądało na to, że zaraz w tej dziurze metro zbuduje. Poprosiłam, żeby wszystko posłał w jednym dokumencie, to mu tego wyszło na ledwie 5 pozycji i to takich mocno naciąganych.

Dariusz Sikorski: no, ale chociaż masz co robić.

Iwa Lesiewska: a ty?

Dariusz Sikorski: w tej chwili to można powiedzieć, że się nudzę.

Iwa Lesiewska: i co z tym zrobisz?

Uśmiechnął się lekko do monitora.

Dariusz Sikorski: jeszcze nie wiem. Wieczorem czeka mnie spacer do wypożyczalni samochodów, potem Aga przyjdzie i to tak tyle. Jutro mam zajęcia, ale dzisiaj w sumie zero konkretów.

Iwa Lesiewska: do naszej wypożyczalni, tej koło targowiska?

Dariusz Sikorski: dokładnie ;) a co?

Iwa Lesiewska: ciekawość. to po prostu blisko mojego osiedla.

Oparł się o biurko, zastanawiając się, czy to aby nie zaproszenie. Dziewczyna, jakby czytając w jego myślach, w lot sprowadziła Darka na ziemię.

Iwa Lesiewska: dobra, będę kończyć. Robota czeka. Dzięki za zaproszenie do znajomych – miło z twojej strony ;) Pa!

Dariusz Sikorski: trzymaj się.

Zamknął okienko czatu, poświęcając kilka minut na lekturę profilu. Wywarł na nim całkiem pozytywne wrażenie. Dowiedział się, że dziewczyna słucha podobnej muzyki, kilka filmów również pasowało chociaż Darek, jak każdy szanujący się facet, nie pasjonował się komediami romantycznymi, a tych Iwa widziała o wiele więcej niż on. Galeria zdjęć, mimo tego że niewielka pozwalała domniemywać o jej charakterze tego i owego. Nic tak nie pozwala zrozumieć człowieka, jak zdjęcia, jakie wykonuje i na jakich można go zobaczyć: czy jest uśmiechnięty? Czy na fotce jest sam, czy z kimś, jaka towarzyszy temu sceneria? Zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, że w tym samym czasie jego niedawna rozmówczyni, z rosnącą uwagą pochłaniała kolejne informacje, do których dostęp pojawił się wraz z zaproszeniem od ukochanego do grona znajomych. Nowe zdjęcia, statusy, baza danych zdradzających chociażby zainteresowania i hobby, teraz był niczym otwarta książka, z której mogła czytać do woli, chłonąc wiedzę, dzięki której skutecznie zamierzała go omotać.

Późnym popołudniem przechadzał się powoli w stronę wypożyczalni pojazdów. Pokonywał tę trasę dziesiątki razy, jednak po raz pierwszy od dawna zwolnił nieco kroku, uważnym spojrzeniem mierząc pobliskie, stare blokowisko z wielkiej płyty. Nigdy go nie interesowało, przynajmniej do tego stopnia, co dziś. Po chwili przyspieszył kroku, aby jako jeden z ostatnich klientów firmy wypożyczyć niewyróżniającego się, ale eleganckiego mercedesa. Pojazd prowadził się dobrze, nawet klimatyzacja działała. Pograżony w myślach zaparkował pod domem i zajął się swoimi sprawami. Żona wróciła po 21 i do godziny padła jak długa na łóżko,

nie wymieniając z nim więcej niż kilkunastu zdań. Ze względu na dość wczesną pobudkę położył się spać przed północą, raz jeszcze analizując misternie uknuty plan.

Sobotni poranek zaskoczył go całkiem niezłą pogodą. Jak na drugą połowę maja było wprawdzie nieco chłodno, jednak piękne, bezchmurne niebo i oślepiające słońce podpowiadały, że to będzie ładny dzień. Przed dziewiątą rano zameldował się nad zalewem, szybko odnajdując „Bananową Fregatę”. Pęk kluczyków był dokładnie tam, gdzie Druh obiecał go zostawić. Wszedł na pokład, rozejrzał się po ciągle nieco zamglonym zbiorniku wodnym, przejrzał raz jeszcze materiały o planowanym moście, które wziął ze sobą i czekając na gości rozsiadł się na pokładzie na rozkładanym krześle. Co jakiś czas w okolicy krzatali się wędkarze, na których po dłuższym czasie przestał zwracać uwagę. Na kwadrans przed dziesiątą dostrzegł znany, prywatny samochód Karpiuka. Pojazd zatrzymał się. Z eleganckiego wozu, zaraz za radnym wygramolił się burmistrz. Po raz pierwszy widział go w stroju innym niż służbowy. Rozejrzał się, poprawiając nieco czapkę z daszkiem, jakby oczekiwał, że nagle stanie się niewidzialny.

– Tutaj, panowie! – pomachał, czując jednocześnie, jak pod wpływem stresu żołądek zaczyna wykręcać salta. Ruszył na pomost, wystawiając dłoń w stronę burmistrza Kowala oraz dzierżącego jakąś teczkę, podążającego za nim radnego Karpiuka.

– Dobry, panie Dariuszu, wszystko dobrze?

– Jak najbardziej, panie burmistrzu. Proszę, panowie, zapraszam na pokład. Czujcie się, jak u siebie.

– Ładnie tu o tej porze – Karpiuk usiłował skleić rozmowę, obserwując krzątającego się Darka, który wykladał właśnie skromny poczęstunek.

– Czegoś się napijecie, drodzy panowie? Mamy zarówno kawkę, jak i nieco mocniejsze trunki, jak przystało na ludzi morza – uśmiechnął się.

– Chyba za wcześnie na mocne rzeczy, zresztą mamy niewiele czasu, drogi panie.

Zatroskany wyszedł do nich, zerkając na gości pytającym wzrokiem.

– Jak to mało czasu? No chyba dzisiaj nie pracujecie?

– Urzędowo nie, ale popołudniem jakieś cholerne przekazanie samochodu dla pogotowia od miasta partnerskiego. Miało być za miesiąc, ale żabojady wyrobiły się wcześniej z papierkową robotą.

– Rozumiem, rozumiem. Ale to chyba dla miasta dobrze? Wybory za pasem, więc pozyskanie nowego pojazdu do ratowania ludzi to atut, prawda?

– Całkiem spory. Mamy więc, drogi panie, jakieś góra dwie godziny. Powinno wystarczyć, prawda?

– Naturalne. Uwiniemy się z tym szybko. Nie traćmy czasu. Zapraszam na kawę i od razu przejdziemy do konkretów.

W pół godziny później na niedużym stoliku leżały dziesiątki stron, naprędce wyciągniętych z eleganckiej, skórzanej aktówki przez Karpiuka. Burmistrz, rozglądając się co jakiś czas po niedużym pomieszczeniu, jakby obawiając się, że zaraz ze skrytki wyskoczy brygada antyterrorystów i kilku oficerów z wydziału do spraw przestępczości gospodarczej, powoli zaczął wdrażać go w temat.

– Jak sam pan widzi, projekt jest do zrobienia realnie za 2–3 miliony złotych. To opinia kosztorysanta, chociaż oczywiście na bazie dokumentacji, jaką panu zostawimy może pan sobie wynająć swojego, jednak zaręczam, że kwota jest jak najbardziej pewna. Do dnia wczorajszego

dostaliśmy dwie oferty na kwoty 3.6 i 3.9 miliona złotych, szczegóły zaraz pokaże panu Damian – zerknął na mężczyznę, który powoli zaczął otwierać szarą, zaklejoną kopertę.

– Jak widzicie panowie wspólną realizację projektu?

– To może powiem – Karpiuk wtrącił się do rozmowy. – Wystartujemy jako konsorcjum, składając najlepszą ofertę. Jeśli wpłynie niższa oferta, Janek na pewno nas powiadomi i w porę zdążymy się, że tak powiem, zreflektować.

– Ile na tym można ugrać?

– Dla mnie – wtrącił burmistrz – co najmniej czterdzieści tysięcy, panowie zarobicie po jakies trzysta– czterysta na wartości kontraktu. Co z tym zrobicie, jak się podzielicie, to już wasza broszka. Jeśli wszyscy będziemy zadowoleni z tej współpracy przypominam, że w kolejce czeka kilka ciekawych ofert, gdzie można będzie zyskać znacznie więcej.

– Trochę mało...

– Drogi panie, ostatnio sam pan prosił, aby pozwolić sobie zapracować na zaufanie. To pańskie słowa. Pieniążki to jeden z tych tematów, gdzie lepiej zachować ostrożność i naprawdę dać sobie czas. Zgoda?

– Zostawi mi pan na jakiś czas oferty konkurencji?

– A wie pan, co trzeba zrobić z takimi dokumentami po zapoznaniu się?

– To oczywiście, panie Karpiuk. Spotkamy się jeszcze w dwójkę, aby wspólnie doprecyzować szczegóły oferty? Oczywiście, jeśli pan burmistrz da zielone światło. Jeśli chce pan brać udział w takim spotkaniu – zerknął w jego stronę – to będzie to czysta przyjemność.

– Niech pan już tak nie słodzi – uśmiechnął się. – Po prostu chcę teraz wiedzieć, czy pan w to wchodzi, czy nie. Jeśli tak, to jak dla mnie później możecie sobie dogrywać szczegóły nawet z samym diabłem.

– Znajdziemy płaszczyznę porozumienia. Na pewno, panowie, nie chcecie choćby kieliszka koniaczku? Mam też Burbona, czy kilka rodzajów piw – gestem dłoni zaczął wskazywać ku niedużej lodówce.

– Chyba nie powinniśmy...

– No przecież nie zatrzymają burmistrza!

– Ech...

– To co dla panów? Pod tę naszą współpracę, no!

– To dla mnie koniaczku, ale tak na dnie.

– Ma się rozumieć. A dla pana, panie Karpiuk?

– Też.

Poderwał się z krzesła, aby po chwili nalewać szlachetną, wysokoprocentową ciecz o pięknym, bursztynowym kolorze do kieliszków. Stojąc przed mężczyznami podał szkło i gestem drugiej dłoni poprosił, aby wstali.

– Za współpracę!

– Za współpracę – odpowiedzieli jednogłośnie.

– I żeby skarbówka była ślepa – uśmiechnął się.

Szklą zetknęły się, a ich skąpa zawartość w lot została opróżniona. Usiedli.

– A tak, to co nowego jeszcze słyszać? Czekają nas wielkie, prywatne inwestycje w mieście?

– Trudno powiedzieć. Inwestor chce budować centrum handlowe, jakiś blaszak się wpycha koło Świętego Jerzego, chyba tyle. Czekamy na nową pulę budżetu z Unii. Wiadomo, marzy się obwodnica, bo te jebane tiry nam drogi rozjeżdżają, ale decyzja musi zapaść wyżej...

– Dużo wyżej – wtrącił Karpiuk.

– Do czego pan zmierza?

– Nie wykluczyłbym, że w zamian za kilka miłych słów – ostentacyjnie potarł dłońmi – marszałek pochylił się nad naszą prośbą. To stary skurwiel i trzeba być totalnym idiotą, aby wierzyć w to, że lokacja kluczowych inwestycji jest zależna od potrzeb. Jest zależna od tego, kto może zaoferować więcej korzyści klice!

– Niech pan powie coś, czego nie wiem – prychnął.

– Pan żeś mówił, że ze wschodu pan pochodzi, prawda?

– No tak. Ale co to ma do rzeczy?

– U was tam też wszystko na zasadzie rączki, która rączkę myje? Komu żeś pan po raz pierwszy dał w łapę?

Przełknął ślinę. Po raz pierwszy zmusili go do improwizacji.

– U mnie... to w sumie specyficznie było, bo ja... znaczy jako DewBud nie robiłem nic w rodzimym województwie.

– Dlaczego?

– Widzi pan, panie burmistrzu, właśnie przez wzgląd na to, że nie szło się dostać do ludzi, którzy dużo mogą!

– No tak, no tak. A jak żeś pan poznał tych naszych, przyjaznych decydentów?

– Spotkania biznesowe. Raz na jakiś czas muszą się tam pokazać. No i tak od słowa do słowa, od uśmiechu do uśmiechu, odrobinę przez znajomych. Trochę to trwało, bo na zaufanie trzeba sobie zapracować, ale – rozłożył ręce – oto jestem.

– Oto pan jest – rzucił refleksyjnie, raz jeszcze zerkając po wnętrzu łódki.

– A oto nas zaraz nie będzie – uciął Karpiuk, pokazując burmistrzowi, która już godzina.

– Dokładnie – spojrzał na gospodarza. – To i to dla pana. Wie pan...

– Wiem. Niech pan będzie spokojny.

Burmistrz powoli, jakby z poczuciem ulgi wstał od stolika.

– No to uciekamy. Dziękujemy za zaproszenie, łódka bardzo ładna.

– To była przyjemność panów gościć.

Odprowadził ich aż do parkingu. Ucisnęli ręce na do widzenia. Kilka minut później, wychylając się za sterburtę, jakby wreszcie dotarło do niego, jak niebezpieczną grę prowadził z wymiotował. Wielobarwny paw, nasączony niedużą ilością alkoholu majestatycznie przyozdobił taflę jeziora. Przetarł usta, ruszył ku stoliczkowi zabezpieczając wszystkie materiały, jakie dostał od burmistrza, . Odczekał kilkanaście minut, po czym zadzwonił do Kozaka.

– Mów.

– Będzie ze 20 minut jak poszli.

– Wypytam cię o wszystko na żywo. Pewne tematy nie są na telefon. Już tam jedziemy!

– Jak jedziecie?! Kto?

– Druh znalazł chwilę.

– To bezpieczne?!

– Jeśli tak postanowił, to możesz być spokojny. Posiedź tam, skorzystaj z barku, jeśli potrzebujesz i widzimy się za chwilę. Ciesz się, najgorsze za tobą!

Rozłączył się. Nieczęsto szef pałał takim entuzjazmem, jak podczas zakończonej rozmowy. Rozsiadł się wygodnie, po chwili decydując się na telefon do żony. Po pięciu sygnałach zamknął połączenie. Jako że zapowiedziani goście nie zjawiali się, po kilku minutach ponowił próbę połączenia z ukochaną. I tym razem nie odebrała. Nieco zawiedziony schował telefon do kieszeni, bawiąc się kopertami z tajemniczą zawartością, przekładając je to do lewej, to do prawej dłoni. Po kilkunastu minutach dostrzegł, jak na parkingu zatrzymuje się stylowy, ciemny pojazd. Drzwi od strony pasażera otworzyły się. Rozpromienił się na widok przełożonego, który nie czekając na tajemniczego przyjaciela ruszył ku niemu.

– Opowiadaj!
– Też się cieszę, że szefa widzę – silił się na żart.
– No, przyszli i co?
– No i wszystko co mieli powiedzieć, powiedzieli, zostawili materiały, rzekomo od innych oferentów na ten cholerny most, a potem taka gadka szmatka o wszystkim i o niczym.
– Cześć – anonimowy mężczyzna wystawił ku niemu dłoń. – Gratuluję.
– Dziękuję... panu?
– Nie kombinuj. Nawet jakbyś zdemaskował aferę stulecia, nie dowiesz się, kim jestem – uśmiechnął się.
– Kto wie, kto wie.
– Ja wiem. A teraz powiedz, jak myślisz, gdzie jest aparatura podsłuchowa?
Zrobił krok do tyłu, rozglądając się raz jeszcze po niewielkiej łajbie. Wcześniej również starał się znaleźć jakieś nie pasujące do otoczenia elementy, jednak nic nie przykuło jego uwagi.
– Na sto procent coś za meblami musi być, może tutaj, przy sterburcie?
Rozmówca parsknął śmiechem.
– Bardzo dobrze. Jeśli nic nie zwietrzyłeś, to „Bananowa Fregata” jeszcze nie raz i nie dwa się przyda. Dla twojego własnego dobra nie mogę rozwikłać przed tobą tajemnic łajby, ale chyba się o to nie pogniewasz?
– Chyba nie mam wyjścia.
– Uczysz się, Tadziu?
Zza metalowych drzwi wyłonił się rosły facet, trzymający w łapach butelkę rumu i trzy sporych rozmiarów kieliszki. Szelmowski uśmiech zdradzał, że bez względu na to, co znajduje się w tajemniczych kopertach, dla niego ten dzień już jest udanym. A będzie tylko lepiej.
– Dariusz, posiedzisz z nami?
– Bardzo bym chciał, ale...
– Nie akceptuję odmowy!
– Ech. Ale to tylko na chwilę i na trzeźwo. Samochodem jestem tutaj i na popołudnie muszę być w innym miejscu.
– Też jestem autem, jak widziałeś.
– Ale pan to chyba z tych, co im drogówka salutuje, a nie zatrzymuje prawo jazdy.
Zaśmiali się. Gromki rechot Kozaka zdradzał, że riposta była celna, wyważona i jednocześnie udana. Usiedli przy stoliku. Sikorski sączył oranżadę, którą odnalazł w czeluściach lodówki. Mimo że butelka wyglądała na starą i sfatygowaną, gryzący w kubeczki smakowe posmak cytrusowego, silnie gazowanego napoju przypadł mu do gustu, przywołując przed podkrążone z nadmiaru emocji spojrzenie ciepłe wspomnienia z dzieciństwa, kiedy wysypywało się oranżadę na język, delektując się głupim syczeniem, byle tylko wytrzymać dłużej od kumpli. Jego towarzysze ewidentnie mieli plan, aby jeszcze przed porą obiadową zwiedzać łajbę na czworaka. Niepozorny chudzielec narzucił Kozakowi solidne tempo.
– Co teraz będzie?
Spojrzeli po sobie.
– Przejrzymy to, co zostawili plus nagranie...
– No to to wiem przecież. Ale jak się okaże, że coś tam jest. Takiego mega.
– To upublicznicie nagrania na stronie, jednocześnie oddając sprawę do antykorupcyjnych i na policję.. Rzecz jasna – odstawił kieliszek, aby jeszcze intensywniej gestykulować łapami – będzie totalny rozpiardol i takie tam, ale to już nie będzie wasza brocha. Firma K2Bud zniknie z rynku, a Kowala osobiście wpierdole do celi z jakimś typem z chujem wielkości przedramienia.
– I tyle? A ludzie wyżej, którzy w tym siedzą?!

– Nie bój nic, młody. Wszyscy będą do przodu. A za K2Bud wejdzie PolHandloMost. Trza czasem trochę – hep – pomóc szwagrowi. Co nie, Tadziu?

– Jak tam uważasz, mój drogi.

– Przepraszam, to pan się w tym babrał tylko dlatego, żeby jednego kombinatora zastąpić drugim?

– Darek!

– Spokojnie, Tadziu, wyjaśnię – odwrócił się do Sikorskiego, uśmiechając się pod nosem, jakby dając wyraz pogardzie dla całej roboty, jaką wykonał. – Widzisz, Dariusz, korupcja była, jest i będzie. Napędza to gównem, w którym wszyscy siedzimy. No to dlaczego od czasu do czasu, aby uniknąć wpadki, nie ma na tym bajzlu zyskać ktoś z rodziny?

– Ale jak zyska, jak nie będzie burmistrza? Sam pan mówił, że go zamkniecie!

– Zarząd komisaryczny. A jako że część inwestycji ma iść przez procedury unijne na wysokim priorytecie, to przecież całe miasto nie stanie tylko dlatego, że udało się zatrzymać kilku idiotów, prawda?

– Komisarza oczywiście już pan zna?

Zaśmiał się, przytakując.

– Nie no, może jakiś naiwny jestem, ale...

– Nie powiedz za dużo, panie kolego – przerwał. – Lubię cię, ładnie odegrałeś rolę i też skorzystasz, jeśli włączysz czasem myślenie.

Wypuścił nosem powietrze, zerkając w stół. Palce ulokowane na telefonie, odgrywały jakąś nieskomplikowaną melodyjkę.

– To co mogę zyskać?

– Raczej odzyskać. Łapiesz?

– Chyba.

– Nie dusisz się w tej redakcji? Tadek to świetny chłop, ale chyba zrozumiałby, jeśli jego człowiek wybrałby lepiej płatną posadę, prawda?

– Ja go tam lubię! Zwłaszcza teraz!

– Oj no, ale byś młodego chyba puścił, żeby talent rozkwitał, nie? – uśmiechnął się ku łysemu, nieco zawianemu przyjacielowi.

– Nie wiem – uciął. – To dla niego za wcześnie na ogólnopolski rozpierdol.

– Nie jeśli będzie miał opiekuna. Kogoś, kto raz na jakiś czas podrzuci jakiś greps, czym warto się zainteresować, gdzie przystawić ucho...

– A! To chyba że tak. To bym puścił! Ale niechętnie.

– Widzisz? – spojrzał na zaskoczonego takim obrotem spraw Sikorskiego. – Wszystko w twoich rękach.

– Na mnie pora. Wolałbym pogadać o tym wszystkim przy nieco innych okolicznościach.

– Bierzesz pod uwagę, że mogą nigdy nie nadejść?

– Biorę, proszę pana.

– No cóż – Druh wstał. Darek zrobił to samo. Dostrzegł przed sobą jego wystawioną dłoń.

– Gratuluję ci i dziękuję za pomoc. Zapewne jeszcze nie raz się spotkamy, Darku.

Sikorski, z pewnymi oporami uległ, ściskając jego dłoń.

– Do widzenia.

– Cześć – dobiegło zza stolika. – Do zobaczenia po weekendzie, Dariusz!

Pogrążony w myślach dotarł do wypożyczonego mercedesa. Mimo że zegar wskazywał niemal czternaście trzydzieści, Agnieszka ciągle nie odbierała telefonu. Zirytowany, wysłał esemesa o treści „?”, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w kierunku wypożyczalni, do której elegancki pojazd przynależał. Do zamknięcia doby, po której będzie musiał zapłacić

kolejną, pełną dniówkę pozostało jeszcze trochę czasu. W głębi czując, że nagle, w przeciągu krótkiej rozmowy z jakimś anonimowym, mrocznym kurduplem został zdegradowany z ważnej roli na szachownicy do poziomu byle jakiego pionka, który łatwo można wymienić i zastąpić innym, powoli ruszył z parkingu, leniwie włączając się ku dwupasmowej jezdni, która kilka godzin temu przyprowadziła go w to malownicze miejsce.

Po 16, wyraźnie przytłoczony nadmiarem emocji otworzył drzwi od domu. Na stole kuchennym czekała kartka z lakoniczną informacją „Jesteśmy z Olą w SPA. Będę pod wieczór”. Obok wiadomości znajdowało się niewyszukane, ale całkiem ładnie narysowane serduszko przecięte strzałą Amora. Prychnął, ruchem dłoni obalając kartkę na kuchenny blat. Zrobił sobie kanapkę po czym zasłonił żaluzje, wyciszył telefon i padł jak długi, w mig odpływając do krainy Morfeusza.

Z płytkiego, nieco nerwowego snu wyrwał go trzask drzwi. Łapiąc powietrze w usta, poderwał się, kątem oka zerkając w stronę zegara. Ten podpowiadał, że kilka minut temu minęła dwiętnasta. Usłyszał kroki, które z każdą kolejną sekundą, zbliżały się ku jego kryjówce. Co, jeśli to ktoś od nich – przebiegło przez myśl.

Zza drzwi wejściowych, nieco niepewnie zerkając do wnętrza sypialni, wyłoniła się twarz Agi. Uśmiechnęła się, przyspieszając kroku i siadając obok.

– Co, koszmar miałeś? Ale masz wielkie oczy...

– Nie, nic takiego, nic, nic. Cześć.

– Czołem, panie detektywie. I jak?

– Czemu nie odbierałaś?

– No zostawiłam ci kartkę przecież – wywróciła oczy ku niebu. Zawsze tak robiła, gdy dyskusja schodziła na niewygodny temat. – Byłyśmy w SPA, jakbyś łaskawie nie mógł odczytać wiadomości.

– Znaczący poczytałem...

– No to o co chodzi?

– Jeszcze wczoraj deklarowałaś, że dzień spędzasz w domu. Było też chyba coś o tym, że oddajesz wizytę Marczukom, sąsiadom?

– Było. Zmiana planów. Ostatnio trochę ją zaniedbałam, niech ma – objęła go lekko dłońmi, przyciągając rozczochraną fryzurę ku sobie. – Jak było, no?

– Chyba dobrze. Teraz ktoś to przejrzy, wrzucimy na stronę, damy cynk na policję i będzie jazda.

– No to chyba świetnie, prawda? Walka z korupcją jest teraz na topie. Może dostaniesz jakieś wiesz... ciekawe oferty?

– Może. Ale nie ma co gdybać. Teraz najważniejsza jest cierpliwość – uciął wątek, w głębi serca śmiejąc się z głupoty ślepo wierzącego pisarczyka, który myślał, że jakaś wysoko postawiona szychy pomaga dla idei, za darmo.

– Nie chcesz o tym gadać?

– No chciałbym od tego odpocząć. Sporo nerwów mnie ta zabawa kosztowała.

– Ale chyba trochę cię też nauczyła, nie?

– Generalnie tak. We dwie byłyście, czy nowa też?

– Nie no. Olka jej nie trawi, nawet nie oferowałam zaproszenia, bo by była krwawa jatka – zaśmiała się, zapewne w głębi serca wizualizując mordobicie, jakie przełożona funduje wątlej blondynie.

– Jakie masz plany?

– Nie wiem, może posiedzę trochę z mężem. A może pooglądam telewizję?

Spróbowała wstać, jednak Darek w porę chwycił jej dłoń i lekko pociągnął ku sobie. Nad

wyraz gładko ustąpiła, przyjmując zaproszenie.

– Kopę czasu – szepnął na ucho.

Pierwsze dni czerwca

– Jak dzisiaj? – rzucił szef na dzień dobry, wchodząc do biura, gdzie od wczesnych godzin porannych krzątał się Papiś i Darek.

– Wzrost ilości odsłon o ponad 400 procent względem najlepszego dnia od początku istnienia portalu!

– Bardzo milusio, łączcie tylko, jakby dzwoniли ważni gracze, trzeba się napawać chwilą – uciał, zamykając drzwi gabinetu.

Darek raz jeszcze, z niedowierzaniem obserwował ogólnopolskie portale, które korzystając z prawa przedruku, informowały o wielkiej aferze, jaką zdemaskował lokalny serwis, dla którego pracował.

– Papiś, nowy wpis!

– Masakra, jesteśmy dzisiaj bogami Internetów!

– I nie tylko. Co najmniej trzy ogólnopolskie gazety podchwyciły temat, poświęcając nieco miejsca.

– To chyba ten magik od szefa...

– Druh? – Sikorski zamyślił się. – Bardzo możliwe. Myślisz, że będzie chciał coś w zamian?

– Wątpię. To ziomek od Kozaka więc wiesz, może jakiś dług honorowy czy coś takiego. Ja tam bardziej kombinuję o tym, czy będzie podwyżka. Albo jakieś mega oferty. Ty coś bankowo dostaniesz. Twoje nazwisko pada niemal wszędzie.

– E, nie wiem. Mi tu dobrze – uciał.

– To jak coś dostaniesz, to mnie poleć – uśmiechnął się, pisząc coś naprędce na klawiaturze. W kieszeni Darka rozdzwonił się telefon.

– Nie odbierasz?

– Nie wiem. Jak to reporterzy to i tak do szefa...

– Odbierz, no!

Szybkim ruchem dłoni wydobyl urządzenie.

– Sikorski, słucham.

– Gratuluję, panie redaktorze śledczy.

– Z kim rozmawiam?

– Zgaduj.

Zaintrygował go sympatyczny, delikatny głos rozmówczynie, jednak nie był w stanie przyporządkować go do żadnej znanej osoby.

– Nie wiem...

– Chcesz podpowiedź?

– Oj, co to za gierki?

– Idzie ci lepiej niż podczas szukania pizzerii „u Rycha”.

– Iwa?

– Bingo! Już się bałam, że te opinie o błyskotliwym dziennikarzu, co rozpracował szajkę są nieco na wyrost.

Zauważył, jak kątem oka Patryk mierzy go uważnym spojrzeniem. Schylił się nieco,

zerkając na buty, jakby poddając się poczuciu winy, które zaczynało ogarniać umysł.

– Dziękuję, ja...

– Ile już odebrałaś telefonów z gratulacjami?

– Szczerze mówiąc, to jesteś pierwsza... ale kilka maili i lawina komentarzy się przetacza.

– Jesteś mi winny przeprosiny, panie redaktorze – siliła się, aby barwa głosu zdradzała w tej chwili narastające oburzenie, nieco wymieszane z rozczarowaniem osobą Darka.

– Ja? Ale za co?

– Stronka dla kolegi była, hm? W kilku artykułach przewija się nazwa DewBud, panie kolego.

– Oj, no tak... tak... ale wtedy nie wiedziałem, kim jesteś i czy można ci zaufać. Sorry...

– A teraz, gdyby cała ta akcja działa się właśnie teraz, powiedziałabyś?

– No na pewno twoje szanse znacząco by wzrosły. Przepraszam – wydukał, przyłapując się na tym, że lekko uśmiecha się do słuchawki.

– Przyjmuję.

– No to się cieszę.

– Dobra, Darek. Nie zawracam ci głowy, bo pewnie Aga właśnie usiłuje się dodzwonić lub ktoś inny równie ważny z gratulacjami. Raz jeszcze brawo!

Uśmiechnął się ironicznie. Jeśli Aga raczy zadzwonić, to raczej będzie broniła się tezą, wedle której ostatni będą pierwszymi a pierwsi ostatnimi. Przynajmniej tak domniemywał.

– Dziękuję. No to... cześć.

– Papa.

Odetchnął głęboko, podnosząc wzrok w stronę Patryka.

– Nasza graficzka?

– Yhm... ćwiczysz razem z Agą, jak się okazało. Świat jest mały.

– Spoko – uciał, wracając do przyklepywania jakiegoś komunikatu z serwisu miejskiego na stronę.

Pograżony w myślach, co jakiś czas sprawdzał, czy aby nikt nie dzwoni, jednak poza kilkoma SMS-ami z gratulacjami od starych kolegów i koleżanek nikt więcej się nie odezwał. Trochę ciepłych słów spłynęło też na skrzynkę mailową i profil społecznościowy, jednak – ku rozczarowaniu Darka – rozwikłanie afery nie przekuło się na ani jedną propozycję pracy. Miał nawet pewną teorię w tej kwestii, jednak zwałanie całego zła tego świata na tajemniczego Druha było nieco na wyrost.

Późnym popołudniem wrócił do domu. Znudzony i nieco wyczerpany zamówił pizzę na dowóz i zasiadł przy komputerze, raz jeszcze przeglądając publikacje na swój temat. Pojawił się film z aresztowania burmistrza i Karpiuka, jednak dla dobra śledztwa zarówno rzecznik prasowy komendy wojewódzkiej policji, jak i oficer służb jak ognia unikali komentarzy w sprawie, która cały czas była rozwojowa. Spodziewał się, że już wkrótce będzie dla redaktorów łakomym kąskiem. Wiedział, że te sępy zrobią wszystko, byle tylko zdobyć nowy materiał w tak medialnej sprawie, jak ta.

– Pogratuluj... mu... ode... mnie – wysapała, wypływając z siebie kolejne spółgłoski między seriami na siłowni – może... nie jest... taki za... jakiego go miałam!

Wycieńczona współtowarzyszka niedoli, za którą dobrowolnie płaciła całkiem grube pieniądze ograniczyła się jedynie do skinięcia głową, skupiając się na tym, aby w sobie znany sposób raz jeszcze podnieść tę cholerną maszynę, która teraz niewoliła nogi. Po chwili zirytowana zrezygnowała, opierając się o siedzisko i głośno łapiąc oddech. Współtowarzyszka dołączyła do niej, również decydując się na odsapkę.

– Co dziś robimy?
– Jak to co?
– Wiesz, kończymy o dwudziestej. To młoda godzina.
– Oj, Olka, dzisiaj raczej na nic się nie piszę. Sama wiesz, że to jego dzień i chociaż przez chwilę zamierzam w nim uczestniczyć.
– Coś taka wredna?
Spojrzała zirytowanym spojrzeniem.
– Dlaczego wredna?
– No spójrz na siebie. Ostatnio jeśli tu jesteśmy to albo narzekasz, albo jakaś taka właśnie nieżyłkowa jesteś. W pracy też zwalniasz, kochana. Jak jesteśmy z tym projektem dla Silk Polska?
– No mamy malutki poślizg, ale...
– Ano widzisz. A nigdy nie miałyśmy tego typu problemów. Martwię się o ciebie, kochana. No, o co chodzi?
– Nic takiego...
– Mi możesz powiedzieć, no!
Westchnęła, opuszczając zlaną potem głowę w dół.
– Mnie to wszystko przerasta, Olka.
– Co cię przerasta, kochanie? Jak chcesz, to dam Silka komuś innemu?
– Nie, nie to. Po prostu czuję, jak mi sił brakuje na to wszystko tutaj – rozłożyła dłonie. – Źle się czuję chodząc tu po pracy głodna. Szyja mnie boli po tych ćwiczeniach.
Głos jej się łamał. Warzecha w lot zrozumiała, że przyjaciółka jest na granicy załamania nerwowego. Podeszła, przytulając złamaną życiem kobietę.
– No już, już. Jest dobrze. Ale to czemu nie powiedziałaś? Agus... przecież mi możesz o wszystkim. Ja ci o wszystkim mówię.
– Przepraszam...
– Nie przepraszaj. Może po prostu na jakiś czas darujemy sobie zajęcia, co?
Sine, napęczniałe od łez oczy zmierzyły ją uważnym spojrzeniem.
– Co proponujesz?
– Widzisz, kochana, jest takie jedno fajne miejsce, gdzie zawsze można spędzić czas z najlepszą – zaakcentowała słowo – przyjaciółką.
– Nie no, na SPA nie idzie chodzić codziennie przecież.
– A kto mówi o SPA? Słuchaj, nie przerywaj, głuptasie!
– No, to gdzie?
– Basen.
– Ale ja bym po prostu w domu może...
– W domu nic na ciebie nie czeka. Sama wiesz. A na ból szyi czy kręgosłupa nie ma nic lepszego niż basen. Pochodzimy trochę, a jak nie przypadnie do gustu, to sobie znajdziemy coś innego, dobra?
Przytaknęła pod nosem, powoli wstając i kierując się ku szatni. Nieco zirytowana melancholijnym zachowaniem przyjaciółki Warzecha, rozdając na lewo i prawo przepaszające uśmiechy, ruszyła za nią. W szatni natrafiły na zdziwioną ich obecnością w tym miejscu o takiej a nie innej porze, Iwę.
– Wy po ćwiczeniach już?
– No jak widzisz, moja droga – Warzecha wyszczerzyła się ku zdziwionej takim obrotem spraw blondynie.
– Aga, wszystko dobrze? – ignorując triumfującą pizdOlę, skupiła uwagę na z trudem

powstrzymującej się od szlochania dziewczynie.

– Nic jej nie jest, chwilowa załamka...

– Nie ciebie pytam. Wporzo, hej? – pomogła jej usiąść, kucnęła przed nią i z rosnącą fascynacją, umiejętnie skrywaną w głębi serca, wpatrywała się w nią, modląc o to, aby ta szmata zaraz powiedziała, że pokłóciła się z mężem. Ach, ileż dałaby za taki rozwój wydarzeń. Niestety, już pierwsze słowa Sikorskiej zburzyły penetrujące umysł coraz bardziej i bardziej marzenia.

– Rezygnuję czasowo z siłki, mam dość. Wszystko mnie boli, źle się czuję i...

– No to po co tu chodzisz, Aga? To chyba ma być dla frajdy, a nie dla zajechania się na amen?

Nie odpowiedziała, czując na ramieniu dłoń Olki, która naprędce dosiadła się, filując blondynę zirytowanym spojrzeniem, jakby chciała, aby ta odpuściła te gównno warte pocieszenia, bo ona musi się jeszcze trochę pożywić jej załamaniem.

– Nic jej nie będzie, to twarda sztuka...

– Chcesz chodzić z nami na basen?

– Weź, Iwa na pewno ma plany – objęła ją za przedramię odrobinę mocniej, jakby uprzedzając o konsekwencjach tego typu gry.

– Na basen? Nie, słabo pływam, ale chętnie zaproszę was na rowery. Świeże powietrze, mamy przecież cały kompleks ścieżek, więc nie ma ryzyka, że będziemy jeździć po głównych drogach.

– Basen jest chyba ciekawszym miejscem – Warzecha usiłowała opanować sytuację.

– No, jak ktoś lubi pływać w czyimś moczu to jak najbardziej. Ostatnio tu niedaleko była afera, że ktoś złapał gronkowca i stracił wzrok w jednym oku!

Sikorska podniosła wzrok, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

– Poważnie?

– Niestety tak. Przykra sprawa, bo leczenie takiego czegoś to nieraz lata. A wiadomo, jak to u nas wygląda...

– Bzdury gadasz, niemożliwe! Oni mają normy przecież i kontrole!

– Jezu, Olka, jak nie wierzysz, to poczytaj albo zapytaj po prostu. Nie twierdzą, że rower jest idealny ale na sto procent lepiej mieć zdarte kolano niż stracić wzrok w oku przez jakieś bakterie, których w basenach i pod natryskami jest od zarabania.

– Chodźcie, pogadamy w kafejce. To fajny pomysł... tylko niech się przebiorę.

Powoli wstała, machając dłońmi ku oczom, jakby miał to zatrzymać lzy i zmniejszyć obrzęk, który przybierał niemal karykaturalne rozmiary. Warzecha czuła, że jest to idealny moment, aby zamilknąć i ograniczyć się do przytakiwania lub negowania pomysłów nowej znajomej, która niemal nic nie robiąc, wywierała na jedyną przyjaciółkę coraz większy wpływ.

Po burzliwej dyskusji dziewczyny ustaliły, że warto spróbować i dać ścieżkom rowerowym szansę. Gdy tylko Olka przeprosiła je na moment, nastąpiła szybka wymiana zdań.

– Aga, to nie moja sprawa, ale na pewno chcesz ją mieć na tych rowerach?

– Do czego zmierzasz?

(Już wiesz, idiotko, doskonale do czego. Gdybyś nie miała jej dość, nie patrzyłabyś teraz tym tępym, sarnim wzrokiem, czy aby już nie wraca!)

– A, tak tylko. Chodzi o to, że w szatni wyglądało to tak, jakbyś chciała odpocząć nie tylko od siłowni i aerobiku.

– Nie... nie wiem.

– Całe dnie spędzasz w pracy. Może to znudzenie?

– Nie wiem, Iwa, nie wiem.

Wyprostowała się, widząc, że przyjaciółka zmierza już ku nim. Mogła nie potwierdzać,

mogła nie zaprzeczać, jednak zdawało się być niemal pewnym, że ziarno zwątpienia, jakie zasiała w jej głowie nowa koleżanka, z każdym kolejnym dniem będzie rosła. Będzie oglądać tę kurwę od rana do wieczora, nie ma więc siły, żeby po jakimś czasie nie obrzydła jej jeszcze bardziej. Gdy jej zbrzydnie, kurwa zacznie przelewać złe emocje na męża, a wtedy już tylko postawić kropkę nad „i” – uśmiechnęła się lekko, ni to w stronę pizdOli, ni ku Agnieszce, która jak nigdy wcześniej unikała jej spojrzenia.

Późnym wieczorem dotarła do domu. Przesączona złymi emocjami, po raz pierwszy oficjalnie skarcona przez przełożoną za niewielki, bo ledwie kilkudniowy poślizg z realizacją dużego projektu, do tego niepewna przyszłości.

– Cześć – odgrzać ci pizzę?

– Nie, nie chcę, cześć – ruszyła wolnym krokiem przed telewizor, decydując się na skakanie po kanałach w nadziei na znalezienie jakiegoś odmóżdżającego programu. Ruszył ku niej, dosiadając się.

– Dzisiaj jestem gwiazdą Internetów, skarbie.

– Wiem. Czytałam i nawet słyszałam w radio. Gratuluję – rzuciła, nawet nie zerkając na Darka.

– Co się stało?

– Nic.

– No przecież widzę...

– Dariusz, cholera jasna, nic!

– Nie chcesz pogadać?

– Najwyraźniej.

– Mam sobie iść?

Nie odpowiedziała. Posiedział chwilę to zerkając na Agę, to zaś przenosząc spojrzenie na ekran telewizora. Po dłuższej chwili pokonany przez jej zły humor, głęboko wzdychając oddalił się w stronę komputera. Włączył jakąś grę, usiłując nie dać sobie zepsuć do końca humoru po udanym dniu. Zapamiętał, że około północy, ignorując go, poszła do sypialni. Kilka minut później zapisał stan gry i raz jeszcze sprawdzał skrzynkę e-mailową. Komunikator informował o kilku dostępnych kontaktach. Jakby usiłując upewnić się, że wciąż jest dla dziewczyn atrakcyjny, wypierając z umysłu ostatnie zachowania Agi, otworzył okno kontaktu.

Ja: nad czym siedzisz?

Iwa: a Ty?

Ja: w sumie to nad niczym. Z nudów.

Iwa: z żoną byś posiedział ;)

Ja: śpi. I coś humor ma markotny.

Iwa: wkrótce się poprawi, rzucamy te wszystkie aerobiki i siłownie w cholere ;)

Zaintrygowany, po cichu gwizdnął.

Ja: jak rzucacie?

Iwa: no nie mów mi, że Aga nic ci nie powiedziała.

Ja: no tak wyszło. Oświecisz mnie?

Iwa: oj, panie redaktorze, ciężko pan ma z dostępem do informacji ;) stanęło na tym, że Aga ma wkurwa na ćwiczenia, czuje się zmęczona.

Należy tu dopowiedzieć, że wysyłając niedopowiedzianą, niedokończoną wiadomość, Iwa sprawdzała Sikorskiego, czy podejmie jej grę.

Ja: a to ci nowość ;)

Nie rozczarował jej.

Iwa: no i po burzliwej dyskusji, mając do wyboru basen albo rower, mój wniosek został

przeforsowany!

Ja: czyli jedna osoba na sto procent ma gorszy humor niż Aga!

Iwa: i tą osobą nie jestem ja ;)

Ja: zuch ;)

Na dłuższą chwilę komunikator zamarł. Nie zamierzała jednak pozostawić go teraz samemu sobie. Zgodnie z radą tajemniczego dobrodzieja wykonała następny mały krok.

Iwa: masz takie coś, jak mikrofon i słuchawki do kompa?

Ja: nie. A co?

Iwa: załatw sobie. Wygodniej pogadać niż pisać. Przynajmniej dla mnie ;) cały dzień przy komputerze, dużo pisania i zabaw z myszką, to jeśli mam z kimś plotkować, to byłoby mi wygodniej opierając się wygodnie o krzesło i takie tam.

Ja: zobaczę, co da się zrobić.

Iwa: teraz robą takie fajne, zintegrowane dla graczy. Jak czasem lubisz pograć w sieciówki, to jest to zupełnie inny efekt niż przez głośniki.

Pełnymi garściami korzystała z jego profilu, dowiadując się, że Darek uwielbia FPS-y i strategie turowe.

Zaintrygowany znajomością tematu pociągnął rozmowę sądząc, że w tej chwili jest rozgrywającym.

Ja: grasz w jakieś gry?

Iwa: nieczęsto. Czasu mało. Ale jeśli już gram, to na słuchawkach i szczerze polecam.

Ja: to ja raz na jakiś czas

Co de facto oznaczało, że gra codziennie, zabijając nudę po powrocie do domu i czekając, aż Aga wróci.

Ja: może spróbuję.

Iwa: nie będziesz żałował. No i czatowanie też nabiera innego, lepszego wymiaru ;)

Uśmiechnął się lekko do ekranu. Ogólnikowe, lakoniczne stwierdzenie zabrzmiało całkiem interesująco.

Iwa: muszę kończyć. Prześpij się, pozdrów Agnieszkę i do USŁYSZENIA.

Ja: do usłyszenia. Na razie!

Ikonka kontaktu zmieniła kolor. Rozmówczyni wyłączyła czata. Przeciągle ziewnęła. Jeszcze tylko na moment odwiedził jej profil, wmawiając sobie, że przecież na pewno pojawiły się na koncie społecznościowym jakieś nowe gratulacje, wysłane przez bliższych lub dalszych znajomych, którzy mogli nawet pomyśleć, że oto po długiej banicji Sikorski znowu wraca do głównego nurtu. Żadne nowe życzenia jednak nie czekały. Wyłączył komputer, umył zęby i najciszej, jak tylko potrafił, położył się na swojej części łóżka, przez dłuższą chwilę wpatrując się w śpiącą plecami do niego, żonę.

W ledwie kilka chwil po zakończeniu rozmowy z Darkiem, przepełniała ją wielka radość. Uśmiechnięta od ucha do ucha, wyzbyta krążących nad nią cały czas fobii i lęków, dla postronnego obserwatora wyglądałaby na osobę spełnioną. Tylko garść proszków, po jaką sięgnęła wążka, chudziutka, dłoń mogła podpowiadać, że wszystko wokół Iwy to do pewnego stopnia ułuda, której dziewczyna ulega każdego dnia.

Wyłączyła komputer. Po chwili w pokoju zgasło światło. Kilkoma suszami, bojąc się otaczającej ciemności dobiegła do sypialni. Sześć żarówek, ulokowanych na dwóch, zwisających z sufitu, białych lampach wypełniło duży pokój blaskiem. Tam, gdzie kiedyś stał stolik, teraz znajdowało się sporych rozmiarów płótno. Mebel został przesunięty pod okno, ku kaloryferowi. Stały na nim jakieś niedomknięte farby w różnej wielkości pudełkach. Uśmiechnęła się ciepło, zerkając na swoje dzieło.

Rozmazana, jakby blada trawa zlewała się z niezbyt wyraźnie zarysowanym, karykaturalnym wręcz chodnikiem. W tle majaczyły dziesiątki drzew. Malunek nie był zbyt precyzyjny i pod pojęciem drzewa, należy tu raczej rozumieć brązowy trzon i zieloną kulkę, niezbyt skutecznie imitującą koronę, gdzie zazwyczaj dom znajdują ptaki wijące gniazda. Tylko jedno z drzew, ulokowane w centralnej części obrazu było namalowane dość szczegółowo: wielki, majestatyczny dąb z rozłożystymi gałęziami. Pod nim, na trawiastym podłożu garść chaotycznie rozrzuconych, czerwonych kropli farby.

Uśmiechnęła się, podnosząc wzrok wyżej. Dłonie przyłożyła do niewielkich, skrywanych za koszulką piersi, gładząc je coraz mocniej. Po chwili długie, zadbane paznokcie objęły biust, dociskając coraz głębiej, jakby chciały przerwać aksamitną skórę i zadać jeszcze więcej bólu. Z oka spłynęła łza. Napawała się widokiem dwóch chaotycznych postaci, zwisających obok siebie z drzewa. Jakaś pozbawiona twarzy z czarnymi, wielkimi kropkami, zamiast oczu, kobieta – na co wskazywała krótka sukienka – o blond włosach, obok której, odrobinę wyżej, jakby ze względu na nieduży wzrost, łapiąc wiatr w martwe ciało powiewała spokojnie jej koleżanka, czy to dla kontrastu, czy ze względu na emocjonalne podejście autora narysowana niemal idealnie. Każdy z HKS-Incho Company poznałby, że ten kurdupel to Aleksandra Warzecha.

Cicho syknęła, robiąc krok w tył. Opuściła dłonie, aby po chwili ustawić obraz idealnie pod kątem prostym względem łóżka. Włączyła lampkę, ustawiając ją tak, aby podświetlała demoniczny malunek. Fontanna intensywnego, białego światła zgasła. Dziewczyna wskoczyła do łóżka, podnosząc poduszkę nieco wyżej, z dziwną, jakby spełnioną miną wpatrując się przez dłuższą chwilę w swoje dzieło. Uśmiechając się coraz mocniej zaczęła szeptem nucić:

Uśmiech z twarzy twojej dawno już zmazany,
Skóra rozerwana, tryska z ciebie krew.
Już za późno myśleć, już za późno marzyć,
Gdyż nad twoim trupem krąży wciąż mój gniew...
Druga połowa czerwca

Krzętała się po domu, usiłując odnaleźć strój rowerowy. Przekopując się przez wszechogarniający bałagan, denerwowała się coraz bardziej, nie mogąc wygrzebać jasnej, rowerowej koszulki. Zegar podpowiadał, że za kilka minut powinna była wyjeżdżać, jeśli miały – jak zazwyczaj – spotkać się obok kapliczki, gdzie bieg rozpoczynał 12-kilometrowy szlak rowerowy. Pogoda nie zachwycała, jednak z całą pewnością wysokie chmury, które opanowały niebo nie zwiastowały opadów deszczu. Z gąszczu myśli wyrwał ją wibrujący telefon komórkowy. Zarzuciła na moment poszukiwania, zerkając na wyświetlacz. Agnieszka. Czego może chcieć? Odebrała.

– Tak, Aga?

– Iwa, nie gniewaj się, ale dzisiaj nic z tego nie będzie. Mamy przeciągnięte godziny pracy...

– Tak nagle?

– No niestety. Przepraszam cię. Nie pogniewasz się?

– Praca to praca. Rozumiem. Po prostu szkoda, pogoda fajna na rower...

– Na pewno nadrobimy. Muszę kończyć. Ola prosi, żeby cię pozdrowić!

– No dzięki. To... pa.

– Papa.

Zasmucona rozłączyła się. W tym samym czasie, uśmiechnięta po uszy Olka wyciągała przyjaciółkę z siedziby firmy i śmiejąc się, jak człowiek, który właśnie trafił szóstkę w totka, ciągnęła ją ku samochodowi.

– Do Darka dzwoniłaś, że nadgodziny?

– Tak...
– No to jedziemy. Boże, ale się jaram na ten film!
– No zbiera fajne recenzje, ale czy na pewno...
– Aga, skończ. Poświęcam się, chodząc z wami na te głupie rowery, więc też raz na jakiś czas możesz coś zrobić, nie?

Nie czekając na odpowiedź uruchomiła silnik pojazdu, który szybko łykając kolejne kilometry, zawiózł je do wielkiego centrum handlowego, gdzie przy okazji znajdowało się sporych rozmiarów kino. Nieco markotna żalując takiego, a nie innego wyboru patrzyła na mijane krajobrazy, które zlewały się w monotematyczny portret trawiastych równin.

– Sikorski, słucham?
– Cześć!
– No hej. Co tam?
– Jesteś w domu?
– Już tak. Słyszałem, że dziś nie idziecie na rowery?
– No, dziewczynom podobno wypadła jakaś pilna sprawa w firmie.
– Przywykniesz. Skoro ja przywykłem to i ty możesz – silił się na ironię.
– Możliwe, ale w przeciwieństwie do niektórych nie zamierzam się nudzić. Idę na ten rower tak czy owak, ale dam ci coś, co będzie nowością. Taką absolutną. Gotowy?
– No, strzelaj.
– Wybór.

Parsknął śmiechem. Cisza po drugiej stronie słuchawki zdradzała, że Iwa bynajmniej nie żartuje. Szybko się opamiętał.

– Znaczy co?
– Idziesz ze mną?
– Na rower?! Ale nie jeździłem od kilku dobrych lat...
Wyczuła w głosie, że się łamie.
– No to wybierzemy jakąś trasę dla emerytów.
– No nie wiem...
– Co ci szkodzi? Postrzelasz sobie na kompie później!
– Ech, ale Aga focha strzeli...
– Za to, że idziesz na rower?
– Nie no... że z dziewczyną... inną.
– Znamy się przecież. Jak ci to nie da spokoju, to jej powiem, dobra?
– Pomyślę.
– Pomyślisz podczas jazdy. Za pół godziny będziesz gotowy?
– Ale gdzie mam być? Nie wiem nawet, gdzie te ścieżki są, Iwa.
– A potem się dziwią ludzie, że choroby stawów się szerzą. Stój koło tej waszej zatoczki autobusowej albo przy rondzie. Zgarnę cię i pojedziemy na taką relaksacyjną przebieżkę, dobra?
– No okej...
– To na razie!

Rozłączyła się, z nowym zapalem przystępując do szukania zaginionej w akcji koszulki. Darek naprędce ruszył w stronę piwnicy, doglądając, w jakim stanie jest stary, zapomniany przez wszechświat góral. Nie było źle. Jeśli tylko usunąć pajęczyny i napompować opony zdawało się, że uda mu się pokonać trasę bez większych problemów. Kwadrans później w krótkich spodenkach, czarnym t-shirtcie i sportowych butach dopompowywał właśnie przednie koło pojazdu.

Zamknął drzwi, chowając klucze do bocznej kieszeni, zaraz obok telefonu. Przez chwilę

wahał się, czy nie wziąć go w dłoń i nie zadzwonić do Agi, jednak zwyciężyła ciekawość i przekonanie o tym, że jeśli żona intensywnie pracuje, to na sto procent nawet nie spojrzy na prywatną komórkę. Jakby nie do końca przekonany o prawidłowości dokonanego wyboru, zerknął ku niebu wyczekując na znak. Ten jednak nie nadszedł.

– Pan z tym rowerem na autobus czeka? – uśmiechnęła się w jego stronę. – Cześć!

– Ej no, przy tobie wyglądam jak amator – odwzajemnił uśmiech, lekko oczarowany obrazem, jaki się przed nim roztaczał.

– Nie jest źle – postawiła pojazd na stopce, podchodząc do niego. – No a rowerek widzę też w formie. Musiałbyś mieć nowe smary, ale nie jest źle.

– Serio, czuję się przy twoim stroju jak frajer.

– Pojedziemy i tak w większości przez zagajnik i chaszczce, najwyżej wystraszysz kilka osób. No ruchy, Darek. Jak utrzymasz tempo, to w nagrodę dostaniesz nawet wodę – wskazała na bidon, przyczepiony do ramy roweru.

– Ile taka koszulka czy kask?

– Zależy – wsiadła na pojazd, gestem dłoni zachęcając, aby ruszył za nią. Reszta konwersacji odbywała się w trasie. – Jak lecis na logo i nowe kolekcje sezonowe, które się niemal niczym od siebie nie różnią, to koszulka cię pożre nawet na 300 złotych.

– Trzy stówy?!

– Ale spokojnie. Jak taka, jak moja... no, może mniej przylegająca – uśmiechnęła się – to 70 złotych spokojnie znajdziesz. Kask to indywidualna sprawa.

– Rozumiem. Kupujesz przez sieć?

– Już nie. Ceny się wyrównały i się zazwyczaj nie opłaca. W naszym mieście jest kilka fajnych sportowych. Jak chcesz, to możemy dzisiaj podskoczyć. Co powiesz?

– No w sumie szło by... a to po drodze mamy?

– Prawie. Trochę nadłożymy, ale po płaskim, więc powinieneś dać sobie radę. O, to nasza ścieżka, widzisz znak? Dawaj w prawo!

Mimo przeciętnej pogody minęli kilkoro innych rowerzystów i garść biegaczy. Dziewczyna prowadziła. Gdy ruch był nieduży, jechali obok siebie, rozmawiając. Pytała, żartowała i słuchała. Trochę czasu zeszło im na rozmowie o zakończonym śledztwie dziennikarskim, gdzie Darek zdecydował się zdradzić dziewczynie co ciekawsze wątki z historii, którymi do tej pory obdarował jedynie najbardziej zaufanych członków rodziny i znajomych, nie mogło obejść się też bez narzekania na pizdOlę, chociaż jak ognia wystrzegał się tego sformułowania, ograniczając się jedynie do imienia i nazwiska, cały czas pamiętając o tym, że przecież spędza z nimi sporo wolnego czasu. Iwa poruszyła tematykę związaną z muzyką, żaląc się, że wszystkie bilety na koncert legend muzyki rock, który miał się odbyć w stolicy zostały wyprzedane. Po dłuższej pogawędce okazało się, że wiele kapel i piosenek obydwójce tak samo określają, jako utwory kultowe, na stałe wpisujące się w serca milionów sympatyków ciężkich brzmień. Po dłuższej chwili wyłoniła się przed nimi stroma górka. Darek przeciągle gwizdnął. Zatrzymała się.

– To co, chcesz do tego sportowego?

– Daleko jeszcze?

– Nie, już nie. Ta górka, potem jakieś piętnaście minut i tyle. Masz – podała bidon.

– A ty nie pijesz?

Uśmiechnęła się, mierząc go ciepłym spojrzeniem. Zawstydzony, lekko opuścił wzrok.

– Tobie się teraz bardziej przyda, pij.

– Mam jechać pierwszy, żeby dopasować tempo?

– No już nie bądź taka dupa. Dotrzymasz mi kroku. Nie będę szaleć!

Oddał bidon. Dziewczyna ruszyła, zmieniając przerwutkę na wyższą. Za nią, zerkając na pracujące nogi, śmiejąc się jak nastolatek z fałszywym dowodem, który oszukał ochronę, aby dostać się na wybory miss mokrego podkoszulka, podążał Sikorski. Mimo sporego przewyższenia bez większego wysiłku pokonał ostatni odcinek. Zatrzymała się na szczycie, zerkając na niego.

– Patrz.

Skierował głowę w lewo. Czerwonawe chmury, zza których usiłowało wydostać się słońce, oświetlając kilkoma snopami jasnego światła ledwie nieduży fragment zielonej polany, wyglądało bajecznie.

– Magia.

– No.

– Jako dzieciak zasłyszałem kiedyś, że jak idzie taki snop światła to dlatego, że ktoś tam umiera, ale teraz to będzie mi się kojarzyło chyba inaczej – nie był w stanie oderwać wzroku od bajkowego zjawiska. Nieco w prawo od miejsca spektaklu wyrastało przed nimi serce sporego miasta.

– Gdzie teraz?

– Jedziemy cię obkupić. W nowych łąkach zawsze się fajnie wraca do domu.

– Chyba tylko jak się jest dziewczyną.

– No, nie zdziw się. Ruchy, Darek.

Ledwie dwadzieścia minut później, umilając sobie trasę rozmowami o wszystkim i o niczym, dotarli pod centrum handlowe. Dziewczyna przezornie wyciągnęła blokadę rowerową, sugerując, aby zaparkował obok.

– Myślisz, że wystarczy? – niepewnym wzrokiem mierzył niewielkich rozmiarów urządzenie, którym sympatyczna blondyna zamierzała uwiązać obydwie rowery do metalowego, rowerowego stojaka.

– Zaraz się okaże. Podjedź tu do mnie, bliżej, bliżej...

– Iwa...

– No czekaj, zaraz się uda – walczyła, usiłując dopiąć blokadę, która jednak nie zamierzała poddać się zbyt łatwo.

– Jak zaparkuję naprzeciwko, to się uda.

Podniosła wzrok, mierząc go uważnym spojrzeniem. Coś w tych czarnych oczkach podpowiadało Darkowi, że rada została ciepło przyjęta. Uśmiechnęła się lekko.

– No tak. Na to kobieta wpaść nie mogła. Spróbujmy!

Po chwili, obydwie rowery stały już bezpiecznie w strefie parkingowej. Ruszyli ku windzie.

– Sportowy ciągle na drugim piętrze, nie? – usiłował skleić rozmowę, nieco zawstydzony czy to ubiorem, czy też może obecnością w tak intymnym miejscu, jak świątynia zakupów z obcą kobietą.

– Dokładnie. Obok cukierni i jakiegoś odzieżowego.

– Wiesz, dzięki, że tak ze mną łąsisz. To bardzo... pomocne.

– Oj, weź, przecież to tylko sportowy, a nie wizyta u nudnej ciotki na imieninach. Trzeba sobie pomagać.

Nacisnęła przycisk windy. Metalowe, wypolerowane na błysk drzwi otworzyły się lekko. Przepuścił ją przodem. Jako jedyni pasażerowie ruszyli w kierunku celu podróży.

– Jakbyś kiedyś potrzebowała podwózki czy coś, to się polecam.

– Kto wie, może skorzystam – rzuciła lakonicznie, przeglądając się w wielkim lustrze, poprawiając nieco przyklapniętą fryzurę, będącą pozostałością po kasku, jaki dzierżyła w dłoni. –

Jak wyglądam?

– Bardzo dobrze.

(Nie opuścił wzroku! Podobam mu się!)

Winda zatrzymała się. Przywitał ich wszechobecny zgiełk. Czy to za sprawą dzierżonego w ręce kasku, czy też dzięki stylowemu i sportowemu ubiorowi dostrzegł, że jego towarzyszka wzbudza spore zainteresowanie mężczyzn. Jakiś młodzian, trzymający za rękę pannę, zapatrzył się na Iwę zbyt długo i niedyskretnie, załapał się nawet na kuksańca od ukochanej. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, z trudem powstrzymując od śmiechu. Przed nimi wyłonił się długo oczekiwany sklep.

Przekroczyli próg, przywitani przez sympatyczną, młodą kasjerkę. Z dużym zainteresowaniem rozglądał się po kolejnych działach, poświęcając kilka chwil piłkom, to zaś obuwia sportowemu czy zwykłym koszulkom, obecnie przecenionym o 10%. Wreszcie, zaprowadziła go na dział rowerowy.

– No, to tu masz spodenki, tam koszulki. Działaj.

– Spodenki też?

– No zdecydowanie. Na dłuższych trasach te... jakby to wytłumaczyć...

– Pieluchy?

– No niech jest. Te pieluchy w środku bardzo podnoszą komfort jazdy.

– Potrzebuję tego?

– Jeśli zamierzasz mi często towarzyszyć, to tak.

– A zamierzam?

– Inaczej bym ci nie mówiła o spodenkach. Weź zwykłe, czarne, jeśli mogę doradzić. Te wszystkie wzorzyste czy z tymi debilnymi kieszonkami, które i tak nic nie mieszczą, to naciąganie ludzi. Bulisz o sto procent więcej za metkę.

– A te? – wskazał na jakiś zestaw, dostępny w rozmiarze M i L.

– Weź. Przymierz i zobaczysz, co dalej.

– A góra?

– Wybierz sobie jakąś, która ci się najbardziej widzi. Niech materiał będzie możliwie jak najcieńszy, to taka jedyna rada. Też się troszkę porozglądam, co?

Rozentuzjasmowany przytaknął, oddając się buszowaniu między półkami. Kilka razy minęli się, niby przypadkowo zerkając na zawartość koszyków. Darek wybrał sobie trzy koszulki, gdzie barwą dominującą była biel, kolejno wymieszana z: żółtym, szarym i jakimś wielokolorowym, aerodynamicznym wzorkiem. Do tego dochodziły czarne spodenki, zaproponowane przez Iwę. Ona zaś postanowiła nabyć idealnie błękitną koszulkę z zamkiem błyskawicznym na przedzie oraz pelerynę przeciwdeszczową dla rowerzystów. Ruszyli ku przymierzalniom.

– Zaczynaj. Chyba w tej białej będzie ci fajnie.

Nieco speszony zamknął drewniane drzwiczki i zaczął się przebierać. Odkładając rzeczy na taboret, upadł mu t-shirt. Schylił się, naprędce dostrzegając, że dziewczyna nie stoi przed przymierzalnią. Wkrótce zorientował się, że hałas i szmer dobywający się zza drewnianej ścianki, to jej sprawka. Naprędce założył spodenki z „pieluchą” i białą, rowerową koszulkę. Lekko pchnął drewnianą konstrukcję, wychodząc w skarpetkach z przymierzalni.

– Jesteś?

– Czekał. Walczę z tym czymś.

– Nie ma pośpiechu, spoko.

Drzwi otworzyły się.

– Już. Jak wyglądam?

– Bardzo ci pasuje. Serio.
– A z tyłu? – odwróciła się, powoli zataczając kółko wokół własnej osi, niczym baletnica usiłująca wywrzeć dobre wrażenie na jakimś ważnym reżyserze.

– Bardzo dobrze. A ja?

Zmierzyła go uważnym wzrokiem.

– Spodenki super. Weź przymierz te dwie pozostałe, żeby była jasność. Ja bym ci jeszcze podrzuciła tę żółtą z czarnymi wykończeniami, co? Zobaczmy, jak zatrybi z gatkami.

– No dobra...

– L-ka?

– Tak.

– Wiesz, w tej też ci fajnie, ale chyba może być lepiej. Zaraz wracam.

Ruszyła, niknąc po chwili między półkami. W międzyczasie, Darek zakładał drugą z samodzielnie wybranych koszulek. Zapukała w drzwi od przymierzalni, przerzucając naprędce wybraną koszulkę. Otworzył drzwi, prezentując się w kolejnym łachu.

– A ta?

– Jak rycerz wyglądasz z tym niby srebrnym – z trudem opanowała mimikę. Lakonicznie pochwaliła też trzeci wybór. Sam nie czuł się w żadnej zbyt swobodnie wyczuwając, że mimo iż nie wygląda źle, to jednak barwy nieco się gryzą. Nie spodziewając się wiele, przymierzył propozycję od Iwy.

Drzwi kabiny otworzył uśmiechnięty, zadowolony facet w eleganckim, grającym kolorystycznie od góry do dołu stroju.

– No chyba nie muszę mówić...

– Skąd wiedziałas, że w tej będzie dobrze? W życiu bym na nią nie spojrzał.

– Jestem grafikiem, kobietą. To chyba wystarcza. Kupisz?

– Naturalnie!

– Chyba też moją koszulkę wezmę. To by było, gdyby się okazało, że wychodzisz z łupem, a ja z pustymi rękoma. Na pewno mi w niej dobrze?

– Lepiej niż mnie w tym zestawie.

Przebrał się naprędce. Z trudem powstrzymywała się, aby nie wparować do środka i nie okazać, co do niego czuje. Pieprzyć kamery i ochronę! To potrwa tylko chwilę. Wiele nam nie trzeba. Oblizwała lekko wargi, robiąc krok w tył. Po chwili wyszedł. Zadowolony, podekscytowany nowym nabytkiem.

Zapłacili za rzeczy i ruszyli ku wyjściu.

– Raz jeszcze dzięki za pomoc, Iwa. Ja...

Złapała go za rękę, powstrzymując przed wyjściem ze sklepu. Zdezorientowany takim obrotem spraw, zmierzył ją zdziwionym, silnym spojrzeniem.

– Co robisz? Hej?

– Zobacz, jak się pracuje – ruchem głowy wskazała za przeszkloną szybę, w kierunku wejścia do kina z którego właśnie wychodziły dwie rozgadane, dobrze znane dziewczyny: Agnieszka i pizdOla. Cały czas trzymała go za rękę, w głębi serca dziękując stwórcy za taki zbieg okoliczności. Nie wyrwał się, zupełnie, jakby chwyt delikatnej, kobiecej dłoni był ostatnią barierą, która zakazuje mu wyjścia ku dziewczynom i zafundowania wielkiej kłótni na oczach dziesiątków świadków. Jakby wyczuwając jego myśli i ignorując spojrzenie wścibskiej sprzedawczyni, zbliżyła się, szepcząc po cichu:

– Zostaw. Są jak papużki nierozłączki.

– Nadgodziny, kurwa... za przeproszeniem – zmieszał się.

– Nie krępuj się. Tego małego babochłopa szczerze nienawidzę.

(Tak samo jak tej kurwy, co nosi taką samą obrączkę, jak ty, ale o tym szczególnie nie mogę ci jeszcze powiedzieć, ukochany!)

– Ciekawe, ile to trwa?

Uśmiechnęła się. Jego tok myślenia był idealny.

– Mi już kilka razy takie bajki wynajdywały, ale jestem tylko głupiotką nową znajomą.

– Weź.

– Co zrobisz?

– No właśnie waham się między fochem, a olaniem tego. Boże, to teoretycznie może trwać w cholerę! Myślisz, że już poszły z centrum?

– Chyba tak. Chcesz wracać?

– Po prawdzie, jest mi to obojętne.

– Ech, chodź – pociągnęła go lekko za rękę ku wyjściu. Walcząc ze sobą poluzowała uchwyt, zwracając dłoni wolność. – Łatwo w nerwach zrobić coś źle. Może jakoś to wyjaśnią?

Nie odpowiedział, powoli sunąc przed siebie. Wiedziała, że sytuacja teraz jest bardzo niepewna, że stąpa po niepewnym gruncie, gdzie pójście na żywioł może zrujnować cały plan. Nie mogła pozwolić sobie na najmniejszy błąd. Poza kilkoma zdawkowymi ogólnikami odezwał się dopiero, gdy wracali na ścieżkę rowerową.

– Wiesz, miałem z tobą spory dylemat.

Z całej siły wgrzyła się w policzek, czekając na ciąg dalszy. Twarz, która emanowała teraz spokojem, z trudem skrywała szalejącą duszę, rozdartą gdzieś między rzuceniem się na niego w krzaki, a zainicjowaniem rozmowy o tym, w jaki sposób może zerwać z żoną.

– Chciałem pogadać z Agą, znaczy powiedzieć, że wzięłaś mnie do tego sklepu, żeby nie było potem z tego zadnych kwasów. W sumie to nawet nie za bardzo chciałem tam jechać, ale jeśli istnieje coś takiego, jak boska sprawiedliwość...

(Boska?)

– ... to chyba obydwójce przekonaliśmy się co do tego, że warto było jednak znaleźć się w tym miejscu i o takim czasie.

– Do czego zmierzasz?

– W sumie nie wiem. Po prostu ... chciałem cię poprosić, żebyś nie mówiła Adze o tym wypadzie.

– Prosisz o wiele, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak.

– Muszę to sobie poukładać. Ale zanim podejmę decyzję, dam ci znać, żebyś wiedział, jak się masz zachować. Może być?

– Doceniam to.

– Kupiłeś te słuchawki do kompa?

– Już dawno!

– To czemu nic nie mówisz? – usiłowała rozładować atmosferę. – To ja się produkuję, piszę z klawiatury, mimo że palce bołą a ty, leniu, możesz śmiało gadać!

– Oj no. Niby mogę, ale trudno tak gadać, jak Aga śpi piętro wyżej.

– To musi mieć słuch jak nietoperz.

– No nie jest to dalekie od prawdy – prychnął, jakby w myślach przeklinał właśnie jej dar.

Po kilku minutach zza ścieżki rowerowej zaczęła wylaniać się ruchliwa ulica, od której rozpoczynali wycieczkę. Iwa zatrzymała się przy barierce, oddzielającej chodnik od jezdni, mierząc go ciepłym spojrzeniem

– Przykro mi, że wyszło jak wyszło, ale poza tą sytuacją fajnie spędziłam czas. Miło tak czasem pogadać.

- Ja... też. Dzięki. To dasz znać, tak?
- Jak wepniesz te cholerne słuchawki. Nie no, żartuję. Możesz być spokojny.
- No to co? Do zobaczenia?
- Mam nadzieję, że się nie zniechęciłeś. Jest wiele tras w okolicy, które warto zwiedzić.
- Nie zniechęciłem – wystawił rękę w jej stronę. – To na razie?

Zeszła z roweru, opierając go o barierkę. Doskonale widziała, jak się w nią wpatruje. (Tak...)

Uścisnęła jego rękę, lekko dotykając przedramienia ciałem.

- Trzymaj się. I nie smuć przez dziewczyny. Na pewno wszystko się wyjaśni.

Nawróciła, wsiadła na pojazd, po kilku metrach, nie zerkając za siebie wystawiła w górę dłoń i pomachała. Wiedział, że tego nie zobaczy, ale ledwie zauważalnie odwzajemnił gest, po czym skręcił i ruszył w przeciwną stronę, aby po kilku minutach chować rower do garażu. Wewnętrznymi schodami, dzierżąc w dłoni siatkę z zakupami ruszył do domu. Zza wysłużonych, drewnianych drzwi dało się słyszeć głos Agi. Napał na klamkę, namierzając ją naprędce. Zdecydował, że nowe nabytki chwilowo zostawi w piwnicy.

– Cześć – rzucił, nie oczekując odpowiedzi. Uśmiechnęła się lekko. Ruszył do łazienki, decydując się na szybki prysznic. Gdy wrócił, żona siedziała przed telewizorem. Postanowił zagaic rozmowę.

- Jak tam było?
- Weź...
- Długo w robocie siedziałyście?
- Za długo. Istna masakra!
- Ale nadgoniłyście? Nad czym teraz pracujecie?
- A, dostaliśmy po jakichś idiotach z innej agencji jakąś firmę, co domy z drewna buduje.

Nie wiem, kogo ci ludzie tam zatrudniają, ale to nie jest projekt reklamy do poprawienia, a do zrobienia od zera.

Usiadł koło niej, ważąc opcje. Jeśli powie, że widział ją z pizdOlą w kinie, sam pod sobą wykopie dołek, pograżając przy okazji Iwę. Jeśli nie powie...

- A u ciebie?
- Nic nowego. Taki typowy dzień z newsami z regionu.
- Coś dużego się kroi?

Zerknął w sufit, po chwili mierząc ją chłodnym spojrzeniem.

- Nie, nic.
- Ktoś się odezwał może z jakąś wiesz... propozycją?
- I znowu to. Jezu, nie. Zresztą, mi tam dobrze.
- Ale przecież...
- Wiem, wiem. Stać mnie na więcej. Żadna nowość. Ale kiedy, kobieto, zrozumiesz, że jestem na cenzurowanym?!
- Wszystko wiem, ale...
- No chyba jednak nie wszystko.
- Co masz na myśli?!
- No, że chyba część tego, co do ciebie mówię po prostu nie dociera – wskazał na czoło, przykładając doń palec wskazujący. – To, że jedna afera ujawniona nie znaczy wcale, że nagle skurwiele mi odpuszczą!
- Nie krzycz !
- To nie zadawaj głupich pytań, Aga. Wałkowaliśmy to ze sto tysięcy razy. Z kasą też

tam nie stoję źle, zwłaszcza po tej aferze, więc o chodzi?

– Zły dzień? – uśmiechnęła się ironicznie.

– Może. Ale nie chcę się kłócić – spokorniał. – Co u pizdOli?

– Miałaś jej tak nie nazywać!

– W towarzystwie. I tego się trzymam. Teraz jesteśmy sami, więc łaskawie racz odpowiedzieć, co u...

– Nie znam takiej osoby.

– Ech. Co u Aleksandry Warzechy zwanej pizdOlą.

– Nic. Cham jesteś, wiesz?

– Jest coś do jedzenia?

– Dariusz, nie poznaję cię dzisiaj. Przecież wiesz, że wróciłam późno!

– Ale wcześniej niż ja. Jest cokolwiek?

– Tam stoi lodówka. Nóżki masz zdrowe.

– A tam telefon. Może znowu pogadacie? Jakieś skromne 40 minut, tak przed snem?

– Wal się. Czasem się zastanawiam, co w tobie widziałam!

Wstała, ruszając na piętro. Po chwili drzwi od sypialni zatrzasnęły się z hukiem. Porażony własnym zachowaniem, nieco zmieszany a jednocześnie szczęśliwy, że wreszcie powiedział jej chociaż część tego, co leżało mu na wątrobie, zamówił pizzę na dowóz i uruchomił komputer. Zanim zjawił się chłopak z zamówieniem, wypakował słuchawki i położył na fotelu, aby nie zapomnieć. Dostrzegł, że Aga siedzi właśnie na portalu społecznościowym, korzystając z laptopa. Status „Faceci to debile. Foch na świat!!!” sugerował, że wymiana zdań mocno ją dotknęła.

Dzwonek do drzwi obwieścił dostawę pizzy. Biały karton z napisem „U Rycha” oraz dopiskiem „4” zdradzał, że miejscówka, do której żona zaprosiła go jakiś czas temu na dobre podbiła jego kubeczki smakowe. Po dwudziestej trzeciej snop światła dobywający się zza sypialni znikł, podpowiadając Darkowi, że Agnieszka, czy to zmęczona ciężkim dniem i nadgodzinami spędzonymi w kinie z tą zdziwą, czy też w wyniku niedawnej kłótni poszła spać o tak młodej porze. Odczekał jakąś godzinę, surfując po sieci, po czym zamknął drzwi podpiął do komputera słuchawki i zainicjował rozmowę głosową.

– Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie – uśmiechnął się w stronę ekranu. – Co tam?

– Projekt, ale spoko. Mam czas. Wiesz, długo myślałam o tym, jak postąpić z tą dzisiejszą sprawą...

– I co wymyśliłaś?

– Że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli to będzie taki mały sekretik. Umiesz dochować sekretu?

– Chyba tak. A ty?

– Aż po grób.

Po dłuższej chwili ciszy ciepły głos blondynki znów wypełnił słuchawki.

– Do której będziesz siedział?

– Tak do pierwszej może, a co?

– Nic, nic. Po prostu fajnie tak z kimś móc porozmawiać.

– Na pewno nie przeszkadzam?

– Nie. Co u Agi? Bo widziałam, że zmieniła status...

(Otworzysz się przede mną? Opowiedz o problemach. I tak już o większości wiem.)

– A, taka tam, drobna wymiana poglądów o pracy – szybko się zreflektował. – Ale nic nie wypalałem.

– Wiem, Darek.

Na kilka minut przed piątą nad ranem, gdy noc zdawała się ustępować nadchodzącemu dniu sennym głosem powiedziała:

– Zobacz obrazek na mailu. To masz z dedykacją.

– Poczekaj.

Po chwili w oknie przeglądarki ukazało się selfie. Za dziewczyną, z okna blokowiska malowała się złota, słoneczna tarcza. Iwa uśmiechała się lekko, mierząc go ciepłym wzrokiem, jakby doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak teraz na nią patrzy. Obok twarzy blondyny widniał dorysowany w jakimś programie komputerowym dymek, niczym z komiksu skrywający słowo „Dobranoc ;)”.

– Ładne...

– Dzięki. Jakbyś miał mieć z tego jakieś problemy, to skasuj. A na mnie już pora. Dzięki ci za świetną rozmowę.

– To ja dziękuję – rzucił zawstydzonym głosem. – Kolorowych.

– Wzajemnie.

Zamknęła czat. Przeciągnął się mocno, po chwili zastanowienia przenosząc zdjęcie dziewczyny do folderu „wersje robocze”. Wyłączył komputer, aby po chwili nad wyraz rześkim krokiem zadowolonego, jakby wyzbytego z pewnych od dawna dręczących go spraw człowieka wkroczyć do sypialni. Spojrzał na Agę spokojnym, rozmarzonym wzrokiem, wysłał Patrykowi SMS– a, wedle którego dziś będzie pracował zdalnie, od popołudnia do wieczora, po czym wskoczył do łóżka i zamknął oczy. Cały czas towarzyszył mu obraz wschodzącego słońca i mierzącej go rozmarzonym spojrzeniem nocnej rozmówczynie.

Lipiec

Siedziały na rynku w ogródkach piwnych, delektując się orzeźwiającym smakiem piwa z wysoką warstwą piany. Mimo relatywnie młodej godziny, bowiem dochodziła dopiero czternasta trudno było o wolne miejsce. Odstawiła napój. W przeciwieństwie do Sikorskiej Iwa ledwie raz, góra dwa zwilżyła usta, jakby wzbraniając się przed wypiciem zbyt dużej ilości alkoholu. Od niespełna godziny chłoneła jakąś pasjonującą (a tak naprawdę nudzącą ją) historię o kolejnych podbojach, jakich rozmówczynie dokonywała w pracy.

Blondyna tylko terkotała, silnie gestykulując dłońmi. Iwa co jakiś czas wtrącała zapytania typu „naprawdę?”, „no co ty powiesz?”, jednak w głębi rozmyślała teraz, w jaki sposób ją skrzywdzić. Jak sprawić, aby ten głupi pysk wreszcie się zamknął. Może zwykle, ostre narzędzie wbite w tę wiecznie otwartą paszczę? Och, ile by dała, żeby czymś ostrym przeorać policzki i sprawić, aby wyglądała jak Joker. A może pójść o krok dalej: przeprosić ją na moment, wstać i obchodząc jej krzesło, pod pozorem wyjścia do barku po kolejne piwo chwycić szmatę za włosy i na oczach wszystkich ciągnąć ten pusty blond łeb do siebie tak długo, aż nie usłyszy cichego trzasku? A gdyby...

– Co o tym myślisz?

Głośno przełknęła ślinę, niczym wyrwana z drzemki uczennica z ostatniej ławki, niespodziewanie wywołana do odpowiedzi.

– Czy ja wiem. To trudna sytuacja.

– W sumie masz rację. Ech, powiem ci, brak słów.

– Z Darkiem już lepiej?

– Powoli. Ale nie dopuszczam go do siebie, dopóki nie przeprosi. Zachował się jak ostatni gnój.

– Niech to zostanie między nami, ale dobrze robisz. Lubię go, ale są pewne granice, których nie wolno przekraczać.

– Otóż to. Olka mówi to samo...

– Aga, dalej utrzymujesz, że masz wolne w drugiej połowie miesiąca?

– Całe dwa tygodnie – rozpromieniła się – a co?

– Dalej nie macie żadnych planów?

– W tej chwili nie. Nie wiedziałam do końca, kiedy idę na urlop, więc co ciekawsze oferty odjechały. Poza tym brzydą mi się te wszystkie last minute. Dwa lata temu, jak byliśmy w Turcji to owszem, pogoda była, ale dawali chyba niebutelkowaną wodę i cztery dni z urlopu to gorączka i... no, wiesz co – wskazała na brzuch.

– Chyba się domyślam. A że tak dopytam, Ola ma wolne wtedy co ty?

– Zaczyna kilka dni przede mną. Ale do czego zmierzasz, kochanie?

– Bo ... no, nie chciałam się narzucać, ale mam możliwość wynajęcia domku przy Puszczy Białowieskiej. Odnowiony, fajnie położony, koło jeziora. Cisza, spokój. Jeżdżę tam od kilku lat i to wszystko naprawdę pomaga wrócić do formy i odzyskać duchowy spokój.

– No proszę!

– Chętnie zaprosiłabym Ciebie i Olę na taki dwudniowy babski wyjazd. Jak się spodoba, to zostaniemy dłużej! Po znajomości nawet ze dwa tygodnie. Darek miałby nad czym rozmyślać.

– Brzmi ciekawie – rozpromieniła się. Lekko zapadnięte oczy ożyły nagle, zupełnie jakby Sikorska w myślach już widziała się w leśnym domku.

– Mam zdjęcia, jakbyś chciała zobaczyć. Wysłać ci później na maila?

– Chętnie, tylko może być problem.

– Z Olką? Wiem. Coś do mnie chyba ciągle ma – zmarkotniała.

– Oj, to nie tak, że cię nie lubi. Po prostu powoli dopuszcza do siebie nowych znajomych.

– To chyba w moim wypadku bardzo długo jej schodzi.

– Nie smuć się, Iwa. Pogadam z nią o tym, jeśli nie chcesz.

– Ciebie to na pewno posłucha. Jesteście dobrymi przyjaciółkami. Lubi takie babskie wyjazdy?

– Chyba. Nie wiem. Porozmawiam z nią, dobra?

– Dziękuję – uśmiechnęła się, jakby Aga właśnie obiecała jej, że w ciągu kilku dni sama się zabije, błagając Darka na kolanach, aby się z nią zszedł.

– A ty jak sobie radzisz?

– Co masz na myśli?

– No, wiesz... widziałam zmianę w statusie związku.

– A... o niego pytasz. No, to nie była jakaś mega znajomość. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Nawet o nim nie myślę – ucięła trudny wątek, nie chcąc powiedzieć zbyt wiele o wymyślanym chłopaku.

– Tego kwiatu jest pół świata, znajdziesz kogoś.

– Nie spiesz mi się. Czasem najlepiej jest dać sobie chwilkę, sama rozumiesz.

– Tak, tak.

Przed szesnastą zakończyły spotkanie, obiecując, że dołożą wszelkich starań, aby babski wyjazd doszedł do skutku.

– Pójdiesz dzisiaj z nami do SPA?

– Oj, chętnie, ale akurat kończę ważne zlecenie. Zresztą, łatwiej ci będzie ją przekonać, jeśli mnie tam nie będzie.

– W sumie racja. Pa.

– Trzymaj się.

Wymieniły przyjacielski pocałunek w policzek. Każda z dziewczyn poszła w swoją stronę.

Znudzony przeglądał uważnie miejskie serwisy informacyjne. Sobotnie popołudnie nie obfitowało w żadne wydarzenia, o jakich warto byłoby napisać choćby krótką wzmiankę na stronie. Ostatnimi czasy, jakby na znak protestu przeciwko dyktatorskim zapędom żony, która z nową siłą przystąpiła do resocjalizowania go, wracał do domu coraz później, jako jedyny z redakcji Naszewspolnemiasto.pl spędzając często w pracy także po kilka godzin w soboty i niedziele. Z otrzymaniem klucza do biura nie miał żadnych problemów. Mimo że początkowo zarówno Kozak jak i Papiś, patrzyli na tę niebywałą metamorfozę nieco sceptycznym wzrokiem, to jednak po pewnym czasie, gdy otworzył się przed nimi, zaakceptowali jego pracoholizm.

Od pamiętnej kłótni, która podzieliła dom Sikorskich na dwa zwalczające się fronty minęły ponad trzy tygodnie. Żadne nie chciało ustąpić, toteż w ruch poszły kolejne prztyczki w nos: wyprosiła go z sypialni, zmuszając Darka do okopania się na kanapie, która stała się jego głównym przycółkiem, on zaś, wracając coraz później wymusił, aby na własną rękę zainteresowała się sprzątaniami domu i gotowaniem. Mimo że dziewczyna deklarowała, że jedzenie na mieście jest o wiele lepsze, niż ta breja, jaką serwował, to jednak często przyłapywała się na tym, że poszczególne, kupione za sporą kasę posiłki nie umywają się do tego, jak on by je przygotował. Sikorski zaś od pewnego czasu uparcie walczył z bólami kręgosłupa i żeber, które zawdzięczał twardej, pełnej złowrogich sprężyn kanapie. Z całą pewnością mizerna atrapa łóżka mu nie służyła.

Z potoku myśli wyrwało go charakterystyczne pukanie w drzwi: trzy szybkie, lekkie uderzenia i jedno silne, jakby otwartą dłońią, które wydawało charakterystyczne, nieco niepokojące brzmienie. Uśmiechnął się lekko.

– Wejść!

Drewniana konstrukcja ustąpiła gładko. Po chwili tajemnicza postać zamknęła za sobą drzwi.

– Cześć.

– Hej – usiadła przed nim. – Co tam, do której siedzisz?

– A nie wiem w sumie – klapnął laptopa, poświęcając jej całą uwagę. Po pomieszczeniu krążył zapach aromatycznego jedzenia, które przyniosła w siatce. – Co tam masz smacznego?

– Zapiekanki, te co ostatnio.

Wyciągnęła jego porcję, kładąc przed nim jeszcze ciepły posiłek, przykryty szeleszczącą folią aluminiową, którą zaczął zdejmować.

– Dzięki.

– Z Agą się widziałam przed godzinką.

– I co u niej? Bo ... wiesz, jestem odcięty od informacji.

– Nie ze swojej winy. Moim zdaniem, robi głupotę tak długo się obrażając. Ciągłe bez zmian?

– Niestety. No ale to już nie jest moja wina...

(Słusznie!)

– Przejdzie jej, prędzej czy później.

– Nie wiem, Iwa. To już trochę trwa. Myśmy się często kłócili, ale to tak na zasadzie że po dniu, góra dwóch czy trzech to wszystko wracało do normy.

– Nie jestem specjalistą, ale jeśli chcesz odzyskać żonę, a nie pracownika, który traktuje dom jak hotel, to powinieneś postawić na swoim. Dziewczyny się do tego nie przyznają, ale cenią stanowczość.

– Zaczynam w to wątpić.

– Nie myśl o tym cały czas, bo nic nie wskórasz. Co byś chciał dziś porabiać?

Kątem oka zerknął ku zapiekance, z której cały czas unosiła się para. Dotknął posiłku

palcem, jakby chcąc upewnić się, że jest jeszcze zbyt ciepła, aby ją zjeść.

– Darek, no chyba że chcesz pobyć sam? Przecież się nie pogniewam.

– Nie, nie. Tylko nie chcę cię zamęczać problemami.

– Jak mnie zaczniesz zamęczać, to ci powiem – lekko klepnęła go w dłoń. – Jest spoko.

– A ty? Jakie masz plany?

– Chętnie z tobą posiedzę, a potem, jak dziewczyny będą w SPA...

– Jakim znów SPA?!

– A to nie wiedziałaś? Dziś idą.

– Jasna cholera. No nic, mów dalej.

– No to jak będą w SPA, to bym cię chętnie porwała do takiej specyficznej knajpki. Tyle że to dopiero wieczorem.

Podniósł zapiekankę, mierząc ją uważnym spojrzeniem. Ugryzł kawałek, błogo się uśmiechając. Przeżuł, pilnując się, aby nie odzywać się z pełną buzią.

– Chętnie.

Przestronne pomieszczenie wypełniał zapach drogich kosmetyków, mieszający się z wonią świeczek zapachowych. Leżały obok siebie, delektując się profesjonalnym masażem, jaki fundowały dwie kobiety o azjatyckiej urodzie. Powoli, jakby od niechcenia odwróciła się w stronę przyjaciółki. Przez chwilę zerkała na jej zamknięte oczy, jakby walcząc ze sobą, czy warto poruszyć interesujący ją temat. W końcu nie wytrzymała.

– Olka...

Dobiegło jej ledwie co słyszalne pomrukiwanie towarzyszki.

– Jest pomysł na babski wyjazd na dwa dni.

– No...

– Tylko że może być dla ciebie mały problem.

Leniwie podniosła powieki, zerkając zaintrygowanym spojrzeniem.

– Opowiedz.

– No domek w lesie, obok jeziora, cisza i spokój, bo to przy tej, no... Puszczy Białowieskiej.

– Zawsze chciałam zobaczyć zubra. Tak, to marzenie życia.

– A kiedy ostatnio byłaś tak na łonie przyrody, żeby się zrelaksować?

– Teraz jestem w takim miejscu, gdzie się relaksuję najlepiej. W lesie masz pająki, kleszcze i smród. Po co się tam pchać?

– Po prostu pomyślałam, że cię to zainteresuje.

– Interesuje, ale na pewno nie tak jak ciebie, Aga. Poza tym, jeśli dobrze się domyślam, to idiotka miałaby jechać z nami?

– To jej propozycja i kontakt.

– Wiedziałałam. Od razu, odkąd zobaczyłam tę laskę po raz pierwszy, wydawało mi się, że nie pasuje do wielkiego miasta. Nie wiedziałam tylko, jak ją zaszufładkować. Teraz, dzięki tobie już wiem. Do buszmenów!

– Olka...

– Kochanie, mowy nie ma. Nie zobaczysz mnie tam. Możemy sobie jechać na piękny wschód na weekend, ale ja się ani z nią, ani z Dariuszem nie będę męczyć!

– Nie chciałam brać Darka.

Zmierzyła ją uważnym wzrokiem.

– Ostro pogrywasz. Nie zabrać męża na wakacje to już jest konkretna decyzja.

– Dopóki nie przeprosi i go nie złamię, niech zapomni.

– A to łamanie to tak aby nie ciągnie się u was w nieskończoność?

– Nawet jeśli to co? Przecież nie przekłada się to na pracę!
– Nie, nie. Źle mnie zrozumiałaś. Nie przekłada się to na mnie, znaczy na nas ani na pracę, ale jak przeholujesz, to myślisz, że nie obejrzy się za inną?
– Dariusz? Nie – ucięła. – A Iwę byś na takim wypadzie strawiła?
– Szczerze mówiąc, to problematyczne, Aga.
– Ale to jej inicjatywa. Chciała cię przecież wziąć...
– A jednak poszła z tym do ciebie.
– Bo bała się twojej reakcji. Chciałaby się z tobą zaprzyjaźnić, ale nie ułatwiasz.
– Aga...
– No przepraszam, skarbie, ale tak jest. Przecież wiesz, że zawsze będziesz moją najlepszą przyjaciółką, o co chodzi?
– Nie ma chemii – ucięła.

Nastąpiła niekomfortowa cisza. Sikorska opuściła wzrok, wyczekując, aż Olka zrozumie błąd, ruszy ją sumienie i zgodzi się na propozycję. Ta jednak uparcie milczała. Po zabiegu, w białych ręcznikach, ciągnących się od ramion aż ku kolanom, w ciszy skierowały się ku wyjściu, zasiadając na drewnianych ławeczkach, aby dać mięśniom trochę czasu na dojście do siebie po intensywnym masażu.

– Olka...
Niższa z nich uśmiechnęła się, zapisując sobie na koncie kolejne zwycięstwo.
– Bo ja...
– Jeśli chcesz, to możemy zrobić tak, że pojedziemy na cztery dni. Jeden spędzimy w tej budzie od Iwy, a jak się spodoba, to przedłużymy pobyt. Jeśli będzie tak, jak myślę, że jest, to szukamy najbliższego rozsądnego hotelu i jedziemy tam we dwie.
– We dwie? A ona?
– Aga, to jest ostateczna oferta. Nie wytrzymam z nią więcej niż kilku godzin! Możesz się zgodzić, możesz się nie zgodzić, jest mi to obojętne. To jak?
– Ech.
– Nikt cię nie zmusza. Zawsze mamy ciekawsze opcje.
– Zaproponuję jej to. Zależy jej, więc pewnie się zgodzi. Dziękuję ci, kochanie – objęła ją lekko.
– Robię to tylko dla ciebie. I tylko na kilka dni. Potem muszę spędzić trochę czasu z synkiem.

– Kiedy ta rozprawa?
– We wrześniu, ale jesteśmy dobrej myśli – ucięła niekomfortowy wątek.
Po pół godziny licytując się na opowieści o tym, jak zapewne wygląda nieprzenikniona puszcza, śmiejąc się z fantazji o tym, jak Iwa rozpala krzemieniem ognisko i jak będzie polować na wiewiórki, zastawiając zmyślne pułapki godne prawdziwego traperza, ruszyły ku kolejnej atrakcji w centrum piękności. Ciała były po masażu, teraz więc warto było je wysmarować drogimi kremami i nawilżaczami. Warzecha ani się obejrzała, jak zaczęła nieco cieszyć się na wyjazd, kilkakrotnie przestrzegając młodszą przyjaciółkę, aby jednak wystawiła do męża – jako istota inteligentniejsza – dłoń na przeprosiny.

Po dziewiętnastej czerwone audi 80 zameldowało się na parkingu pod blokiem Iwy. Nie musiał nawet szukać wolnego miejsca dostrzegając, że przyjaciółka szybkim krokiem zmierza już w jego stronę. Miała na sobie stylową małą czarną, buty tego samego koloru oraz łamiący tę monotematyczną paletę naszyjnik z białego złota. Na ręce lekko połyskiwał posrebrzany zegarek, przy każdym kroku zasłaniany przez małą, szarą torebkę przewieszoną przez ramię.

– No, jestem. Cześć. Co? Co tak patrzysz?

– Ale się odstrzeliłaś...

– Lubię ładnie wyglądać. Zresztą ty też niczego sobie.

– Czy ja wiem? – zerknął w lusterko, doglądając naprędce, czy aby szara koszula na guziki, pod którą znajdował się biały t-shirt, dobrze gra z jeansami i eleganckimi – ale jednak powszednimi – adidasami.

– Dobrze jest.

– Gdzie mam jechać?

– Wiesz gdzie jest ulica Dmowskiego?

– No tak mniej więcej.

– To tam zaparkujemy. Potem dwie trzy minutki z buta i czeka cię niespodzianka. Aga wie, że cię nie będzie?

– Jaka niespodzianka?

– Fajna – ucięła. – No, jak z tą Agnieszką?

– Jak wyjeżdżałem, to królowny jeszcze nie było. Nie dzwoniła, nie dała znaku życia, więc się nie interesuje.

Pojazd ruszył wolno przed siebie.

– Mam napisać, że cię nie będzie?

– Jak chcesz, żebym się potem tłumaczyć musiał – uśmiechnął się sugestywnie ku Iwie – to tak.

– Oj weź, przecież to nie randka, a spotkanie zwykłe. Jak cię krępuje mój strój, to mogę skoczyć się przebrać.

– Nie trzeba, jest dobrze.

Uśmiechnęła się. Wybrał mnie zamiast tej głupiej kurwy! – rzuciła w myślach.

– Co porabiałeś po pracy?

– A, w sumie nic. Na necie trochę posiedziałem i takie tam. Zabijałem nudę, o. A ty? Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż ciszę złamał dźwięk, dobywający się z jej listonoszki.

– Czekaj – przeprosiła go, sięgając do torebki i odbierając SMS – a. Nie odezwała się ani słowem, jednak w głębi siebie czuła, że krótka wiadomość tekstowa od Sikorskiej o treści: Ustalimy termin i jedziemy! ;) to początek czegoś wspaniałego.

Nie zapytał, kto pisał, ona zaś nie poczuwała się do tego, aby w tej chwili informować go o tym. Jedno złe słowo, zbyt duża otwartość przed ukochanym, czy też wyeksponowanie przed nim choćby skrawka tego, co czuła, byłoby równoznaczne ze zburzeniem skrupulatnie budowanej, karcianej piramidy, na szczycie której – jak wierzyła – znajdowało się ich wspólne szczęście, gdzie przeszłość na dobre odchodzi w zapomnienie. Czuła, że nigdy nie odsłoni przed Darkiem najmroczniejszych zakamarków duszy, jednak z uporem maniaka wierzyła, że zła natura, fatum, ciągnące się za nią od pamiętnego wypadku na jeziorze odpuści, gdy tylko ich ścieżki się zejdą. Pojazd powoli zaparkował na poboczu.

– Tu dobrze?

– Tak. Chodź. To tylko kilka minut drogi stąd.

Wysiadła z pojazdu, czekając na ukochanego, który po chwili zrównał z nią krok.

– Darek...

– Yhm?

– To dość specyficzne miejsce. Nie zdziw się, dobra?

Wiedziała, że lubi wyzwania, jednak z wielkim trudem przychodziło mu pokonywanie kolejnych barier i ograniczeń.

– Na czarną mszę idziemy?

– Lepiej. O, to już niedaleko, chodź.

Przyspieszyła kroku, ciesząc się jak dziecko na myśl o wspólnej kolacji. Przywitała ich wyraźnie nawiązująca do starej epoki szatnia. Nawet szatniarz, w dziwnej, nieco niewymiarowej, kratkowanej marynarce, białej koszuli i chudym, czarnym krawaciku, do tego w czarnych binoklach idealnie pasował do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

– Dobry wieczór państwu – położył przed nimi srebrną monetę. Darek rozpoznał, że na rewersie widnieje podobizna jednego z prezydentów Stanów Zjednoczonych. – Kto kogo zapraszał?

– Ja tego pana – wtrąciła.

– Rozumiem. Drogi panie, gracie czy wchodzicie?

– W co gramy?

Iwa stanęła za nim, uważnie przyglądając się rozmowie.

– Najmocniej przepraszam. Pan u nas po raz pierwszy, jak sędzę, czy tak?

Skinął głową. Odwrócił się ku niej, szukając pomocy, nie do końca wiedząc o co chodzi, jednak Iwa gestem dłoni odesłała go do szatniarza.

– Drogi panie. Cała zabawa polega na tym, że nasz lokal to tak naprawdę dwa lokale – zrobił wyczekującą przerwę.

– I?

– I może pan mnie teraz zignorować, co najwyżej zostawiając w depozycie telefon komórkowy i inne urządzenia z Trzeciej RP, których nie wolno wnieść na salę, o czym zresztą doskonale informuje znak przy drzwiach – jakby wzmacniając przekaz, wskazał nań gestem ręki – lub może pan zagrać o wstęp do części lokalu, gdzie mimo iż wszystko jest świetne, to jednak nikt z początku nie wie, jak owa sala wygląda.

Sikorski patrzył jak na debila. Trzeba oddać, że w tym całym starannie dobranym wizerunku było coś szalonego, jednak gadka, wyraźnie wyuczona, jaką odstawił przed nim facet, wprowadzała więcej zamętu niż informacji.

– Pan wybaczy, to jakiś klub go-go?

– Nie. Może pan być spokojny. To co, zagra pan?

– Iwa? – odwrócił się ku dziewczynie.

– Ja nie wiem – puściła oczko. – Ale kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

– Na czym polega ta gra?

– Wszystko zależy od losu. Obstawi pan orła dajmy na to. Jeśli ten wypadnie, wygrywa pan dla siebie i uroczej pani kolację, którą zapamięta pan do końca życia.

– A jak wypadnie reszka?

– To zje pan pyszny posiłek utrzymany w klimacie restauracji – wskazał palcem na siebie, mierząc go spokojnym wzrokiem. – Jaki jest wybór?

Odwrócił się ku niej raz jeszcze. Czy to z wrodzonej ciekawości, czy też chcąc jej zaimponować, szybko podjął satysfakcjonującą decyzję.

– Gramy.

– Wspaniale. Zatem na początku włożcie państwo telefony i inny sprzęt nie z epoki do tego pudełka. Tutaj wasz kluczyk, sprzęt odbierzecie przy wyjściu.

Nie do końca przekonany puścił ją jako pierwszą. Dziewczyna bez najmniejszego wahania włożyła smartfona do pudełka. Postanowił jej zaufać.

– Po co te telefony się oddaje?

– W epoce, do jakiej nawiązujemy, nie było tych urządzeń. Autentyczność. Oto kluczyk – położył przed nim metalowe zawiniątko. Darek schował je do kieszeni.

– A teraz, niech pan raczy wybrać: orzeł czy reszka?

– Chcesz wybrać? – odwrócił się ku niej.

– Wybierz, wybierz – oddała mu pole.

– No to reszka.

– Doskonały wybór – podrzucił monetę.

Darek uważnie śledził lot obserwując, jak po chwili zagraniczny pieniążek niknie w dłoni specyficznego szatniarza. Położył monetę w dłoni, odwracając ją ku niemu. Uśmiechnął się lekko.

– Gratuluję, trafił pan.

Podeszła, po przyjacielsku klepiąc Darka po ramieniu. Jakby zdezorientowany tym całym przedstawieniem uśmiechał się tylko głupio, stając z nogi na nogę.

Szatniarz wyszedł do nich, uderzając kilka razy dłonią w ledwie co widoczne, czarne drzwi. Po dłuższej chwili otworzyła je od wewnątrz elegancka, schludnie ubrana kelnerka.

– Witam, to dla państwa – wystawiła przed nich dwie czarne opaski. – Bardzo proszę o założenie.

– Chodź! Fajnie! – minęła nieco zdezorientowanego takim obrotem spraw Darka, pozwalając, aby czarna tkanina przyozdobiła jej głowę.

– Niech się pan nie niepokoi. Na początku klienci zawsze dziwnie reagują, ale spodoba się panu.

Jakby wątpiąc w sens całej zabawy podszedł i pozwolił sobie nałożyć opaskę na twarz. Wcześniej dostrzegł, że jakaś podekscytowana grupka składająca się z dwóch facetów i dziewczyn uśmiecha się, widząc rozgrywającą się scenkę.

Pewnie stali bywalcy – rzucił w myślach.

– Teraz wezmę państwa za ręce i zaprowadzę do stolika. Nie ma żadnych schodków ani niczego takiego, proszę się nie bać.

Poczuł, jak dziewczyna chwyta go za dłoń. Spokój, jaki emanował z barwy głosu w połączeniu z chichotami Iwy sprawiły, że nieco się uspokoił. Po chwili, która zdawała się dlań być wiecznością, kobieta zwolniła.

Stali w absolutnych ciemnościach. W tle dało się słyszeć kilka głosów, jednak podejrzewał, że wiele stolików stoi pustych.

– Teraz zdejmę pani chustę i zajmiecie stolik.

– A ja?

– Pan musi jeszcze trochę pocierpieć, później zamienicie się państwo rolami.

– Brzmi to wszystko dość dziwnie, proszę pani.

– Spodoba się panu. Zaręczam, że wkrótce zechce pan znowu u nas gościć.

– Mam nadzieję. Iwa, gdzie jesteś?

Poczuł, jak obejmuje go za rękę.

– Nic nie bój. Chodź. Pięć – sześć kroków i będziemy koło twojego krzesła. Raz, dwa, trzy, cztery, o, stój, stój – zatrzymał się, jakby obawiając się, że kolejny krok zepchnie go w przepaść – puściła jego rękę. Usłyszał hałas odsuwanego krzesła. Po chwili zasiadał na wygodnym fotelu z miękką okładziną. Gdyby nie fakt, że nic nie było widać, zapewne czułby się bardzo komfortowo w jej towarzystwie. A tak pilnował się jedynie, aby nie popełnić żadnej gafy.

– Gdzie jesteś?

– Naprzeciwko siedzę, spokojnie.

– Mogę zdjąć to cholerstwo?

– Uspokój się. Potem zamienimy się rolami. Dasz radę? Nie bój się.

– To nie że się boję, ale dziwnie...

– Czasem dziwnie oznacza fajnie. No, zaufaj mi. Otworzę teraz menu...

Zirytowany głośno westchnął.

– A jak ja mam zamówić?
– Dowiesz się w swoim czasie. Co pijesz?
– Wodę gazowaną. A co jest w menu?
– Nie mogę powiedzieć – całkiem dobrze bawiła się obecną sytuacją. Uśmiechnął się lekko chcąc wierzyć, że nie wygląda teraz jak zdezorientowany idiota.

– Teraz się nie przestrasz, będzie gong.
Usłyszał, jak ze stolika dobywa się jakiś metaliczny dźwięk, jakby ktoś potrząsnął dzwonkiem w hotelowej recepcji.

Chwilę ciszy złamał kobiecy głos, który szybko dopasował do sympatycznej dziewczyny, która zaprowadziła ich w to miejsce.

– Co dla pana będzie?
– Nie wiem, bo nie widzę!
– Nie pana pytam – ucięła.

Ciemność wypełniło kilka szeptów i jakieś „yhm” i „aha”, jakie wypowiedziała kelnerka. Iwa na końcu, już na głos, jakby chcąc go uspokoić, zamówiła dwie szklanki wody. Powoli zaczął domyślać się, jaki jest schemat funkcjonowania nietypowej knajpy.

– Skąd znasz to miejsce?
– Uważnie śledzę fora gastronomiczne.
– Ale byłaś już tu?
– Tak, raz, z kumpelą.

Zaśmiał się lekko.

– Co cię bawi?

– Ta cała sytuacja. To dla mnie nowość po prostu. Nie no, nie będę oszukiwał.

Pomyślałem sobie, co by było, gdyby nagle komuś w tej przepasce zachciało się iść do łazienki.

Parsknęła śmiechem. Również nie wytrzymał, wtórując. Gdyby teraz widział twarz przyjaciółki, oddaloną ledwie o metr, zwróciłby zapewne uwagę na rozkochane, ale dziwne spojrzenie. Gdyby mógł zapytać, dlaczego tak na niego patrzy, zapewne nie spodziewałby się usłyszeć tego wszystkiego, co leżało w głębi jej serca. Z czym teraz walczyła, wbijając z całej siły paznokiec w opuszek kciuka, po chwili przykładając go do ust i ledwie widocznym dla otoczenia ruchem języka zlizując gęstą, czerwoną ciecz.

– Pana zamówienie.

Usłyszał, jak przed nim lekko dudni o stół kładziony talerz. Dwa cichsze uderzenia – jak podejrzewał – zarezerwowane były dla szklanek z wodą.

– Dziękuję – rzucił w ciemność.

Nastała niekomfortowa cisza.

– Co teraz?

– Poczekaj, spokojnie.

Nie znał tej barwy głosu Iwy. Był silny, pewny swego, a jednocześnie delikatny, jakby skrywał tajemnicę, którą za chwilę przed nim ujawni.

– Otwórz buzię.

Zdziwił się, bo głos dobiegał nie z tego miejsca co wcześniej. Zdawało się, że jest teraz bliżej, jakby z boku. Wyprostował się, niechętnie spełniając prośbę. Nos wylapał dobrze znany zapach. Zaintrygowany nachylił się lekko do przodu. Chwycił zębami tajemniczy podarek, podnosząc dłoń, chcąc przytrzymać posiłek.

– E. Co to za ręka?

– A to nie wolno? – wyhamował.

– Nie. Śmiesznie teraz mówisz. Ugryź, to nie jest twarde. Spokojnie.

Usłuchał. Ciche „chrup” zdradzało, że ma do czynienia z owocem.

– Co czujesz?

– Jabłko?

– Dobrze. Ale z czym?

Powoli przeżuł.

– Miód?

– Też. Chcesz jeszcze?

Oblał się rumieńcem, jednak skinął głową, otwierając lekko usta.

(Kochany...)

Lekko musnął wargą jeden z palców, częstujący go tym wyszukany daniem.

W pół godziny później kelnerka zabierała posiłek, naprędce zawiązując Iwie czarną opaskę. Chłodne „już” obwieściło, że może zdjąć swoją. Rozejrzał się wokół. Wnętrza utrzymane były w królewskiej czerwieni. Bujne zasłony, przyozdobione złotymi haftami wpuszczały do pomieszczenia znikome ilości światła. Naliczył, że poza nimi jest jeszcze jakieś pięć par. Facet, którego wcześniej widział przy wejściu napotkał spojrzenie Darka, ledwie zauważalnym ruchem dłoni witając się z nim. Odwzajemnił gest.

– Proszę, tutaj menu. Co dla miłej pani?

Otworzył stylową, ładnie oprawioną kartę dań, która jednak skrywała w sobie ledwie dwie strony. Jedna była zarezerwowana na napoje, druga zaś, w jego opinii zawierała jedynie niezbyt wyszukane przystawki, zbliżone do jego ciepłych jabłek na miodzie (teraz już wiedział, że tajemnicze składniki, jakich nie był w stanie rozpoznać to imbir i gałka muszkatołowa). Po chwili zastanowienia, czując jakieś dziwne klucie w boku, wybrał jedno z dań.

Mierzył ją uważnym wzrokiem. Mimo że dziewczyna sprawiała wrażenie spokojnej i rozentuzjasmowanej wyczuwał, że krępuje się całą tą sytuacją tak samo, jak on chwilę temu.

– Co wybrałaś? – uśmiechnięta twarz z ładnie nałożonym, lekkim makijażem dokonywała nadludzkich wysiłków, aby chociażby dostrzec jakiś kontur przez tę czarną tkaninę.

– Dowiesz się już za moment – uciał, powoli dopuszczając do siebie trudną do przełknięcia myśl, że oto stają razem na grubej na kilka metrów białej linii, po środku której przebiega napis „przyjaźń” i trzymając się za ręce, pokonują kolejne metry, brnąc w bardzo niebezpiecznym kierunku. Zerknął na milczącą, sprawiającą wrażenie ufającej mu kobiety. Niezręczną ciszę przerwał dźwięk kroków kelnerki, która po chwili postawiła przed nim niewielki talerzyk z zamówieniem.

Rozdarty, po chwili uśmiechnął się lekko, przesuwał się na fotelu w jej stronę.

Jakby wiedziała, jaki wybór podjął, rzuciła naprędce:

– Nie mogę się doczekać – lekko otwierając usta.

Unikając zerkania w oczy – mimo że te były zasłonięte czarną tkaniną – chwycił palcami jedną z truskawek, omijając stróżki letniej czekolady i powoli zaczął zbliżać rękę w jej stronę. Gdy tylko owoc znalazł się w jej ustach uśmiechnęła się, czy to za sprawą świetnego połączenia, jakie wybrał, czy też może zdając sobie sprawę z tego, jak wielki krok do przodu postawili wspólnie tego wieczora.

Gdy ostatni owoc znikł w ustach poprosiła, aby dzwonkiem przywołał kelnerkę. Ta od razu podeszła do dziewczyny, zdejmując z jej głowy opaskę. Iwa patrzyła na jednocześnie wystraszonego, ale i jakby zadowolonego człowieka zasiadającego naprzeciwko. On zaś miał przed sobą jednoznacznie serdeczne, pewne siebie spojrzenie zadowolonej blondynki.

– To co...

– No...

Zerknęła na zegarek.

– Dopiero na dziewiątą idzie. Co powiesz na odwiedzenie części post PRL–owskiej? Dla rozluźnienia atmosfery.

– Podgrzanej atmosfery – zripostował.

– Ale nie przegrzanej, prawda?

– Chyba nie...

– To jak?

– Prowadź – zmierzył ją ciepłym spojrzeniem, powoli wstając od stolika.

Po dziesiątej czerwone audi zatrzymało się pod jej blokiem. Wbrew obawom Darka nikt nie ukradł jego ani jej telefonu komórkowego. Wbrew nadziejom Aga nie dała znaku życia, po raz kolejny go ignorując. Umysł pismaka powoli penetrowała myśl, wedle której, gdyby miał tę wiedzę o stanie połączeń, jaką ma teraz, posiedziałyby tam z nią nieco dłużej. Niepewna mina była dla pasażerki zagadką. Nieśmiało dopuszczała do siebie myśl, że mogła nieco przeholować.

– Darek, jeśli dzisiaj wiesz... pojechałam po bandzie to przepraszam – zmierzyła go uważnym spojrzeniem, usiłując coś wyczytać z mimiki.

Przez chwilę trawił przekaz, usiłując dobrać jak najlepsze słowa, które oddadzą jego stan i to, co teraz czuje. W policzku kobiety rósł promieniujący ból. Czekala, aż wreszcie raczy się odezwać.

– No. W sumie, pojechałaś – zerknął na nią. – Ale było bardzo fajnie!

Przełknęła ślinę, wymieszaną ze stróżką krwi, zerkając przed siebie.

– Tylko bardzo fajnie?

Wypuścił nosem powietrze, jakby właśnie schodziły z niego wszystkie wątpliwości i dylematy, z jakimi walczył od kilku godzin.

– Szczerze to było świetnie. Dawno tak nie spędziłem czasu z... przyjaciółką. Jeśli byłem jakiś spięty to dlatego, że nie tego się spodziewałem.

– A czego się spodziewałeś?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Iwa. Ale było świetnie. Dzięki.

– Nie zadzwoniła? – dłonią wskazała na leżący obok skrzyni biegów telefon.

– Nie. Jak kamień w wodę.

– Daj jej czas. Dziewczyny mają fizia na punkcie kłótni. Te anegdoty krążące po sieci są w większości prawdziwe.

– A ty, jak się kłócisz?

– Staram się dogadywać...

Przed oczyma zamajaczył jej przywołany przez sumienie widok, gdy wbija w skroń Tomeczka wielki, ostry kamień, spycha go z mostku widokowego, a następnie dociska tę grubą jak u świni mordę do podłoża, aż ta wydaje z siebie głuchy trzask łamanego kręgosłupa.

– Ale wiadomo, nie zawsze wychodzi. Jak wszystkim.

Ze zrozumieniem skinął głową.

– Dzięki – przytulił lekko dziewczynę.

– Zawsze do usług.

Odetchnęła mocno, otwierając drzwi i ruszając ku klatce schodowej. Odwróciła się, machając mu. Odwzajemnił gest. Chwilę później wiekowy, czerwony pojazd zniknął za skrzyżowaniem, gnając w stronę domu.

Rozdarty między obawami o kierunek, w jakim rozwija się ta znajomość, a jednocześnie podekscytowany i zadowolony z tego, że kobieta docenia go i ceni na tyle, że zacieśnia więź, pokonywał kolejne kilometry. Po przekroczeniu progu zorientował się, że na schodach czeka pościel i kołdra. Jak co dzień od dłuższego czasu. Cicha muzyka dobywająca się z sypialni zdradzała, że Aga jeszcze nie śpi. Napał na klamkę, jednak nie ustąpiła.

– Hej...

Cisza.

– Aga. Porozmawiamy?

Zaczerwienione oczy dziewczyny zerknęły to na ekran laptopa, to na drzwi, jednak nie odezwała się.

Po chwili usłyszała, jak wzdycha i biorąc dobytek kroczy powoli na dół, ku kanapie. Nie radząc sobie z presją wyłączyła urządzenie, zgasiła światło i przecierając oczy o kołdrę powoli odpłynęła.

Zasmucony, uruchomił jakąś grę, zmieniając na komunikatorze status, aby wiedziała, dlaczego go nie ma. Nie wytrzymał jednak zbyt długo, wciskając kombinację klawiszy Alt+F4 ledwie po godzinie. Włączył przeglądarkę i zalogował się na konto mailowe. Kliknął na „wersje robocze”. Po chwili wpatrywał się w dedykowane mu zdjęcie, jakby usiłując przekonać samego siebie, że może to jest właśnie droga, jaką powinien podążać.

W małym mieszkanku Iwa naprędce poddawała edycji zdjęcia jakiejś starej chałupy z bali, usiłując wycisnąć z nich tyle, aby zdały się być dla tych dwóch kurw inspirujące i sugerujące, że krótki wyjazd w to miejsce to doskonały pomysł. Gdy stare, zatęchłe drewno zdało się wyglądać na świetnie zaimpregnowane, gdy wyedytowała ponure wnętrza, czyniąc je przyjaznymi, załączyła fotki do maila i wysłała do Agnieszki i Olki. Chciała, aby wyjazd odbył się za dwa tygodnie. Potrzebowała jeszcze odrobinę czasu, aby związać go ze sobą emocjonalnie i załatwić zaległe sprawy. Mimo że pod wpływem lawiny emocji, która spotkała ją tego dnia była już skrajnie wyczerpana, z werwą przystąpiła do planowania kolejnych kroków. Pierwszym z nich było zdobycie lewych recept na lekarstwa, jednak nie to stanowiło dla Iwy największe wyzwanie.

Ostatni tydzień lipca

Czarny ford ka leniwie sunął autostradą. Trzymała się przepisów, nie chcąc ryzykować zatrzymania i mandatu. Zresztą nie o mandat tu chodziło. Od epizodu z Tomeczkiem permanentnie bała się wszystkich służb mundurowych, domniemując, że każdy z tych niebieskich sukinsynów na pewno słyszał o jej sprawie i będzie skory do zadawania pytań. Z głośników Kasabian śpiewał właśnie „Goodbye Kiss”. Jego muzyka uspokajała ją. Nie wiedzieć czemu ostatnimi czasy dążyła do odnalezienia w sobie jakiejś nowej pasji do rockowych, nieraz depresyjnych ballad, zarzucając rozrywkową muzykę z pierwszych lat XXI wieku. Tropem dla tego typu decyzji Iwy być może była jedna z rozmów, jaką odbyła z Agnieszką, podczas której usiłowała pomóc jej wyjść z dołka. Jakby ktoś chciał dać znak akurat wtedy z radia popłynęła „Jolka Jolka”. Ta kurwa najpierw opuściła głowę, a później, walcząc z potokiem łez, zaczęła ją przeproszać za tę reakcję. Wtedy dowiedziała się, że to jedna z ich piosenek. Nie pasowało jej to, bowiem Darek preferował podobno nieco inne klimaty, jednak – co by nie mówić – jego żona rzuciła na tę sprawę nowe światło.

Zbliżała się właśnie do węzła drogowego, przy którym miała odbić z autostrady i pokonać dalszą część trasy regionalnymi drogami. Lakoniczny komunikat „za tysiąc metrów zjedź z autostrady” tylko potwierdzał to, o czym wiedziała. Przed nią wolno sunął TIR. Chłodna kalkulacja sugerowała, że nie warto go mijać. Zaciśnęła dłonie na kierownicy, włączając za potężną maszyną przez chwilę, po czym płynnie, na węźle drogowym typu „trąbka” wydostała się na jakąś odremontowaną, jednopasmową drogę. Mimo że było już krótko po czternastej, ruch nie był zbyt duży. Według nawigacji, do celu pozostały jeszcze jakieś 63 kilometry.

Trzymając się nieraz poronionych przepisów drogowych popłynęła, zastanawiając się, czy nie warto byłoby zainteresować się poznaniem jego rodziny. Wiedziała bardzo mało, w sumie wszystko na ich temat pochodziło z portalu społecznościowego, który niestety nie był w

stanie zbyt dobrze zobrazować ich wzajemnych relacji. Brat Robert, matka Anna, ojciec Mirosław. Po dłuższych poszukiwaniach odkryła kilka innych osób, w których żyłach płynęła ta sama krew. Od dawien dawna zamieszkali w historycznej Wielkopolsce, nie wyróżniający się. Nie występujący w rejestrze długów, nie przewijający się w regionalnych gazetach. Czuła jednak, że szybko musi zgłębić tę wiedzę. Przecież niebawem będą rodziną!

Niespełna godzinę później nawigacja obwieściła lakonicznie „Gratulacje, dotarłeś do celu podróży”. Stała na skrzyżowaniu. Wąska, utwardzana droga prowadziła w ciemny las. Od dawna bała się takich miejsc. Brak linii wysokiego napięcia sugerował, że lokacja wskazana wcześniej przez tajemniczego D.B.C. jest naprawdę wyjątkowa. Wóz sunął pomału, co jakiś czas lekko podskakując na koleinach i muldach. Regionalne radio, na które przestawiła się nieco wcześniej zaczęło trzeszczeć. Skanowanie pasma sugerowało, że tego typu rozrywka jest tutaj ciężko osiągalna.

Po dłuższej chwili dostrzegła, że po prawej las nieco się przerzedza. Z uwagą obserwowała, jak wszechobecna zieleń ustępuje taflii niewielkiego jeziora. Droga skręciła w prawo. Zza zakrętu wyłonił się dobrze znany, drewniany domek. Niepozorny, ale urokliwy. Odgarnięte liście i ślady kół na niedużym parkingu zdradzały, że ktoś tu niedawno był. Zgodnie ze wskazówkami od dobrodzieja obesła chatkę, aby po chwili spod dużego kamienia, pokrytego przez jakąś anonimową osobę solidną warstwą żółtej farby wyciągać pęk kluczy. Dłoń wyczuła tam także plastikową fakturę. Schyliła się, aby wygrzebać anonimowy list w foliopaku. Wzięła go ze sobą, wracając pod drzwi wejściowe. Włożyła klucz do górnego zamka i przekręciła. Drzwi ustąpiły lekko, nie wydając żadnego dźwięku. Włączyła światło.

Domek składał się ze sporych rozmiarów izby ze stolikiem, starym fortepianem, telewizorem i kanapą. Naprzeciwko znajdowała się kuchnia, a za nią łazienka z toaletą. Obawiała się, że na tym zadupiu może zabraknąć tak trywialnej rzeczy jak sracz, co może zaważyć na obecności Warzechy, jednak zapobiegliwy dobrodziej, jakby czytając w jej myślach, przewidział i to. Drewniana drabina prowadząca na piętro odsłoniła przed dziewczyną wielką sypialnię z relatywnie niskim poddaszem. Weszła na górę. Musiała chodzić nieco pochylona, aby nie uderzyć w sufit, jednak cztery spore łóżka, nakryte świeżymi, puchowymi kołdrami wespół z walającymi się po podłodze owczymi skórami, tworzyły bardzo przytulne wrażenie. Brakowało tu tylko kominka. Ten jednak odnalazła po powrocie na parter, jako zmyślnie schowaną konstrukcję w izbie. Początkowo wzięła go za atrapę. Zaczęła uważnie rozglądać się po pomieszczeniu, jakby szukała ostatniego, brakującego kawałka układanki. Po chwili opadła na kanapę, wyciągając anonimowy list, który cały czas nosiła. Przekaz w nim zawarty był dość prosty:

Iwo.

Nie ma już odwrotu.

Zawalcz o szczęście.

Powodzenia.

D.B.C.

PS: pod dywanem w przedpokoju.

Uśmiechnęła się lekko, chowając kartkę do kieszeni spodni. Ruszyła do samochodu, otworzyła bagażnik pojazdu, naprędce wyciągając spore ilości żywności, kilka butelek wody mineralnej oraz garść fiolek, które poukrywała w różnych punktach w domu. Gdy tylko wszystkie rzeczy znalazły się tam, gdzie znaleźć się miały, kobieta podniosła stary, nieco zakurzony dywan, zgodnie z radą D.B.C.

Już po chwili odnalazła zmyślnie zabezpieczone wejście do piwnicy, chronione dodatkowo dwoma sporych rozmiarów, metalowymi prętami. Z wysiłkiem wysunęła

zabezpieczenia, podnosząc klapę ku górze. Przez chwilę wpatrywała się w ciemności, aby wkrótce wymacywać stopami kolejne stopnie drabinki jęczącej pod każdym krokiem. Wyciągnęła z kieszeni telefon, szukając włącznika światła. Przekręciła go. Skąpy blask kilku jarzeniówek wypełnił wnętrze cuchnącego stęchlizną pomieszczenia, podzielonego na dwa segmenty. Odnalazła zapalnik do kominka i kilka kawałków równo ułożonego drewna. Jakby obawiając się tego miejsca, opuściła je, znosząc drewno ku kominkowi. Ciemność powoli otulała bujny las. Wielkie cienie drzew wyglądały przerażająco, zupełnie jakby chciały ją porwać, a następnie rozerwać na milion strzępów. Kiedyś mama straszyla ją, że żywica to tak naprawdę ludzka krew, którą drzewa wypijają z małych dzieci, które bawiły się po zmroku, nie przychodząc do domu na czas.

Cały czas uważnie nasłuchując zamknęła drzwi na zamek, włączając w każdym pokoju światło. Okna zasłoniła starymi zasłonami. Zdjęła ubrudzone spodnie i zlaną potem koszulkę. Uruchomiła stary, żywcem wyrwany z pierwszych lat XX wieku bojler, którym podgrzała wodę i wzięła szybki prysznic. Naga, z różową z przegrzania skórą ruszyła w stronę plecaka z odzieżą, ubierając dwuczęściową pidżamę i góralskie kapcie. Wrzuciła coś na ząb, połknęła garść proszków, popijając je wodą mineralną, po czym ruszyła na piętro, szybko kładąc się spać.

Dobrodziej powtarzał, że dom przyniesie jej szczęście tylko wtedy, gdy sama się do niego przekona, zanim zacznie wymagać tego od innych. Zwinięta w kłębek po jakimś czasie przestała reagować na sowy i inne nocne zwierzęta, które hałasowały, jakby chcąc sprawdzić, na ile silna jest jej miłość do Darka.

Kolejnego dnia wczesnym rankiem zamknęła chatkę, wsiadła do samochodu i ruszyła do domu. Niebawem miał rozpoczynać się ich babski wypad.

W męskim gronie dyskutowali w redakcji o planach na przyszłość. Czy to za sprawą Druha, czy też dzięki zwyżkującej renomie portalu Naszewspolnemiasto.pl, zarządzanego żelazną ręką przez Tadeusza Kozaka, rozprawiali nad ewentualnymi zyskami i kosztami, jakie mogłoby przynieść firmie wejście w sektor odpłatnych, cotygodniowych drukowanych gazet.

Męczył się w towarzystwie Patryka i szefa, co kilka chwil z nadzieją zerkając na telefon. Uśmiechał się lekko i przytakiwał na co ciekawsze propozycje, w głębi serca błagając, aby wybiła piętnasta. Oni zaś zerkali na niego czujnym wzrokiem, w myślach przeklinając jego brak zaangażowania, ciesząc się że już wkrótce opuści wąskie grono, gdzie i tak był obecny jedynie ciałem. Kwestią dyskusyjną była tylko kwestia tego, czy serce przynależy w tej chwili do tej, która nosiła taką samą obrączkę, jak jego, czy też raczej do ich grafika, co nie zdołało umknąć czujnemu oku redaktora naczelnego. Starszy facet jako jeden z pierwszych zorientował się, że coś się w nim zmienia, a ciągnące się w nieskończoność rozmowy o tym, jak to Sikorski nie porozmawia z dziewczyną (później już: Iwą) o nowościach, jakie warto byłoby zaimplementować, spełniły rolę brakujących elementów układanki. Tak samo zresztą jak popołudniowe, weekendowe dyżury. Raz nawet, gdy musiał się po coś wrócić do biura, spotkał ich na schodach. Nie krępowali się swoim towarzystwem, jakby naprawdę wierzyli, że to jedynie ciepła, przyjacielska relacja.

Budzik w telefonie Darka rozśpiewał się, wybijając Papisia z rytmu. Przeprosił go, naprędce wyciszając urządzenie.

- Szefie, to mogę?
- Idź. I tak twoja obecność dzisiaj gównie daje. Gdzie znikasz?
- Po prawdzie jeszcze nie wiem – cały czas liczył, że może jednak w ramach aktu łaski załapie się na wyjazd z dziewczynami.
- A z kim? – pulchny kolega zmierzył go niedwuznacznym spojrzeniem.
- Właśnie problem w tym, że tego w sumie też jeszcze nie wiem. Obiecuję, po

weekendzie sam odwałę czarną robotę, panowie!

– Idź i nie wracaj – Kozak zrobił dramatyczną przerwę – aż do wtorku. Na razie!

– Dzięki. I jeszcze raz, ... wiecie, no...

– Cześć, cześć!

Drzwi do biura zatrzasnęły się. Dwójka mężczyzn ruszyła w stronę okna, zupełnie, jakby rozdawali przy nim darmowe lody.

– Posuń się!

– Ale e, no!

– Jakie ale, synek. Kto tu jest szefem?

Wycofał się, z trudem wywalczając niewielki przyczółek, który jednak oferował niezbyt dobry widok na ulicę, do której przynależała kamienica.

– Idzie, idzie – Kozak relacjonował na bieżąco. – Idzie i wsiada do... kurwa!

Przed twarzą wyrosła ręka uśmiechniętego po uszy Patryka.

– No do wypłaty ci doliczę.

– Tak jak ostatnio? Mowy nie ma. Szef jest honorowy, to szef płaci.

Kręcąc głową, wyciągnął z kieszeni spodni jakiś wymięty banknot 10- złotowy, wręczając mu.

– Ty cholero. Chyba wiem, kogo wyślę na otwarcie nowej linii sortowniczej, to się nauczysz nie ogrywać przełożonego. Jak żeś zgadł?

– Mam dobry węch.

– Ja też. I co?

– No to ja chyba lepszy. Ale do rzeczy: jak ma ten delikatny perfum, to przeważnie wypada na Iwę. Jak brak lub jakiś taki bardziej intensywny, chamski, w sensie że tańszy to żona albo wraca sam.

– To chyba mu się niebawem skończy flakonik z tym delikatnym – parsknął, siadając przed Patrykiem na krześle. – Ech, co to będzie, co to będzie, młody?

– Cóż. Po mojemu...

– Retorycznie żem pytał – uciał. – WIEM, co będzie i jak to się skończy. Doświadczenie życiowe, synek!

– To może zakład?

– O, ty cwana cholero. Dobra! O ile?

– To gruby temat, więc stowa co najmniej.

Kozak przeciągle gwizdnął.

– Kociarz ma kocią intuicję?

– Się okaże – wystawił dłoń w jego stronę, aby uprawomocnić szykujący się zakład.

Czarny ford zatrzymał się pod domem.

– Wszystko zrozumiałeś?

– Chyba tak. Dziękuję z całego serca!

– Jeszcze nie dziękuj. Fajnie, że już się do siebie odzywacie, ale... ech, inaczej. Wiem, że ci trudno, że jedzie bez ciebie. Ja bym cię zgarnęła, wiesz przecież, ale liczę na to, że jak to wszystko sobie przemyśli na łonie natury, to albo da ci znać i tam do nas dołączysz, albo po naszym powrocie będziesz miał znowu starą, dobrą Agę.

Drzwi domu otworzyły się. Iwa pomachała gospodyni, która odwzajemniła gest, jednocześnie mierząc złowrogim spojrzeniem Darka.

– Lodowe tornado – rzucił, powoli wychodząc z auta.

– Ślicznie wyglądasz, skarbie. Dzięki, że go zgarnęłaś. Ten złom ciągle nie wrócił od mechanika, a ja musiałam dokupić kilka rzeczy na nasz wyjazd – zaakcentowała ostatnie słowo.

– Nie ma za co – wymieniły kurtuazyjny pocałunek w policzek. Powoli udając, że wcale nie usłyszał tego, co mówiła przed chwilą, pokonał dzielący go od progu dystans.

– Cześć...

Ledwie zerknęła, po chwili odpowiadając tym samym słowem. Trzeba tu jednak dopowiedzieć, że wielkim progresem było to, że potrafili wymienić kilka–kilkanaście zdań na dobę.

Przeprowadziła blondynkę przez próg. Sikorski jako ostatni zamykał drzwi.

– Bardzo ładnie mieszkanie – z nieudawanym zainteresowaniem starała się objąć wzrokiem jak największy metraż. – Kto wybierał meble?

– Razem. Chodź, oprowadzę cię. Dariusz robi kawy – zakomunikowała.

– A to ja może wodę?

– Słyszał mąż? Espresso i woda chłodna raz.

Nie czekając na odpowiedź wzięła ją pod ramię i z namaszczeniem zaczęła pokazywać Iwie ich wspólny przybytek. Stary ekspres ciśnieniowy, mimo kilku lat na karku poradził sobie z misją całkiem nieźle. W ledwie kilka minut ciepły, czarny napój w filiżance, do tego w drugiej dłoni szklanka chłodnej wody zameldowały się na stole. Z trudem wymanewrował obok wielkiej, ledwie co domykającej się walizki Agnieszki, którą nieopatrznie położyła zaraz obok framugi. Nie chciał jednak wszczynać teraz z tego powodu żadnej dyskusji, obawiając się spektakularnej kłótni. Topór wojenny cały czas zakopany był bardzo płytko. Dziewczyny czekały na kanapie.

– Proszę. A to dla ciebie – uśmiechnął się ku żonie. Wyczuwając niezbyt sprzyjającą atmosferę wycofał się ku kuchni.

– Za ile będzie Ola?

Zerknęła na zegarek.

– Kilka minut. Na pewno nie chcesz jechać z nami? Przecież się pomieścimy.

– To nie tak, że nie chcę. Powiedzmy, że nie chcę jej przytłaczać swoją osobą. Zresztą, jeśli serio się jej nie spodoba, to przecież znikacie, a ja jakoś też muszę wrócić. Nie chcę być piątym kołem u wozu.

Zamyśliła się.

– Może i masz rację...

(MAM rację, dziwko!).

– A jak... wy? – wyszeptała, wzrokiem pokazując gospodyni ku kuchni, gdzie krzątał się Darek.

– Pogadamy na miejscu. Jest tam sens brać laptopa? Mam taką specjalną kartę od operatora...

– Modem zewnętrzny! – dobiegło z kuchni.

– Nie podsłuchuj!

Blondyna zmarkotniała, zdając sobie nagle sprawę z tego, że Sikorska, odpyskowując mu, uśmiecha się lekko. Maską zimnej, niedostępnej baby była teraz Iwie bardzo potrzebna, nie mogła jednak wykonać żadnego ruchu. Wszystkie figury na szachownicy, jaką skrupulatnie montowała z myślą o wyjeździe od kilku dobrych miesięcy, miały zaprogramowane kolejne ruchy. Zmiana jednego zagrania oznaczałaby kurewsko wielkie zawirowania na planszy, które mogłyby jej oraz ukochanemu tylko i wyłącznie zaszkodzić. Pociągnęła łyka wody, przekonując samą siebie, że już niebawem nic nie będzie zależne od tej sączącej kawę szmaty.

– Jak chcesz, bierz laptopa, ale Internet...

– Nie to. Filmy mam fajne. Integracyjne!

– A! to może i warto.

Dobrze rokującą rozmowę przerwał głośny dźwięk klaksonu.

– Olka jest! – Sikorska poderwała się, niczym perfekcyjnie wytresowany pies Pawłowa.
– Znieść ci bagaż?
– Możesz – ucięła, biorąc do jednej ręki torbę z kosmetykami, do drugiej wcześniej przygotowanego laptopa, z okalającym go zwiniętym kablem i ładowarką.
– To pa...
Odwróciła się.
– A buzi?
– Musisz zasłużyć.
Przez chwilę dostrzegł w jej oczach to zalotne spojrzenie, jakim kilka lat przed ślubem go ujęła. Postanowił przyjąć zasady gry.
– Spróbuję.
Chwycił sporych rozmiarów torbę. Na szczęście miała wysięgnik i plastikowe kółeczka, toteż przetransportowanie jej do samochodu pizdOli nie należało do zbyt trudnych zadań.
– Cześć.
– Cześć, Ola.
Otworzyła bagażnik. Rzeczy Agi wylądowały na torbie. Spory litraż łatwo przetrwał syty pakunek. Zza drzwi wychodziła właśnie Iwa. Rozparła się w prog, uważnym spojrzeniem mierząc okolicę.

Ładnie. Szkoda, że nie będziemy tu mieszkać. Nie zniosłabym przeszłości tego domu.
Wzięła głęboki wdech i ruszyła ku Olce.
– Cześć, fajnie, że jesteś.
– Hej.
– No to tak. Jedźcie za mną. To dość długa trasa, więc...
– E, co ty gadasz. Ledwie dwieście kilometrów, nie ma co panikować!
– No dobra. Dla mnie długa – zmusiła się do zachowania spokoju, zmieniając barwę głosu na łagodniejszą. Uśmiechnęła się do tego jebanego karła. – Więc po drodze zrobimy ze trzy postoje, dobra?

Z uwagą, powstrzymując się od śmiechu obserwował, jak trzy babki wybierają się ku Puszczy Białowieskiej zupełnie, jakby szykowały się właśnie do udziału w rajdzie Paryż–Dakar.
Po chwili machał im. Dwa pojazdy zniknęły za zakrętem, powoli zmierzając ku autostradzie. Spokojny wrócił do domu, zamykając drzwi na zamek. Rozłożył się na kanapie i zaczął bawić telefonem, grając w grę logiczną. Wiedział o wyjeździe dziewczyn – przynajmniej nieoficjalnie, dzięki Iwie – od kilku dni. Wściekłość i rozżalenie ustąpiły, gdy tylko wyjaśniła mu kilka istotnych punktów planu. Obiecywała, że Aga zatęskni, zarzekała się, że będzie się o nią troszczyć i dbać o bezpieczeństwo. Chwilę po tej deklaracji, jakby usiłując wzmocnić przekaz lekko chwyciła go za rękę. Spojrzał właśnie na dłoń, unosząc ją odrobinę, jakby chcąc na nowo odtworzyć w pamięci tamten moment. Ciepłym głosem uspokajała go: „Będzie dobrze, zobaczysz”.

Wrócił do głównego pulpitu, decydując się na napisanie do Agnieszki SMS-a.
Baw się dobrze, piękna. Tęsknię ;)
Dostrzegł, że to pierwsza wiadomość, jaką wysłał od niemal trzech tygodni. Nacisnął „wyślij”. Na liście kontaktów, jeśli mowa o aktywności, dominowała Iwa, Papiś i reklamy, gdzie tajemniczy oferenci rozdający darmową gotówkę na lewo i prawo dosłownie błagali go na kolanach, aby przyjął nagrodę. Tylko dwa złote z groszami i będzie bogaczem! Gdyby tylko zsumował kwoty, oferowane w tych debilnych reklamach dałyby mu łączną pulę nie mniejszą niż milion złotych. Przebijając komórką w dłoniach z uporem wyczekiwał na odpowiedź od żony.

Ta jednak nie nadchodziła.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy z fotela pasażera rozśpiewał się telefon. Zerknęła w lusterko, zwalniając odrobinę i przyjmując połączenie.

– Tak, Aga?

– Ola pyta ile jeszcze.

(A taka była kurwa mądra. Że to TYLKO dwieście kilometrów!)

– Według nawigacji będziemy za jakieś dwadzieścia minut. Chcecie przerwę?

– Chcesz przerwę, za góra dwadzieścia minut będziemy? – usłyszała w słuchawce.

– Iwa, spoko, jedź. Damy radę – dobiegło po chwili.

– Jak coś to nie ma kłopotu...

– Nie, nie. Jest OK.!

Rozłączyła się, kątem oka dostrzegając dwie wiadomości tekstowe. Po szybkiej analizie sytuacji doszła do wniosku, że mogą jeszcze trochę poczekać. Nieoświetlona, leśna droga, brak pobocza i czujnie wpatrujące się w nią dwie pary oczu z sunącego kilkanaście metrów za nią pojazdu to wszystko przeważało, aby skupić się na szosie.

– Ja pierdołę, gdzie ona skręca?!

– Chyba wie, co robi.

– Już mi się nie podoba! Zobacz, idzie na wieczór, a ta idiotka w las! Ciemno jak w dupie!

– Uważaj na żubry – Sikorska roześmiała się.

– Dzicz, kochanie, dzicz, dzicz, dzicz! Na szczęście przewidziałam to i od jutrzejszego zapewne w cholerę pięknego dnia, mamy rezerwację na czterogwiazdkowy hotel jakieś 40 kilometrów stąd!

– Olka...

– No co? Znasz warunki.

– Ale myśmy nawet nie dotarły. A tam może być całkiem fajna chatka. Droga do dupy, wiem, ale za wcześnie z oceną, skarbie.

– Sama się chyba nie słyszysz.

Zamilkła. W sumie nie wierzyła w to, że miejsce zdoła odczarować zły humor Warzechy. Patrząc w nieprzenikniony, złowrogi las zaczęła myśleć nad tym, w jaki sposób rozegrać to wszystko, aby nie obrazić gospodyni. Czy to za sprawą dużej odległości od domu, czy też w wyniku zakopania topora wojennego, myśli zataczały coraz szersze kręgi wokół Darka. Wiedziała, że sobie poradzi, jednak była zainteresowana, co też teraz robi. Chciała wysłać maila lub SMS-a, jednak za sprawą braku sygnału operatora musiała zweryfikować plany. Nie przyznała się Olce, że ich sieć w dziczy nie istnieje, obawiając się, że to będzie kropla, która przepełni czarę goryczy.

– Ale ruina...

Wyrwana z zamyślenia spojrzała przed siebie, wprost na niepozorną, z trudem dającą się zauważyć z niedużej odległości chatkę z bali. Mrok powoli ogarniał ledwie co widoczne zza drzew jezioro. Wsiadła z pojazdu, uśmiechając się do czekającej, majstrującej przy zamku w drzwiach Iwie.

– Chłodno...

– A nawet zimno – z irytacją rzuciła Warzecha.

– Nic nie bójcie, mamy kominek i rozpałkę – zauważyła, jak kurdupel lekko uśmiecha się na myśl o spędzeniu wieczoru przy prawdziwym kominku, z trzaskającym drewnem powolnie trawionym przez czerwone płomyki.

Wniosły rzeczy do przedpokoju. Iwa włączyła światło.

– Ale cicho. Co teraz?
– Rozpakujcie się. Łóżka są na poddaszu, ale widok wszystko rekompensuje – wskazała na drewnianą drabinkę.
– Po tym? Z walizką?
– Pomóc ci?
– Nie, nie, ale to bezpieczne?
– Ola, jak tu latami jeżdżę, tak nigdy nic się nie stało. Stajesz tyłem i powoli, po szczebelkach wtaczasz walizkę. Spróbuj!

Zostawiła je same, znikając na dworze. Gdy wracała z bagażem, przystanęła na moment pod drzwiami, nasłuchując. Śmiechy zdradzały, że obydwie idiotki świetnie się bawią, taszcząc walizki na półpiętro. Nie chciała im teraz przerywać. Oparła walizkę o ścianę budynku, dodatkowo asekurując ją nogą i kilkoma szybkimi ruchami palców po wirtualnej klawiaturze odpowiedziała na wcześniejszą wiadomość.

Zatrzymał grę, zerkając na podświetlony ekran telefonu. Spodziewał się wiadomości od Agi, jednak z zadowoleniem przyjął lakoniczną wiadomość od bliskiej mu osoby: Jesteśmy. Wszystko dobrze. Dobranoc ;*

Naparła na drzwi, przywdziewając na buzię najserdeczniejszy uśmiech, na jaki było ją stać. Dołączyła do zmęczonych koleżanek, siedzących na łózkach i wypakowujących rzeczy.

– Przygotuję coś do jedzenia i rozpalę kominek.
– Możemy jakoś pomóc?
– Nie trzeba, kochane. Przygotujcie się na kolację...
– Dziczyznę upolowałaś?
– Nie, Olu. Miejskie żarcie, żebyś nie przeżyła szoku.
– Właśnie przeżywam szok. Cywilizacyjny.
– Spodoba ci się – ucięła, schodząc na dół.
– Ej!
– Powiedziałam coś złego?
– No generalnie to...
– Wiem, wiem. Ale to tylko ta noc i kilka godzin rano.. ach... baseniki, klimatyzacja, naciągamy!

Sikorska aż westchnęła, wchodząc po dłuższej chwili do oświetlonej ładnie mieszającymi się światłami lampy i świeczek izby.

– Ślicznie!

Zasiadająca na kanapie gospodyni, mierzyła je ciepłym wzrokiem, gestem ręki pokazując, aby dołączyły. Na stoliczku znajdowały się wyszukane, ładnie ustawione koreczki, był też prawdziwy, długo dojrzewający ser, kabanosy oraz wielkie kieliszki wypełnione do połowy czerwonym winem. Dwie butelki, dumnie obserwujące je ze stołu podpowiadały, że w razie czego, „umilacza” jest pod dostatkiem.

– No, zaimponowałaś mi – wtrąciła trzymająca się za Agą Warzecha.

Usiadły na przygotowanych miejscach. Po swojej lewej Iwa miała jedynie oparcie od kanapy, po prawej pełniącą rolę rozjemcy Agnieszkę, obok której z kolei siedziała jej przyjaciółka. Mimo trudnych początków udało się skleić rozmowę. Koreczki zaczęły niknąć w oczach, tak samo jak szlachetny trunk.

– Poczekajcie, zaraz wracam. Pora na danie główne!

Sikorska z wyższością zaczęła zerkać na przyjaciółkę. Wirowało jej w głowie, co tłumaczyła sporą ilością wrażeń, nie dopuszczając do siebie myśli, że trzy spore kieliszki na prawie pusty żołądek to jednak przesada.

- M...ówiłam, że fajno?
- Co jest z tobą? – syknęła. – Ożarłaś się!
- A ile wypiałaś... ty?
- Jestem w połowie pierwszego.
- To pij. Pij, pij, Olcia!
- Zjedz coś lepiej.

Nie patyczkując się podała jej do ręki kabanosa. Blondyna usłuchała, powoli zajadając przekąskę.

Po niespełna kwadransie sympatyczna gospodyni wróciła z wielką, srebrną tacą, na której leżało aromatyczne, ciemne mięso. Położyła posiłek na stole, z pomocą Olki radząc sobie z przystawkami.

– Mięsko z kaczki, tu wołowinka, a jeśliby nie smakowało, to mamy jeszcze standardowego schaboszczaka. Aga? Wszystko dobrze?

– Schłała się. Co tam jeszcze masz? Pomogę.

– Tylko miseczki z kaszą, ryżem do tego jakieś ogóreczki i tyle...

Warzecha podniosła się z kanapy, aby po chwili wracać z misami w dłoniach.

– Tylko chlebek został, ale chyba nikt nie będzie optował. No chyba że ty, znaczy – mieszała się – bo ona na pewno nie – usiłując zejść z niewygodnego wątku, wskazała na wyraźnie wstawioną Sikorską. – Takiej jej jeszcze nie widziałam.

– A ty czemu nie pijesz? Nie pochodzi ci winko?

– Dobrze, ale nie chcę skończyć jak ona.

– Bzdury, Olka. Piję i nic mi nie jest – ostentacyjnie sięgnęła po kieliszek, wychylając odrobinę alkoholu do ust.

Nie odpowiedziała, sięgając po porcję z kaczki. Iwa wycofała się z dalszego przekonywania, również decydując się na zjedzenie czegoś ciepłego. Pomiędzy nimi, wbita w oparcie wersalki ni to leżała, ni siedziała, płytko oddychając Agnieszka. Ciszę łamał jedynie dźwięk sztućców, miarowo uderzających o talerze.

– Ola...

Spojrzała na gospodynię znad talerza, mierząc ją wyczekującym spojrzeniem.

– Chyba byłoby lepiej, jakbyśmy ją przetransportowały do łóżka?

– No. Dla niej na pewno, weź, nie pogniewaj się, ale to istna abstrakcja, żeby się z nawaloną laską mocować na poddasze po tym czymś, co uważasz za schody.

– W sumie. To co proponujesz?

– Pomogę ze zmywakiem – wskazała dłonią na stół, pełen wołających o rychły kontakt z wodą naczyń. – A ty weź znieś rzeczy tutaj. Ta kanapa się rozkłada?

– Już nie.

– Ech. Trzeci świat. No cóż, jedną nockę powinna raczej wytrzymać...

(Darek wytrzymałby kilkanaście, jak nie więcej...)

– Nie będzie źle. Jak zniosę, to przygotuję wodę na kąpiel, dobra?

Warzecha zmierzyła ją czujnym spojrzeniem, przytakując.

Po chwili kładły cały czas wylogowaną, mruczącą coś tylko pod nosem Sikorską na wielką, puchową poduchę, okrywając jej nogi kołdrą. Olka nie mogła powstrzymać się od kilku salw śmiechu. Wyciągnęła telefon, robiąc przyjaciółce kilka fotek. Napotkała na skwaszoną minę Iwy.

– No co? Przecież nikomu tego nie pokażę. Tylko jej, jakby rano chciała wmówić, że przeholowałyśmy, kładąc ją tutaj.

Blondyna odpuściła, wycofując się.

Po dłuższej chwili złapała Olkę w kuchni, gdy kończyła właśnie zmywać naczynia.

– Przygotowałam ciepłą wodę. Idź, zanim wystygnie, dokończę.

– Miło z twojej strony. Tylko wyciągnę pidżamę i klapki pod prysznic. Sama wiesz, trzeba uważać, żeby nie złapać grzyba.

Nie odpowiedziała na prowokacyjny ton Warzechy. Gdy tylko usłyszała dźwięk wody, rozbijającej się o metalową kabinę podeszła do Agi i przykucnęła obok pokonanej przez sen, ładnie umalowanej, delikatnej buzi. Poglądziła ją lekko po policzku, po czym korzystając z tego, że żadna z nich nie obserwuje jej teraz, zażyła witaminki, łączywie popijając kilkoma łykami chłodnej wody.

W niewyróżniającej się, dwuczęściowej pidżamce z nadrukiem i w kapciach na nogach ostrożnie wdrapała się na piętro i wygodnie rozłożyła, kątem oka zerkając na czytającą gazetę Olkę. Spokojnym, rozmarzonym wzrokiem spoglądała za okno, wprost ku targanem podmuchami wiatru rozłożystej sośnie, niebo było w większości spowite chmurami. Usłyszała, jak Warzecha głośno wzdycha, odkładając gazetę na podłogę.

– Olka?

– No? – głos kobiety wskazywał, że ma już dość tego dnia i marzy tylko o tym, aby dotrzeć do świtu.

– Dlaczego nam się nie udało jakoś wiesz... zaprzyjaźnić?

– Nie wiem – zerknęła ku niej. – A gryzie cię to?

– Czasem tak.

– Iwa, to nie jest tak, że cię nie lubię. Po prostu czuję, że jak zbyt długo jesteśmy we trzy w jednym miejscu, to nie ma chemii.

– Teraz jesteśmy we dwie.

– I jestem padnięta – ucięła.

– Rano pewno obwieścicie, że wyjeżdżacie?

– To nie tylko ode mnie zależy.

– A gdyby zależało, to zostałybyś?

– Szanuję cię. Jesteś uparta i konsekwentna, że ze mną wytrzymujesz, więc ci powiem zgodnie z prawdą. Tak, pojechałabym. Ale ze względu i na mój, i twój komfort. Widzę, że czujesz się w tym miejscu dobrze... swojsko...

(Gównno wiesz...)

– To po co mamy się ścierać. Nie chcesz spróbować z nami? Jeśli pojedziemy, to w fajne miejsce, gdzie będę miłsza dla otoczenia i nie będziemy na siebie skazane całą dobę.

– Może innym razem – uśmiechnęła się. – Zawsze śpisz płasko, na wznak?

– Aha. To zdrowe. Jeśli czymś cię obraziłam to niechcący, nie gniewaj się. Po prostu mieszczuch tu nie pasuje.

– Dzięki za szczerłość. Śpimy?

– Ustawiłam budzik na ósmą. Nie obudzę cię?

– Mam mocny sen. Jakbym wstawała w nocy, to się nie wystraszy. Podjadam.

– Linia osy, a podjada. Gdzie sprawiedliwość – siliła się na żart. – Dobranoc, Iwa.

Lampka nocna zgasła.

– Pa.

Ledwie co otwartym okiem, mimo napływających łez obserwowała ją uważnie. Umysł kobiety krążył teraz wokół Darka, choć domyślała się świetnie, co teraz porabia. Uniosła lekko kołdrę, aktywując od dawna wyciszony telefon. Zegar wskazywał na godzinę 23. Pasek powiadomień informował, że ukochany zostawił wiadomość, jednak w tej chwili nawet on zszedł dla Iwy na dalszy plan. Leżąc na boku, dała sobie jeszcze kwadrans, nie mogąc wyjść z podziwu,

jak można spać – do tego lekko chrapiąc – w tak nienaturalnej pozycji a. Nie chcąc jej obudzić, powoli wstała i zbliżyła się, podnosząc puchową kołdrę, aby odsłoniła fragment jej ciała. Warzecha bez walki oddała ciepłą tkaninę otulającą jej prawą nogę, zażarcie jednak walczyła o utrzymanie kołdry na brzuchu i piersiach. Cała skomplikowana operacja pochłonęła Iwie dobrych kilka minut.

Na palcach wróciła do łóżka. Wyciągnęła spod kołdry długi na niemal metr przedmiot. Wiatr, jakby chcąc ostrzec Olkę zawył głośno, z impetem uderzając w okno. Blondyna poczuła, jak coś ciepłego ścieka jej po udach sprawiając, że nie jest zdolna skoncentrować się należycie na zadaniu.

Kolejny podmuch wiatru.

Olka założyła rękę na twarz, zakrywając oczy przedramieniem. Stojąca nad nią dziewczyna z niedowierzaniem pokręciła głową. Uniosła ręce ku sufitowi pilnując się, aby metalowa końcówka narzędzia nie uderzyła weń. Wzrok skierowała z jej szyi na kołdrę okrywającą brzuch. Nabrała do ust powietrza i z całej siły wycelowała ostrą końcówkę w piszczel.

Głuchy świst.

Ledwie chwilę później dźwięk ustępującej siekierze kości wymieszał się z krzykiem pizdOli. Jakimś cudem zdołała dosięgnąć do lampki nocnej. Rozbłysło światło. Drąc się wniebogłosy patrzyła na zakrwawioną kołdrę i z trudem wiszącą na kilku mięśniach nogę. Iwa stała nad nią, z uniesioną do góry siekierą, obserwując uważnie.

– Coś ty... ty... aaa!

– Uciekaj – szepnęła. Podniosła w jej stronę telefon komórkowy – pomoc nie nadejdzie.

– A... Aga!!!

Zirytowana podeszła, sprzedając Olce solidny cios trzonkiem wprost w twarz. Na pościel upadło kilka zębów.

– Uciekaj.

Warzecha przeturlała się na podłogę, głośno jęcząc, gdy upadała. Poczowała opór na prawej nodze. Zerknęła za siebie, głośno krzycząc. Iwa przystanąła na niemal odrąbanej części, aby dwoma silnymi ciosami, raz na zawsze oddzielić ją od reszty ciała. Zawyla przeraźliwie, z trudem docierając do schodów. Poczowała na plecach silny cios. Dłonie utraciły przyczepność. Domek wypełnił się dudnieniem spadającego z dużej wysokości ciała. Zemdląła.

Gospodyni zeszała po drabince, omijając ją. Zerknęła do izby, jakby obawiając się, czy Sikorska, która przyjęła sporą dawkę wina wymieszanego dodatkowo z prochami, ma się dobrze. Uderzyła ją w twarz. Dziewczyna zmrużyła oczy, nieskoordynowanymi ruchami rąk zasłaniając się przed kolejnym ciosem. Zostawiła ją, biorąc się za Olkę, której krew zaczęła pokrywać dywan, na którym leżała. Włączyła w kuchni światło, stawiając patelnię na gaz. Po chwili rozgrzane do czerwoności naczynie, przyłożyła do kikuta.

– A wystarczyło pić to pierdolone wino...

Chata napełniła się swądem spalonego mięsa. Ledwie na moment otworzyła przekrwione oczy, na nowo omdlewając. Wzięła ją za ręce i przesunęła ku izbie. Sama wzięła się za zwijanie dywanu, aby po chwili otwierać drzwi od piwnicy. Rozbłysło światło. Wzięła mającącą coś Olkę i zepchnęła w dół. Zeszała do niej. Z ciemności wyłoniły się dwa zestawy po cztery białe w ziemię, metalowe pręty każdy. Przepchała ją ku miejscu przeznaczenia, przywiązując kobietę do podłoża. Zgodnie z tym, co kiedyś mówił Dobrodziej, sztuka polegała na tym, aby nie zaciskać – zwłaszcza na rękach – zbyt mocno, zachowując ciągłość krążenia krwi.

Po godzinie do całej czas nieprzytomnej Olki dołączyła otumaniona Sikorska. Robota poszła nad wyraz łatwo. Z namaszczeniem zamknęła piwnicę i poszła pod prysznic, aby zmasać

z siebie zasychającą krew koleżanek. Po chwili wzięła się za sprzątanie całego domu, z wielką precyzją wyszukując wszystkich rzeczy, które zdążyły wypakować, odkładając je do plastikowego kosza na pranie, który miała w łazience. Po ósmej rano padnięta, z trudem dotarła do kanapy, momentalnie zasypiając.

Mrużąc oczy usiłowała wypatrzeć coś w zaciemnionym pomieszczeniu, gdzie tliła się ledwie jakaś 20-watowa żarówka. Spojrzała w lewo, usiłując unieść ciało. Poczowała, jak ruchy ogranicza solidnie przywiązany do członków sznur. Cicho pojękując zaczęła się szamotać, jakby testując wytrzymałość konstrukcji.

– To na nic.

Odwróciła naprędce głowę. Napotkała na zakrwawioną twarz przyjaciółki. Grymas bólu jednoznacznie sugerował, że jej stan nie jest dobry.

– Na miłość boską, Ola, co się tu dzieje?!

– Iwa...

– Ją też tak urządzili? Co my...

– To ona!

– To się chyba nie dzieje naprawdę? Gdzie jesteśmy? To cały czas ten domek?

– Yhy.

Blondynka rozplakała się. Wyprostowała głowę, patrząc w sufit i głośno zawodząc. Wyczerpana dramatycznymi wydarzeniami Warzecha to na chwilę zamykała oczy, to zaś otwierała z grymasem bólu. Cały czas kurewnie boląca rana, w miejscu gdzie ledwie kilka godzin temu była jej noga, promieniowała, serwując jej kolejne chwile cierpienia, uniemożliwiając jakąkolwiek ocenę sytuacji.

Przyjął zaproszenie do wideokonferencji. Niezbyt wysokiej jakości obraz, na którym rozpoznał Iwę, dodatkowo odkrywał przed Darkiem jakieś ładnie położone jezioro. Zdawało się, że dziewczyna leży na leżaku. Odslonięte ramiona, skąpane w blasku słońca pozwalały domniemywać, że pogoda sprzyja.

– Widzisz mnie? Halo?

– Chyba faktycznie jesteście na końcu świata, bo dźwięk przychodzi w kilka sekund przed obrazem. Cześć!

– Hej. No możliwe. A ty widzę w domu?

– A tak jakoś wyszło.

– Nie ma ich już. Pojechały. Możesz gadać normalnie!

– Ech. Czyli kłapa?

– Wszechwiedzająca się postawiła, że się boi i takie tam i gdzieś się zebrały. A sam widzisz, jak tu fajnie.

– To jęzda – odczekał chwilę, aż obraz się ustabilizuje. – A dasz wiarę, że Aga nadal nawet nie odbiera?!

Uśmiechnęła się przeproszająco, jakby chciała powiedzieć „to już nie moja wina. Sorry.”

– Istny cyrk!

– Odebrałeś już audicę?

– Nie – skrzywił się. – Po weekendzie zrobią. A co?

– Pomyślałam, czy byś nie wpadł, skoro wystawiły i mnie, i ciebie. Mam oddzielne pokoje jakby co.

– Chyba nie powinienem...

– Agi zapytaj. Może chociaż raczy odpisać.

– Nie – e. To głupie.

– Twój wybór. Jakby coś się zmieniło, daj znać, dobra?

– Możesz być spokojna. Ale jakoś wątpię. Nie pogniewaj się.
– Spoko. Rozumiem. To co, zgadamy się jakoś wkrótce? Jakby się dziewczyny odezwały, skopiuję ci wiadomość.

– To miłe.

– Baw się dobrze w tych czterech ścianach. Tylko uważaj, żeby słońko cię nie spaliło na popiół, wampirze.

– Bardzo śmieszne – wyszczerzył się do kamerki. – Pa!

– Papa! Sklapnęła laptopa, zawijając go w ręcznik, aby nie złapał zbyt wiele słońca.

Rozłożyła się na leżaku, rozkoszując się piękną pogodą.

Podjeżdżały, że jest wieczór. Aga od kilku dobrych godzin walczyła z gromadzącym się w pęcherzu moczem. Czuła, że wkrótce będzie musiała skapitulować, robiąc pod siebie. Zimne, twarde podłoże uwierało w kręgosłup. Bolał coraz bardziej. Miała sporo czasu na myślenie, dlaczego doszło do tej sytuacji? Za sprawą śpiącej obok przyjaciółki? Cały czas odpychała ponure myśli, wedle których ta, której zaufała i dopuściła do siebie, odwdzięcza się teraz w tak perfidny sposób za dobro, jakie jej ofiarowała.

Usłyszały jęk metalowej konstrukcji. Piwnica napełniła się snopem światła. Wpatrywały się w sylwetkę schodzącej osoby. Gdy tylko twarz tajemniczego gościa wyłoniła się, Aga rozplakała się jak małe dziecko.

– Za co? Dlaczego, Iwa?!

– Stałaś... a w sumie nadal stoisz mi na drodze.

Wyciągnęła zza siebie jakiś przedmiot. Sikorska rozpoznała kształt ludzkiej nogi. Krzyczała i rzucała się, jakby ktoś właśnie przysmażał ją na wolnym ogniu.

– Nie, nie! Cśś! Ty tak nie skończysz. A Olka przeżyje – położyła nogę między związanymi dziewczynami. – To ku przestrodze, żebyś wiedziała, że to nie zabawa.

– Chcesz pieniędzy? O co chodzi?

– Mam dość swoich. Poczekaj.

Wstała, wyjmując z kieszeni spodni telefon.

– Bardzo ładny, ale niestety nie znam kodu PIN.

– Idź w cholerę!

– Aga, zachowuj się rozsądnie, to może wszystko się ułoży!

– Nie wierz kurwie...

Poderwała się, po chwili kucając ze śrubokrętem przy kikucie Olki, podnosząc go lekko. Jęknęła.

– Chcesz, żeby cierpiała? PIN!

– Nie chcesz tego robić...

– Raz... dwa... – zrobiła spory zamach.

– 1208, 1208!

Narzędzie upadło na podłogę.

– Data ślubu? Zabawna jesteś. Zobaczmy, czy nie kłamiesz.

Przepisała kod. Urządzenie odegrało melodyjkę.

– Dziękuję – wstała, ruszając ku drzwiom.

– Iwa...

– Tak? – zatrzymała się.

– Nie wiem, czym ci zawiniłam, ale przepraszam...

Zawróciła, stając po chwili za nią. Usiłowała przechylić głowę, aby zobaczyć, co oprawczyń kombinuje, jednak znajdowała się poza zasięgiem wzroku. Trzask w kolanie sugerował, że kuca lub siada. Poczwała, jak kobieta bierze jej głowę w dłoń.

– Spokojnie. Podnieś, podnieś.

Szlochając, wykonała polecenie.

Podłożyła jej udo, głaszcząc spłakaną kobietę po policzkach i twarzy.

– No, już, już. Wszystko będzie dobrze.

– Wariatka!

Zignorowała Warzechę, poświęcając całą uwagę Adze.

– Po prostu nie miał wyboru. Poznaliście się, kiedy tu jeszcze nie mieszkałam. Nie miał jak dokonać właściwej decyzji.

– Darek?!

– Tak, skarbie.

– Na litość boską. Chodzi ci o faceta?! Po to to wszystko?!

– Dokładnie. Nie mów nic. No, spokojnie, oddychaj.

– Jego też tak załatwisz jak nas, łgarzu?

Szarpnęła ją za włosy.

– Zachowuj się!

Momentalnie opanowała się, znów tuląc ją do siebie.

– Głuptas z ciebie. Większy niż się spodziewałam. Chcę go. Tak! Ale w nieco inny sposób – nachyliła się, dotykając obrączki Sikorskiej.

– I zabijesz w imię tego?

– Kto mówi, że zabiję? Po prostu usunę.

– Wypuść nas, to sama się usunę. Słowo!

– Kochasz go?

Nie odpowiedziała, rugając się w myślach za poprowadzenie rozmowy w tym kierunku. Opuściła wzrok.

– No przecież widzę, że kochasz. Dlatego się nie usuniesz, czyli nie mogę cię wypuścić, Aga. Wracamy do punktu wyjścia. Naprawdę chciałam, aby do tego nie doszło, jednak Dareczek ciągle myśli, że należysz do niego, a on do ciebie. Mimo tej całej roboty, jaką sama wykonałaś, aby tak nie było!

– Iwa...

– Nie przerywaj. Robiłam, co mogłam, aby od ciebie odszedł. Słowo! Przyrzekam! – głos się jej łamał. – Ale inaczej chyba się nie da. A nie ustąpię.

Opuściła jej głowę delikatnie na podłogę. Sikorska miała przed sobą wygiętą w jakimś dziwnym grymasie, zachodzącym w obłęd twarz byłej przyjaciółki. Dostrzegła, jak ta stawia bosą stopę na gardzieli Olki.

– Tę szmatę bym zabiła, ale obydwie musicie jeszcze żyć. Choć to raczej ostatnie spotkanie – wycofała nogę, wkładając ją do kaptura.

– Nie zostawiaj nas tak, Iwa!

– Żegnajcie – ruszyła ku wyjściu.

– Co z nami będzie?

– Ty kurwo!

– Oj, kochane. Nie chcecie wiedzieć – dobiegło ze schodów. Po chwili kłapa się zamknęła

– Iwa! Iwa! Stój!

Krzyczała jeszcze przez kilka minut. Złamana, zaczęła cicho szlochać, modląc się do Stwórcy o ratunek.

Roztrzęsiona usiadła na schodach wiodących na poddasze, przecierając spłakane oczy dłońmi. Po dłuższej chwili z trudem opanowała drżące ręce. Wytarła nos w rękaw koszuli i

powoli zaczęła znosić bagaż do samochodu. Nieco po dziewiętnastej, mając pewność, że wszystko co do niej należy i co chciałaby zatrzymać, zostało zabrane, stanęła przy drzwiach wejściowych, zerkając w głąb chatki. Koszyk z wypakowanymi rzeczami cały czas znajdował się tam, gdzie go postawiła – nieopodal kuchni. Spakowane walizki dziewczyn stały obok, jakby czekając na właścicielki. Te jednak nie nadchodziły.

Opuściła chatkę, przyklejając naprędcę na drzwi białą taśmę okienną. Ten sam ruch powtórzyła na szybie od strony kierowcy w samochodzie. Weszła do wnętrza pojazdu, opuściła fotel najniżej, jak tylko się dało, po czym wydobyła z kieszeni telefon Agi. Przez chwilę obracała go w dłoniach, jakby walcząc ze sobą. Wyjęła kartę SIM, położyła obok skrzyni biegów, uruchomiła urządzenie i wzięła się za przeglądanie wiadomości w trybie off-line. Dokopała się do korespondencji, która jednoznacznie sugerowała, że poza Olką ta szmata wszystkich – od dawien dawna – miała w głębokim poważaniu. Głupie kurwy. Jeśli jakaś część Iwy cały czas wahała się co do ostatecznej decyzji, jaka zbliżała się z każdą kolejną godziną, tak teraz była w stu procentach przekonana, że obydwie zasłużyły na swój los. Ileż by dała, żeby teraz razem z ukochanym przeglądać w milczeniu te głupie SMS-y. A jakby tak udało się go zachęcić do zejścia na dół, do piwnicy? Usłyszeć z jego ust, stojąc za jego plecami, podczas gdy Dareczek wpatrywałby się w zniewoloną żonę „Zawiodłaś mnie. To koniec”. Z oczu popłynęły łzy. Na twarzy zaczął malować się błogi uśmiech. Wyłączyła telefon, chowając go niczym trofeum do schowka. Wiedziała, że jedyne co teraz może zrobić, to czekać. Problem Sikorskiej i Warzechy był bliski ostatecznego rozwiązania.

Piwnicę wypełnił cichy, rwany płacz Agnieszki.

– To moja... wina. Przepraszam, Ola.

– Ktoś się w końcu skapnie, że nas nie ma. Wszyscy wiedzą, że pojechaliśmy tu z nią.

– I co dalej?!

– Znajdą nas. Zobaczysz.

– Jak twoja, wiesz...

– Boli.

– Już nie wytrzymam. Siku muszę!

Odwróciła się ku niej. Poobijana twarz emanowała spokojem.

– Serio się takimi detalami zamartwiasz? Szczaj, jak musisz. Mam nadzieję, że nie utoniemy w gównie i moczu, zanim nas uratują – usiłowała zmusić się do uśmiechu, jednak solidnie obita twarz uniemożliwiła to.

– Nie musisz być taka twarda.

– Tylko dzięki temu się całe życie trzymam, Aga. Nie mam niczego poza pracą i tobą. Może to wszystko przeze mnie?

– Nie mów tak, kochanie.

– Może wystarczyłoby, gdybyśmy tylko, wiesz, po robocie czasem gdzieś wyskoczyły?

Wtedy by zauważył, że ta gnida owija go wokół palca.

– Nie owija.

– Sama słyszałaś, co gadała, wariatka!

– Ech. Jest, jaki jest, ale znajdzie nas. A jak nie on, to policja. Przepraszam, ... muszę...

– Lej, lej.

Lekko szlochając, usiłując podnieść pupę, aby zachować chociaż odrobinę suchego, nie obszczonego ubrania opróżniła pęcherz. Opadła na mokrą posadzkę, dysząc.

– Chciałam rzucić tę robotę.

– Nie ty jedna.

– Ale od przyszłego miesiąca. Doskonale wiedziałam, czym to grozi. W sumie ten wyjazd

to mogło być takie jakby pożegnanie. A teraz...

– Rzucisz, jak nas uwolnią. Spokojnie. Razem rzucimy.

– Co z nami będzie? Zostawi nas tu na śmierć?

– Nie mam pojęcia, jaki idiotka ma plan. Ale nawet w necie wrzuciłam linka, gdzie jedziemy. Mamy rezerwację w hotelu na moje nazwisko. To kwestia czasu. Spokojnie!

– Oby nam tego czasu wystarczyło.

– Zawsze spadam na cztery łapy. Teraz to już na trzy i pół – zerknęła na leżącego między nimi kikutą. – Ale i tak się wykaraskamy.

Piwnica napelniła się ciszą. Olka chciała roztoczyć przed przyjaciółką wizję tego, jak odwdzięczy się Iwie za ten koszmar, jednak dostrzegła, jak ta po raz kolejny zażarcie walczy ze sznurami krępującymi nogi i ręce. Złość i wola przeżycia to najlepszy mobilizator. Postanowiła zamilknąć, ograniczając się do obserwowania zmagania.

Krzyknęła głośno, podrywając się na dźwięk pukania w szybę. Z impetem uderzyła w dach pojazdu, chwytając się za czoło. Powoli zza dłoni zerknęła w lewo, w stronę szyby od strony kierowcy, skąd dobiegał dźwięk. Z rosnącym zdziwieniem przyjęła, że już świta.

– Przespałam niemal 13 godzin?! – wyszeptwała.

Dostrzegła wielką, masywną pięść, która raz jeszcze zapukała – tym razem nieco głośniej. Dopiero teraz zauważyła ubranego na czarno faceta w kominiarce. Zerknęła przed siebie. Obok domku stała nieduża ciężarówka z logo zakładów mięsnych ustawiona tak, jakby załadunek miał pochodzić z wnętrza chatki.

Podniosła się, otwierając drzwi. W myślach przebiegło jej, że przez całą noc spała przy niezablokowanych drzwiach! Gdyby tajemniczy mężczyzna chciał ją skrzywdzić, już dawno by to zrobił. Otworzyła. Facet, obserwując ją ciągle, zrobił krok w tył. Poczula na twarzy rześkie, poranne powietrze.

– To ty?

Przecząco pokręcił głową, dłonią wskazując anonimowego kolesia w kominiarce, ciekawie komponującej się ze strojem pracownika firmy z sektora mięsnego, zasiadającego w szoferce.

– Mogę?

– Czekaj. Ręce w bok, nogi szeroko. Sprawdzę cię.

Wykonała polecenie. Paker gwizdnął, jednocześnie wystawiając kciuk ku niebu, dając znać koledze w szoferce, że jest czysta.

– Idź.

Wolnym krokiem, włączając nogami po leśnym podłożu podeszła do szoferki. Mężczyzna otworzył drzwi i stanął przed nią, podpierając się rękoma w talii.

(Boże, co ja robię...)

– Czy ty...

– Tak. Proszki ciągle działają?

Aż westchnęła głęboko, słysząc po raz pierwszy prawdziwą barwę głosu.

– Tak, tak. Jak się do ciebie zwracać?

– Jak zawsze. Gdzie są?

– W piwnicy. Jak kazałeś.

– Były problemy?

– Nieduże. Jedna nie chciała pić to musiałam ją siekierą...

– Ja pierdołę! Ale żyje?! – małe, szare oczka filowały ją niczym rentgen, aż na policzkach

Iwy pojawiły się łzy.

– Tak. Zatrzymałam krwawienie.

– Oby bo jak się okaże, że nie, to wskoczysz na jej miejsce, dziwko. Wszystkie rzeczy pozbierałaś?

– Tak. W domu, jak kazałeś – szlochała.

– Spoko, to tylko biznes. Prowadziłem cię za rękę i teraz po prostu spłacasz w całości dług. Chodźmy po nie.

– Muszę?

– Co, pękasz?

Skinęła.

– Ech. Szkoda słów – wyciągnął ze schowka jakąś fiolkę i strzykawkę. – Przecież dostaną głupiego Jasia!

– Nie chcę!

– Poradzisz sobie z tym w życiu?

– Oby. On mi pomoże. To tylko dla niego. Nie jestem taka, jak myślisz!

– Stul pysk. Jasne, że nie jesteś – usta, ledwie widoczne zza kominiarki wygięły się w ironicznym uśmiechu. – Powiniennem wiedzieć coś jeszcze?

– Miały rezerwację w hotelu. Podobno niedaleko stąd. Nie padła nazwa, ale jakiś dobry. No i samochód...

– Wozem się nie martw. Telefony w domu, razem z rzeczami?

– Telefon. Tylko jeden.

– Jak to?!

– Ta druga nie wzięła. Taki kaprys miała – skłamała.

Roześmiał się.

– No dobra. Zaraz to moi chłopcy sprawdzą. W domku pewno w chuj nabrudzone?

– Trochę krwi, ale...

Poczuła, jak wielkie łapy chwytają ją za barki i odwracają ku szoferce, aby z impetem nią weń cisnąć. Zmrużyła oczy, jednak pędząca ku niej pięść wyhamowała tuż przed twarzą.

– Przeginasz. Gdyby nie to, że musisz ładnie wyglądać, zrobiłbym ci wisiołek z zębów. Krew, jakieś akcje z siekierą, hotel chuj raczy wiedzieć gdzie. Coś jeszcze?

– To wszystko. Słowo!

– Idiotka. No nic. Słuchaj mnie teraz bardzo uważnie. Zacznie się niebawem sprawa.

Zaginięcie. Będzie dużo policji i pytań.

– Wiem, co mówić, wiem. To co...

– Ćwiczyliśmy. Dokładnie. Nie spisałaś tego nigdzie, prawda?

Zaprzeczyła.

– Zuch. Kiedy się z nim widzisz?

– Może w poniedziałek, góra wtorek.

– Wypierdalasz stąd dzisiaj. Teraz. Posprzątam twój burdel i obym nie musiał cię więcej oglądać – zdjął łapę z jej ramienia. – E! – przywołał kolegę – idziemy na łowy.

– Dziękuję, D.B.C.

– Znikaj, zanim się nie rozmyślę co do twojej osoby.

Ruszyła truchtem ku samochodowi. Gdy chwyciła za klamkę, usłyszała raz jeszcze jego głos.

– E!

Odwróciła się.

– Mam oko na ciebie i pana Sikorskiego. I posprzątaj wszystko w domu. Odwiedziłem cię i to, co tam jest, to z miejsca się łapie pod psychiatryk, babo. Załatw to!

Wsiadła do forda, przekręcając kluczyk w stacyjce. Pojazd zawył, z rykiem opuszczając

przekłętą chatkę. D.B.C. otworzył drzwi od części załadunkowej, wypuszczając dwóch siedzących tam kumpli.

– Emil, przejrzyj rzeczy i załatwisz samochód. Siny i ja posprzątamy ten burdel, a Tomki wywożą towar. Widzimy się wieczorem – zarządził.

Z samochodu wyciągnął jakieś plastikowe pojemniki i rękawiczki, rozkładając je przed drzwiami.

Z sennego letargu wyrwał je odgłos jęczącej zasuwy. Po chwili na schodach zadudniły kroki. Patrzył, jak zahipnotyzowane. Na widok twarzy w kominiarkach, Aga ożywiła się.

– Policja?!

W milczeniu podeszli, zerkając na uwięzione kobiety. Uwagę jednego z nich przykuł kikut Olki. Schylił się, zabrał nogę i ruszył na parter.

– No powiedz coś, człowieku!

Olka dostrzegła, jak w jego dłoniach połyskuje strzykawka z tajemniczą zawartością.

– Nie...

Kucnął, wbijając igłę w szyję.

– Coś ty jej?! Trucizna? Pomocy! Na pomoc!

Powoli napełnił strzykawkę kolejną dawką, przymierzając się do szyi Agi. Wierzyła, toteż musiał przytrzymać głowę, aby wykonać zastrzyk. Poczula pieczenie, które po chwili przeszło w przyjemne, rozlewające się, ciepło. Obraz zaczął się zamazywać.

– Ty ch...u...u... – nieprzytomna zamknęła oczy, płytko oddychając.

Po chwili, obydwie leżały w bagażówce, oddzielone od świata szczelnie zamkniętymi drzwiami.

– Istny cyrk z tą nogą.

– Miała ta blondi jaja, tak nakurwiać z siekierą. Jak to załatwimy?

– Nijak. Tak czasem bywa, Tomuś. W zasadzie to kacapy miały obiecane dwie sztuki, a dostarczymy trzy – zaśmiał się.

– Ale...

– Nie dyskutuj! W nodze nie ma żadnych ważnych, przydatnych organów. Kasa się będzie zgadzać, a jak ten brodaty sukinsyn będzie miał z tym problem to albo niech wypierdala, albo niech się kontaktuje osobiście. Na jego miejsce mam ze trzech chętnych! Łapiesz?!

– Łapię.

– No to jazda, chłopcy. I do wieczora – zaczął wnosić wiadra do domku, po chwili dobywając z kieszeni maskę. Pojazd zniknął z drogi dojazdowej, znikając gdzieś między drzewami. Dwie nieprzytomne kobiety, będące jedynym ładunkiem, podążały ku nieznanemu miejscu.

Niedziela

Wyczerpana intensywnie spędzonym sobotnim popołudniem i wieczorem obudziła się dopiero w niedzielę, wczesnym popołudniem. Wokół łóżka Iwy leżało kilkanaście reklamówek, pełnych targanych malunków, które dotyczyły ukochanego oraz dziewczyn. Wczoraj, pod osłoną nocy udało jej się zrobić kilka kursów do osiedlowego śmietnika jednak uznała, że podejrzanym będzie, jeśli wścibscy sąsiedzi dostrzeżliby, że nagle wyrzuca tak duże ilości śmieci. Postanowiła, że będzie działać metodycznie i w ciągu całej niedzieli, porozwozi odpadki po kilku śmietnikach rozlokowanych na wielu osiedlach, mieszczących się w granicach administracyjnych miasta. Kusilo ją, aby odszukać jakieś dzikie wysypisko i spalić tam wszystkie odpady w cholere, jednak wiedziała, że łatwo byłoby wpaść, co z kolei ściągnęłoby na nią dziesiątki niewygodnych pytań. Ręką wymacała telefon, walający się gdzieś na łóżku. Ze zdumieniem przetrzała oczy, dostrzegając aż czternaście nieodebranych połączeń od Dareczka. Było też kilka SMS-ów z

wołaniem o jak najszybszy kontakt. Nie wiedziała, jak ostatecznie D.B.C. rozwiąże problem. Czując, jak serce coraz bardziej wrywa się z klatki piersiowej, postanowiła oddzwonić. Odebrał po jednym sygnale.

– No, hej. Dzwoniłeś – siliła się, aby głos brzmiał naturalnie.

– No chociaż ty odbierasz. Co się z tobą działo od wczoraj, wszystko dobrze?

– Już w domu jestem. Odsypiałam po długiej podróży. Sorry. A co?

– Nie mam kontaktu ani z Agnieszką ani z Olą. Skontaktowałem się z jej byłym i on też nic nie wie!

– Ojej. Co zamierzasz?

– Do ciebie też nie dzwoniły? Żadnego znaku życia?

Przed oczyma mignęło jej przerażone spojrzenie Sikorskiej, gdy żegnała się, wychodząc z przekłętej piwnicy.

– Nie...

– Chyba zgłoszę to na policję jako zaginięcie.

Do oczu zaczęły napływać jej łzy. Nie panowała nad oddechem. Odsunęła słuchawkę od twarzy.

– Halo, Iwa? Jesteś?

– Yhm...

– , że zaginięcie!

(Skup się. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz trzeba kłaść podwaliny pod wspólne szczęście!)

Z całej siły wbiła się paznokciami w pierś, jęcząc z bólu.

– Już jestem... ach. Wybacz! No Darek, a w tym hotelu co miały jechać?

– Dzwoniłem do wszystkich w promieniu 50 kilometrów. Nie było ich zbyt wiele.

Ustalilem, że miały się zatrzymać w Capricornie. Nie zjawiły się.

– O Boże. To może faktycznie trzeba działać?

– Przyjedź do mnie. Albo ja do ciebie?

– Przyjadę. Moja obecność na policji i tak będzie niezbędna. Daj mi pół godziny, tylko się zorganizuję, dobrze?

– Dzięki , Iwa. Razem pójdzie łatwiej.

– Spokojnie. Na pewno to po prostu jakieś wielkie nieporozumienie.

Rozłączył się. Podniosła koszulkę, mierząc przerażonym wzrokiem wielką ranę na piersi. Wszędzie obok znajdowały się stare strupki i siniaki, będące mapą emocji Iwy, która z trudem była w stanie panować nad sobą. Zażyła lekarstwa, popijając je kranową, zjadła bułkę z miodem, powoli ubierając się do wyjścia. Zabrała dwie reklamówki pełne śmieci, których pozbyła się po drodze, wrzucając zawartość do odpadów niesegregowanych. Po dłuższej chwili pukała w drzwi od mieszkania Dareczka.

– Cześć, wejdz.

– Tak się martwię – przytuliła go lekko, chłonąc jego zapach. Z każdym oddechem czuła, jak spokój na nowo wlewa się w jej duszę. – Będzie dobrze, to się wszystko wyjaśni.

– Chodź, pojedziemy samochodem Agnieszki. Znajomy robi w Komendzie Powiatowej. Masz dokumenty?

Przepuścił ją przez próg.

– Tak. Chodź, Darek. Miejmy to szybko załatwione.

Przy ścianie stało nieduże, wysokie na metr lustro. Zaintrygowany, nie spodziewając się w policyjnej poczekalni takiej atrakcji zerkał to na siebie, to na innych petentów. Starsza pani z

trzęsącą się ręką, jakichś dwóch nieogolonych typów, którzy jednak z twarzy wyglądali na całkiem przyzwoitych ludzi. Przy okienku jakiś młody chłopak właśnie usiłował przekonać dyżurnego, żeby pozwolił mu spotkać się z funkcjonariuszem Balickim, zupełnie ignorując powtarzane przez policjanta słowa, że ów Balicki jest obecnie bardzo zajęty.

Ładnie razem wyglądamy – zerkała co jakiś czas w zwierciadło, pilnując się, aby nie uśmiechnąć się zbyt wyraziście, nie chcąc, aby pomyślał sobie coś złego. Czuła, że już wkrótce będą jednością. Coś, co wielokrotnie oglądała na filmach, na co liczyła z kilkoma innymi mężczyznami, jacy przewinęli się przez jej życie w tym mieście po raz pierwszy było na wyciągnięcie ręki. Siedział obok, pozwalając co jakiś czas gładzić się po ramieniu. Czuła, że już wkrótce powtarzane teraz jak mantrę „wszystko będzie dobrze”, zastąpi wypowiedziane przez nią „Kocham Cię”, aby po chwili usłyszeć od Dareczka odpowiedź: ja Ciebie też, skarbie.

Do okienka podeszła kolejna osoba.

– Ileż to, kurwa, może trwać – wyszeptał.

– Nic ci nie da, że się będziesz jeszcze bardziej denerwował. Jesteśmy następni. No, hej. Będzie dobrze.

– Oby...

Ciekawe, jak szybko nauczę się podpisywania nowym nazwiskiem? Iwa Sikorska? A może Iwa Lesiewska-Sikorska? W sumie, I.S. to po angielsku jak is, czyli jest. Czyli jesteśmy. Ja i on. Razem. Pewnie to będzie tylko wstępne przesłuchanie i protokoły. Dobrodziej zawsze powtarzał, że takie sprawy policja rozpatruje z szybkością walca sunącego pod górkę. Uśmiechnęła się, szybko pokorniejac. Kupię nowy komputer. Dyski twarde. Nigdy więcej TOR-a, ani żadnych matactw. Wszystko to, co zrobię, może rzutować na niego. Na nas.

Z zamyślenia wyrwał ją Darek, szybko podnoszący się z krzesła.

– Chodź!

Westchnęła, podążając za nim. Wycofała się z rozmowy, godząc się, aby to on wszystko załatwił. Pызaty oficer dyżurny po cichu, jakby walczył właśnie z chrypką, przywitał ich.

– Słucham państwa?

– Chciałem zgłosić zaginięcie żony. Rozmawiałem z inspektorem Podleśnym, to kolega, który powiedział, że na pewno szybko zajmiecie się sprawą.

– Z Podleśnym pan mówisz? Hmm – zamyślił się. – Poproszę dokumenty.

Iwa dała dowód osobisty, Darek okazał policjantowi prawo jazdy. Funkcjonariusz po chwili przepisał dane do komputera.

– Kto dokładnie zaginął?

– Żona. Agnieszka Sikorska.

– Żona – powtórzył, zerkając na stojącą za nim blondynkę.

– Na wyjeździe. Jechały z przyjaciółką do Puszczy Białowieskiej. Najpierw z przyjaciółką do domku, a potem... ta przyjaciółka, Aleksandra Warzecha...

– Spokojnie, drogi panie. Wiem, że to sytuacja stresogenna. Ag-nie-sz-ka Si-kor-ska i kto?

– Aleksandra Warzecha.

– Wa-rze-cha – zanotował na kartce. – Dobra. Pan poczeka, za chwilę wywołam państwa i powiem, jaki oficer będzie prowadził sprawę. Ma pan dane zaginionej, zdjęcie jakież?

– Mamy, mamy.

– Dobrze. Zatem poczekajcie jeszcze chwilę. Na pewno wszystko się wyjaśni. Ile minęło od zaginięcia?

– Więcej niż ustawowe 24 godziny – uciął, wybijając dyżurnemu pałeczkę z ręki.

– Następny! – zignorował go. Starsza pani szybko doczłapała do okienka. Wrócili na

krzesła. W poczekalni nie zameldowała się ani jedna nowa osoba, co pozwalało żywić nadzieję na to, że mimo ograniczonej ilości funkcjonariuszy w wolną dla większości społeczeństwa niedzielę uda się pchnąć sprawę na przód.

– Co się mogło stać?

– Darek, nie zamartwiaj się tym. To nic nie wnosi.

– Obserwował was ktoś? Śledził? A może zaczepił, jak miałyście postój?

– Nie wydaje mi się.

– A gdzie stawałyście, ile razy?

– Oj no, ze dwa. Na autostradowym MOP-ie i stacji paliw. Ale to wszystko policja przecież ustali.

– Jak na stacji to pewno są kamery. Trzeba zabezpieczyć nagrania.

– Hej – wzięła go za rękę. Wreszcie, wyrwany z szoku, powoli przeradzającego się w panikę, spojrział na nią. – Naprawdę wszystko się wyjaśni.

Pokonany brakiem argumentów i ciepłym, pewnym spojrzeniem wbił wzrok w podłogę, co jakiś czas lekko szurając butami po posadzce i malując jakieś niewidzialne wzorki, których znaczenia nie znał nawet on.

– Sikorski! Proszę!

– Iść z tobą?

– Tak.

Przy okienku, poza oficerem dyżurnym czekał wysoki, dobrze zbudowany policjant w stroju cywilnym. Uśmiechnął się lekko w stronę Darka.

– Kopę lat. Szkoda, że w takich okolicznościach. Chodźcie za mną.

Dyżurny nacisnął na przycisk domofonu. Pociągnęli solidne, metalowe drzwi ku sobie. Ustąpiły gładko. W korytarzu Darek przywitał się ze starym kolegą.

– Cześć, Irek. To – wskazał na swoją towarzyszkę. – Iwa, przyjaciółka. Była z Agą i Olką, drugą z zaginionych, na wyjeździe.

– Miło poznać – wystawił rękę.

Nieco spanikowana, jakby obawiała się, że gdy tylko odpowie na jego gest, na jej ręce pojawią się kajdanki ledwie musnęła jego dłoni.

– Wzajemnie.

– Chodźcie. Zaraz pchniemy tę sprawę do przodu.

Podleśny miał nieduży, współdzielony z kimś gabinet na pierwszym piętrze. Stare biurko, obrotowe krzesło, jęczące przy każdym ruchu, płaski nowoczesny monitor ciekawie grający z jęczącym głośno, wołającym o wizytę u informatyka komputerem. Zasłonięte roletą okno, wpuszczające mało światła roztaczało nad pomieszczeniem zagadkową atmosferę. Zasiadli na starych, drewnianych krzesłach.

Zadawał sporo konkretnych pytań. Ze względu na to, że Iwa była tą, która również brała udział w wyjeździe, przyszło jej odgrywać pierwsze skrzypce. Streściła plan wyjazdu, trasę, jaką pokonali, opowiedziała o domku w lesie, nad jeziorem oraz nacisku, jaki od samego początku wywierała na nie Olka, aby zarzucić pobyt w domku i udać się do jakiegoś bardziej komfortowego miejsca. Zeznała, że już wcześniej wiedziała o przymiarkach, jednak nie zdecydowała się na wyjazd, zostając na miejscu i życząc, aby dobrze się bawiły. Padło kilka pytań o wzajemne relacje, wspólnych znajomych w okolicy. Sympatyczny policjant pytał także o zainteresowania oraz historię znajomości. Poczęstowała go oficjalną wersją. W kwestii relacji nie pochwaliła się tym, jak dogłębnie poznała Warzechę, użynając jej część nogi siekierą. Z przekonaniem, patrząc wprost w czujne oczka stróża prawa, opisała załączki przyjaźni oraz dalszy rozwój wypadków, który zaprowadził ich ostatecznie do tego właśnie miejsca.

Swoje kilka minut miał także Darek, który w niewyszukanych słowach wypowiedział się o destrukcyjnym wpływie Olki na ich związek oraz kłótnię, która zaowocowała tym, że nie mógł być tam razem z nimi, bowiem nie chciał wywierać presji i pozwalając, aby złe emocje rozeszły się samoistnie, bez tego całego rytuału łożenia i przeproszenia za rzeczy, które nie do końca wynikały z jego winy. Poinformował też Podleśnego o rozmowach z Iwą, dzięki którym dowiedział się, kiedy dziewczyny opuściły domek i ruszyły w trasę, co bezpośrednio zaważyło na zgłoszeniu zaginięcia. Po blisko godzinie wychodzili z gabinetu Podleśnego. Zamknął drzwi na klucz, decydując się na odprowadzenie starego, licealnego kompana.

– Co teraz będzie?

– Poinformujemy posterunki z tamtej okolicy o zaginięciu. Dobrze, że załatwiłeś ich zdjęcia i numer pojazdu. A ta Warzecha sama jest?

– To rozwódka. Dzieciata. Jak rozmawiałem z jej byłym przez telefon, żeby mieć pewność, że wszelki kontakt się urwał, facet nie sprawiał wrażenia, jakby się jakoś przejął.

– Wyłowimy go sobie i przesłuchamy, chociaż nie widzę w tej chwili związku ze sprawą.

– Dużo macie takich spraw? – wtrąciła.

– To zależy, jak na to spojrzeć. Często giną starsi, często chorzy ludzie, w wakacje dzieciaki na gigancie, ale znaczący odsetek problemów rozwiązuje się samoistnie. Byłbym dobrej myśli. Darek, tu masz namiar, jest też telefon komórkowy, wał jak w dym – wsunął mu w dłoń kartonik przyozdobiony wielkim logo Policji.

– Będziemy jeszcze wzywani?

– W chwili obecnej nie, pani Iwo. Teraz pozwólcie robić naszą pracę. Wiem, że to trudne chwile, zwłaszcza dla ciebie, stary, ale wiesz, jak to działa.

– Wiem, wiem. Ale czemu akurat ona? W sumie one?

Rozłożył ręce, opuszczając wzrok. Po chwili zamykali drzwi od komendy. Przywitało ich rześkie, chłodne powietrze i mokre chodniki zdradzające, że całkiem niedawno skończył padać deszcz.

Zerkała na Dareczka, mierząc go uważnym, czułym spojrzeniem. Popłynął. Jego umysł skupiał się tylko i wyłącznie na tym, aby w jakiś cudowny sposób powiązać szereg niewytłumaczalnych zdarzeń, odnaleźć wspólny mianownik i ocalić ukochaną. Zaczął mocno wzdychać, zupełnie jakby chciał, aby teraz go o coś zapytała. Iwa podjęła grę.

– Co się dzieje?

– Może byśmy pojechali tam? Wiesz, poszukać.

– Jeśli sobie zażyczysz to nawet zaraz, ale jeszcze przed chwilą kolega prosił, żeby dać im pracować. Nie sądzisz, że takie niuchanie na własną rękę, to utrudnianie śledztwa?

Spojrzał uważnym wzrokiem.

– A ty tak myślisz?

– Ja się przede wszystkim strasznie niepokoję o Agę. O Olkę nawet ewentualnie trochę też – usiłowała rozładować gęstniejącą atmosferę.

– Ale jak na ciebie patrzę, Darek... Dareczku... To, ych, boję się, czy po drodze w takim stresie żadne z nas nie spowoduje wypadku i dojdzie do sytuacji, kiedy Aga się znajdzie i przyjdzie jej identyfikować nasze ciała.

(Mogę umrzeć z tobą nawet teraz. Jedno słowo, ukochany!)

Zwolnił kroku, przenosząc wzrok na zachmurzone niebo, jakby usiłował dopatrzeć się tam odpowiedzi na pytanie, co należy zrobić.

– Może i masz rację. Co proponujesz?

– Ty podejmij decyzję. Będę ci towarzyszyć, jeśli sobie zażyczysz, ale nie mogę wywierać presji. To co robimy?

– Poczekam. Poczekamy. Ale góra kilka dni. Nie mam zaufania do psów. Cholera, dobrze byłoby tam kogoś na miejscu znać albo jakąś szybę, bo przecież poszukiwania będą prowadzić tamtejsi.

– Nie martw się. Jak sprawa idzie z polecenia innego policjanta to wiadomo, że szybciej się za to wezmą. A ten Podleśny wyglądał na konkretnego typu.

– Ech. Boże, co to się porobiło.

Oparł się o jej pojazd, z namaszczeniem gładząc drzwi, na których cały czas znajdowało się kilka kropel wody. Pod wpływem dotyku ożywały na moment, sobie tylko znanymi ścieżkami pokonując odległość dzielącą je od podłoża.

– Dasz radę prowadzić?

– Tak, dam, spokojnie.

– Potowarzyszyc ci w domu? A może chcesz pobyć sam?

– Zostań trochę. Może raz jeszcze powtórzmy to, co już wiemy i przypomni się coś, co zapomniałaś?

Była na to przygotowana, jednak teraz bez chwili zawahania opowiedziałaby mu o części oficjalnej wyjazdu nawet sto razy. Z każdym słowem mierzyłaby go coraz bardziej czujnym spojrzeniem, chłonąc każdy centymetr twarzy, każdy ruch ust, gest, ucząc się go na pamięć. Niepozornie odwróciła się ku posterunkowi, z całą siłą wgrzyzając się w policzek. Podążył wzrokiem za nią.

– Wszystko dobrze?

– Tak – stęknęła. – Tylko ... to moja wina – spojrzała na Darka. Z jej oczu płynęły najprawdziwsze łzy. Pilnowała się, aby nie wyrzucić z siebie, co dokładnie jest jej winą, jednak to ogólne stwierdzenie podziało. Podeszedł, objął lekko i pozwolił Iwie wypłakać się do ramienia, głaszcząc ją lekko po ramieniu.

– To nie ty. Nie masz sobie nic do zarzucenia. No, hej, hej.

Odsunęła go delikatnym ruchem dłoni. Nacisnął przycisk na kluczyku pojazdu. Centralny zamek szcęknął, zapraszając ich do środka. W absolutnej ciszy pokonali dystans dzielący ich od domu Darka. Iwa, cały czas odreagowując tłumiony przez lata stres po cichu szlochała, on zaś z kamienną twarzą pilnował się, aby jechać zgodnie z przepisami, co jakiś czas zerkając na nią. Gdyby jeszcze zatrzymał ich jakiś patrol, chyba dałby pałkarzowi w pysk, drąc się na niego i pytając gdzie jest jego żona i dlaczego on oraz kolega, który wpierdala kebaba, nie robią wszystkiego, aby jej odnaleźć!

Szcęk zamka. Drzwi zamknęły się za nimi. Późną nocą, mierząc zmęczonymi oczyma nieboskłon Iwa żegnała się z ukochanym zapewniając go raz jeszcze o wsparciu. Gdy tylko oddaliła się od domu na odległość paruset metrów, na twarz wstąpił uśmiech. Rozmarzona wspominała, jak ją tulił, jak dotykał jej ciała, jak rozmawiali na wiele tematów, dla własnego bezpieczeństwa i komfortu psychicznego unikając czarnowidztwa i przewidywania tego, gdzie zaginione dziewczyny mogą się znajdować i co się właśnie z nimi dzieje. Prawie udało się jej namówić Dareczka na partyjkę w państwa– miasta, jednak gdy nagle zmarkotniała postanowiła, że nie warto przekraczać pewnej granicy. Wynajdując naprędce jakieś wyimaginowane zlecenie, zapewniając o tym, jak bardzo go teraz wspiera i modli się o pomyślne zakończenie historii z trudem zmusiła się do wyjścia.

Ich więź – zdaniem Iwy – wchodziła w nowy, nieco bardziej naturalny etap. Mimo że znała prawdopodobne zakończenie historii Sikorskiej i Warzechy, marzyła o tym, aby jak najwięcej uszczknąć dla siebie z tego daru, jaki ją spotkał. Nie od dziś wiadomo, że związki budowane na silnych emocjach mają tendencję do większej zażyłości i uczucia partnerów. Zapewne autorowi poradnika, jaki znalazła kiedyś w sieci nie chodziło o to, żeby żywić się

emocjami wynikłymi z tragicznej śmierci jakiejś osoby, jednak w tej chwili nie miało to większego znaczenia.

Czwartek

Zasmucony zasiadał właśnie w biurze, krążąc po zdjęciach satelitarnych terenu, wychodząc z dość szalonego założenia, wedle którego dziewczyny zgubiły drogę i zablądziły, wędrując po lasach i odludnych terenach. Umysł osoby zdesperowanej potrafi wykreować logiczne podstawy do każdej, nawet najbardziej szalonej teorii, byle tylko obronić ją przed rozmówcami. Zafrasowany Papiś, nie odzywając się kątem oka co jakiś czas mierzył kumpla, jakby chcąc przykuć jego uwagę.

Informacje o zaginięciu dwójki kobiet oraz ich samochodu, wraz ze zdjęciem i numerami rejestracyjnymi widniały na wielu stronach internetowych, których zasięg oddziaływania obejmował obszar poszukiwań. Nawet jeden ogólnopolski portal w dziale regionalnym obwieścił stosowny komunikat. Przeglądał serwisy wiele razy, ze smutkiem mierząc wzrokiem pogodną, szczęśliwą Agę, która patrzyła ze zdjęcia. Pamiętał, że ową fotkę zrobił na kilka tygodni przed podjęciem pracy w HKS-Incho Company. Miał kilka świeższych zdjęć, jednak to właśnie na tamtym wyglądała na osobę szczęśliwą i zadowoloną, która rozmarzonym wzrokiem zerka wprost na człowieka, trzymającego aparat męża.

– Idę zadzwonić – syknął w stronę kolegi, zamykając drzwi.

Z gabinetu wyłoniła się niewesoła twarz redaktora Kozaka. Zrobił kwaśną minę, przecząco kiwając głową w stronę Patryka. Tułścioch bez chwili zawahania odwzajemnił gest.

– Halo, cześć!

– Witaj.

– Irku, wiem, że znowu, ale... coś może masz?

– Rozumiem cię. Ale nic. Jak kamień w wodę. Nawet przejrzelismy nagrania z hotelu, czy aby tam nie przejeżdżały, pracownicy monitoringu w tych miejscowościach, gdzie są kamery sprawdzali od wtorku nagrania z tego czasu i naprawdę, nic.

– Kurwa. To na co idą te publiczne pieniądze?!

Za drzwiami Papiś opuścił wzrok, usiłując naprędce znaleźć jakiś pretekst, aby odwiedzić Kozaka w jego gabinecie, byle tylko uniknąć konfrontacji z podminowanym Sikorskim, gdy zakończy rozmowę.

– Uspokój się, to musi potrwać.

– Łatwo ci mówić! Liczyłem, że po starej znajomości, jakoś to pójdzie wszystko, ale teraz widzę, że jedyne co potraficie, to tylko wbijać punkty za szybkość i kasę doić!

Nie czekając na odpowiedź rozmówcy, rozłączył się.

– Kurwa mać!

Drzwi od gabinetu otworzyły się z hukiem. Nie zerknął nawet na kumpla, od razu podążając w stronę laptopa aby sprawdzić, czy przez te kilka chwil wojewódzka komenda policji nie obwieściła nic nowego w sprawie Agnieszki. Po chwili westchnął głośno i pukając do drzwi szefa, naparł na klamkę.

– Mogę wyjść? – rzucił zza progu.

– Wiesz, że dopiero czternasta?

– Doskonale wiem. Ale muszę.

– Ech. Siadaj – wskazał na krzesło.

Niezadowolony z takiego obrotu spraw zrobił kwaśną minę, jednak usłuchał przełożonego.

– Kiedyś za starego ładu, mieliśmy na Śląsku taką czarną serię zaginięć. Chyba z trzy czy cztery kobiety na przestrzeni jednego miesiąca. Nie wyczytasz o tym zbyt wiele, bo w

socjalizmie jako ustroju idealnym, nie mogło być seryjnych morderców. Opisywałem tę sprawę w podziemnym wydawnictwie.

– Po co szef to mówi?

– Nie chcę opowiadać o tym, co spotkało tamte kobiety. Ważne w historii jest to, że pod koniec lat osiemdziesiątych zaginęła w bardzo podobny sposób jakaś baba. Wszyscy trąbili, że naśladowca, że seryjny morderca powraca. Wiadomo, czasy były inne, ale milicja postawiła wszystkich na nogi. Szukali dwa tygodnie, ani śladu, nic. Rodzina już nawet była po słowie z ZUS–em, że opłata za pogrzeb, że będzie potwierdzenie zgonu i takie tam. Po tych dwóch tygodniach, babka sama z siebie wróciła do domu. Tam wszyscy, że cud. Ona zdziwiona, mąż zapłakany, pyta, czy okup czy ją zgwałcili, czy coś, a ona dalej nic.

– Amnezja?

– Nic z tych rzeczy. Źle się czuła, to poszła do szpitala. Nie mówiła nic rodzinie, bo podejrzewała, że to rak, a nie chciała ich stresować. Nie było raka ani niczego. Dwa tygodnie. Cały aparat szukał głupiej baby, a ona leżała w najbezpieczniejszym miejscu na świecie, troszcząc się o swoje zdrowie. Darek. Słyszałem teraz tę twoją rozmowę z korytarza. Wszyscy słyszeli. Daj im czas. Ludzie bardzo rzadko giną bez śladu, a w XXI wieku to już w ogóle! Czemu chcesz już iść do domu?

– Jechać tam chciałem – zawstydził się.

– Po chuj?

– W sumie to, żeby tam być... ech, nie wiem po co! Nic już nie wiem!

– Daj im jeszcze odrobinę czasu. Nawet sobie nie wyobrażam, co czujesz, ale... no! Spróbuj. Jak chcesz, idź do domu i się najeb, ale odpuść jakieś zabawy w detektywa. Nic byś nie wskórał. Jak za kilka dni nic nie będzie, sam cię tam wyślę, ale na Boga, jest czwartek, a oni zaczęli szukać, realnie patrząc, w poniedziałek. TRZY dni! To jak?

– Do weekendu poczekam.

– Dobrze. Chcesz do domu?

– Nic tam nie mam do roboty. Posiedzę trochę. I przepraszam...

– Spokojnie. Zobacz, co tam nowego na Biuletynie. Może chociaż na moment się od tego oderwiesz.

Poniedziałek

– Słucham cię.

– Potrzebuję pomocy, szefie.

– Co, jednak wyjeżdżasz?

– Nie to. Muszę dostać namiar telefoniczny na Druha.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki aż odkaslnął z wrażenia.

– Że co proszę?!

– Słyszał szef. Potrzebuję kontaktów.

– Kiedy nie mam żadnych.

– To jak się zgadujecie na spotkania jakieś? Skąd wiedział, kiedy omawiamy sprawy, kiedy przyleść do redakcji?

– Nie twoja sprawa.

– Skontaktuje nas pan? Proszę!

– Kurwa, Darek. To nie przejdzie. On jest wysoko.

– Tym bardziej się ucieszysz na spotkanie. Zaręczam. Jak coś nie wyjdzie, biorę to na siebie.

– Ty nie masz czego brać na siebie, bo jak powie nie, to oznacza to tyle, że nigdy go już nie zobaczysz!

– Pieprzenie. Niech szef spróbuje. Błagam!

Rozłączył się.

– Jebany, kurwa – syczał sam do siebie, usiłując rozładować emocje na wielkiej, kanapowej poduszce, która otrzymała kilka solidnych ciosów z pięści.

Popołudnie spędził przy komputerze, usiłując zapomnieć o sprawie, jednak myśli Sikorskiego mimowolnie stale wracały w stronę zaginionej. Jeśli było coś, co mogło boleć faceta aż do szpiku kości, to zdaje się, że tą właśnie rzeczą była niewiedza, umiejętnie wymieszana z pozbawieniem dostępu do informacji, od których w tym momencie zależało tak wiele. Po lekturze for dyskusyjnych wiedział już, że powinien zawsze być pod telefonem, że przecież w większości przypadków ewentualni porywacze kontaktują się i żądają okupu. Nie byli zbyt zamożni, choć bez wątpienia nikt nie nazwałby ich też biednymi. Gdyby zaszła konieczność zapłacenia horrendalnie wysokiej kwoty, byłby bez wahania gotów sprzedać cały gromadzony przez lata dobytek. Rodzina, która już od zeszłego wtorku wiedziała o traumatycznym wydarzeniu, na jego prośbę trzymała się na uboczu całej sprawy. Ograniczał kontakt do minimum, dopuszczając do siebie tylko ją.

Zirytowany raz jeszcze wyszedł pod dom, aby sprawdzić skrzynkę na listy. Przecież nikt nie powiedział, że porywacze nie mogą działać staroświecko i że nie odnajdzie tam anonima. Poza kilkoma reklamami nieduża metalowa skrzynka nie skrywała żadnej interesującej treści. W domu panował nieład. W zlewie, nie czyszczonym od kilku dobrych dni piętrzyły się ubrudzone talerze i sztućce. Zasmucony dopadł do komputera, założył na uszy słuchawki i wybrał ikonkę połączenia głosowego.

– Jak się trzymasz?

– Dno. Dno i metr mułu.

– Przyjechać?

– Może niekoniecznie, syf mam straszny.

– To posprzątaj. Uwierz lub nie, ale to naprawdę pomaga w takich chwilach.

– W tej chwili, moja droga, to już nawet sobie nie wierzę. Wiesz, staram się trzymać, ale jeśli ofiara nie znajduje się po pierwszym tygodniu, to zgodnie ze statystyką szanse znacząco maleją.

– Statystyka. Hm. Statystycznie gdybyśmy szli i trzymali się za ręce, to każde z nas ma jedno jądro.

Roześmiał się.

– Dzięki.

– Za żarcik?

– To też. Generalnie za to, że można na ciebie liczyć. Podłeśny nawet nie odbiera lub miga się, że zajęty, że ma też inne sprawy, a rodzinę z obydwu stron sam postanowiłem odciąć od tego wszystkiego. Wystarczy, jak sobie przypomnę te płacze i lamenty z pierwszych dni, jak to już ją do piachu, skurwysyny, chowały, czy pytały, czemu mnie nie było i chuj wie co jeszcze i od razu aż się chce powiesić na suchej gałęzi.

– Nie mów tak!

– Kiedy taka prawda!

– Ale dajesz znać, co i jak? O nowościach ze śledztwa?

– Dawałbym, gdyby były nowości.

Kątem oka dostrzegł, jak telefon na stoliczku wibruje.

– Ktoś dzwoni. Muszę kończyć.

– Do usłyszenia.

Bez chwili wahania odebrał rozmowę przychodzącą.

– Sikorski, słucham?

– To ja.

Aż oczy mu się zaświeciły. Wstał, rozglądając się po domu i szukając kartki i długopisu.

– Nie spodziewałem się, że do pana dotrze tak szybko.

– Czego chcesz? Z natury nie wchodzę w takie gierki.

– W tę pan wejdzie. Mamy kilka minut?

– Raczej nie. O ile pamiętam, ostatnio odrzuciłeś moją ofertę. Po co się przypominasz?

– Żona mi zaginęła. Policja nic nie może znaleźć. Jak kamień w wodę.

– Niezmiernie mi przykro, Dariusz, ale chuj mnie to obchodzi?

– Nawet pan nie wie, jak bardzo. Spotkamy się? Halo? Halo?

Nikt z drugiej strony słuchawki nie odpowiadał. Spojrzał na historię połączeń, chcąc przepisać numer telefonu jednak ten wyświetlał się jako anonimowy. Próba oddzwonienia również zakończyła się fiaskiem. Z uczucia rozgoryczenia wyrwało go pukanie do drzwi. Zaintrygowany ruszył szybkim krokiem, otwierając przed nieznanym drzwi na oścież.

Ucieszył się, widząc w progu niewysokiego mężczyznę ze śmiesznym wąsem. Uśmiech zszedł mu z twarzy, gdy zorientował się, że facet mierzy do niego z broni palnej. Zrobił krok wstecz.

– Nie zaprosisz mnie?

– Wejdzie... pan? – ostrożnie zaczął stąpać do tyłu.

– Teraz lepiej.

Drzwi zatrzasnęły się.

– Jesteś sam, prawda? Nie czekając na odpowiedź, odpowiedział sobie: – Pewnie, że sam.

No bo z kim, skoro baba porwana.

Wyprostował dłoń. Darek wpatrywał się we wnętrze lufy, wyczekując niechybnie zbliżającej się śmierci.

– Co ty sobie myślisz? Że ja prywatny detektyw? Dzwonisz i zaraz jak w telewizji, helikoptery i pościgi? Siadaj! – wskazał kanapę.

Usiadł naprzeciw Sikorskiego.

– O co chodzi z tą babą?

– Pomoże pan?

– Nie wiem.

– Żona. Agnieszka i jej przyjaciółka, Aleksandra Warzecha zaginęły. Mogę panu na szybko poczytać z Internetu – chciał wstać, jednak szybki ruch dłoni dzierżącej pistolet utrzymał go na miejscu.

– Nie stać cię.

– Jeśli pozwoli mi pan sięgnąć po telefon, przekona się pan, że stać. I że warto pomagać. Pozwolił mu wziąć komórkę.

– Powoli. Jak przyłożysz to do ucha, klnę się, że dostaniesz kulkę. Łapiesz?

– Nie chcę dzwonić, chcę coś pokazać – zaczął skakać po menu, zerkając na niego co jakiś czas.

– O, proszę.

Włączył odtwarzacz. Z głośnika, ku zdziwieniu Druha, popłynął jego własny głos.

– Spokojnie Tadziu, wyjaśnię. Widzisz, Dariusz, korupcja była, jest i będzie. Ona napędza to gówno w jakim wszyscy siedzimy. No to dlaczego od czasu do czasu, aby uniknąć wpadki, nie ma na tym bajzlu zyskać ktoś z rodziny?

– Ale jak zyska, jak nie będzie burmistrza? Sam pan mówił, że go zamkniecie!

– Zarząd komisaryczny. A jako, że część inwestycji ma iść przez procedury unijne, na

wysokim priorytecie, to przecież całe miasto nie stanie tylko dlatego, że udało się zatrzymać kilku idiotów, prawda?

– Komisarza oczywiście już pan zna?

– Tak, znam.

Wyłączył nagranie.

– Mam tego troszkę więcej.

Niewysoki facet wyszczerzył się. Po chwili do nietypowej miny dołączył rwany rehotliwy śmiech.

– Co tam pana bawi?

Opanował się, dłonią przeczesując włosy i czoło, jakby chciał upewnić się, że nie widać po nim, jak bardzo teraz walczy ze sobą, aby go nie postrzelić w imię zasad.

– No, tu mnie masz, mały. I co z tym zrobisz?

– To zależy od ciebie... druhu.

– Idiotą nie jesteś, prawda?

– Jeśli to pytanie o to, czy mam kopię, to owszem. Mam. A nawet kilka.

– Brawo. Bardzo dobrze. Co jeszcze?

– Wiem, że nowy komisarz nazywa się Łukasiuk. A szef firmy, tej co pan podał, to Zbigniew Stoja. Mówił pan, że to szwagier, więc dość łatwo odpowiedni ludzie ustalą, kto nadużywa kompetencji. I nic panu nie pomoże to, że burmistrz za korupcję siedzi.

– Wiesz, jak działa wataha?

– Najślabszy jest izolowany i często wyrzucany, czyli de facto skazywany na śmierć.

– To jedna strona medalu. Druga jest taka, że walczy i rzuca się, raniąc wielu wokóło.

Jeśli już miałbym pójść na dno, to myślisz, że będzie obchodzić mnie taki detal jak to, czy sprzedam ci strzałę w obydwie kolana lub kręgosłup, żebyś do końca życia wpierdalał przez słomkę i srał pod siebie?

– Nie wiem.

– To dla mnie jak wyciśnięcie kolejnego pryszcza. Chcę dostać wszystkie kopie tego nagrania!

– Jak mi pan pomoże, to nie widzę kłopotu.

– Wiesz, jak to jest leżeć i czekać na pomoc w samotności?

– Obym nie musiał się tego dowiadywać. Byłoby zabawnie, gdyby pogrążył pana sparaliżowany dziennikarz, prawda? Koledzy by chyba nie odpuścili?

– Zobaczę, co można zrobić. Jeśli wsypiesz...

– Miałem nie jedną i nie dwie okazje. Trzymałem to nagranie raczej z obawy przed panem, ale jako że okoliczności zmuszają mnie do takich, a nie innych działań...

– Wiesz, że może już być trupem?

– Niestety wiem. Już w sumie przyjąłbym każdą informację ze spokojem. Byle po prostu COŚ wreszcie usłyszeć, jakiś pewniak, czegoś się dowiedzieć!

– Obawiam się, że rozumiem. No to nic – wstał, chowając broń do kieszeni. – Zadzwoń do kilku koleżków, którzy mogą pomóc.

– Ile to może zająć?

– Nie jesteśmy w Ameryce i nie każdego obserwujemy. Jak zadzwonię, to zadzwonię, jasne?

– Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam w tej niepewności.

– Lepiej żebyś nie był w gorącej wodzie kąpany. Takie menty jak ty nad wyraz często mają jakieś niespodziewane wypadki lub nagle dopierdala się do nich fiskus. Czasem ginie składka, czasem uaktywnia się wokół policja...

– Zrozumiałem.

Nie odzywając się ani słowem Druh ruszył ku drzwiom, które po chwili zatrzasnęły się. Złany potem opadł na kanapę, z trudem łapiąc oddech. W głębi serca czuł, że bardzo niewiele brakowało, aby w tej chwili zmierzał na tamten świat. Bez wiedzy o tym, co stało się z Agą.

Tydzień później...

Stary, elegancki pojazd utrzymany w ciemnych barwach zbliżał się właśnie do chatki, którą jako ostatnią odwiedziły Sikorska i Warzecha. Druh zatrzymał pojazd, leniwie otwierając drzwi i chłonąc rześkie powietrze. Lubił pracować wczesnym rankiem. Gdy inni dopiero budzili się do życia, rozmyślając nad tym, w jaki sposób dotrą do pudełka pełnego życiodajnej kawy, on już zapierdalał. I tak od lat. Systematycznie, metodycznie, czasem włączając w poczynania zaufanych ludzi, których jednak nie było zbyt wiele. Obszedł wóz, rozglądając się po okolicy. Po chwili, niczym stary włamywacz, pokonał wiekowy zamek. Drzwi otworzyły się. Przywitał go półmrok. Wymacał włącznik światła. Miał przed sobą schludny przedpokój i widok na izbę oraz kuchnię. Kątem oka zmierzył drabinkę wiodącą na strych i po cichu zaczął zwiedzać zagadkową chatkę, gdzie wszelkie tropy – w tym również i jego kolegów, mających dostęp do wielu baz danych – urywały się.

Pomieszczenia były po prostu nudne, nie wyróżniające się. Nic nie przykuło wprawno oka. Jedynie przez chwilę wahał się co do dziwnie strzępionej w kilku miejscach, drewnianej niby drabinki wiodącej na poddasze, jednak po dłuższym zastanowieniu zarzucił koncepcję, wedle której warto byłoby skupić na tym obiekcie uwagę zaprzyjaźnionych techników. Po godzinie spędzonej w chatce, zirytowany brakiem jakichkolwiek poszlak ruszył ku wyjściu. Stara podłoga jęczała, jednak zrzucił to na karb przetrwania konstrukcji przez nieubłagany czas. Naparł na klamkę, wychylił głowę za drzwi, upewniając się, że nikt nie patrzy, zamknął drzwi na zamek po czym ruszył do samochodu. Westchnął, wybierając numer telefonu.

– Cześć, Adaś. Masz te numery dla mnie?

– Dziwna sprawa. Wygląda to tak, jakby jeden z telefonów miał ostatnie logowanie przy najbliższym maszcie przekaźnikowym, a drugi wydał ostatnie tchnienie dopiero kilka godzin później!

– Przypadek?

– Możliwe. Mogło być nawet tak, że po prostu się rozładował i zdechł. Sam wiesz, że do szczegółowej analizy potrzebny jest podpis starego.

– Wiem, Adaś, wiem. Jak wrócę, porozmawiamy o tym. Poszedłbyś tym tropem?

– A masz inne?

– Chatka wysprzątana, ale nie jakoś tak wiesz, przesadnie. Nic tam nie znajdziemy. A zrobisz jeszcze analizę, czy w tamtej lokalizacji w ciągu 24 godzin było kilka innych zalogowań do sieci komórkowych?

– Jak dasz papier, to zrobię.

– Kurwa. Możesz chociaż coś zasugerować?

– Mogę zasugerować, że żaden z telefonów, które należały do zaginionych nigdy nawet nie dotarł do hotelu, co proszę, żeby sprawdzić. Ani w jego okolicę.

– To nic nie wnosi.

– Ale ucina kilka możliwych nitek.

– Załatwię ci papier. Przejadę się lokalnymi drogami. Warto gdzieś zajrzeć na hamburgera?

– Nic mi się nie nasuwa. Zadzwoń na oficjalny, jak dostaniesz potwierdzenie. Cześć!

Splunął na leśne podłoże, opierając się o pojazd i rozglądając się wokół. Zaczął rysować twardą podeszwą buta wzorki, po chwili z rosnącą uwagą przykucając i usiłując coś wyczytać z

kolein, jakie najpewniej pod wpływem ciągle wilgotnej ściółki były widoczne. Raz jeszcze dobył telefon.

– Już?!

– Nie. Widzisz, gdzie jestem?

– Z dokładnością do 50 metrów.

– Wyślij tu kogoś ogarniętego z techników. To nie moja domena, ale na takim zapizdowie ślady opon sporego pojazdu, które wzięły się w podłoże na tyle, że jeszcze tu są, to chyba nie jest normalne.

– Szalejesz. A jaką masz pewność, że to ślady z czasu zaginięcia? Może ktoś se po prostu nawrócił?

– To już powiedzą łebscy ludzie. Ile to może potrwać?

– Dobrych kilka godzin.

– Załatw ich tu. Spotkam się z nimi popołudniem, jak pozwiedzam.

Spędził nieco czasu na uważnym wpatrywaniu się w ściółkę, usiłując odczytać wiadomość, jaką zostawili tajemniczy goście. Naliczył co najmniej ślady trzech–czterech pojazdów, jednak tylko głęboko osadzone w podłożu opony, do tego zatrzymujące się w bliskim sąsiedztwie chatki, nakręcały umysł do jeszcze aktywniejszej pracy.

Uruchomił silnik pojazdu, aby po chwili skręcać w lewo, wprost ku niezbadanej jeszcze drodze ciągnącej się przez las. Wskaźnik poziomu paliwa informował, że powinien jeszcze przejechać sporo kilometrów. Zresztą w razie czego zawsze woził w bagażniku dwa zapasowe kanistry z benzyną.

Monotonny leśny krajobraz ciekawie komponował się z utworem Purple Rain, który właśnie leciał w radiu. Jako, że Druh był człowiekiem, który często bywał w rozjazdach, z racji specyficznej ścieżki zawodowej, która naznaczyła większość jego dorosłego życia przywykł do specyficznej zasady mierzenia czasu według długości piosenek. Mimo że tak dokonywany pomiar nie był zbyt dokładny, to jednak sprawiał wiele frajdy. Las zaczął przeredzać się dopiero po siedmiu utworach co sugerowało, że domek znajdował się dosłownie po środku niczego. Z lewej strony jezdni pojawiły się nieśmiało bannery reklamowe, a po kolejnych trzech piosenkach dotarł do skrzyżowania, gdzie jeden ze znaków informował o przejściu granicznym z Białorusią, odległym od jego obecnej pozycji o ledwie 28 kilometrów.

Zatrzymał się na poboczu, po dłuższej chwili decydując się na zawrót i zweryfikowanie, dokąd zaprowadzi go na nowo odremontowana jezdnia, jeśli pokusiłby się o skręcenie w lewo. Po pół godziny jazdy dotarł do malutkiej miścinki, na obrzeżach której widniał znak informujący o szlaku zabytkowych kapliczek. Zatrzymał pojazd przy pustej zatoczce autobusowej i pokonany przez ciągnące się zadupia włączył nawigację, ustalając jako punkt docelowy hotel, do którego miały się udać. Dowiedział się, że gdyby naprawdę chciał tam teraz pojechać, to musiałby spędzić w samochodzie jeszcze bite czterdzieści minut. Niewielki wyświetlacz informował, że w pobliżu granicy z Białorusią powinien natrafić jeszcze na jakieś cztery nieduże wioski.

W ciągu kolejnych trzech godzin zwiedził wszystkie, wyłapując charakterystyczne punkty, rozglądając się, czy aby gdzieś nie stoi samotny obiekt, który można byłoby uznać za dziuplę, która mogłaby rzucić nowe światło na kwestię zaginięcia – wraz z kobietami – samochodu zarejestrowanego na Aleksandrę Warzechę. Pokonany przez napięty terminarz zrezygnował z objazdówki, wracając do punktu wyjścia. Gdy tylko dotarł na miejsce, na poboczu zastał dobrze znany wóz techniczny o specyficznych numerach rejestracyjnych. Wokół domku krzątały się dwie osoby, z uwagą wpatrujące się w pozostawione na nawierzchni ślady. Zatrąbił, zaparkował pojazd obok i dołączył do mężczyzn.

– Cześć panowie – szybkim ruchem ręki pomachał im legitymacją. – I co o tym myślicie?
– Wiesz, chłopie, trudna sprawa, bo to może być wszystko i nic.
– Czas by się zgadzał?
– Hipotetycznie, dopiero zaczynamy.
– Przydam wam się na miejscu?
– Damy radę. Chyba lepiej będzie nie robić tu sztucznego tłumu. Adaś sugerował, żeby wręcz tego unikać, tak?
– Póki co.
– No to chłopie, nic tu po tobie – facet w średnim wieku z bujnym wąsem i kilkudniowym zarostem, uśmiechnął się. – Im nas mniej, tym szybciej pójdzie.

Pożegnali się. Sfatygowany późną nocą wrócił do miasta i powłóczył wolno nogami w stronę mieszkania. Przywitał go bałagan i wcześniej przygotowane, pościelone łóżko zapraszające go w objęcia. Zdjął buty, ubranie, wyłączył obydwie telefony i mimo relatywnie wczesnej godziny, bowiem cyfrowy zegar wskazywał dopiero dwudziestą pierwszą, padł jak długi.

– Przyjdiesz dzisiaj?
– Chętnie. Jak się czujesz?
– Jak co dzień od tamtego dnia, sama wiesz.
– Co byś chciał porabiać? Może coś zamówimy?
– Może.
– Hej, a może rower?! Dawno nie jeździliśmy! W sumie tylko ze dwa–trzy razy widziałam w tych łażkach!
Odpowiedziała jej cisza, po chwili złamana głośnym nabieraniem powietrza w usta.
– No nie wiem...
– Chodź! Wieczór jest, fajna pogoda. Nie zaszkodzi ci. Wybiorę fajną trasę.
– Mi się tamta podobała, co wtedy...
– No to tam pojedziemy, jak sobie zyczysz, Darek. Za pół godziny?
– Niech jest. Ale dzisiaj...
– Ani słowa, panie Sikorski. Do zobaczenia.

Poderwała się, manewrując między stojącymi wokół kartonami. Obrazki na okładkach zdradzały, że Iwa z sobie znanych względów zdecydowała się na zakup nowego komputera oraz dwóch monitorów o sporej przekątnej. Nie zamierzała ryzykować i spieniężać starej skrzyni, jakby bała się, że ktoś lebski dokopie się do historii dysku twardego i odnajdzie niepokojące fragmenty rozmów z Dobrodziejem, które od dłuższego czasu spędzały jej sen z powiek. Gdyby – ze swoim szczęściem – trafiła na ogarniętego informatyka, który potrafi radzić sobie z prostym szyfrowaniem danych, dyskusje o specyficznej zapłacie za pomoc w kompleksowym rozwiązaniu problemu, historia ogłoszeń, jaką przejrzała, aby dotrzeć do osoby o profilu D.B.C., z miejsca wydałaby się podejrzana i mogłaby oddzielić ją od ukochanego. Stare dyski twarde zamierzała rozmagnesować lub przechować przez dłuższy czas, do momentu, gdy finalnie się nie zejda, a następnie zamurować pewnej nocy w ich wspólnym gniazdku, tym samym kupując sobie wielce prawdopodobną gwarancję na to, że sekrety na zawsze pozostaną nieodkryte.

Zrzuciła z siebie odzież, podchodząc na golasa do lustra, dzierżąc w ręce sportowy stanik, rowerową koszulkę, śnieżnobiałą bieliznę oraz rowerowe spodenki termoaktywne. Zamyśliła się,

zerkając na posiniaczone piersi i ramiona. W kilku miejscach tworzyły się wyraźne blizny, które z wielką pasją, gdy tylko jej myśli otulała cień rozdrapywała. Posmutniała, zerkając na plecy: tam nie było wiele lepiej. Przecież kiedyś, gdy wreszcie dojdzie do TEGO spojrzy na nią i zacznie się zastanawiać, dlaczego jego ukochana gotowa dla niego w każdej chwili zmienić nazwisko, wygląda tak a nie inaczej. To, co można było ukryć przed większością społeczeństwa, z całą brutalnością mogło zdemaskować ją, gdy będą się wreszcie pieprzyć. Myśli często schodziły w tym kierunku. O ile jeszcze gdy Aga była z nimi wizja wspólnych upojnych nocy schodziła na dalszy plan, o tyle wraz z rozwiązaniem problemu umysł Iwy coraz częściej zaczynał odtwarzać zmierzające w tę stronę scenariusze. Wiedziała, że musi znaleźć jakiś inny sposób, aby radzić sobie z sytuacjami stresogennymi. Już samo obcięcie paznokci, które teraz ledwie wystawały poza opuszki znacząco pomogło. Jednak cały czas mogła się boleśnie szczypać, co owocowało rosnącą lawiną siniaków. Z mocnym postanowieniem poprawy wskoczyła w sportowy ubiór, po chwili namysłu decydując się zabrać nieduży plecaczek, w którym schowała dwa napoje regenerujące oraz nieduży kocyk.

Opierał się o maskę pojazdu, tępym wzrokiem zerkając w ekran telefonu. Rower stał nieopodal.

– Wybacz spóźnienie! – podniósł głowę, zaskoczony jej obecnością w tym miejscu.

– Cześć Iwa. Ale... jesteś przed czasem!

– A to sorry. Musiało mnie zmylić to twoje znudzone spojrzenie – postawiła rower na stopce, podchodząc do niego, położyła dłonie na jego ramionach. – Jak to wygląda, co?

Trzymasz się?

– Jak widzisz. Co masz w plecaku?

– A, takie tam. Chodź, mamy mało czasu.

– No, ale co masz?

– Dowiesz się, jak będziemy na miejscu. Ruchy, panie Sikorski! I chciałabym, żeby mi pan oddał telefon, będę pana sekretarką!

– Oj no, ale jak ktoś będzie dzwonił?

– O tej porze?

– A jeśli?

– Dobra, to inaczej. Miej go sobie, włącz głos, ale nie patrz tak w niego, bo smutno to mówić, ale tylko nakręcasz spiralę, Dareczku. I sam się dołujesz i dołujesz.

– No to chyba nie jest dziwne, prawda?

– Oczywiście, nie odbierz tego źle. Po prostu mimo wszystko, musisz też myśleć o sobie. (O nas! O nas!)

Spojrzał w podłóżę, decydując się schować telefon do tylnej kieszeni koszulki rowerowej.

– Tak w ogóle, czy ci mówiłam, że super ci w tym stroju?

– Taka jedna, fajna dziewczyna mi go wybierała.

Uśmiechnęła się.

– Jedziemy, chodź.

Po dwudziestej zmęczony trasą stał na szczycie górki, z której roztaczał się malowniczy widok, jaki nie tak dawno temu tak bardzo go zafascynował. Teraz z wyraźnym zainteresowaniem obserwował kucającą przy plecaczku Iwę. Zorientowała się, że patrzy. Z figlarnym uśmiechem usiłowała ukryć przed nim zawartość plecaka.

– Co szpiegujesz?

Odważemnił uśmiech, nie odzywając się. Triumfalnie wyciągnęła koc, który po chwili położyła na niedużym wzniesieniu, opadającym ku zachodowi. Dłoń powędrowała do plecaka, pokazując spragnionemu mężczyźnie butelkę z napojem regeneracyjnym.

– Siadaj – zaprosiła go obok. – Rzuć rower obok, napij się trochę i zobaczymy, może dzisiaj będzie jakiś spektakularny zachód, co?

Niepewnym krokiem dołączył, kładąc się obok. Stratusy, lekko targane wiatrem rozrywały się na coraz to mniejsze, robiąc wielkiej, czerwonej tarczy słońca miejsce, aby zachwyciło ich majestatem. Nie odzywając się przez dobre dwadzieścia minut patrzył jak zahipnotyzowany. Iwa ledwie zerkała udając, że ten cały spektakl również się jej podoba. Chociaż może nawet i ją urzekł? Zrobiło się jej smutno. Z coraz to bardziej skwaszoną miną, mrużąc oczy patrzyła, jak Dareczek w nikałą, czerwoną tarczę, jednak myślami była zupełnie gdzie indziej. Zdziwiona poczuła dotyk dłoni na swojej ręce. Zerknęła pytającym wzrokiem. Czy to z krępacji, czy też z jakichś innych powodów nie zerkał na nią, cały czas chłonąc zmieniający się przed oczyma, obraz.

– Dzięki, że jesteś – rzucił chłodnym, ale pewnym każdego słowa głosem. – Bez ciebie bym chyba już wyszedł ze skóry albo zrobił coś, czego bym żałował.

Uśmiechnęła się, odganiając od siebie na moment targające nią koszmary.

– Od tego mnie masz.

– Coś jest w tym miejscu takiego hm, wyjątkowego.

– Dyskutowałabym czy w miejscu – odkręciła butelkę, pociągając łyka napoju.

– Co masz na myśli?

– Miejsce to tylko miejsce, ale chyba ważniejsi są ludzie, którzy... razem tworzą takie miejsca.

Cały czas czując na ręce jego dłoń objęła ją swoją, unikając zerkania w stronę ukochanego. Gdyby się przełamała, zobaczyłaby po prawej, na pozór smutną, ale jednak do pewnego stopnia szczęśliwą minę Dareczka i mierzące uważnie ją wzrokiem ciepłe spojrzenie ukochanego. Jeśli zaś na moment umiałby odczytać jej myśli, dowiedziałby się o tym, jak teraz napawa się sukcesem, w myślach rugując Agę, jakby wyzywając nieobecna rozmówczynię na pojedynek, którego szala zdawała się coraz bardziej przechylać na jej korzyść.

Po godzinie wspólnego leżakowania zebrali się, w ciemnościach pokonując ostatni odcinek trasy.

– Dziękuję, to było mi bardzo potrzebne.

– I nawet żeś telefonu ciągle nie obracał w dłoniach.

– Za to też jestem wdzięczny. Teraz jak tylko zamknę drzwi, będzie tylko gorzej!

– Faceci to jednak są dziwni.

– Wcale nie!

– No właśnie tak. To co, mam cię niańczyć całą dobę? Pilnować, żebyś powoli zaczął zakopywać dołek?

– Czasem uważam, że to nie byłoby głupie.

Zaskoczona taką deklaracją, aż zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy. Zauważył to, mierząc ją ciepłym wzrokiem.

– No... jak chcesz to mogę, ale... czy to, wiesz...

– Pamiętasz, jak raz rozmawialiśmy do rana?

– Yhm.

– Zawsze można porozmawiać twarzą w twarz – oblał się rumieńcem.

– Tylko że potem nie mam jak wrócić, a gdzieś się muszę podziać.

– No przecież cię na bruk nie wyrzucę.

– Nie wiem. Czy na pewno... znaczy, jeśli potrzebujesz rozmowy, to zawsze, ale to wygląda tak...

– Dziwnie?

– No można to tak nazwać.
– Co w tym złego, że dwójka przyjaciół chce porozmawiać? – zsiadł z roweru, prowadząc go przed siebie, ku garażowi. – Idziesz?

Przekonana o tym, że decyzja zapadła, w głębi serca błagając, aby naprawdę, chodziło tylko o nocną pogadankę ruszyła za nim, przed oczyma mając tylko zszokowaną minę ukochanego, gdy odkrywa poranione i posiniaczone ciało. Wiedziała, że przy pewnych sprzyjających okolicznościach ten problem mógłby przejść niezauważony, jednak nie chciała ryzykować. Po raz pierwszy to Iwa była skrępowana kolejnym krokiem, jaki wspólnie stawiali na coraz to stabilniejszym gruncie.

Wtorek

Zadowolona leżała właśnie w pełnej piany wannie, wcierając w ciało olejki i kosmetyki, dzięki którym zamierzała nieco przyspieszyć regenerację posiniaczonej i poranionej skóry. Spotkanie przerosło jej najśmielsze oczekiwania. Mimo że kilkakrotnie czuła, że atmosfera staje się gorąca i że gdyby tylko odrobinę pociągnęła tę grę, to wszystko odbyłoby się niemal tak, jak to sobie wymarzyła, to jednak żadne nie zdecydowało się postawić kropki nad przysłowiowym „i”. Cieszyła się, przywołując przed rozmarzone oczy wspomnienie, gdy koło trzeciej zdecydowała się położyć głowę na nogach ukochanego. Po chwili poczuła gładzące włosy palce. Znad Iwy dobiegał głos Dareczka. Chociaż trudno było przypomnieć sobie, o czym wtenczas mówił. Była natomiast w stu procentach przekonana co do tego, że ciepła barwa głosu była niemal całkowicie wyzbyta – jak to nazywała – Agnieszkiemu. Nie marudził, starał się jak tylko umiał, aby pociągnąć rozmowę na komfortowy dla obydwojga tor. Wprawdzie, kilka razy to Iwa nawiązała do tematu żony, jakby chcąc zasygnalizować, że nie ma być jedynie pocieszeniem po zaginionej, ale pełną pulą, osiągalną jedynie wtedy, gdy na dobre zapomni, najpewniej godząc się ze śmiercią Sikorskiej. Podniosła się lekko, zapierając się stopami o brzeg wanny. Przysięgłaby, że rany i sińce odrobinę wybledły, mimo tego że tajemniczy, polecany przez farmaceutkę olejek miała na sobie ledwie od dwudziestu minut. Wiedziała, że musi przejść trudną – zwłaszcza pod kątem spaczoney psychiki – drogę, aby pozbyć się tych niekomfortowych udziwień na skórze. Marzenia, w których widziała Dareczka wpatrującego się jak zahipnotyzowany w jej ciało, pragnąc go, były główną siłą sprawczą działań.

– Cześć.
– Opowiadaj.
– Według techników nic nadzwyczajnego. Owszem, jakiś duży pojazd się tam kręcił, ale chuja to dowodzi. Masz te papiery?
– W trakcie jestem. Widzę, że się na wyższych szczeblach pozmieniało trochę. Co to za jeden ten Arkadiusz Kozyra? Gdzie jest Stasio?
– O Stasiu nie ma co rozmawiać. A ten to chyba z jakiejś politycznej protekcji. Znajomy wujka, co miał dziadka w organizacji, no i trzeba pomóc, bo przecież o robotę ciężko.
– Czyli że chorągiewka?
– Można i tak to podsumować.
– Rzucę tym chyba w cholerę, nie jest to warte mojego czasu.
– Rób, jak uważasz. W razie czego służę pomocą.
– A możesz przesłać te jawne wydruki z lokalizacji? Skurwiel, jaki mnie z tym ciśnie raczyłyby się wreszcie odjechać od mojej skromnej osoby – zaśmiał się.
– To by szło zrobić. A mają wyglądać na jawne, czy jakoś ztuningować?

- Niech myśli, że ma przed sobą dane jak z filmu akcji. Tylko ty! W granicach rozsądku!
- To się rozumie samo przez się. Na dzisiaj będzie. Wpadniesz kiedyś do firmy?
- Nie chce mi się oglądać tych mord. Raczej spotkamy się na rybkach, jak zazwyczaj.

Dzięki ci!

Wczesnym popołudniem drzwi redakcji portalu Naszewspolnemiasto.pl otworzyły się. Darek, zastępujący Papisia przy biurku – gdyż tłusciuch wcześniej zakomunikował, że musi uczestniczyć w pogrzebie jakiejś ciotki, którą może ledwie raz w życiu widział na oczy, wziął urlop – z rosnącym napięciem obserwował, jak wyprana z emocji twarz niewysokiego mężczyzny, który niedawno mierzył do niego z pistoletu, zbliża się. Wyprostował się, niepewnym wzrokiem zerkając w stronę drzwi redaktora Kozaka.

– Cześć, panie dyktafon.

– Dobry.

– Tadeu! Jesteś?!

Zza drzwi wyłonił się tęgi przełożony Darka. Z wielkim uśmiechem na twarzy wystartował ku przyjacielowi, czule się witając.

– Zostaniesz z nami? Znasz problem Dariusza?

– Wszyscy znamy. Smutna historia.

– No więc jak prosiłeś, starałem się pomóc – zmierzył Darka silnym spojrzeniem. – Trochę musiał mnie przekonywać, ale ostatecznie to twój człowiek.

– Ustalił pan coś?

– Sami zobaczcie – z aktówki wyciągnął czarną teczkę. Rozłożył przed nimi jakieś sprawiające wrażenie bardzo konkretnych zdjęć wywiadowczych materiały, na które nawet nie powinni byli patrzeć, nie chcąc wylądować za kratkami.

– Dużo tego.

– Dużo papieru, ale treści mało, Dariusz. Omówię wam: to są zdjęcia aktywności telefonów obydwu kobiet – wskazał na kilka wysokiej jakości zdjęć satelitarnych z zakołkowanymi na niebiesko i fioletowo punktami aktywności – urządzenia nie wyjechały poza obręb 10–20 kilometrów od lokalizacji.

– Może ktoś wyjął kartę i wyłączył?

– Gównu by to dało. Od kilku lat mamy sprzęt, dzięki któremu widzimy jakby mapę, jaką ktoś pokonał w oparciu o przekaźniki sygnałowe. Nawet jak masz wyłączony telefon. Tylko jakby wyciągnąć baterię, nie mielibyśmy pomiaru.

– Lub zniszczyć!

– Teoretycznie. Wniosek taki, że trop, na jaki bardzo liczyłem upadł, zanim zdążyłby powiedzieć coś konkretnego. Tutaj mam zdjęcia sprzed tego domku. Była tam ekipa techniczna, zarówno pod chatką jak i w niej – skłamał. – Podejrzenia wzbudziły ślady ciężkiego pojazdu, na co z kolei wskazywały rzecz jasna te, no, koleiny. W domku nic podejrzanego, szukaliśmy pod kątem DNA, krwi czy czegoś nadzwyczajnego, co nie powinno się tam wydarzyć. Ani na parterze ani poddaszu, ni chuja.

– Rozumiem, coś jeszcze?

– Tu masz trasę objazdu terenu – przedłożył kolejną kartkę. – To cyfrowo zmniejszona mapa, jednak zwiedziłem te rejony dość dokładnie. Kilku ludzi też. Posterunki policji potwierdziły, że nikt nie zareagował na rysopisy kobiet. O monitoringu wiesz, prawda?

– Że nic nie nagrał – zasmucił się.

– Przykro mi, Dariusz.

– Druhu, co byś podejrzewał? Może chłopak zrobić coś jeszcze?

– Tadeu, przykro to mówić, ale wszystkie fakty przemawiają za tym, że było to kurewnie

profesjonalnie zrobione, skoro nawet ja nic nie znalazłem.

– Czy ona jeszcze...

– Moim zdaniem nie. Naprawdę mi cię szkoda, Dariusz. Mimo tego, że nie zawsze myślałem o tobie dobrze, współczuję i – zawahał się – raczej się nie odnajdzie. Wkrótce sprawa zostanie zamrożona ze względu na brak poszlak i materiału dowodowego.

– Mogę to zatrzymać?

– Nie teraz. Podejdę wkrótce i ci wydam wszystko – zaakcentował ostatnie słowo.

– Chujowo.

– Niestety. Czasem tak to już bywa i nawet najlepsi, jak my, niewiele mogą zdziałać.

Tadziu, skoczmy na jednego?

– Po co łązić?! Mam w barku coś, co ci się spodoba! Chodź!

– Nie wiem, czy tak powinniśmy przy Dariuszu...

– Pijcie, jak chcecie. Już się w sumie pogodziłem.

– Wierzyć trza, Darek!

– Wiem, szefie, ale to przychodzi coraz trudniej.

Wstali, po chwili zamykając się w biurze Kozaka. Zanim Druh przekroczył próg, teczką pełną materiałów wskazał w jego stronę, mierząc go czujnym spojrzeniem. Wyglądało na to, że wkrótce ich ścieżki znów się przetną.

Czwartek

Z lektury wyrwał go dzwonek do drzwi. Wstał, doskonale wiedząc, kogo należy spodziewać się za progiem. Po chwili zobaczył byle jaką twarz. Druh, zgodnie z obietnicą, odwiedzał go właśnie – jak mniemał – po raz ostatni.

Mimo ciągłego wydzwaniania do oficera Podleśnego nie dowiedział się niczego nowego w sprawie zaginięcia żony, cały czas pokładając pewne nadzieje w tajemniczym mężczyźnie. Rodzina oraz znajomi powoli zaczęli godzić się z tym, że Aga nie tyle co zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, co zaginęła i zginęła, choć oficjalnie poszukiwania obydwu kobiet cały czas nie zostały odwołane. Pociągnął za klamkę przezornie wycofując się, jakby ciągle gdzieś w umyśle Darka tliła się myśl o odłożonej dla niego kulce, która za moment wbije się wprost w serce, odsyłając go ku ciemności.

– Cześć, Dariusz – nie czekając na zaproszenie przekroczył próg, czujnym spojrzeniem mierząc ciemne kąty i zakamarki, wprawnym wzrokiem tajniaka usiłując namierzyć amatorsko zamontowane kamery lub aparaturę podsłuchową.

– Dobry. To co?

– To nic. Nic nie wykombinowałeś, co powinno mnie zmartwić, czy mam sprawdzać?

– Niech pan robi, co chce.

– No to krótka piłka, kolego. Gdzie masz rzeczy dla mnie?

– Tam, na stole – wskazał.

Gość, nie czekając na oficjalne przyzwolenie i nie ściągając butów dopadł do białej koperty, wyciągając z niej płytę DVD, pendrive'a i kartę microSD.

– To na pewno wszystko? Wiesz, że ręczysz za to głową?

– Na pewno. Teraz pan.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął sytą, szarą kopertę zgiętą w pół. Ruchem dłoni, przywołał go do siebie.

– Żeby była jasność, na kilku drukach znajdziesz wycięte górne lewe rogi. A to dlatego, że tam jest identyfikator zlecającego. Muszę chronić zwłaszcza siebie, cała reszta jest nieważna.

Taki fach. Panimaju? – wystawił kopertę przed siebie. Darek po chwili wahania otworzył ją, przeglądając powoli zawartość przesyłki.

- Mogę pytanie?
- Byle szybko.
- Co pana zdaniem mogło je spotkać?
- Szczerze?

Skinął głową, nie odrywając oczu od wydruków.

– Po mojemu to śmierć. Śmierć z rąk profesjonalistów, choć niestety nie wiem w jakiej dziedzinie, żeby zdobyć jakiś punkt zaczepienia.

– Kiedy nie ma ciała. I co z wozem?

– Wóz już pewnie na części poszedł. A ciało to można szukać nawet latami. Cała armia by musiała tę puszcę jebaną zwiedzać i przekopać, a i to bez gwarancji na cokolwiek. Mogłoby równie dobrze wyjść, że znaleźliby jakieś inne, uznane za zmarłe osoby, nawet sprzed wielu, wielu lat. To trudny rejon.

– Czyli że nie ma na co liczyć?

– Nie, Dariusz, przynajmniej według mnie. Wiadomo, możesz wierzyć, ale nie postawiłbym na to zegarka. Naprawdę mi przykro.

Nie odpowiedział, patrząc pustym, nieobecny wzrokiem w nieokreślony punkt na ścianie.

– To cześć – poklepał go po ramieniu. – Ogarnij życie, chłopie.

Słowa Druha nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Do czwartej nad ranem analizował informacje, usiłując znaleźć jakikolwiek trop, który zdołał umknąć zarówno Druhowi, jak jego ludziom i policji. Zasnął na kanapie, uprzednio modląc się do Stwórcy, aby chociaż On zdołał mu w jakikolwiek sposób pomóc. Przed oczyma pojawiały się obrazy wspólnej przeszłości, brutalnie przerwanej przez pizdOlę, HKS-Incho Company, a następnie do cna rozszarpane przez tajemnicze uprowadzenie, najpewniej zakończone śmiercią.

15.lipca

Obserwowała uważnie, jak z wielkim zainteresowaniem przygląda się wnętrzu jej mieszkanie. Specjalnie na tę okazję idealnie wysprzątanego. Ach, mamusia byłaby dumna ze starszej córeczki. Cholernie dumna. Gdy otworzyła przed Darkiem drzwi do swojego królestwa, oczy mu się zaświeciły z wrażenia. Wiadomo, faceci to gadżeciarze, a nic tak nie pobudza męskiej wyobraźni jak mocarny komputer, trzy wielkie monitory, profesjonalne oświetlenie oraz stolik kreślarski, pełen projektów w różnych stadiach zaawansowania. Westchnął.

– Zajebicie. Jak czasem na wideo czacie gadamy, to kiedyś nawet chciałem poprosić, żebyś pokazała kamerką swoje cztery kąty, ale... nie no, nawet na żywo ciężko to ogarnąć.

– Cieszę się, że tak ci się podoba. A teraz chodź, są tu jeszcze jedne zamknięte drzwi.

– Mogę tu zamieszkać? – opadł na fotel, ostentacyjnie obejmując oparcia dłońmi.

Roześmiała się.

– Nie, nie możesz. Póki co! – podeszła, wystawiając ku niemu dłoń. Podroczył się z nią chwilę, jednak wystawił rękę i pozwolił pomóc sobie wstać. Zaprowadziła go do dużego pokoju i usadowiła na kanapie.

– Siedzisz. I nie podglądasz.

Przylapał się na tym, że z rosnącą uwagą podziwiał smukłe nogi Iwy, które dopiero gdzieś od wysokości ud nikły, zakryte przez białą, lnianą sukienkę z kwiecistym wzorem. Bez wątplenia bardzo elegancką. Zresztą, on także starał się wyglądać niczego sobie, w głębi serca godząc się z tym, że już od jakiegoś czasu ich relacja zaczyna wyłamywać się z łam standardowej, damsko-męskiej przyjaźni.

– Chodź!

Ciekaw tego co przygotowała nacisnął na klamkę, otwierając drzwi na oścież. Na niedużym stoliku stały dwa talerze o bliźniaczej zawartości, na jaką składał się owinięty w panierkę z ciasta francuskiego kotlet, elegancko obłożony brokułami i kręconym włoskim makaronem, skąpanym w pikantnym sosie. Obok talerzy na środku dwa kieliszki do wina, nieopodal zaś butelka jeszcze nie otwartego, szlachetnego trunku. Zasiedli w milczeniu, przerywanym nieco skrępowanymi spojrzeniami. Po pierwszym kęsie lekko zmrużył oczy, z uznaniem patrząc na gospodynię.

– I co?

– Pyszne! Nie mówiłaś nigdy, że tak dobrze gotujesz.

– Bo nie gotowałam. To taki... eksperyment.

– Skąd wiedziałas, że lubię takie połączenie?

– Szczęśliwy traf. Nie, nie no, dobra, powiem. Widziałam, że masz w polecanych restaurację, której specjalnością jest to danie. No to się z nim zmierzyłam dla ciebie.

– Kochana jesteś. A ty czemu nie jesz?

(Kocham Cię!)

– Yyy... jem, jem. Tylko fajnie tak patrzeć, jak ktoś z taką błogą miną pałaszuje robiony dla niego posiłek. Nie krępuj się.

Dokończyli, rozmawiając o kończącym się dniu. Darek opowiadał o kilku wydarzeniach z pracy, dłuższą chwilę poświęcając awanturującemu się z kimś na żywo w radiu staroście, który błysnął niewyszukanymi określeniami wobec politycznego oponenta. Iwa odwdzięczyła się historią o aferze, jaką urządziła dostawcy Internetu, który do wczesnych godzin popołudniowych skutecznie utrudnił jej życie rozległą awarią.

Poczuł, jak jej stopa zaczyna delikatnie dotykać jego nogi. Nieco się spieszył, jednak zachowanie blondyny schlebiało mu. Wędrowała coraz wyżej sprawdzając, na ile może sobie pozwolić. Wraz z figlarnym spojrzeniem stopa zatrzymała się nieopodal ud. Jej twarz spoważniała, zdając się prosić o zgodę na ciąg dalszy. Po minie wyczytała, że jest rozdarty gdzieś między Agnieszką a ekscytacją jej osobą. Wycofała się, napełniając obydwie kieliszki szlachetnym, słodkawym trunkiem.

– Usiądziemy na kanapie? – wstała, biorąc w dłoń butelkę. Drugą rękę wystawiła ku Darkowi. Cały czas nosił po tej suce obrączkę! Wstał, dołączając do niej. Siedzieli przed wyłączonym telewizorem, jak zawstydzeni sobą nastolatki przed pierwszym razem, korzystający z okazji, że starzy i rodzeństwo wyszli na urodziny do starej ciotki Hildy, która robi pyszny jabłecznik. Atmosfera zdawała coraz to bardziej zagęszczać.

Z odsieczą przyszedł jego telefon komórkowy. Zerknął na Iwę pytającym wzrokiem, prosząc o pozwolenie.

– Odbierz. Może to coś ważnego. W końcu kto dzwoniłby po 22?

Przeprosił, odbierając.

– Sikorski, słucham.

Wyteżyła słuch.

– To ja, cześć.

– Macie coś?! – poderwał się. Blondyna wyczekująco zerknęła na ukochanego, modląc się o sprzyjający jej ciąg dalszy.

– Koledzy są w trakcie, ale...

– W trakcie czego, mów! Żyje?!

– Stary. Ech, wkrótce będziesz musiał zidentyfikować ciało.

Zgasł, niczym oblana strumieniem wody ledwie tłąca się świeczka. Iwa opuściła głowę,

zakrywając twarz rękoma. Gdyby teraz spojrzął uważnie dostrzegłby, że buzia urodziwej dziewczyny wykrzywia się w triumfalnym uśmiechu.

– Darek, jesteś? Halo? Halo?!

– Kiedy?

– Dam znać. Przyjacielu, kondolencje.

– Dziękuję. Będę kończył – rozłączył się, wybierając numer do jej rodziców. Po trudnych dwudziestu minutach wszyscy bliscy wiedzieli już, że zaginiona Agnieszka Sikorska została odnaleziona. Martwa.

– Chodź do mnie – objęła go, głaszcząc Darka po głowie. Z trudem panowała nad sobą, aby nie zacząć teraz śmiać się radośnie, pozwalając, aby wszystkie emocje, jakie towarzyszyły jej niemal od roku uszły, ustępując narastającej z każdą chwilą szczęśliwości. – Wszystko się ułoży, Darczku, wszystko się ułoży.

17 lipca: poranek

W towarzystwie rodziców z obydwu stron, z trudem zmuszając się do zachowania chociażby względnego spokoju patrzył, jak dłoń jakiegoś policyjnego lekarza rozpina czarny worek. Domniemywał, że w jakiejś innej sali, bliska rodzina Olki Warzechy przechodzi właśnie przez takie samo piekło. Wiedział, że tej wyszczekanej suce również nie udało się ująć z życiem. W głębi siebie wahał się, czy wypada mu teraz myśleć o niej źle. Z jednej strony, śmierć pizdoli poruszyła jego serce, z drugiej zaś, ciągle pamiętał o tym wszystkim, czego od niej doświadczył. Suwak pokonał połowę długości czarnego worka. Miał przed sobą jej prawy profil. Zamknięte oczy, spokojna, błoga mina, zupełnie jakby spała. Uwagę Darka przykuła sina, nieproporcjonalnie zapadnięta powieka lewego oka. Wskazał palcem, mierząc doktora pytającym spojrzeniem.

– Dowie się pan z raportu.

– Ale...

– Panie Sikorski, to żona?

– Tak. Bez dwóch zdań, to moja... Aga – skulił się, walcząc z napływającymi łzami.

– Moje kondolencje.

Poczuł na ramieniu czyjś dotyk. Odsłonił oko, zerkając w górę. Z kamienną twarzą, zerkał na niego Podleśny.

– Chodź. Papierkowa robota i raport. No, chodź Dariusz.

Powoli wstał, z opuszczoną głową idąc wolnym krokiem do niedużego biura. Kolega podkładał tylko kolejne papierki pokazując, gdzie podpisać. Jak wyprany z uczuć automat, spełniał kolejne rozkazy, nie zastanawiając się, co dokładnie podpisuje. Zamaszyste „Dariusz Sikorski” znalazło się na kilkunastu dokumentach.

– Chcesz wody?

– Daj.

Pojawił się przed nim plastikowy kubek z wodą mineralną. Kilkoma haustami go opróżnił.

– Jestem gotowy. Mów co w raporcie.

– Dostaniesz oczywiście kopię. W toku czynności... ech, inaczej. Białoruscy znaleźli ciała na terenie przygranicznym. Mamy wspólną bazę zaginionych na takie okazje, więc szybko dopasowano wizerunek, porównano i...

– Jak umarła?
– To trudne...
– Cierpiała?
– Miejmy to za sobą. Ona... padła ofiarą handlu ludzkimi organami. Nie ma co tu więcej mówić. Mamy co roku trochę takich okrucieństw. Skurwysyństwo!

– Kto?
– Nie wiemy. Ani nasi, ani Białorusini.
Zacisnął pięści, aż zaczęły drżeć.
– Będziesz jeszcze kilka razy przesłuchany. Psycholog już... czeka. Naprawdę mi przykro. Chcesz pobyć sam? Przysłać go tu?

Położył głowę na biurko, solidnie uderzając w nie czołem.
– No to ja... – wstał, sugerując facetowi z wielką brodą, czekającemu na zewnątrz, aby szybko się nim zajął – idę. Dwudziestego sierpnia, dając radę tylko dzięki silnym, dostępnym na receptę proszkom, w towarzystwie rodziny, kolegów z pracy i znajomych po raz ostatni pożegnał się z Agnieszką. Iwa pojawiła się na cmentarzu także po raz drugi, po części oficjalnej i stypie, gdy tylko – jako bliska przyjaciółka – odwiozła na dworzec PKP jednego z ostatnich gości z rodziny, który nie miał się z kim zabrać w drogę powrotną.

Pod osłoną nocy, śmiejąc się na głos, zupełnie, jakby zszokowana prawdą Aga stała teraz przed nią dotarła do naprędce zasypanego ziemią grobu Sikorskiej. Rozejrzała się po skąpanym w mroku cmentarzu, po czym splunęła na świeży grób.

– Uprzedzałam! Uprzedzałam, że będzie mój, kurwo! Smaż się w piekle!
Dłuższą chwilę, nie patrząc na stan butów i nóg kopała w wilgotną glinę, jakby jeszcze po śmierci chciała zadać jej trochę cierpienia. Zmęczona, głośno dysząc raz jeszcze, splunęła, nawróciła na pięcie i szybkim krokiem ruszyła do samochodu. Musiała teraz bardzo pilnować Dareczka, aby nie zatracił się w minionej, definitywnie zakończonej przeszłości. Jak każdy dotknięty traumą facet był teraz łatwym, niemal bezbronnym celem, co zamierzała skutecznie wykorzystać.

31. grudnia

Leżąc w łóżku zerkali przez niewielkie, dachowe okienko na rozgwieżdżone, nocne niebo z rosnącą niecierpliwością wyczekując północy i koncertu barw, jaki powinien przyozdobić nieboskłon. Cały czas ubrani w ciepłe dresy z polaru rozmawiali o planach i nadziejach na nowy rok. Monolog Iwy przerwał pierwszy wystrzał. Poderwała się, z uśmiechem biorąc Darka za rękę i wyciągając na balkon szycownego, górskiego pensjonatu.

– Chodź! Ubierz czapkę, coś na nogi, bo się rozchorujesz!
Z udawanym żalem, narzekając na to, ileż podniesienie się z wygodnego łóżka kosztuje go wysiłku, żaląc się, jak to było mu wygodnie i komfortowo zebrał się, ostentacyjnie leniwym krokiem człapiąc w stronę butów. Po chwili dołączył do dziewczyny, czekającej już w nieco zabawnej czapce–uszatce, którą kupił jej, gdy tylko przyjechali w to miejsce. Nawet osoba o tak urodziwej twarzy jak ona nie odczarowała specyficznej czapki z rogami renifera. Mimo wszystko postanowiła nosić podarek z godnością, wychodząc z założenia, że najważniejszym jest to, od kogo prezent pochodzi.

– Już? Północ?
– Nawet kilka minut po – wręczyła mu kieliszek.
– No to co – wystawił rękę – żebyś wróciła do zdrówka, żeby zawsze na buzi gościł uśmiech, żeby klienci od razu akceptowali projekty i nie wybrzydali – uśmiechnął się, nachylając się ku niej. – I czego sobie tylko życzysz.
– To ja tobie, żebyś ze mną wytrzymawał, standardowo zdrowia, realizacji marzeń i –

dała mu do potrzymania kieliszek, obejmując dłonią obrączkę po Agnieszce – żebyś pogodził przeszłość z terażniejszością.

Zawahała się, pytającym wzrokiem prosząc go o zgodę na zdjęcie ostatniego symbolu tragicznie zakończonego małżeństwa. Posmutniał, jednak pozwolił na to. Po chwili włożyła mu pierścionek w dłoń, prosząc o kieliszek, który szybko opróżniła.

– Ty możesz?

– W takich ilościach tak. Zresztą zdaniem doktora robię ogromne postępy i to już ostatnia prosta.

Czerwiec

W towarzystwie sympatycznego czworonoga Terrego, rodowitego maltańczyka, który męczony upałem z trudem wytrzymał w samochodzie dotarli do ulicy Nowej. Zatrzymała pojazd. Drzwi od strony kierowcy i pasażera otworzyły się. Na spotkanie wyszedł sympatyczny facet, który mimo żaru lejącego się z nieba, z wrodzoną elegancją paradował w garniturze i pod krawatem.

– Dzień dobry, cieszę się, że państwa widzę. Jak minęła podróż?

– Upalnie – uciał, witając się z elegantem. Iwa wyprowadzała Terrego po pobliskim zieleńcu, uważnie ważąc każdy krok, aby nie nadeptać przyodzianymi jedynie w japonki stopami na jakiś metalowy element. A tych, zresztą tak samo jak i innych materiałów budowlanych wałało się po okolicy całkiem sporo. Dostrzegając niepewne spojrzenie Darka elegant przystąpił do ofensywy.

– To wszystko, to stan rzecz jasna, przejściowy. Ot, urok deweloperki, gdzie najważniejsza jest jakość i wykończenia samych domów i mieszkań, a dopiero potem okolicy. Tu – rozłożył ręce – do miesiąca będzie chodnik i elegancki zieleniec. Chodźmy, jestem pewien, że jakość wnętrza pozwoli wam wyrobić sobie o wiele lepsze zdanie o inwestycji.

– Iwa, słońce...

– Idę, już! – pociągnęła lekko za smycz, dołączając do mężczyzny.

– Panie Piotrze, ile metrażu już sprzedaliście?

Uśmiechnął się, otwierając drzwi niedużego domku.

– Dużo. Jeśli założyć, że dołączycie do grona zadowolonych nabywców pewnym jest, że będziecie mieć mnóstwo sąsiadów.

Drzwi otworzyły się. Za niedużym przedsionkiem po lewej wyłoniła się zabudowana kuchnia, oddzielona ścianką działową od wielkiego, idealnie pustego pokoju łapiącego dużo światła.

– Idealny pokój gościnny. A za nim balkon, taras i wasz całkiem spory ogród. Chodźmy dalej.

Z uwagą obserwował ich twarze, nabierając coraz to większej pewności siebie.

– Tu łazienka, obok toaletka.

W ciszy, przerywanej jedynie tupotem łapek czworonoga i ich krokom, dobrze niosącym się na panelowej posadzce dotarli do niedużego pokoiku.

– Idealne na biuro. Na małą dyskretną świątynię mężczyzny.

– Lub kobiety, która pracuje zdalnie – wtrąciła.

– Naturalnie, droga pani Iwo. A zaraz za ścianą pokój, na przykład dziecięcy. Podoba się wam? – nie czekając na odpowiedź ruszył ku schodom prowadzącym na piętro. Zafascynowani podążyli za nim.

– Sypialnia. Jak widzicie, okna na południe, więc pomieszczenie dyskretne, ale nie, że tak powiem, mroczne. Tu łazienka z toaletą i mały pokój. Jak mówiłem, do domku przynależy ogródek oraz rzecz jasna garaż, choć jednostanowiskowy. Co zaś do ogródka – pokazał im

oddzielony płotem wycinek zielonego terenu – piesek będzie zachwycony. Państwo też!

– Cudowny...

– Do kiedy trzeba dać odpowiedź, panie Piotрку?

– Jak najszybciej, panie Dariuszu.

– Tydzień? – spojrział błagalnym wzrokiem.

– Ach, niech stracę! Czuję, że mnie państwo nie wystawicie. Zgoda!

Ruszyli ku wyjściu. Po chwili, czarny ford zmierzał w stronę centrum.

Wrzesień

Śnieżnobiały sufit, dziwnie gryzący się z zaciemnionym wnętrzem utrzymanym w odcieniach beżu drażnił ją, jednak nie dawała tego po sobie poznać. Właśnie zakończyła długą opowieść o tym, co wydarzyło się w jej życiu nowego przez wakacje. Stary mężczyzna o bujnych, siwych włosach, z wielkim nosem, elegancko ubrany w lekarski kitel zaprosił ją ku sobie. Wstała z leżanki, po chwili zasiadając przed jego majestatem. Mierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Przeszliśmy razem długą drogę, Iwa, prawda?

Skinęła, czekając na ciąg dalszy.

– Czy czujesz się gotowa, żeby wycofać lekarstwa?

– To pana decyzja przecież...

– Już mam diagnozę, ale wychodzę z założenia, że priorytetem jest to, co w sercu czuje pacjent. Chcesz spróbować?

– Tak. Ale... powoli. Czasem jeszcze się zapominam.

– To normalne. Minie. Musisz przestrzegać bardzo rygorystycznych zasad, wszystko ci rozpiszę. A jak wasze plany? O ile pamiętam, przeprowadzka miała być w tym miesiącu, a ty nic nie mówiłaś.

– E, bo się przesunęło. O dwa– trzy tygodnie. Papierkowa robota. Ale to pewne!

– Bardzo dobrze. No to co, słońce? Wiesz, że zawsze możesz wpaść, gdyby było gorzej, prawda?

– Dziękuję. Tak.

Zajął się pisaniem recept. Iwa po raz ostatni przyglądała się gabinetowi, którego wystrój i detale przez ostatni rok poznała w każdym calu.

– Proszę. Zmniejszaj tak jak tu ci pisze, słońce. Po dwóch tygodniach tę kroisz na pół, tę tylko na wieczór – wskazywał kolejne punkty na liście. – Nie wyprzedzaj harmonogramu, nawet gdybyś czuła się dosłownie śpiewająco.

– Coś mi grozi?

– Raczej nie powinno nic się stać. Jakbyś odczuwała niepokój, ale taki jak kiedyś to od razu dzwoń, dobrze?

– Oczywiście.

– Rozpiszę ci jeszcze dietę. Koniec z kilkoma smakołykami. I raz na kwartał morfologia i wskaźniki – zaczął pisać po karcie, starając się stawiać możliwie jak najwyraźniejsze litery. – Swoją drogą jakieś weselisko na horyzoncie?

Roześmiała się.

– Nic mi o tym nie wiadomo, doktorze.

– Uuu. A już myślałem, że może mnie do kościoła zaprosisz czy coś. Nie no, spokojnie, żartujemy sobie tylko. A chociaż zaręczyny?

– Oficjalnie nic nie wiem.

– Bystrzacha. Zdradzisz coś?

– Jak tylko się czegoś dowiem. Zna moje sztuczki.

– No! Uśmiechasz się. Wreszcie! Wiesz, że dopiero po czterech miesiącach się uśmiechnęłaś? Mam to nawet tutaj zanotowane. A taka ładna buzia.

– Gdzie tam...

– To, co ci mówiłem. Uwierz w siebie. Proszę, twoje recepty, dieta, no wszystko chyba. Lekarz rodzinny cały czas ten sam?

– Tak.

– To jesteś w dobrych rękach.

– Jeszcze jedno – wyciągnęła z siatki ładnie zapakowaną bombonierkę z górnej półki. – Dziękuję. Za wszystko. Gdyby nie pan...

– Oj, nie musisz, Iwa.

– Muszę. Nie przyjmuję odmowy.

– Dziękuję za miły prezent – sięgnął po podarek.

Po chwili wymienili uścisk dłoni, rozstając się.

6. grudnia

Redaktor Kozak nie był w stanie opanować zawodzącego śmiechu. Trzymając w rękach eleganckie zaproszenie nie panował nad płynącymi z oczu łzami. Zdezorientowani takim obrotem spraw Iwa i Darek patrzyli po sobie, przerzucając wzrok to na siebie, to na dziwnie zasmuconego Papisia, który zasiadał na sofie ze złowrogą miną i założonymi rękoma, jakby ktoś zabrał mu drugie śniadanie i wyrzucił przez okno.

– Co też szef?

Po dłuższej chwili opanował się.

– Te, kocia intuicjo za piąta, cho no tu!

Niemal idealnie czerwony po twarzy Patryk stanął obok biurka.

– Pamiętasz, co żem mówił?

– Szefie...

– Nie ma, synek! Zakład to zakład, już.

– Przepraszam, ale o co tu chodzi?!

– Widzisz Iwa, Papiś myślał, że zeżarł wszystkie rozumy. Żeśmy się założyli o zakończenie tej waszej historii i pan kotek przegrał z kretelem!

– O co zakład poszedł?

– Jestem bogatszy o stówę, a on obiecał też zdradzić sekret, o którym dowiedziałem się tylko dzięki niesamowitemu przypadkowi. Taki był pewny siebie! No to dawaj, niech świat zobaczy, że z Kozakiem bezkarnie się nie pogrywa.

Zaskoczeni patrzyli, jak kumpel zdejmuje sweter i koszulkę, usiłując zachować resztki godności. Odwrócił się plecami.

– Niżej, bo nie widać. Kucnij, pochyl dupę!

Roześmiali się, zerkając na tatuaż przedstawiający sytego, czarnego kocura na tle wielkiego, obrysowanego jedynie konturem serca. Iwa aż zasłoniła usta, nie dowierzając w to, co widzi.

– A zaproszenie śliczne. Będę na pewno. Pan tatuaż też!

Luty

Obudziła się z krzykiem, złana potem. Przed oczyma ciągle miała zakrwawioną twarz Olki. Śniło jej się, że ta kurwa wydłubała jej oczy, z wielką siłą penetrując wnętrze oczodołu, aby po chwili zrywać skórę z twarzy, rzucając ją do miski Terrego. Skąpana we krwi mordka psa dokończyła dzieła zagłady, skacząc ku niej i wbijając nieproporcjonalnie wielkie kły wprost w szyję. Wtedy się obudziła.

Przywitał ją słoneczny poranek. Darka nie było obok. Godzina 10:12 kazała

domniemywać, że już zebrał się do pracy. Dotarło do niej, że ma na twarzy coś mokrego. Przejechała policzkiem o poduszkę z paniką odkrywając, że obficie krwawi. Poderwała się, zmierzając w stronę łazienki, spanikowanym wzrokiem doglądając ogromnej rany na języku i wardze. Nie była w stanie opanować drżenia rąk. Po chwili pokonana przez koszmarną pobudkę zwymiotowała, z trudem podnosząc osłabione ciało znad muszli.

– Dam radę... Boże, dam radę. To tylko jednorazowe. Boże...

Kwiecień

Wyrwana z letargu lekko podskoczyła, gdy do jej stolika dosiadł się klient, który chciał odebrać koncepcyjne szkice portalu, nad którym pracowała.

– Witam. Wszystko dobrze, proszę pani?

– Tak. To... teczka, tam wszystko pan znajdzie – drżąca dłoń z poobgryzаныmi do krwi paznokciami szybkim ruchem rzuciła na stolik projekt. Zamilkła, usiłując opanować nerwowe drżenie ciała.

– To... wszystko?

– Chyba tak – zerknęła przez chwilę ciepłym, rozmarzonym wzrokiem. – Niech pan już idzie.

– Ale...

– Do widzenia, uwagi na maila. Bardzo proszę! Dobrze?

– No nic, to kłaniam się – wstał od stolika, nie oglądając się za siebie.

(Cudowny...)

– Boże, nie – wyszeptwała, walcząc z tą złą Iwą, która od jakiegoś czasu na nowo przejmowała nad nią kontrolę.

(Młody, zamożny i te oczy. Ciekawe, co skrywa pod garniturkiem?)

Objęła głowę dłońmi, cicho szlochając.

(Jak on się nazywa? Jak?)

– Adam – odparła w myślach.

(Adam. A Adam już wkrótce będzie...)

– ...mój!

Spojrzała na pierścionek zaręczynowy. Upewniając się, że nikt nie patrzy wsunęła rękę pod koszulkę, dociskając diament z całej siły do żebra, prosto w jeszcze świeżą ranę, którą zrobiła sobie kilka dni temu. Szalone, żadne krwi spojrzenie na moment zniknęło. Opamiętała się, zabierając rzeczy i wychodząc z lokalu. Po chwili zasiadając w swoim wozie, wyciągnęła ze schowka stary telefon Agnieszki podłączając go po kablu do ładowarki samochodowej. Wracając do domu okrężną trasą czekając, aż zapomniane przez wszystkich urządzenie się naładuje.

– Muszę – walczyła ze sobą. – Żeby to przetrwać! Co robię?!

Nacisnęła przycisk POWER, przepisała kod PIN, aby na nowo zapoznać się z SMS-ami tej szmaty i przypominając sobie, ile cierpień przeszła, aby być w tym miejscu, gdzie teraz się znajduje: z kochającym narzeczoną, własnymi czterema kątami i zbliżającym się wielkimi krokami terminem ślubu. Po lekturze, przekonana o tym, że na jakiś czas zabiła Złą Iwę wyłączyła urządzenie, chowając je do schowka, po czym ruszyła w stronę drzwi wejściowych od ich wspólnego gniazdka. Uśmiechnęła się, widząc biegającego po ogrodzie Terrego, bawiącego się z Darkiem.

– Boże, pomóż mi to wszystko przetrwać – przywdziała na twarz promienny uśmiech i ruszając ku ukochanemu mężczyźnie.

- Słucham?
- To ja. Pamiętasz, jak miałem ci te dwa numery od tych zaginionych lasek sprawdzić?
- Sikorska i Warzecha?
- Ano.
- Pamiętam. I co?
- Nie uwierzysz, jak ci powiem!

KONIEC